



179. 524
286 446

CIELCE ZŁOTE.



CIELCE ZŁOTE.

02191

przez

C. Norvinsa.



286

WARSZAWA.

Nakładem „Biesiady Literackiej“.

1904.

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 29 Октября 1904 года



ROZDZIAŁ I.

Świat oddawna miewał swoich bogaczy, a nierówności położenia społecznego nie są wytworem cywilizacyi społecznej: historia wymienia np. Krezusa i Salomona, którzy uchodzili za posiadaczy nieprzebranych skarbów. W XVIII-tym wieku istniało też wielu magnatów, którzy rozporządzali ogromnemi fortunami, marnotrawiąc je na zbytki.

Wszystko to jednakże wydaje się niczem wobec miliarderów amerykańskich, ugrupowanych pod zbiorową nazwą *czterystu*.

Jest ich istotnie około czterystu, którzy uskładali miliony na milionach, nie troszcząc się, jakim kosztem łez i cierpień ludzkich. Dziś jest im już za ciasno w Nowym Świecie, gdzie pycha ich zawadza sobie wzajemnie; przerzucają się więc do Europy, oddając córki swoje w zamęcie zrujnowanym magnatom, i nie dziwią się nawet bardzo, jeżeli niekiedy książęta krwi szukają z nimi zwią-

zku. Odtąd zaczęli oni odgrywać pierwszorzędną rolę w ekonomii społecznej starego świata, gdzie ich złoto zakasowało mozolnie gromadzone kapitały przemysłowców i spekulantów, zagarniając monopol rynków europejskich.

Z powodu uroczystości zaślubin mis Katarzyny Duer z panem Clarence Makay większa część bogaczy została zaproszoną na wspaniałe przyjęcie u ojca panny młodej. Niektóre jednak spowinowaczone, a równie bogate, rody zostały wyłączone z tego *very select* zebrania, a to na mocy swego *parweniustwa*.

Wyrażenie to dziwnie brzmi w kraju dorobku, jakim jest Ameryka; a jednak *dorobkiewiczze* traktowani tam są z lekceważeniem większem jeszcze niż w Europie i salony sfer wyborowych są przed nimi zamknięte.

I tak panie Livingstone i Van Raessler, które nie otrzymały zaproszenia na ślub krewnej swej panny Duer, przed dwudziestu laty wahały się skompromitować, idąc na bal Vanderbiltów. A jednak nie był to zwyczajny bal, gdyż kosztował 250,000 dolarów. Inaugurował on nową erę, gdyż do tej pory żaden z milionerów nie miał dość paradnego mieszkania, aby mógł dawać wielkie przyjęcia u siebie. Wynajmowano więc na duże zebrania salę u Delmonika, albo w Akademii muzycznej.

Pani Vanderbilt pierwsza namówiła swego męża do zbudowania pałacu na Fifth Avenue. Od-

tąd wszyscy bogacze poszli za ich przykładem, przesadzając się w zbytkach i wystawności. Uczta weselna panny Consueli Vanderbilt z księciem Marlborough kosztowała 250,000 franków. Bal, wydany przez Bradley Martinów, zakasował zupełnie ten mniemany przepych. Kosztował bowiem *pół trzecia miliona* franków.

Stopniowe wyniesienie się milionerów przechodziło różne etapy. Początkowo musieli oni zwalczać uprzedzenia starych rodów amerykańskich, znanych pod nazwą *Knickerbocker'ów*. Zaprowadzając w New-Yorku wystawny tryb życia arystokracji angielskiej, zarzucano Knickerbockerom zacofanie i prowincjonalizm, i stopniowo wyrugowano ich z towarzystwa. Patryarchalne obyczaje ustąpiły miejsca zbytkom i rozrzutności przechodzącej nieraz wszelką miarę.

Ażeby do reszty zgłębić swoich przeciwników, milionerzy postanowili nobilitować się, wszakże nie na sposób europejskich dorobkiewiczów kupujących tytuł hrabiego rzymskiego, lub barona, ale wywodząc się od prawdziwej arystokracji, albo stwarzając ją na własną rękę. Na gruncie demokratycznej Ameryki powstał cały zastęp heraldyków, gotów zaspokoić najwybredniejsze wymagania swoich klientów. Księgarnia Munsella sprzedaje tylko książki dotyczące genealogii. Arystokracja amerykańska została stworzoną.

Ale cóż myśleć o arystokracji powstałej od wczoraj? Czyż będzie ona czekała wieki całe, aby zdobyć tę tarczę, którą w starej Europie chlubią

się potomkowie Krzyżowców? Amerykanie są ludźmi żywego temperamentu i nie lubią tracić czasu. Mniemają, że dolary, zdobyte ich pracą i sprytem, dają im prawo do szlachectwa. Nie pytają o cenę, byle ich obsłużono według życzeń; a że przyznają pergaminom wartość kupiecką, mającą popyt na targowisku próżności, więc nie chcą zaopatrywać się w nie w Europie, jak nie myślą sprowadzać stamtąd stali, bawełny, ani cylindrów.

Ustanowili więc trzy kategorie szlachectwa, konsygnowane w następujących dziełach:

1) *American Ancestry*, obejmujący spis rodzin osiadłych w Ameryce przed ogłoszeniem niezależności w 1776 r.

2) *American Heraldica*, w którym, wraz z swymi herbami i tarczami, mieszczą się rodziny naturalizowane w kraju przed 1800 r.

3) *American of royal descent*, której członkowie kompensują swoje późniejsze osiedlenie się w Nowym Świecie, wywodząc się od panujących rodów.

Pomimo wszystkiego, ta ostatnia kategoria cieszy się największym powodzeniem pomiędzy klientelą. Genialny pomysł tego rodzaju nobilitacji powstał w głowie niejakiego Browninga, który tytułuje się członkiem Stowarzyszenia historycznego w Ameryce. Opublikował on cały szereg nazwisk czysto fantastycznych i wygrzebał z pyłu wieków z górą dwieście prawnych małżeństw, wywodzących się od szczepów królewskich. I tak: mi-

liardera Jakóba Astora wyprowadził od Henryka IV-go króla Anglii; Bilddlerów wywiódł z czasów poprzedzających jeszcze zdobycie Normandii; Cadwaladerów zaś od Roberta II szkockiego, a Montgomerych od hrabiów Eglington.

Ale na jakichże pergaminach i dokumentach opierają się te dyplomy szlacheckie? Heraldyk de Vermont wyznaje dobrodusznie, iż w poszukiwaniach swoich posługiwał się przeważnie archiwami powoźnika Gore, który żył w początku XVIII-go wieku i zbierał skrzętnie herby swoich klientów porządkując je w jednej wielkiej księdze, zwanej *Gore Roll of arms*. To są więc oryginalne archiwa, z których po dzień wywodzi się arystokracja amerykańska.

Zwrot ten ku przeszłości nie przeszkadza milionerom korzystać z przywilejów i dogodności czasów społecznych. I tak: stara szlachta europejska nie знаła rozwodów. Potenciści zaś dzisiejsi nie chcą abdykować z prawa próbowania kilkakrotnie szczęścia małżeńskiego, jeżeli im się pierwsza próba nie powiodła.

Nadużywają nawet niejednokrotnie tego przywileju, a że milioner z małemi wyjątkami może się żenić tylko z milionerką, więc z tych *chassez-croisés* wynikają nieraz wśród *czteryestu* dziwne komplikacje rodzinne.

Wybrzeże morskie w Newport, ulubione miejsce pobytu amerykańskiego *high-life'u*, bywa niekiedy widownią ciekawych spotkań. Zachodzi nie-

raz obawa jakiejś pomyłki, bo roztargnieni mężowie mogą z łatwością ofiarować ramię swoje żonie z dnia poprzedniego, zamiast tej, którą mają poślubić nazajutrz; zwłaszcza, że rozwody wynikają często z prostego kaprysu lub nieporozumienia, a sięją niechęć i zawiść w całych klasach rodzinnych. Tragiczne dzieje Montecchich i Capulettich ponawiają się we wszystkich wiekach i wszystkich krajach, a nienawiści rodowe, powstałe na gruncie spółzawodnictwa spekulacyjnego, komplikują się tu nieraz miłością. Dzieci niezawsze biorą udział w zatargach rodziców i kochają się mimo zakazu, wykazując dowodami, że jest na świecie coś potężniejszego jeszcze od pieniędzy, a tem jest *miłość*.

Dzienniki europejskie rozpisywały się w swoim czasie obszernie o małżeństwie Alfreda Vanderbilt'a z miss Gracyą Wilson, jedną z najśłynniejszych piękności ze świata miliardów, ale należącą do klonu wrogiego Vanderbiltoom. Korneliusz Vanderbilt, król kolei żelaznych, nie chciał słyszeć o takim związku dla swego najstarszego syna i zagroził mu wydziedziczeniem. Oddajmy słuszną młodzieńcowi, że się nie zawahał ani chwili pomiędzy wybraną swego serca a dolarami nieubłaganego ojca. Opuścił niezwłocznie pałac na Fifts Avenue i zaczął sam pracować na żonę. Ojciec panny młodej, nie chcąc ustąpić w pysze staremu Vanderbiltowi, wyrzekł się również córki. Młode małżeństwo pozostało bez szelaga, ale Alfred postanowił dowieść świata, że syn milionera potrafi być człowiekiem, i zaciągnął się do kompanii kolei

żelaznych *New York Central*. Przez całe dwa lata widziano go w bluzie zwykłego mechanika, naprawiającego lokomotywy. Co sobota urzędnicy i robotnicy przyglądali mu się ciekawie, kiedy przechodził do kasy po wypłatę tygodniowego zarobku, z którym powracał do nader skromnego mieszkania, jakie zajmował w dzielnicy robotniczej. Nigdy skarga nie powstała na jego ustach, nigdy nie uczynił żadnego kroku, aby się wkupić napowrót w łaski ojca.

Odwaga ta i wytrwałość zostały w końcu wynagrodzone. Kiedy stary Vanderbilt przekonał się, że nie weźmie syna głodem, otworzył mu szeroko ramiona. Młodzieniec, który nie wahał się poświęcić jedną z największych fortun na świecie, dziś wrócił w posiadanie jej, a pogodzenie się jego z ojcem obchodzone było bardzo uroczyście w całym świecie milionerów.

Podobny przypadek przytrafił się w rodzinie Gouldów. Jan Gould zawarował był testamentem, że, jeśliby które z jego dzieci zawarło związek małżeński, uważany za naganny przez resztę rodziny, utraci przez to samo prawo do swjej schedy. Otóż syn jego, Howard Gould, zakochał się w miss Viole Dyan, woltyżerce z cyrku Buffalo Bill, osobie starszej od siebie, ale niepospolicie pięknej. Rodzeństwo zaprotestowało przeciw małżeństwu, lecz młodzieniec, pomijając zakaz, ożenił się, narażając na stratę 25-ciu milionów, sprawę zaś spadkową oddał do rozpoznania sądowi. Przy tej sposobności zabawiono się w następujące obliczenie. Pani Ho-

ward Gould waży 63 kilo, że zaś kilo złota wyrównywa wartości 3,300 franków, a mąż stracił przez nią 25 milionów, zatem przedstawia ona dla niego 125 razy większą wartość od wagi swojej, obliczonej na złoto. Nie każda żona mogłaby powiedzieć to samo o sobie.

Jak widzimy, małżeństwa w Ameryce, zawiązują się w świecie bogaczy w dość oryginalny sposób, ale też rozwiązują się nieraz bardzo szybko. Wszystko w Nowym Świecie postępuje krokami olbrzyma, depcącego przeszkody po drodze. I tak: niejaki Willie Skinner z Bostonu, wniósłszy skargę na żonę, że opuściła potajemnie dom i porobiwszy wszystkie przygotowawcze kroki do rozvodu przez swego adwokata, o 10-tej z rana, przedstawił sędziemu w Dakota fakta, obwiniające podśadną. O tejże samej godzinie niewierna małżonka, zamieszkująca w New - Yorku, składała zeznania swoje przed miejscowym trybunałem, który niezwłocznie przetelefonował je do Dakoty. O 2 ej po południu arbiter, wyznaczony przez sędziego, kończył swój raport, a o 3-ej sędzia wydał wyrok rozwodu, który w ten sposób przeprowadzonym został w ciągu kilku godzin.

ROZDZIAŁ II.

Niejednokrotnie już opisywano sposoby, jakimi gromadzą się w Ameryce olbrzymie fortuny, a królowie bawełniani i stalowi dosięgają szczytów bogactw.

Obok tych weteranów milionowych przyjrzyjmy się dwom ostatnim dorobkiewiczom: Dżem-sowi Hill, budowniczemu kolei, i Clarkowi z Butte, w stanie Montona, dla którego budują obecnie na rogu Fifth Avenue i 77-ej ulicy pałac, wartości pięć milionów franków.

Dżems Hill jest synem małego dzierżawcy z Kanady i sam sobie zawdzięcza swoje wyniesienie. Otrzymał staranne wykształcenie, a rodzina przeznacziała go do stanu duchownego. Po dziesięciu latach jednakże pobytu w seminaryum presbiteryańskim oświadczył niespodzianie, iż nie chce być pastorem. Debiutował jako subiekt w sklepie korzennym, poczem udał się do St. Paul, głównej przystani statków parowych na Missisipi, gdzie dostał zajęcie płatne—półtrzecia franka dziennie. Nie zadowalało to jednak jego ambicji. Wstąpił więc jako pomocnik palacza do kompanii statków, gdzie sprytem swoim i pilnością zwrócił na siebie uwagę szefów. Awansowano go na urzędnika, w któ-

rym to charakterze zorganizował, podczas wojny o Secessyę, transport armii i żywności dla wojsk Zjednoczonych. Mianowany naczelnym agentem spółki kolejowej *Saint Paul et Pacifique* — mógł dać pełne pole wybitnym swoim zdolnościom finansowym. Przedewszystkiem więc zainteresował swemi planami bankiera kanadyjskiego, Sir Donalda Smitha, i komodora Normona Kittsona, wspólnym z którym zaczął bez przerwy i wytchnienia budować koleje na niezmierzonych przestrzeniach pomiędzy St. Paul, Manitoba, Mineapolis, aż po sam brzeg Oceanu Spokojnego. Tu trzeba dodać, że Dżems Hill jest także nowatorem. Wprowadził do interesów nowy żywioł: uczciwość kupiecką. Słowo jego jest szczerem jak złoto, a spekulacye oparte na niebywalej dotychczas sumiennosci, co mu nie przeszkodziło zrobić olbrzymiej fortuny.

Dziś mógłby podróżować dniem i nocą przez 15 dni z szybkością 50-iu mil na godzinę, nie schodząc z toru żelaznego, który sam zbudował i nad którym ma główny zarząd i kierunek. Dochody jego stałe wynoszą 30,000 franków dziennie, nie licząc w to korzyści przemysłowych. Daje pracę trzydziestu tysiącom ludzi, których roczna płaca wynosi 75 milionów. Posiada 1,500 parowozów, 4,000 wagonów osobowych i 80,000 wagonów towarowych. Jest, wraz ze swymi współnikami, właścicielem kapitału obrotowego, wynoszącego 4 i pół miliarda franków.

Jednocześnie parowe statki jego przepływają Ocean Spokojny, od Scattle aż do portów chińskich

i japońskich; inne znów przewożą pasażerów i towary na wielkich przestrzeniach jezior, pomiędzy Buffalo a Dulutto.

Miliarder ten ma wybredne upodobania i potrzeby umysłowe. Pałac jego odznacza się nie tylko przepychem, ale i wyrafinowanym smakiem. Edukacya bowiem pierwotna, jaką otrzymał, zrobiła zeń człowieka zgoła niepodobnego do innych dorobkiewiczów, którzy przeważnie nie otrzymali żadnego wykształcenia. Dżems Hill ma bardzo wyrobiony smak artystyczny i prawdziwe zamiłowanie piękna, to też jego galerya obrazów stała się sławną. Zebrał w niej arcydzieła samych mistrzów jak: Corot, Millet, Delacroix, Diaz, Puvis de Chavanne i wielu innych.

Miliony, które na to wydał, nie poszły na marne i wzbogaciły niejednego artystę.

Pan Clarke jest odmiennym typem *Self made man'a* — człowieka, który samemu sobie wszystko zawdzięcza. Urodzony w Pensylwanii w r. 1839, otrzymał dość staranne wykształcenie i studyował nawet inżynierię w miejscowej akademii. W 1875 roku, kiedy gorączka złota pchnęła całe wychodźstwo w stronę Kalifornii, zapalał wraz z innymi chęcią dorobienia się majątku; ale zaledwie trzy lata później mógł, zebrawszy trochę grosza, puścić się w drogę wraz z dwoma braćmi. W Georgetown rozchorował się, i tam poznał tę, która miała zostać jego żoną i wierną towarzyszką przygód i niebezpieczeństw. Wróciwszy do zdrowia, musiał pomyśleć o środkach do życia. Został więc na czas

jakiś nauczycielem w szkółce wojskowej i w następnym roku dopiero wyruszył do Colorado.

Tu pracując kolejno jako skromny dzierżawca, górnik i drobny przemysławiec, zebrał mozolnie pięć tysięcy dolarów, za które zakupił zapasów żywności, odzienia, narzędzia pracy, kartofli i maki; przetransportował je przez góry do placówek Madisona, w stanie Montana. W krótkim stosunkowo czasie wydobyto z tych placówek za 300 milionów złota, a Clarke, sprzedając zapasy swoje za bardzo wysoką cenę, dorobił się odrazu okazałej fortuny. Jego kartofle, podzielone na paczki funtowe, sprzedawano po dwa i pół franka, tytoń po 30 frank., mąkę po 7 i pół, a jaja po 5 franków sztuka. Była to próbka cen, które później ustaliły się w Klondyke. Zachęcony tym rezultatem, Clarke przedsięwziął nowe wyprawy w celu dostawy produktów spożywczych. Otworzył składy w Virginia City i Deer Lodge i jał się wzbogacać ze zdumiewającą szybkością.

Tu w życiu jego zaszedł nadzwyczajny wypadek.

Clarke kupił był w Butte kopalnię złota i srebra za dość wygórowaną cenę; ale eksploatacja okazała się tak kosztowną, że nie opłacała wydatków. Nie było można doszukać śladów złota, a żyły srebra były bardzo nikłe; że zaś ludzie od których nabył ten interes, wynieśli się szybko z kraju, Clarke wniósł z tego, że został oszukany. Pewnego dnia jednakże, w magazynie jego zjawia się stary górnik z zapytaniem:

— Czy to prawda, że to do pana należy ta jama, którą nazywają „Clarks Colura?“

— A tak—odpowiada Clarke.

— Czemuż ją pan nie eksploatujesz? Byłem na miejscu, zastałem wszystko zasypane ziemią. Przecież to wielka kopalnia.

— Mój pocziwce, widzę, że chcesz sobie drwić ze mnie. Wiedz zatem, że zostałem poprostu haniebnie okradzionym, bo zapłaciłem drogo za ten nieużytek, a niema tam ani uncyi srebra, ani złota.

— Srebra, ani złota... nie... bo to przecież jest kopalnia miedzi, która wydaje 15%.

Z tego kawałka ziemi, mającego zaledwie 175 stóp długości na 95 szerokości, Clarke wydobył w ciągu dwóch lat trzydzieści milionów funtów miedzi. Kopalnia funkcjonuje dotąd i jest jedną z najwydajniejszych w świecie. Dawni właściciele nigdy nie dali znaku życia. Ta jedna spekulacja przyniosła Clarkowi 35 milionów, a kopalnia dziś jeszcze przedstawia wartość pięćdziesięciu milionów. Ale to jest drobnostka wobec ogromu fortuny dawnego nauczyciela wiejskiego. Jego kopalnie miedzi w Arizona są o wiele więcej warte, a dom bankowy, jaki założył w Butte, daje mu bajeczne dochody. Co się tyczy miedzi, wytapia on ją sam z rud, wysyła sztabami do New-Jersey i przerabia na druty przewodnikowe dla elektryczności.

Obecnie Clarke osiedlił się w New-Yorku. Wystawił żonie swojej, zmarłej przed kilku laty, po-

mnik na cmentarzu, który kosztował ośm kroć sto tysięcy franków. Stał też z Gouldem do licytacji słynnego obrazu, pędzla Fortemy'ego: „Wybór modelu“, i kupił go za 210,000 franków. „Szef baronów srebrnych,“ jak go nazywają, wydał córkę swoją za doktora Evereta, młodzi małżonkowie zamieszkują przy ojcu, prowadząc dom otwarty. Pałac, który Clarke sobie buduje, będzie wspinałym gmachem w stylu Ludwika XIV. Bogacz przeznacza półtrzecia miliona na udekorowanie wewnętrzne i umeblowanie; sam plac i budowa pochłonęły już więcej niż pięć milionów.

Wraz z wzrostem fortuny uczucia solidarności rodzinnej zdają się wygasać w Nowym Świecie. Jeżeli wszyscy słyszeli o Vanderbiltach, mało kto wie, że ci miliarderzy mają w Ameryce ubogich krewnych, utrzymujących się z pracy rąk. Jerzy Vanderbilt ma w małej wiosce w New-Jersey kuzyna, który jest rybakiem i stolarzem, a podobnym jest do niego jak dwie krople wody. Żyje z zarobku swego wraz z żoną i dziećmi, nie żebząc nigdy pomocy u bogatych krewnych z Fifth Avenue.

O dwie godziny drogi od skalistych wzgórz Rockaway wznosi się nad jeziorem mała osada, złożona z czterech domków, otulonych w zieleń sadów.

— Tu mieszka Will Vanderbilt, z siostrą swoją, Lizzie—objaśnia nas woźnica.

W chwili, kiedy ją spostrzegam, Lizzie Vanderbilt, wdowa lat już dojrzałych, zajęta jest roz-

pędzaniem fartuchem stada kur, które wtargnęły do niskiej salki. Twarz jej uprzejma i uśmiechnięta, okolona siwymi włosami, jaśniej pogodą i zdrowiem. A jednak zaznała ona nieszczęścia w życiu. Mąż opuścił ją niegdyś, aby uciec w świat z jedną z jej przyjaciółek. Po dwunastu latach wrócił skruszony, błagając przebaczenia. Ale znieważona małżonka pozostała nieubłaganą i, kiedy niewierny umarł, nie okazała żadnego żalu. Córkę wydała za dwóch uczciwych robotników i nie żądała niczego więcej od życia. Przez pogardę dla męża wróciła do panieńskiego swego nazwiska, które odtąd nosi.

— Mój ojciec, Jan Vanderbilt, i komodori byli braćmi stryjecznymi i przyjaciółmi — objaśnia nas gospodyni.—Dziećmi bawili się razem i, podrastając, nigdy nie tracili się z oczu. Kiedy ojciec chodził odwiedzić komodora w jego biurach, był zawsze pewny serdecznego przyjęcia. Starość jedynie położyła koniec tym stosunkom, a kiedy komodor umarł, ojciec mój głęboko odczuł śmierć jego. Dowiedzieliśmy się z gazet, że nieboszczyk pamiętał w testamencie o swoich krewnych z New Jersey. Ojciec był zbyt wiekowym, aby jechać sam po swoją schedę; towarzyszyłam mu więc w podróży do New-Yorku.

W. H. Vanderbilt udzielił nam kilkuminutowego posłuchania, ale że ojciec mój był dumny i nie podobało mu się czekać w przedpokoju swego synowca, więc nie powrócił więcej do niego.

Siostrzeniec Willa i Lizzie Vanderbilt mieszka

w sąsiednim domku. Jest on również rybakiem i stolarzem i sam sprzedaje połów swój na ulicach Rockaway. Ma on małego, tęgiego synka, który nie ustępuje w urodzie młodemu dziedzicowi fortuny Vanderbiltów, synowi księcia Malborough i żony jego Konsueli Vanderbilt.

Córka Lizzie służyła w domu Dolonsów, kiedy syn domu, dzierżawca małej fermy sąsiedniej, pojął ją za żonę. Wszyscy ci Vanderbiltowie pracują na chleb i bynajmniej nie zdają się zazdrościć królom kolejowym, tak blisko z nimi spokrewnionym. Trzeba przyznać, że i tamci trzymają się zdala od ubogiej rodziny, bo miliony rzadko kiedy wpływają u ich posiadaczy na rozwinięcie uczuć względem tych, którzy nic nie mają.

ROZDZIAŁ III.

Milionerzy amerykańscy, jakkolwiek odgraniczeni swoim stanowiskiem od szarego tłumu zwykłych śmiertelników, niemniej zachowują niejaką styczność z ludzkością. Muszą oni się liczyć z wymaganiem życia ekonomicznego i przemysłowego, które rozwija się dokoła nich, z rywalizacją na polu spekulacji giełdowych, i z tłumem, którego pracę chcą spożytkować, a niejednokrotnie wyży-

skać na swą korzyść. Spotyka się ich w biurach Kompanii na posiedzeniach, którym przewodniczą, w korytarzach pałacu prezydenta i w parlamencie, w trybunale i gmachu sądowym. Słowem, po za obrębem swoich pałaców i letnich rezydencji, żyją jeszcze chwilami powszedniem życiem.

Inaczej ma się rzecz z ich córkami i żonami. Te nie dźwigają na sobie ciężaru interesów. Jedynem ich zadaniem jest marnotrawić w jaknajbardziej ekscentryczny sposób miliony, zebrane mierznie przez ojców i mężów. Nie łączą się z ludźmi, którzy im nie dorównują fortuną; żyją w zupełnie zamkniętym świecie, po za obrębem którego nic je nie obchodzi. Dobrowolnie zasklepiają się w swojej kaście, tak szczelnie jak kobiety indyjskie odgraniczone od świata przepisami swoich obyczajów i religii, i nie wiedzą nic o sprawach życia, które wre dokoła. Ten rodzaj egzystencji wytwarza w nich specjalny ustrój umysłowy, którego się gdzieindziej nie spotyka.

Ażebym zapoznać się z kobietą w tym rajach milionów, zobaczmy najpierw, czym jest ona jako panna w domu rodziców. Badanie bowiem poczwarki jest nieodzownem dla tego, kto chce sobie zdać sprawę ze stopniowego rozwoju motyla.

Wykształcenie, jakie pobierają młode dziewczęta, ma wyłącznie na celu przysposobienie ich do życia na szerokiej arenie światowej bądź w Ameryce, bądź w Europie. Kształcą też one umysł swój o tyle, aby się nie wyrwać z jakim niedorzecznem zdaniem, jeżeli jest mowa o literaturze lub

sztuce. Uczą się muzyki, malarstwa; uczą się wchodzić do salonu, klaniać, siadać z gracyą, a przede wszystkim tańczyć, bo taniec w Ameryce wysoko jest ceniony.

Miss Ruta Twombly, jedna z młodych milionerek, na które są zwrócone oczy całego świata amerykańskiego, od czternastego roku życia przyzwyczajoną jest żyć w kole swoich rówieśniczek. Apartament jej składa się z salonu, sali muzycznej, z gabinetu, w którym pobiera lekye, buduaru, sypialni i łazienki. Do tego apartamentu żaden mężczyzna, z wyjątkiem lekarza domowego, nie ma przystępu. Nawet służbie męskiej nie wolno przekraczać jego progów.

Z wspaniałego przedpokoju wchodzi się do salonu, przylegającego do sali muzycznej, w pośrodku której stoi fortepian koncertowy, udrapowany jasną, aksamitową makatą o delikatnych barwach, harmonizujących z materją obicia. Wzdłuż ścian ustawiono rzeźbione półki, zawierające niezliczoną ilość nut i lekkich, operetkowych partycyj. W gabinecie, za oszklonemi szybami biblioteki, widnieją dzieła literatury panińskiej, w przepysznej oprawie. W pośrodku stoi stół do pracy i olbrzymi globus. Ale najwspanialej i najzbytówniej urządzony jest buduar, w którym młodzianka dziedzeczka spędza większą część dnia, przyjmuje swoje przyjaciółki i niekiedy każe sobie podawać *lunch*, aby uniknąć uroczystego, etykietalnego ceremoniału przy spólnym stole.

Obok wysłanego puchem i aksamitem gniazdką,

zamienionego na pokój sypialny, znajduje się marmurowa łazienka i ubieralnia, wypełniona tysiącem drobnych przyborów toaletowych, służących do podniesienia piękności kobiecej. Jest to istny arsenał broni, którą lalka światowa walczyć ma i zdobywać palmę pierwszeństwa na arenie próżności.

Miss Ruth Twombly ma dwie panny służące, które ciągle są zajęte jej osobą. Jedna czesze ją, ubiera i przebiera niezliczoną ilość razy dziennie, przytem obowiązana jest towarzyszyć młodej swojej pani do domów, dokąd zapraszana bywa na obiady, aby być zawsze gotową poprawić jakiś fałd sukni lub rozfryzowany pukiel włosów, i załatwiać każde jej zlecenie. Podczas sezonu zabaw, biedna dziewczyna rzadko kiedy idzie spać przed czwartą zrana, a musi wstawać bardzo wcześnie, aby się stawić zaraz na rozkazy panienki, gdy tylko zatętni srebrny dzwoneczek.

Druga panna służąca ma dozór nad garderobą i jej zadaniem jest trzymać zawsze w pogotowiu rękawiczki, buciki, kapelusze i szarfy, zastosowane do każdej toalety spacerowej czy wizytowej. Nie potrzebuje tylko trudzić się naprawą i cerowaniem, bo miss Ruth Twombly, ani żadna z szanujących się młodych dziedziczek amerykańskich nie wkłada dwa razy na siebie sukni balowej. Nie jest to rzeczą łatwą utrzymać w porządku garderobę, na którą wydaje się rocznie od 75-ciu do stu tysięcy franków.

Służba miss Twombly, oprócz dwóch wzmian-

kowanych powyżej pokojowych, składa się jeszcze z trzeciej, podrzędnej, która porządkuje apartament, i z trzech mężczyzn: stangreta, kamerdynera i grooma, który eskortuje ją, kiedy wyjeżdża konno, i roznosi listy jej według adresów.

Co rano groom zgłasza się po rozkazy. Kamerdyner, stojący zawsze na usługach w przedpokoju, zawiadamia o tem pierwszą pannę służącą, która idzie uprzedzić swoją panią. Ta przegląda swój notatnik z zaproszeniami, wypisuje cały program dnia i posyła go do matki do aprobaty. Złatwiwszy tę czczą formalność, wydaje rozkazy służbie.

Rano zazwyczaj powozi swoim *dukiem*, zaprzężonym w parę koni rasowych, albo też odbywa przejażdżkę konną, eskortowana tylko przez swego grooma. Rzadko odbywa spacer pieszy z matką. Jeżeli zaproszona jest na *lunch*, to powóz musi być w pogotowiu. Na wieczór ma specjalny powóz, urządzony w ten sposób, aby toaleta jej nie pomieła się.

Nie dziw, że młode dziewczęta, wychowane w ten sposób, wychodzą na lalki salonowe, i że serce ich i umysł nie rozwijają się odpowiednio do stanowiska, jakie mają zająć w świecie. Bywają wprawdzie wyjątki, o których pomówimy poniżej — ale bardzo rzadkie. Próżność, nieuctwo, niepomierna pycha i oschłość serca, są powszechnym wynikiem takiego wychowania. Niezdolne do przyłożenia rąk do jakiegokolwiek użytecznej pracy, nie mające pojęcia o zarządzie domu, nie ro-

zumiejące zgoła zadania kobiety w rodzinie i społeczeństwie, pozbawione najelementarniejszych zasad wiedzy, mają one jeden cel tylko i pragnienie: wzbudzić podziw i zazdrość w swoich towarzyszach jakimś strojem, klejnotem, wierzchołkiem, lub meblem bajecznie kosztownym. Gdy zaś próżność ich zostaje zaspokojoną, przedmiot traci dla nich całą swoją wartość.

Podobne zapatrywanie się spacza warunki ekonomiczne życia. Przedmioty tracą wartość swoją rzeczywistą, o której stanowi tylko kaprys chwilowy. Ten lub ów towar, uznany za modny przez wyrocznice z Fifth Avenue, podnosi się raptownie w cenie z dnia na dzień, aby spaść niżej ceny kosztu, skoro tylko kaprys mody przeminie.

Te i tym podobne błądy zajęcia najgorzej oddziaływają na umysł młodych milionerek. Nie mają one czasu wyrobić w sobie poczucia piękna, ani zamiłowania do sztuki. Rzadko też idą one na koncert, albo na przedstawienie w teatrze, aby zakosztować podniosłych wrażeń; głównie chodzi im o to, czy ceny miejsc są dość wygórowane, aby zaświadczyć o ich zamożności i czy stroje ich zakasują toalety innych elegantek.

Rozkosze miłosierdzia są im zgoła nieznane. Żadnej z nich nie postanie w głowie nieść osobiście pomoc jakiemuś nędzarzowi; co najwyżej, posła jakąś ofiarę, którą dzienniki zamieszczą na liście składek. Nie dziw, że stopniowo najsubtelniejsze uczucia kobiece zacierają się w ich duszy.

Młoda dziewczyna, zaręczona wybranemu swego serca, porzuca go bez wahania, jeżeli oświadczy się o nią ktoś bogatszy. Dowodem tego dwaj synowie słynnego budowniczego *Palace carów*, Pullmana, którzy byli po słowie z dwiema ślicznymi pannami z New-Yorku. Wszyscy podziwiali miłość obu zakochanych par, które zdawały się stworzone dla siebie. Naraz stary Pullman umiera, zapisując synom tylko po 15 tysięcy rocznej renty. Obie narzeczone niezwłocznie cofnęły swoje słowo, gotowe zwrócić je w razie, gdyby testament został unieważnionym.

Jeżeli zamilowanie do bogactw jest tak zakorzenione w sercu młodych dziewcząt, to jakież ono rozmiary przybierać musi z latami, kiedy ambicya i sknerstwo bierze górę nad uczuciem? Mammy tego przykład w osobie pani Hetty Green, najbogatszej kobiety z całych Stanów Zjednoczonych. Ta nie jest bynajmniej lalką, jak inne. Jest to, przeciwnie, umysł nadzwyczaj bystry i uzdolniony, którego wszystkie władze skoncentrowały się w jednym kierunku. Posiadaczka pięciuset milionów mieszka w Brooklynie, w wynajętym od jakiejś rodziny umeblowanym pokoju, za który płaci 35 franków tygodniowo, a to dlatego, aby nie płacić podatku od mieszkania. Istotnie, dzięki olbrzymiej swojej fortunie, mistress Hetty Green unika taksy, której podlegają nawet najubożsi mieszkańcy. Nieruchomości znaczne, jakie posiada, oszacowane zostały bardzo wysoko; pomimo to nie płaci od nich podatku; uprzedziła bowiem

pięć wielkich banków w Chicago, w których złożone są jej kapitały, że wycofa je z chwilą, gdyby poborca śmiał się u niej zjawić. Banki ze swej strony pośpieszyły zawiadomić municypalność, że gdyby im cofnięto depozyty ekscentrycznej milionerki, musiałyby zaprzestać robienia wszelkich obrotów finansowych. Wobec podobnie groźnej ewentualności poborca musiał ustąpić ze swemi pretensjami.

Uzbrojona w potęgę milionów kobieta umiała postawić się wyżej od prawa. Ale smutniejsze to, że ponieważ municypalność potrzebuje pieniędzy na wydatki miejskie, musiano rozłożyć na wszystkich mieszkańców Chicago podatki, których nie chce opłacać pani Green.

Tymczasem właścicielka jednej z największych fortun na kuli ziemskiej codziennie pieszo przechodzi przez most w Brooklynie, ażeby sobie zaoszczędzić trzech pensów na tramwaj.

Jeżeli milionerki nie są brudno skąpe, jak mistress Hetty Green, albo szalenie marnotrawne, jak przeważna większość Amerykanek, to przerzucają się one w snobizm, posuwając go do ostatecznych granic, jak niejaka mistress Gardner z Bostonu. Ta, przez chęć odróżnienia się od innych, zajmuje się wszystkim. Uczęszcza pilnie na popisy bokserów, zachwyca się muskułami atletów, płaci tysiącami dolarów artystom za odegranie jednej sonaty, proteguje żonglerów chińskich, a nawet modnych powieściopisarzy, jak Bourget, zniewała do pisania we wspianiałej swojej wiejskiej

rezydencji Beverley Farms, znanego utworu „Ostre mer.“

Skąpa, marnotrawna, czy ekscentryczna milionerka amerykańska jest przede wszystkim egoistką. Dbą ona tylko o siebie, a samolubstwa tego dowodzi na rozmaite sposoby. Wychowana po za obrębem ludzkości, nie wie ona i nie chce nie wiedzieć o potrzebach, dążnościach i cierpieniach mrowiska ludzkiego, z którym nie ma żadnej styczności. Zniwieściałe wychowanie, jakie otrzymuje od kolebki, stępią w niej w zarodku wszelką energię i odwagę. W tym kraju pracy i zabiegów gorączkowych ona jedna niezdolną jest do pożytecznych wysiłków w kierunku praktycznym. Młoda kobieta lub panienka, która gotowa jest przebyć pieszko Saharę, aby wprawić w zdumienie swoich wielbicieli, która po nocy spędzonej na balu jedzie kilka mil konno, bez wytechnienia, poczytywałaby sobie za niemożliwy wysiłek fizyczny zając się jakąkolwiek robotką ręczną. Za nie w świecie też nie poszłaby odwiedzić nędzarza, nie chcąc drażnić przykrym widokiem nerwów swoich, które podnieca do niemożliwości przedstawieniami w cyrku i emocjami na polu wyścigowym.

Osoba tak uzdolniona na przykład, jak miss Edyta van Buren, mogłaby była oddać wiele usług społeczeństwu, zużywając mniej energii niż jej spotrzebowano na odbycie ekscentrycznej wyprawy do Klondyke. Bardzo bogata, należąca do dobrej rodziny, córka dawnego ambasadora japoń-

skiego, a siostra konsula Stanów Zjednoczonych w Nicei, miss Edyta nie miała dotychczas innych praw do podziwu świata, jak podobieństwo, jakim się odznaczała, do Maryi Stuart; pierwszą nagrodę, otrzymaną za dekorację powozu, podczas święta kwiatów w Nicei, oraz względy, jakimi ją otaczał król Leopold belgijski w Aix-les-Bains. Pewnego razu, podróżując po Kalifornii z przyjaciółką swoją, mistress Hitchcock, powzięła nagle zamiar zwiedzenia kopalni złota w Klondyke. Natychmiast zabrano się do przygotowań do podróży, kupiono namiot, konserwy, hamaki, pościel i pewnego pięknego poranku obie podróżne wylądowały w Dawson-City.

Ale tu były mocno zakłopotane, co z sobą począć. Nie mając pojęcia o warunkach życia praktycznego, nie umiały ani rozpiąć namiotu, ani ugotować sobie posiłku, ani nawet otworzyć puszek z konserwami. Umawiają więc sobie przewodnika, który je przeprowadzi przez rzekę i doprowadzi szczęśliwie do Tent-town. Dzięki niemu, jedzą, piją, mają gdzie się przespać; ale gdy tylko przewodnik oddala się, narażone są na śmierć głodową. Jediną zasługę, jaką pokładają, jest zaprowadzenie nabożeństwa niedzielnego w swoim namiocie, z pomocą jakiegoś duchownego, napotkanego po drodze. Udział ich w tem dziele religijnem polega na sprowadzeniu przez nie arystonu, który gra psalmy.

Zwiedzanie placówek nie byłoby się lepiej powiodło, gdyby właściciele kopalni, panowie

Smith i Mac Donald, nie byli im przyszli z pomocą. Oni to uplanowali całą podróż, dostarczyli koni, które im się nie przydały na wiele, gdyż nie były przyzwyczajone do siodła, przygotowali schroniska dla podróżnych na każdym popasie, i nareszcie doprowadzili je do kopalni. Tam obie bezczynne kobiety mogły przyjrzeć się zblizka pracy ludzkiej, z której powstawały marnotrawione przez nie miliony. Ujrzały poszukiwaczy złota, bordzących po kolana w gęstem błocie lub złodowaciałej wodzie, wyławiając zeń mozolnie okruchy cennego kruszcu, a jeden z robotników ofiarował milionowej dziedzicze samorodek złota z życzeniem, aby jej przyniósł szczęście.

Z tą jedyną zdobyczą podróżne wróciły do Nowego Jorku, dumne nad wyraz ze swego bezużytecznego bohaterstwa, przyrzekając sobie w duchu, że się na drugi raz nie złapią na nic podobnego.

Oto jedna z najsmutniejszych stron życia, jakie prowadzą te królowe bogactw. Bezcelowa próżność ich bytu, pozbawionego podstaw realnych, staje się niebezpieczeństwem społecznym, demoralizując całą kastę i naród. Lalki te automatyczne złym przykładem, jaki dają, rozsiewają dokoła siebie zarodki złego, tamujące intelektualną emancypację kobiety amerykańskiej.

ROZDZIAŁ IV.

Niema jednakże prawidła bez wyjątku. Niekiedy nieszablonowa jakaś kobieca natura opiera się skutkom zniewieściałego wychowania i rozwija się w dodatnim kierunku, jak na przykład miss Helena Gould, córka słynnego miliardera Jay Goulda. Do 30 roku życia nie wyszła ona za mąż, mimo tłumy starających się, a błahostki próżności, stanowiące treść i cel życia innych panien z jej sfery, nie mają dla niej żadnego powabu. Zakreśliła sobie szersze cele i dążenia w życiu. Jest przede wszystkim gorącą patriotką. Kiedy wybuchła wojna z Hiszpanią, chciała zrazu, za przykładem dwóch swoich przyjaciółek, Adeli Gardener i Małgorzaty Chanler, udać się na plac boju dla pielęgnowania rannych. Że jednak brat jej potrzebował opieki, zamieniła swoje usługi na półmilionowy czek, który przesłała rządowi Stanów Zjednoczonych na cele obrony narodowej. W nagrodę wpisano jej nazwisko do kalendarza Patriotów.

Miss Gould jest nie tylko kobietą serca ale i głowy, czego niejednokrotnie dowiodła, wykazując niepożyta energię i siłę woli. Kiedy ojciec jej umarł, niejaka mistress Angell wystąpiła z pre-

tensyami do spadku, chcąc dowieść, że była prawnie, choć w tajemnicy, poślubioną przez nieboszczyka. Groziła procesem i narobiła tyle hałasu, że dzieci, w obawie rozgłosnego skandalu, chcieli okupić jej milczenie. Miss Helena jedna oparła się temu, nie chcąc pozwolić, aby plama zaciężyła na pamięci jej ojca. Poruszyła więc niebo i ziemię i wykazała dowodnie trybunałom całą bezpodstawność roszczeń awanturnicy. Żywi ona prawdziwą cześć dla swego ojca; to też cierpiała niewymownie, kiedy, po jego śmierci, prasa opublikowała całą seryę artykułów, krytykujących surowo jego działalność. Zrozumiała, że te napaści nie były pozbawione podstaw, to też, choć przed światem zaświadczała zawsze głośno o nieskazitelnej prawości nieboszczyka, skrycie wylewała gorzkie łzy nad nieczystym źródłem tych bogactw, które postanowiła przetopić na złoto jałmużny. Miłosierdzie jej jest nieprzebrane, a dary iście królewskie.

Wyposażyła wspaniale wydział prawny na uniwersytecie w New Yorku i Kolegium Rutgen. Nazwisko jej figuruje na czele każdej składki na cele dobroczynności publicznej. Ufundowała liczne stypendya w zakładach naukowych i przeznaczyła dużą sumę na szkołę inżynierów w New Yorku. Działa ona zawsze z największą dyskrecją. Przypadkowo tylko dowiedziano się, że dar anonimowy 1,250,000 franków, uczyniony w 1895 roku uniwersytetowi, pochodził z jej nigdy niewyczerpanej szczodroblowości.

Miss Gould, która, celem zapoznania się z procedurą prawną, uczęszczała przez rok na kursa prawa, dziś sama administruje swoją olbrzymią fortuną. Rzadko pokazuje się w świecie, nie dlatego, żeby stroniła od towarzystwa, ale dlatego, że nie ma czasu.

Nie dba też wcale o toaletę i, ku zgorszeniu elegantek z Fifth Avenue, znasza swoje przeszłoroczne kapelusze. Nie zaniedbuje się jednakże w ubraniu, ani też nie pozuje na skwaszoną mizantropkę. Jest zamiłowaną cyklistką i odbywa z bratową swoją dalekie kursa rowerem nad brzegiem Hudsonu. Lubi też bardzo grać w „foot-ball“ i przepada za kwiatami.

Ale największą namiętnością jej życia są dzieci. Urządza dla tego drobiazgu wspaniałe zabawy, którym sama zawdzięcza najlepsze chwile swego życia. Znaną też jest w New Yorku wśród całego, małego, dziecięcego światka, który garnie się do niej z miłością i zaufaniem. Pewnego razu spostrzegła ekwipaż, zatrzymany przed swoim domem. Groom, 12-toletni chłopczyzna, który pilnował konia, zarzuciwszy lejce na ramię, z gorączkową ciekawością wytężał wzrok w stronę pałacu, o którym śnać wiedział, że należy do dobroczynnej wróżki, siejącej radości i niespodzianki wśród małych jego rówieśników. Miss Gould z za koronkowej firanki przyglądała mu się z wzruszeniem. Widać było, że szuka jej oczyma. Naraz konie rzuciły się w tył, pociągając za sobą chłop-

ca, który główką uderzył o granitowy, wystający węgiel domu. Miss Gould, schwyciwszy orzeźwiająco sole, poskoczyła na ratunek i utuliła głowę chłopczyzny na kolanach. Ale rana była śmiertelną, i biedne dziecko skonało na jej rękach, uśmiechając się słodko do tej, którą znało z dobrych uczynków.

Miss Gould, jak nadmieniliśmy, lubi namiętnie kwiaty i posiada wspaniałą kolekcję orchidei i tulipanów; na cebulki tulipanowe wydaje w Holandyi bajeczne sumy. Naturalnie, że inne panie z New Yorku poszły w tem za przykładem z tak wysoka, z tą tylko różnicą, że co dla miss Heleny jest rozrywką po poważnej i nieraz uciążliwej pracy, dla nich jest tylko rzeczą mody i spółzawodnictwa. Niektóre z nich jednak nabyły rzeczywistej kompetencji w sprawie kultury fijołków, jak mistress Belmont, a pani Hood Wright wynalazła sposób konserwowania roślin dekoracyjnych oraz wytwarzania wyższego gatunku storczyków.

Rozumie się, że te białe, wypieszczone ręce nie mogą posługiwać się ciężkimi ogrodniczymi narzędziami; to też złotnicy New Yorku spożytkowali zaraz tę nową zachciankę eleganckich swoich klientek i wyrabiają srebrne nożyce do obcinania winogron i także, ozdobne monogramami koneweczki, w cenie 700 do tysiąca franków. Sekatory osadzone są na cyzelowanych rączkach, posiadających nieraz istotną wartość artystyczną.

Obecnie wyrabiają neserki damskie z przyrządami ogrodniczymi, dochodzące ceny kilku tysięcy franków.

Niektóre zbiory roślin są tak cenne, że właścicielki trzymają je zamknięte pod kluczem, jak klejnoty. Pani Belmont obrała sobie za specjalność fijołki, w których zaprowadziła różne odmiany barw i kształtów, a mistress Eglinton odbyła gruntowne kursa botaniki, aby dojść do wiedzy ogrodniczej, w której nie posiada dziś równej sobie.

Ale nad zamięłowaniem do kwiatów góruje u Amerykanek prawdziwa namiętność do klejnotów, importowana do Nowego Świata z Europy. Początkowi dorobkowiec, zajęci robieniem interesów, nie mieli czasu do poświęcenia próżności żon swoich i córek. Ale opisy, podawane przez gazety, podarków ślubnych, ofiarowanych tej lub owej księżnie lub hrabinie, obudziły z tamtej strony Atlantyku zazdrość, a następnie chęć spółzawodnictwa, która przerodziła się w istną gorączkę. Trzydzieści lat temu elegantki z Fifth Avenue dawały się zaćmiewać pierwszej lepszej żonie bogatego przemysłowca francuskiego. Dziś mamy przed oczyma opis naszyjnika, jaki Jerzy Vanderbilt ofiarował narzeczonej swojej w dzień ślubu, a który kosztował niemniej jak 750,000 franków. Składał on się z pięciu olbrzymich rubinów, barwy tak wysoko cenionej krwi gołębiej, połączonych z sobą cieniuchnym, niedostrzeżonym łańcuszkiem, podtrzymującym brylanty niebywałej wielkości. Po-

niżej tego górnego spięcia, opuszczające się w tył żyrandole brylantowe otaczają ośm soliterów, sięgających dokoła blaski tęczowe. Jako szczyt galanteryi, Jerzy Vanderbilt zawinął królewski dar ten w polisę asekuracyjną na pięć milionów, na korzyść swojej żony. Opłata roczna tejże polisy wynosi 175,000 fr.

Klejnoty pani Astor ocenione są na 3,700,000 franków. Posiada ona tak zwany *colier de chien*, cały wysadzany brylantami indyjskimi, oraz drugi naszyjnik, szmaragdowy, wartości 425,000 franków wraz z odpowiednią tyarą i dyademem. Mistress Olivier Belmont jest szczęśliwą właścicielką słynnego naszyjnika Maryi Antoniny, stanowiącego najwspanialszą kolekcję pereł, cenioną na 900,000 franków. Wszystkie elegantki, zazdroszcząc sobie wzajemnie, trwonią bajeczne sumy na rekordy próżności, przynoszące im sławę bogactw, którą chcą zaćmić Europę.

Bezczynność kobiety amerykańskiej weszła w przysłowie. Panny europejskie umarłyby z nudów, gdyby im przyszło pędzić życie tak próżniacze, jak rówieśnice ich z za Oceanu. Młoda panienka nie zajmuje się tam niczem i jeżeli nie pomaga matce w prowadzeniu domu, to dlatego, że ta matka również nie zajmuje się tem wcale.

We wszystkich prawie wielkich domach istnieje bardzo ważna i nieodzowna osobistość, odgrywająca rolę zawiadowcy domu, a zarazem mistrza ceremonii i arbitra elegancyi. Jest to tak zwany *gentleman in waiting*, zazwyczaj zrujnowany jakiś

panek, wyjęty jakby żywcem z romansu Oktawa Feuilleta, który układa *menu* obiadów galowych, obmyśla plan przyjęć, reguluje rachunki dostawców i czasem nawet, gdy tego zachodzi potrzeba, prowadzi kotyliona. On to załatwia wszystkie najdrobniejsze sprawy administracyi domowej, które najleniwsza z kobiet europejskich wstydziłaby się powierzyć obcym rękóm. To też dzień wydaje się nieskończenie długim pięknym paniom z Fifth Avenue, a że etykieta nie pozwala im biegać po magazynach, ani uczęszczać do *Ice cream saloons*, jak mniej uprzywilejowanym materyalnie kobietom, więc wymyślają one różne sposoby zabicia czasu.

Tak w wyborze sukni, jak w wyborze męża, spółzawodnictwo i chęć zaćmienia drugich gra zawsze największą rolę. Kobiety amerykańskie wogóle wolą Europejczyków od swoich współrodaków i chętnie wychodzą za zrujnowanych magnatów, potrzebujących odzłocenia swojej tarczy herbowej. Tym sposobem Ameryka przelała już więcej niż dwieście milionów dolarów do Europy, a z tych połowę pochłonęła Francya. Związki te jednakże niezawsze wydają dobry wynik i milionierki zawodzą się często na swoich spekulacyach. Wszyscy obecnie ubolewają nad piękną Consuelą Vanderbilt, poślubioną księciu Malborough, nie dlatego, żeby była nieszczęśliwą, bo mąż otacza ją najczulszemi staraniami, ale dlatego, że ma rywalkę, która usiłuje odebrać jej piastowanie dotychczas niepodzielnie berło przepychu i ele-

gancyi. Miss Jenny Chamberlain z Ohio, posłubwszy lorda Naylord Leyland, przyniosła mu wprawdzie w posagu kilka milionów mniej od panny Vanderbilt, ale za to mąż jej posiadał osobistą fortunę o wiele znaczniejszą od księcia Malborough. To też zaledwie postawiła ona stopę na gruncie angielskim, oświadczyła zamiar promowania męża do Izby lordów i objęcia naczelnego stanowiska w arystokracji angielskiej, co jej się po części udało. Pałac Hyde Park House, który zbudowano na jej rozkazy w Londynie, uchodzi za najwspanialszy gmach w stolicy. Dotknięta tem do żywego księżna Malborough postanowiła zakasować ją, stawiając sobie pałac z Tysiąca i jednej nocy. Tego rodzaju rywalizacya i jej przyczyny rzucają światło na umysłowy stan milionerek amerykańskich, dla których szczęście zasadza się na osiągnięciu pierwszeństwa nad drugimi na każdym polu.

I tak miss Astor, przywiozwszy z sobą sto toalet do Newport, gotową jest nie otworzyć wcale swoich kufrów, dowiedziawszy się, że miss Goclett przywiozła ich sto dziesięć. Miss Territ, która sprowadziła sobie wspaniałą parę koni za 4,200 dolarów, odesłała je do New Yorku, posłyszawszy, że miss Gracya Wilson powozi zaprzęgiem importowanym z Anglii, który kosztował sześć tysięcy, co ją nabawiło żółtaczkę z zazdrości.

Czy dałby naprzykład kto wiarę, że kiedy synowie Ameryki narażali życie swe za sztandar narodowy, w modnej miejscowości New-

port, powstała istna rewolucya wywołana kostyumami kąpielowemi pań? Moda zawyrokowała, że spódniczka tego roku noszona będzie o wiele dłuższą niż poprzednio, i że jeżeli wolno twarzy opalić się na słońcu, to ramiona *à tout prix* zachować mają niepokalaną swoją białosć; stąd konieczność noszenia długich rękawów i rękawiczek. Spór przybrał rozmiary wojny. Miss Evelyn Bewden chciała zaprowadzić rękawiczki czarne, a miss Lili Oelrichs — białe. Pierwsza kąpała się z obnażoną na słońce głową, ale w naszyjniku z pereł, wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Druga pochowała swoje klejnoty, ale za to nałożyła do kąpeli bajeczny kapelusik i pierwsza ośmieliła się afiszować modę białych pończoszek.

Od pierwszego występu obu śmiałych elegantek, do których przyłączyły się jeszcze dwie inne: mistress Stevens i miss Wintrop, rywalizujące ekscentrycznością, cała plaża zawrzała gorączkowem podnieceniem. Dzielono się na obozy. Cały dzień i noc następną biuro telegraficzne zajęte było wysyłaniem depesz do krawców i modystek w New Yorku.

Z obawy skompromitowania się niemodnym kostyumem wszystkie panie udawały chore. Nigdy w Newport nie grasowało tyle bólów gardła, bronchitów i newralgij, które ustały z chwilą, gdy nadeszły nowe kostyумы.

Ta komedya z kostyumami kąpielowemi odsłania niejako kurtynę nad sceną, na której się rozgrywają wszelkie ludzkie próżności. I tak

przed kilku laty, do tejże samej modnej miejscowości w Newport, przybyła niejaka mistress Potter Palmer, z siostrzenicą swoją Julią Grant, z Chicago. Panie te wynajęły sobie skromną willę Arleigh nad morzem, tak zwane więc towarzystwo byłoby stroniło od nich, gdyby nie to, że nowo przybyłe zaopatrzone były w listy polecające od różnych znakomitości ze świata miliarderów. Przebąkiwano po cichu, że pan Potter Palmer utrzymywał niegdyś garkuchnię, a żonę jego nazywano złośliwie kucharką. Ale kiedy następnego lata pani Palmer wynajęła na sezon pałac Havemayer za sto tysięcy franków i rozeszła się wieść, że przybywa do niej w odwiedzin książe Albert belgijski, wielki popłoch powstał wśród gości kąpielowych. Lody roztajały w jednej chwili i tłumy zaczęły napływać do drzwi wzgardzonej wczoraj parweniuszki. Siostrzenica jej, na którą nie zwracano dotychczas uwagi, uyskała odrazu sławę piękności. Przebaczone jej nawet pochodzenie z Chicago, co w *Knickerbockerów*, czyli starych rodzin amerykańskich, wywodzących się od pierwszych kolonistów, uchodzi za grzech pierworodny.

W istocie rzeczy pani Potter Palmer, która, jako prezydentka komitetu kobiecego na wystawie w Chicago, odbyła niegdyś podróż po Europie, miała zaszczyt być przedstawioną na kilku dworach królewskich. Stąd wynikła jej znajomość z księciem Albertem, który cały tydzień, goszczony po królewsku, bawił pod jej dachem. Po nim

zjawił się książe Turynu, siostrzeniec królowej Małgorzaty, która bardzo przyjazne uczucia żywiła dla pani Potter Palmer; ta zaś na cześć jego wydała wspaniałe przyjęcie, na którym była cała śmietanka towarzystwa. Jednocześnie, jakby na mocy prawa kontrastów, zjawił się pan Palmer, który, mając do swoich usług trzydziestu lokai, sam, dawnym zwyczajem, chodził robić zakupy na targu. Fortunę jego obliczają na 600 milionów, których się dorobił po pierwotnem bankructwie.

Tym sposobem szeregi miliarderów wzmagają się coraz to nowymi rekrutami, przybywającymi z różnych stron świata, jak panny Ah-Fong, urodzone w Honolulu z ojca Chińczyka i matki z plemienia Kanaków. Przybywszy przed wielu laty do Honolulu, jako zwyczajny *coolie*, stary Ah-Fong sprytem swoim dorobił się ogromnej fortuny, dzięki stosunkom swoim z królem Kaulakaua, który mu udzielił monopolu handlowania opium. Stosy złota zaczęły napływać do jego kasy, wzbogacony dorobkowiec zbudował sobie w Honolulu pałac, przewyższający wspaniałością rezydencję królewską. Liczba jego majątku jest bajeczną, powiadają, że on sam nie ma o niej dokładnego pojęcia. Dość powiedzieć, że ma trzynaście córek i dwóch synów, a każdemu z dzieci daje w dzień ślubu kilka milionów dolarów.

Nie odrazu jednakże panny Ah-Fong dostały się do wyższego towarzystwa. Najstarsza z nich wyszła za dentystę, ale już druga z rzędu, miss

Henryeta, awansowała na żonę kapitana Whiting, komendanta okrętu „Monandnok”—spowinowaccanego z najpierwszemi rodzinami w New Yorku. Kiedy zaś niejaki pan Wilcox, komisarz statku, wyraził swoje zdziwienie, że szef jego wziął za żonę osobę tak niskiego pochodzenia, kapitan Whiting położył odrazu koniec złośliwym uwagom, dając mu wybór pomiędzy dymisią a stawieniem się przed sąd wojenny za pijaństwo i złe prowadzenie... Od tej chwili wszystkie uwłaczające pogłoski umilkły. Rozmaicie sądzono krok komendanta, ale znalazł on naśladowców, gdyż kolejno cztery panny Ah-Fong powychodziły doskonale za mąż. Trzy siostry, niezamężne dotychczas, debiutowały w wielkim świecie New Yorku pod patronatem mistress Humphreys, jednej z najbardziej wybrednych milionerek z Fifth Avenue, co im z góry zapewnia świetne alianse. Ojciec Ah-Fong nie zobaczy już nigdy swoich dzieci. Zmuszony jest bowiem, pod karą śmierci, pozostawać w Chinach, gdzie ocalił tylko swoją głowę, płacąc pięć milionów kary. Dzieci nie martwią się tem, bo podobni rodzice nie przyniesliby im chluby.

Gdyby nie ta łatwość rekrutowania nowych bogaczy w szeregi towarzyskie, kasta miliarderów wygasłaby wkrótce. Atmosfera bowiem zniewieściałości, w której wychowują się kobiety amerykańskie, tłumi w nich nawet wrodzone instynkta macierzyńskie. Gdzież bowiem znaleźć czas na macierzyństwo, kiedy życie całe zajęte jest zabawą? Stan macierzyństwa wymaga kilku mie-

sięcy odosobnienia od świata i pociąga za sobą niemożność strojenia się i imponowania rywalom przepychem i zbytkiem. Nie dziw więc, że miliarderka poczytuje go sobie w swoim egoizmie za ciężkie zadanie, od którego usiłuje o ile możności się oswobodzić.

Przebiegnijmy myślą tę wspaniałą Fifth Avenue, taką dumną z tego, że na milowej przestrzeni liczy tylko samych milionerów, zamieszkałych w królewskich pałacach, a przekonamy się, że z 45-iu pałaców „w czterech tylko“ są dzieci. Jerzy Gould ma ich pięcioro, William Roosevelt czworo, Izaak Stern dwoje, a Jakób Astor jedno tylko; co razem czyni dwanaścioro na 45 rodzin. Reszta miliarderów skazana jest na wymarcie, a mozolnie nagromadzone olbrzymie fortuny pójdą na łaskę losów, z przyczyny, że kobieta amerykańska nie tylko że abdykowała z roli swojej w społeczeństwie, ale i w rodzinie.

W ogóle nie dba ona o sady potomności, ani o krytykę, lecz o reklamę najpodrzedniejszego gatunku; dowodem czego niżej przytoczony fakt.

Pewien młody reporter prosił mnie o list polecający do jednej z dam, zaliczających się do najwyższego towarzystwa i dzierżących w świecie berło dobrego tonu. Pragnął bowiem zasięgnąć od niej informacyi co do projektów jej na nadchodzącą zimę, zabaw i nowych atrakcyj, jakie przygotowywała dla swoich gości. Było to żądanie bardzo naturalne; chętnie więc dałam mu

słówko rekomendacji. Po kilku dniach zjawia się on u mnie z podziękowaniem.

— Jesteś pan więc zadowolony? — pytam go.

— O, panie! — odpowiada z zapalem — to mało powiedzieć zadowolony, jestem wprost oczarowany przyjęciem, jakiego doznałem! Pani X. była nad wyraz uprzejmą i nie tylko, że odpowiedziała na wszystkie moje zapytania, ale dobrowolnie udzieliła mi różnych szczegółowych informacji, o które nigdy nie ośmieliłbym się jej prosić.

— Doprawdy? — rzekłem. — A jednak zazwyczaj reporterowie nie odznaczają się dyskrecją.

— Ależ, panie, nie potrzebowałem nawet przekroczyć granic dyskrecyi... Pani X. sama zaprowadziła mnie do swojej ubieralni i pokazała toalety świeżo sprowadzone z Paryża, bieliznę, koronki, futra, nawet koszule... Pozwoliła mi zwiedzić swój gabinet toaletowy, wtajemniczając mnie w najpoufniejsze szczegóły swojej elegancji i zachęcając do robienia notatek, z obawy, abym czegoś nie zapomniał. Co więcej, opowiedziała swoim przyjaciółkom o moich odwiedzinach i oto widzi pan: już otrzymałem pełno listów od różnych elegantek, zapraszających mnie do siebie, dla zrobienia przeglądu ich strojów i klejnotów.

Próżność, posunięta do najwyższego stopnia, nie daje szczęścia tym bezmyślnym, wietrznym istotom, pozbawionym woli i uczucia i nieświadomym świętych radości, jakie daje życie pożytecznie spędzone. Te ładne, utrefione lalki, spowite

w jedwabie i koronki, czują się nieszczęśliwymi, same nie wiedząc dlaczego, i z zazdrością spoglądają nieraz na pracowitą rzeszę kobiet zdrowo myślących i czujących, których całe zastępy mnożą się na niższych szczeblach hierarchii społecznej, a które, rzec można, są chlubą Nowego Świata, a przykładem dla Starego.

Te dwa odrębne światy kobiece żyją obok siebie, nie stykając się wzajemnie. Niekiedy tylko wzrok milionerki śledzi zdala z zazdrością żony i siostry ubogich rzemieślników, spieszące do swych zajęć z uśmiechem na ustach i rozradowaniem na licach. A święte spólcucie kobiece i zrozumienie różnych braków życia odzywa się całe w westchnieniu, które podchwyciłem niegdyś na ustach młodej zecerki, przyglądającej się z trotoaru miliarderce, wyciągniętej z wyrazem znudzenia w swojej karecie. Biedne stworzenie!

TRUSTY.

Ekonomiści, którzy studyowali kształtowanie się własności prywatnej w Europie, zawiedliby się, gdyby próbowali zastosować te same prawa ekonomiczne do wzrostu i gromadzenia się olbrzymich kapitałów w Ameryce. Wielcy przemysłowi

wcy, bankierowie i odważni spekulanci, którzy zbierają duże fortuny na starym kontynencie, postępują wszyscy, mniej więcej, jednakowo, usiłując obniżyć cenę fabrykacyi danego towaru do minimum, podnosząc ją w sprzedaży do maximum. Prawa konkurencyi, podaży i popytu, regulują tu niejako mechanicznie po dawnemu wymianę produktów, oraz zwwyżki i spadek ich cen.

Inaczej dzieje się w Ameryce. Więc też to, co możnaby nazwać nagłym pojawieniem się miliardu, jest fenomenem czysto amerykańskim. Jeżeli Europa, a zwłaszcza Francya, w ostatnich latach, dała kilka przykładów dużych fortun, zrobionych w stosunkowo krótkim przeciągu czasu, to dlatego, że metody amerykańskie zaczynają już przenikać za morza. Wprawdzie mają one tutaj mniej szerokie zastosowanie niż w Stanach Zjednoczonych, dawna bowiem państwowa i centralistyczna organizacya społeczna w Europie nie sprzyja ich rozwojowi. Ale rzeczy mogą się zmienić z czasem i kto wie, czy stary kontynent nie spożytkuje kiedyś i nie zastosuje u siebie środków, jakimi Amerykanie dorabiają się olbrzymich fortun, pod opieką gwiazdzistego sztandaru Stanów Zjednoczonych.

Najpotężniejszym z tych środków jest „trust“, dawny wyraz, oznaczający niegdyś nadzieję i zaufanie, który dziś jest synonimem syndykatu. Trust przedstawia pewne niebezpieczeństwo dla masy zbiorowej, bo członkowie syndykatu, działając zgodnie, stawiają, w większości przypadków

wszystko na jedną kartę, a jeżeli wyjątkowo zawodzą się w swojej spekulacyi i bankrutują, to dlatego, że napotkali na opór silniejszego od siebie przeciwnika.

Trust jest przywłaszczeniem i ześrodkowaniem w jednych rękach nie tylko produktów, ale i środków produkcyi. Jest to skoncentrowanie w jednej kasie zysków, zrealizowanych przez rzeczą producentów i robotników, i bezprawne objęcie monopolu nad pewną częścią bogactw krajowych.

Walka z trustem jest prawie niemożliwą. Prądem swoim porywa on, pochłania i druzgoce wszystkie przeszkody po drodze, jak wezbrana rzeka, która zerwała swe pęta. Nie ogranicza on się na pokonaniu większych spółzawodników, znaczniejszych spekulantów i przedsiębiorców fabrycznych z ustalonem stanowiskiem; potwór ten, nie nasycony w chciwości swojej, pożera i niszczy całe zastępy skromnych pracowników, depce nie tylko zasadnicze uczucia ludzkości, ale gwałci nawet prawa państwowe i znosi je bezkarnie, jeżeli stają w obronie własności indywidualnej. Niżej przytoczony przykład wykaże całe niebezpieczeństwo i doniosłość podobnych stowarzyszeń.

W październiku 1898 r. najgroźniejszy z dyrektorów trustu, król nafciany, John Rockfeller, zawezwanym został do stawienia się przed najwyższy trybunał w Ohio, dla wytłomaczenia się z licznych wykroczeń przeciw prawu, o które go pomawiano. Wielokrotnie już sądy miejscowe i in-

ne miały do czynienia z „Standard Oil Trustem“ i jego przewodnikami. Wyroki potępiały wszystkie trusty w zasadzie, a trust Rockfeller'a w szczególności, skazując go na rozwiązanie i zagładę, ale nikt nie słuchał prawa i wszystko działo się po dawnemu.

Pewnego wieczoru bogacz Rockfeller, wróciwszy z sądu do hotelu New Netherland, spotkał się oko w oko ze szpakowatym mężczyzną o wysokiej postawie i atletycznej budowie ciała. Silnie wzruszony miliarder, wyciągnął do niego rękę, mówiąc najśłodszy głosem:

— Jak się masz, Jerzy? Starzejemy się jakoś obaj. Cóż, czy nie żałujesz teraz, żeś w swoim czasie nie posłuchał moich rad?

— Możemy istotnie lepiej być zrobić, stosując się do nich, — odparł nowoprzybyły donośnym głosem, cofając dłoń swoją — boś mnie zrujnował doszczętnie, jakeś mi to był zapowiedział. Tak, zrujnowałeś mnie nieuczciwością swoją i podstępem przekupstwem i śmiej mi dziś w oczy zaprzeczć, że tak nie jest!

Ale Rockfeller nie śmiał zaprzeczć i wyniósł się cichaczem z pokoju. Skandal stał się jednakże publicznym. Wszyscy obecni poznali w energicznym starcu, który ośmielił się rzucić pogardą w oczy królowi nafcianemu, jedną z największych ofiar jego wyzysku, Jerzego Rice, z Ohio. Historia jego streszcza dzieje niezliczonych jednostek, które ambicya i egoizm Rockfeller'a zdruzgotały bezlitośnie w pogoni za milionami.

W 1876 r. Jerzy Rice, inżynier wielkich zasług, założył w Wirginii rafinerję nafty. Znana jego uczciwość zjednała mu odrazu szeroką klientelę. Jego fabryka, przewana „The Ohio Works“, wydawała więcej niż sto tysięcy beczek rocznie. Starczyło tego, aby obudzić zazdrość Johna Rockfeller'a, który kierował już trustem nafcianym. Rozpoczęły się niebawem kroki wojenne.

Nasamprzód więc kompania zaproponowała klientom Rice'a dostarczanie im nafty rafinowanej o 15 centymów taniej na galonie od dotychczasowych cen. Inżynier, chcąc się dowiedzieć o przyczynie obniżenia cen, zarządził badanie, które ujawniło potworne machinacye trustu.

John Rockfeller, mniemając, że Rice zniechęcił się do przedsiębiorstwa, zaproponował mu odkupienie od niego rafinerji. Rice jednakże wolał zawiesić chwilowo roboty i odmówił; wiedział bowiem, że prawo krajowe zabrania stanowczo trustów, i, zdecydowany posunąć rzeczy do ostateczności, przygotował się do walki.

Kiedy sądy prowadziły śledztwo, Rockfeller i jego sojusznicy nie ustawali w swoich zabiegach. Kolejno wszyscy rafinerzy amerykańscy, zaatakowani jeden po drugim, zmuszeni byli zawiesić roboty. Składnicy i kupcy zwracali się do Rockfeller'a, a jeżeli niektórzy, przeźorniejsi, próbowali protestować, syndykat rujnował kupców, sprzedając nawet niżej ceny kosztu. Raz zaś pozostawszy panem placu, trust

prędko powetowywał sobie straty, poniesione podczas walki konkurencyjnej.

Jerzy Rice ujawnił fakta, które wykazują jawnie całą bezczelność jego przeciwników.

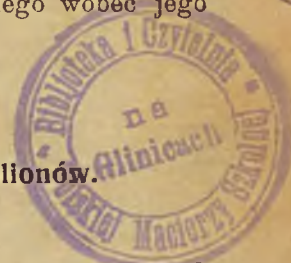
Zdawało się, że Jerzy Rice wygrał sprawę; tymczasem trust i kompanie dróg żelaznych, nie mogąc obejść prawa, przekupiły władze wykonawcze, i taryfy kolejowe stosowane były nadal jak poprzednio.

W 1892 r. najwyższy trybunał w Ohio wydał nowy wyrok, rozkazujący natychmiastowe rozwiązanie się trustu. Tym razem Rockefeller oświadczył, iż się poddaje; ograniczył się jednak na zmianie nazwy świadectw trustu, rodzaju warantów, które zastąpił tytułami innego rodzaju, i, pomimo opozycji trybunału, który poznał się na tym wybiegu, popełniał w dalszym ciągu nadużycia. Można się domysleć, jakie zyski wynikają z tych nieprawnych procedurów. W ciągu pierwszego półroczu po swoim pozornem rozwiązaniu trust przyniósł Rockefellerowi bajeczną sumę siedmiuset milionów franków. Te olbrzymie sumy wynikają z nieobliczonych ruin i poszczególnych bankructw, z pogwałcenia praw i przywłaszczeń cudzego mienia, za które przestępca powinien by dawno pokutować w więzieniu. Zaczął od zrujnowania rafinerów naftianych, potem samych właścicieli szybów i kopalni, zmuszając ich do sprzedawania nafty po minimalnej cenie, tak zwanej „głodowej“, na którą producenci musieli się zgodzić, nie znajdując nigdzie zbytu na swój towar.

Spółka zbójcka zrobiła władze zawiadowcze i koleje żelazne posłusznymi narzędziami swojej woli. Na całą ludność najprzód producentów, a potem konsumentów, nałożyła olbrzymią kontrybucję, która stosami napływającego wciąż złota wypełniła jej skarbiec, wskutek czego prezydent jej stał się największym bogaczem w Stanach Zjednoczonych, zuchwałym spekulantem, który drwi sobie z praw, okrutnym, bezdusznym *business-man'em*. Stopniowy wzrost jego fortuny wykazuje następujące cyfry: w 1855 roku John Rockefeller posiadał zaledwie 5,000 dolarów; w 1870 r. miał już 50,000 dol.; w 1875 r. milion, w 1885 r. 50 milionów, w 1890 r. sto milionów. W 1899 r. obliczono jego fortunę na 256 milionów dolarów, czyli miliard trzysta milionów franków, nie licząc olbrzymich nieruchomości i udziałów w państwowych bankach, przynoszących 200 milionów. Takiego to potentata pokrzywdzony i ograbiony Jerzy Rice nie zawahał się napiętnować hańbą, w chwili, gdy po raz dwudziesty wychodził bezkarnie z podniesionem czołem z trybunału, bezsilnego wobec jego wszechwładzy i zuchwalstwa.

Automatyczny wzrost milionów.

Z chwilą, kiedy liczby takiej fortuny jak Rockfellera wypisane są na papierze, przestają one



być dokładnemi. Każdy dzień, każda godzina bowiem zmienia je i powiększa w sposób zastraszający. I tak co rano król nafciany budził się o 220,000 franków bogatszym od chwili, kiedy udawał się na spoczynek.

Łatwo jest wyobrazić sobie, jaką potęgę ekonomiczną stanowi nagromadzenie się w jednych rękach takich olbrzymich bogactw. Widzieliśmy Rockfeller drwiącego sobie z praw krajowych i etycznych; a ileż to egzystencyj ludzkich zawisło od niego! Jako przewodniczący nafcianego trustu posiada 200 parostatków i 70,000 wagonów towarowych, co znaczy, że 25 tysięcy robotników pracuje w jego rafineryach, załoga jego statków oraz cała rzesza urzędników i oficyalistów kolei i rozmaitych biur, może być jutro pozbawiona chleba, gdyby mu przyszła fantazyja wydać ich. Ale nie na tem koniec.

Samą grozą, jaką wzbudza potęga jego milionów oraz żelazna jego wola, nie cofająca się przed niczem, Rockfeller narzucił kompanii kolejowej w Pensylwanii traktat, na mocy którego rzeczona spółka zobowiązała się kazać opłacać rafinerom nafcianym za przewóz towaru podwójną taryfę od tej, którą płaci trust. Dyrektorowie kompanii, którzy próbowali zrazu stawić opór tak bezprawnym żądaniom, zagrożeni zostali dymisyą. Rockfeller, posiadający już wielką liczbę akcyi kolei w Pensylwanii, zdecydował się nabyć ich więcej jeszcze, aby zostać panem położenia i umieścić na czele zarządu swoich popleczników. To samo

był już uczynił poprzednio z kompanią kolei „New York Central,” która należała do Vanderbilta. Tam znów zawarte były umowy z niektórymi właścicielami wielkich pieców co do transportu żelaza. Król nafciany rozkazał skasować te umowy, zawarł natomiast inne, wysoce korzystne dla siebie, dotyczące się przewozu nafty. Stary Vanderbilt, który nie był przecie ani naiwnym, ani niedoświadczonym, nie posiadał się ze zdumienia nad przebiegłością, z jaką spółzawodnik wyprowadził go w pole, i wyrażał najwyższy zachwyt dla sprytu, którego padł ofiarą.

Pewnego razu spostrzeżono, że kompania transportowa, znana pod nazwą „New York Transit Company,” która nigdy nie chciała uleść wymaganiom trustu, zmieniła całkiem personel urzędników. Dyrektorzy i administratorzy zostali z dnia na dzień wydalen, a zastąpiono ich urzędnikami należącymi do niezliczonych spółek, nad którymi John Rockfeller dzierżył nieograniczoną władzę. W pierwszych dniach swojej reorganizacji „New York Transit Company,” przewoziła tylko naftę trustu, ale po upływie dwóch tygodni zaczęła przyjmować transporta wszelkiego rodzaju dla Ameryki i zagranicy i nabrała ogromnego rozwoju. Dziś rozkazuje ona wszechwładnie wszelkim przedsiębiorstwom transportowym i grozi bojkotowaniem tych, które by się ślepo nie poddały jej wymaganiom. Los tychże spółek jest już tak z góry zadekretowany, a akcyonariusze tak do brze wiedzą zawczasu, co ich czeka, że sprzedają

za bezcen swoje udziały, które Rockefeller skrzętnie skupuje, aby podnieść cenę ich na giełdzie przed upływem roku. Korzyści, wynikające z tej nowej operacji finansowej, obliczają w New-Yorku na 50 milionów z górą.

W podobnych do wyżej wymienionych warunkach król nafciany nabył za dziesiątą część ich nominalnej wartości kopalnię żelaza nad Jeziorem Górnem i w Kubie, jak również kopalnię ołowiu i akeye wielu banków, których obroty skupione są dziś w jego ręku.

Okazuje się jednak, że miarka wszystkiego przebiera się w końcu, bo król nafciany zaczyna nareszcie zdradzać chęć wypoczynku. Zmęczony jest tą ciągłą grabieżą i natężeniem umysłu w jednym kierunku. Może też i opamiętał się w końcu, widząc dokoła siebie tyle nienawiści wznieconej jego okrucieństwem i nienasyconą chciwością; dlatego też szuka człowieka, który by podjął za niego całe brzemie interesów. Nie ludzi się jednakże co do trudności, jakie przedstawia podobny wybór. Ogłosił więc, iż gotów jest ofiarować pięć milionów dolarów rocznej pensji temu nieporównanemu feniksowi, któryby się zgodził myśleć i działać za niego.

Wiadomość ta, jak to można przewidzieć, narobiła wiele wrzawy w świecie amerykańskim. Ci, którzy znali osobiście Rockfellera, nie dawali wiary pogłosce. Ale znużenie jego wyraziło się w słowach, jakimi raz król nafciany przemówił do

młodzieży, należącej do kościoła baptystów z Fifth Avenue.

— Cóż nazywają powszechnie powodzeniem? — mówił. — Robić majątek. Ale jestże to rzeczywiście powodzeniem? Najbiedniejszym człowiekiem, zdaniem mojem, jest ten, który posiada tylko pieniądze. Dziś, gdyby mi dano do wyboru, wolałbym nie posiadać nic, a przynajmniej bardzo mało, a mieć jakiś cel wytknięty w życiu.

Wieczorem, tegoż dnia, zauważono w klubie wyraz ogromnego wyczerpania i smutku na twarzy Rockfellera. Otoczono go zewsząd, zapytując ciekawie, czy istotnie zamierza on wycofać się z interesów i zdać na zastępcę ich prowadzenie?

— Tak! — przyświadczył z całą stanowczością. — Szukam zastępcy, ale czy go znajdę? Pięć milionów, jakie przeznaczam, są pokazną sumą, mogącą skusić niejednego. A jednakże wątpię, czy się znajdzie ktoś, ktoby w zupełności odpowiedział moim wymaganiom. Przecież nie żądam niepodobieństwa! Trzeba, aby ten ktoś znał się przedewszystkiem gruntownie na eksploatacji źródeł nafcianych i na sposobach rafinowania. Rozumie się też, że trzeba, aby znał się równie dobrze na kolejach żelaznych i ich administracyi powinien również być praktycznym, obeznanym z fabrykacją żelaza i zastosowaniem go w przemyśle, oraz umieć dokładnie oceniać wartość danej nieruchomości...

— Czy to już wszystko?

— Prawie że tak! Jednakże wymagałbym jeszcze dokładnych i szczegółowych wiadomości, dotyczących żeglugi parowej, oraz dyrekcyi i eksploatacyi kompanii transportów wodnych. O bank nietylę mi idzie. Trzebaby jednakże, aby kandydat nie był zupełnym nowicuszem w sprawach obrotów finansowych i znał jaknajdokładniej wszystkie tajemnice giełdy i rynku walorów. Widzicie więc, że to nie jest nic tak trudnego. Chciałbym przytem, aby człowiek wybrany przeze mnie, był nieposzlakowanej uczciwości w tem znaczeniu, jak ja to rozumiem, i nie miał cienia tak zwanych skrupułów.

— Co pan rozumiesz przez skrupuły?

— Objasnię: Trzebaby mi człowieka tak prawego, aby interesa jego szefa obchodziły jak jego własne, a jednocześnie musi mieć charakter tak stanowczy i nieugięty, aby przyprowadzenie o ruinę kilku przedsiębiorstw, dających środki do życia tysiącom rodzin, było dla niego rzeczą zupełnie obojętną. Człowiek mojego wyboru ma być wstrzemięźliwy, przedsiębiorczy i energiczny, a przytem rzutny i zuchwały. Musi znać się na ludziach i być przygotowanym na to, że go będą nienawidzili i przeklinali. Powinien umieć obcinać pensye, a podnosić ceny produktów; nigdy nie zażywać spoczynku, nigdy nie szukać rozrywki, lecz pracować bez przerwy i wytchnienia od początku do końca roku. I z góry zastrzegam: żadnych urlopów, ani wakacyj! Słowem: szukam drugiego siebie. Ten, który chce zarobić pięć milionów rocz-

nie, musi we wszystkim wzorować się na mnie. Czy wiesz pan,—dodał na zakończenie — że prócz trustu i wszystkich innych moich interesów, mam obecnie pod swoim dozorem 38,000 mil ang. kolei żelaznych? To nie łatwa sprawa! Ach! gdybym znalazł człowieka, jakiego szukam! Dałbym chętnie pięć kroć sto tysięcy temu, który by mi takiego wskazał.

I, skłoniwszy się na okół członkom klubu, Rockfeller zszedł ze schodów i ciężkim krokiem udał się pieszo do swego pałacu na Fifth Avenue.

Pochód królów giełdowych.

Skreślony przez Rockfellera portret aferzysty streszcza wszystkie zalety (jeżeli do nich zaliczyć mamy potworny egoizm), które powinien posiadać człowiek, dorabiający się fortuny za pomocą trustów. Wszyscy miliarderzy z New Yorku, w mniejszym lub większym stopniu posiadają też same cechy charakteru, idącego prosto do celu, bez względu na przeszkody natury etycznej. Co Rockfeller zrobił z naftą, to Jay Gould i Vanderbilt zrobili z kolejami, Havemeyer z cukrem, Carnegie ze stalą, Knight z bawełną, Clarke z miedzią i t. p.

W liczbie tych żarłocznych sępów wypada

nam zacytować nasamprzód królów cukrowych, braci Henryka i Teodora Havemeyerów, a zwłaszcza Henryka, bo Teodor zmarł w 1897 r., odegrawszy pierwszorzędną rolę w niezbyt czystych spekulacjach, z których powstała ich fortuna. Z pomocą kilku kapitalistów, których starannie pozbyto się z czasem, bracia Havemeyerowie założyli w 1888 r. trust cukrowy, który zrazu spekulował tylko na kursach giełdowych. Zaopatrzywszy się w zapasy cukru w Antylach i na rynkach europejskich, „Sugar Trust“ dowolnie podnosił lub obniżał ceny produktu, na czem zarobił kilka pierwszych milionów dolarów. Wtedy jał rozszerzać pole swojej działalności. W 1890 r. wzmógł się o tyle na siłach, że rozkazał najznacniejszej cukrowni w Ameryce, „North River Refining Company“, zawiesić fabrykację. Rozumie się, że natknął na opór, który wywołał rozpoczęcie kroków wojennych. Klienci zostali zawiadomieni, że trust gotów jest dostarczać im cukru o 20% taniej od rzeczzonej spółki. Nie przewidując złych następstw tego kroku, a mając tylko na względzie korzyść doraźną, klienci tłumnie opuścili „North River Refining Company“, której akcje spadały z dnia na dzień. Naraz trust oświadczył całej klienteli, że ceny cukru podniosły się o 25%. Wszyscy, którzy się byli sprzeniewierzyli „Refining Company“, gromadnie zwrócili się ku niej i zaczęli otrzymywać cukier po dawnej cenie, z nieznaczna tylko podwyżką. Niebawem jednakże dowiedzieli się, że „North River Refining Com-

pany“ przeszła na własność trustu za sumę 350,000 dolarów, za którą bracia Havemeyerowie wykupili byli wszystkie akcje. W miesiąc później trust wypuścił akcji na 700,000 dolarów, co stanowiło czysty zysk 1,750,000 franków, osiągnięty przez królów cukru, nie licząc poprzednich korzyści.

Następnego roku ponowili tę samą operację finansową. Dwie inne cukrownie, które mniejały, że mają dość silny grunt pod sobą, aby zaryzykować opór, zmuszone się widziały kapitulować jedna po drugiej. Trust zakupił je za sumę siedmiu i pół miliona, a puścił w obieg akcji za dwadzieścia milionów. Od tej pory Henryk Havemeyer stał się niepodzielnym władcą rynku cukrowego w Ameryce. Majątek jego wzrósł dziś do 1,200 milionów. Na 1,500,000 beczek cukru, konsumowanego w Ameryce, on sam dostarcza ich 1,200,000. Stanowi więc arbitralnie o cenach, zmiata precz opornych i osiąga rok rocznie korzyści, wynoszące od 105 do 115 milionów.

Na 24 rafinerie cukru, które posiadają Stany Zjednoczone, dwadzieścia dwie są własnością Havemeyera, który daje w nich zarobek przeszło dwudziestu tysiącom robotników.

Stosownie do zwyczajów trustu, spółka cukrownicza fabrykuje sama wszystko, co jej potrzeba. We wszystkich miastach, gdzie posiada swoje rafinerie, założyła olbrzymie warsztaty bednar-skie, wyrabiające beczki do przewozu towaru.

Posiada również swoje składy węgla, dziewięć fabryk do przepalania kości, używanych do rafinowania cukru, nie licząc ogromnych magazynów, doków i składów zapasów wszelkiego rodzaju. Używa pięciu tysięcy ludzi do obrabiania drzewa i klepek do fabrykacji beczek, ogółem zaś daje pracę 30 tysiącom robotników, odpowiednio wykonywanym przez króla cukrowego, który uchodzi za najbardziej chciwego i bezlitosnego ze wszystkich prezydentów trustów.

Przed komisją senatorską, badającą trusty, Henryk Havemeyer wykazał z bezczelnością samochwalstwa, pewną z góry wygraną, liczby, które podajemy poniżej. Fortuna „Sugar Trustu“ wynosi 750 milionów, przynoszących 20% rocznego dochodu, czyli 150 milionów. Koszta eksploatacji pochłaniają rocznie 165 milionów, z których 82 idzie na opłatę robotników. Maszyny trustu, będące ciągle w ruchu, przedstawiają siłą 84,000 koni. Codziennie spotrzebowują w fabrykach 2,800 ton węgla i 17,000 metrów kubicznych wody. Na samo opakowanie cukru zużywa się rocznie 220 milionów klepek, 16 milionów par den, 100 milionów obręczy i dwadzieścia tysięcy beczek gwoździ. Produkcja dzienna cukru wynosi 45 tysięcy beczek.

Biura kantorowe „Sugar Trustu“ znajdują się na Wall-street pod n-rem 117, w domu skromnej powierzchowności, w którym król cukrowy zajmuje na drugim piętrze gabinet umeblowany z jak-największą prostotą. Stamtąd rządzi on swoim

państwem, wydając rozkazy trzydziestotysięcznej armii podwładnych. Jest to dziś człowiek lat pięćdziesięciu kilku, niepożytej energii. Zdawałoby się, że, zebrawszy z górą 1,200 milionów, mógłby na tem poprzestać, ale to nie wystarcza jego nienasyconej ambicji.

Zagarnawszy niepodzielnie sprzedaż hurtową, dąży teraz do opanowania sprzedaży częstkowej, i w tym celu otworzył przystęp trustu dla syndykatu kupców korzennych: „General Grocery Association.“ Zaciągnięci dobrowolnie lub przemocą do związku, hurtownicy musieli się zobowiązać sprzedawać cukier detalicznie po tych cenach, jakie im przepisze wszechwładny potentat Havemeyer. Jedynym pozostawionym im zyskiem są procenta 18%, które im zwraca trust. Następstwem tego jest, że wszyscy kupcy detaliczni płacą za towar i sprzedają go konsumentom po tejże samej cenie. Oni także osiągają pewne zyski w formie procentów od hurtowników, z czego wynika, że wszyscy kupcy, tak hurtowni jak detaliczni, są powolnymi sługalcami trustu, zarabiającymi tylko w stosunku do obrotu interesów, jakie robią. Za lat kilka nie tylko Ameryka, ale świat cały, zależeć będzie od Havemeyera, co do dostawy trzcinowego cukru. Wtedy trust zapewne pokusi się o zagarnięcie pod swoją władzę produkcji buraczanej, zmuszając konsumentów do opłacania mu podatku, który podnosi do niebywałych rozmiarów potęgę jego finansową, zubożając przez to samo państwo.

Królowie kolejowi.

W ciągu szeregu lat niemal cała sieć kolei amerykańskich pozostawała w rękach dwóch ludzi, przedstawiających i rządzących potężnym syndykatem, który dowolnie stanowił o taryfach, podnosząc przez to samo lub obniżając według swego widzimisię ceny artykułów spożywczych i oddziaływając arbitralnie na życie ekonomiczne całego kraju.

Ci dwaj potentaci, z których jeden już nie żyje, drugi zaś leży sparaliżowany i nawpół martwy, we wspaniałym pałacu swoim na Fifth Avenue, lub też za szklanymi ścianami książęcej willi w Newport, nazywali się Jay Gould i Korneliusz Vanderbilt *).

Historia obu tych bogaczy zbyt powszechnie jest znana, abyśmy ją tu przytaczali w szczegółach. Dość powiedzieć, że Jay Gould jest typem *Self made mana*, gdy Vanderbilt znalazł już w kolebce miliony swego dziadka, słynnego w swoim czasie komodora. Obaj za podstawę działań swoich obrali znaną drogę trustów, ale każdy po-

*) Od tej pory spółnik Goulda — Vanderbilt, zmarł również.

Kiedy Jay Gould został właścicielem linii „New York Erie“, czyli przez to samo spółzawodnikiem „New York Centralu“, który należał po Vanderblita, spekulanci amerykańscy wyczekiwali z niepokojem, co wyniknie ze starcia się tych dwóch rywalizujących potęg? Która z nich zwycięży? Ku ogólnemu zdziwieniu obie zachowały się neutralnie. Dwaj przeciwnicy świadomości byli wzajemnej swojej wartości, przeświadczeni z góry, że w walce tego rodzaju zwyciężonemu groziła doszczętna ruina. Pozornie więc obaj królowie kolei podzielili się zgodnie berłem żelaznem, zachowując dobre stosunki. To trwało lat kilka. Ale pewnego dnia w klubie wynikła pomiędzy nimi jakaś błaha sprzeczka, jak twierdzą niektórzy, o piękną ballerinę, świeżo przybyłą z Włoch, i od tej pory wojna została zdeklarowaną.

Nazajutrz rozpoczęły się zaczepne kroki. Tak linia „New York Erie“, należąca do Goulda, jak „New York Central“ należąca do Vanderbilta, trudniły się przeważnie przewozem bydła na przestrzemi pomiędzy New-Yorkiem a granicą kanadyjską, za co pobierały jednakową taryfę. Vanderbilt rozpoczął walkę, obniżając z dnia na dzień swoje taryfy. Jay Gould opuścił je na 75 fr.; Vanderbilt na 50 fr. Z tygodnia na tydzień taryfy obniżały się na obu spółzawodniczących liniach. Vanderbilt odniósł zwycięstwo kosztem obniżonym do... 5-ciu franków od wagonu. Gould ustąpił.

Zwycięstwo Vanderbilta kosztowało go drogo, bo im więcej sprowadzał wagonów z bydłem

do New-Yorku, tem większe ponosił straty. „New York Erie“ nie przewoził już nic zgoła, a Gould zachowywał się biernie i nie wszechynał rokowań o pokój. Silnie zaintrygowany tem zachowaniem się przeciwnika, Vanderbilt zarządził tajemne badanie i otrzymał rozwiązanie zagadki. Zamiast rujnować się przewożeniem bydła za cenę 5-ciu franków od wagonu, Jay Gould skupował w Kanadzie wszystko bydło, jakie tylko było na sprzedaż, i sprowadzał je koleją Vanderbilta do New-Yorku, gdzie je sprzedawał rzeźnikom po wygórowanych cenach, wzbogacając się w ten sposób stratami, jakie ponosił jego wróg.

KRÓL BAWELNIANY.

Od lat ośmiu życia Robert Knight pracował w przedzalni 14 godzin dziennie i zarabiał 6 fr. 25 cent. tygodniowo. Bardzo sprytny i pracowity, zwrócił na siebie uwagę dyrektora fabryki, który go przeniósł do biura rachunkowego, dając mu 80 dolarów pensyi rocznej. Surowość, z jaką stosował władzę względem podwładnych, gorliwość w pracy, a nadewszystko nadzwyczajny spryt, sprawiły, że właściciel przedzalni wszedł z nim w spółkę, odstępując mu na kredyt połowę interesu za sumę siedmiu kroć stu tysięcy franków. Już

w pierwszym roku zrealizował 40,000 fr. czystego dochodu. Mając lat 26, Robert Knight pozbył się bardzo tanim kosztem tego, któremu zawdzięczał całą swoją karierę, i, zostawszy właścicielem fabryki, wziął sobie do spółki brata swego B. E. Knighta.

Przemysł bawełniany w Ameryce znajdował się podówczas prawie cały w ręku spółki Sprague. Kilka niefortunnych spekulacyj osłabiło potęgę spółki, którą Knight zaatakował z całą zacieklnością. Podtrzymany przez kapitalistów, których kredyt udało mu się pozyskać, prowadził wojnę bez wytchnienia. W niespełna dwa lata doprowadził do bankructwa kompanię Sprague, a wraz z nią zrujnował doszczętnie trzy tysiące rodzin, których tytuły własności odkupił za bezcen. Został panem położenia i odtąd cały przemysł bawełniany musiał się poddać drakońskiemu prawom, jakie podobało mu się dyktować Ameryce.

Królestwo bawełniane, nad którem panuje dziś niepodzielnie Robert Knight, położone jest w Prowidencji. Składa się z 15 tu wiosek, których plan i budowlę należą do potentata. Osady te wszystkie podobne są do siebie. Wszędzie w pośrodku wznosi się olbrzymi gmach fabryczny o wysokich kominach; — wszędzie rozlega się ostry świst gwizdawki, powołujący o świetle do roboty. Dokoła domy robotników, których losy trzyma właściciel w swoich rękach, i on sam, spekulując na dostawie, dostarcza im wszystkich potrzeb do

życia, bo muszą się zaopatrywać tylko w jego magazynach. Pastor, doktor i nauczyciel szkoły są na jego utrzymaniu. Robert Knight (dziś człowiek lat blisko 80-ciu) wydała ich natychmiast, jeżeli nie są dość potulnymi narzędziami jego tyranii. Co się tyczy robotników, to ich opinie polityczne i ekonomiczne są im dyktowane z góry i dostarczane z cukrem, chlebem i mięsem. Muszą oni we wszystkim stosować się do rozkazów pryncypała. Najmniejsze nieposłuszeństwo karane jest wydaleniem.

Po śmierci brata Robert Knight sam został właścicielem przędzalni; inwentarz, spisany przy tej okazji, wykazał, że król bawełniany posiada 21 fabryki, 120,000 warsztatów, w których pracuje 7,300 robotników. Ci zaś wraz z rodzinami przedstawiają ogólną liczbę 30,000 ludzi, którymi rządzi władza jednego despoty.

Rzecz dziwna: ten człowiek, pozbawiony serca i litości, ma zamięłowania sielskie i głębokie poczucie piękności natury. Kocha się w pięknych widokach i szczególniejszem zamięłowaniem otacza stare drzewa. Przędzalnia jego otoczona jest wiązami i bukami nieporównanej piękności, które tamują przystęp światła w warsztatach, ale, zamiast je ściąć, potentat wolał wielkim kosztem zaprowadzić w fabryce światło elektryczne, które zastępuje dzienne. Robotnicy przypłacają to chorobą oczu, ale jest to względ podrzędny, nad którym nie zastanawia się właściciel, byle ocalić swo-

je drzewa. Koszta zaś sztucznego oświetlenia powetowuje sobie, obcinając płacę robotników.

KRÓL STALOWY I KRÓL ZBOŻOWY.

Nazywa się Andrzej Carnegie. Przed sześciu laty, z powodu 61-szej rocznicy swoich urodzin, ofiarował sam sobie w darze plac na Fifth Avenue za który zapłacił 3,375,000 franków. Odrazu wprowadził na miejsce robotników w celu zbudowania kosztem sześciu milionów domu skromnego, obszernego i wygodnego, który postanowił ofiarować swojej córce, kiedy wychodzić będzie zamaż.

Andrzej Carnegie nie jest chciwym, ani skąpym jak Rockefeller i Knight. Robotnicy nie są tak wyzyskiwani przez niego, jak przez innych królów przemysłowych. Jest to następstwem tego, że Carnegie nie jest czystej krwi Amerykaninem i że przywiózł z sobą do nowego świata resztki „przesądów“ europejskich. Urodził on się w Dunfermlinie, w Szkocyi, i miał około 12-tu lat, kiedy rodzina jego osiedliła się w Alleghany. Byli to ludzie bardzo ubodzy; wszyscy więc zabrali się do pracy, a mały Andy, jak go nazywano zdrobniale, wstąpił do przędzalni, gdzie zarabiał 6 franków tygodniowo. Debiutował więc w swojej karierze jak

Knight. Ponieważ był bardzo zdolny i pracowity, więc go umieszczono w 13-ym roku przy warsztatach. Kazano mu co wieczór podpalać pod kotłem i manewrować machiną, która wprowadzała w ruch krosna. Wywiązał się z tego zadania bardzo dobrze i zyskał opinię pilnego i zdatnego chłopaka. Zarabiał wówczas 12 franków tygodniowo. Mając lat 15, wyprowadził się z rodziną do Pittsburga, gdzie został roznosicielem depeesz. Nie przyznał się, że był obcokrajowcem, bo bał się utracić miejsca, albowiem nie znał ani nazwy ulic, ani adresu osób, którym miał wręczać telegramy. To też każdą wolną chwilę, a nawet część nocy, poświęcał bieganiu po mieście, aby sobie wyrzeć w pamięci firmy i adresy domów przemysłowych, wypisane na szyldach, z obu stron ulicy. Kiedy był w biurze, zamiast gawędzić z innymi chłopcami, przysłuchiwał się pilnie cykaniu aparatu telegraficznego, którym manewrował urzędnik. Zaintrygowany jego pilnością, telegrafista obiecał wyuczyć go alfabetu Morsa, i niebawem Andrzej Carnegie stał się jednym z rzadkich w Stanach Zjednoczonych urzędników, umiejących czytać *ze słuchu*, co wymaga wielkiej wprawy i długiej praktyki. Otrzymał więc posadę telegrafisty z pensją 125 ciu fr. na miesiąc.

Pewnego dnia wyczytał ogłoszenie o zaofiarowanym zarobku za pracę dodatkową. Sześć istniejących podówczas w Pittsburgu dzienników otrzymywało wspólnie depeesze telegraficzne, a urzędnik, sporządzający z nich sześć egzemplarzy, pobierał

za to sześć dolarów wynagrodzenia na tydzień. Na nieszczęście, miejsce było już zajęte. Carnegie udał się do szefa wydziału i podjął się tej pracy za 4 dolary. Propozycję przyjęto. Ale inne jeszcze zdarzenie pchnęło go ostatecznie na drogę fortuny.

Pewnego dnia pierwszy pociąg kolei Pensylwańskiej zajechał przed dworzec w Pittsburg. Linia została otwartą dla transportu. Naczelnik kancelaryi wpadł do biura, nakazując Carnegieму zawiadomić natychmiast o tem dyrektora jeneralnego w Altoonie. Młody, 16-letni telegrafista, depeeszował w miarę, jak naczelnik mówił. To też, gdy kompania posiadała własną swoją linię telegraficzną, wzięła Carnegiego, dając mu 175 fr. miesięcznie. Na tem stanowisku przetrwał on 13 lat, robiąc ciągle oszczędności, które wynosiły bardzo małą sumę. Pewnego razu jednakże jakiś niepozorny człowiek, o wyglądzie farmera, pokazał Carnegiemu model obmyślanego przez siebie wagonu sypialnego. Człowiekiem tym był Woodruf. Andrzej pokazał plan ten swemu naczelnikowi, który zawarł z nim i Woodrufem kontrakt budowy nowych wagonów. Od tej chwili fortuna młodego telegrafisty zaczęła szybko wrzastać. Pięć tysięcy franków, które wniósł do spółki, pomnożyły się w dziesięćkroć. W 45-ym roku życia założył pierwszy swój trust.

Sypiąc umiejętnie pieniędzmi, oddalił spółzawodników, a kiedy zebrał pierwszy milion dolarów, zostawił Woodrufowi fabrykację wagonów,

a sam przerzucił się do stalowego przemysłu, który postanowił zagarnąć w swoje ręce. Zadanie to przedstawiało niemałe trudności ze względu na nieograniczoną prawie liczbę spółzawodników. Kolej Pensylwańska, w której Carnegie pracował niegdyś jako początkujący urzędnik, nie opuściła go. Zaczął od dostarczania jej szyn i stali. Władze Pittsburga, które udało mu się zręcznie wciągnąć do swoich interesów, ściągnęły mu miejscową klientelę. Wyjątkowe warunki dano kompanii „Steel and Iron“, gdy rywalizujące z nią firmy widziały taryfy podnoszące się z dnia na dzień, co wywołało kilka rozgłośnych bankructw. Sądy próbowały wdać się w to, ale wszystkie niebezpieczeństwa zostały zażegnane, i dziś Andrzej Carnegie stanął u szczytów fortuny, którą obliczają na 300 z górą milionów. W samym okręgu Connelsville posiada 20,000 hektarów koncesyj węglowych. W stalowniach jego pracuje 15,000 robotników, a w kopalniach drugie tyle. Lista płacy jego wynosi tygodniowo dwa miliony.

Andrzej Carnegie, który odznacza się uczuciami humanitarnymi, może teraz zabawiać się w filantropa. Ofiarował pięć milionów Bibliotece w Pittsburgu i zobowiązał się wydać jeszcze 20 milionów na inne potrzeby miasta. Oprócz tego wyposażył z królewską hojnością inne biblioteki w Stanach Zjednoczonych iłoży miliony na cele oświaty ludowej tak w Ameryce jak w rodzinnym kraju swoim, Szkocji, gdzie nabył wspaniałą posiadłość Skiba, w której lubi chronić się przed zgieł-

kiem interesów. Winniśmy tu dodać, że Andrzej Carnegie posiada dar słowa i chętnie wygłasza odczyty publiczne w przedmiotach religijnych i politycznych. Opublikował trzy tomy dzieła *Empire of business*, które było przetłumaczone na wszystkie języki europejskie.

Król zbożowy, Józef Leiter, jest dotychczas młodzieńcem. Kiedy w 1897 r. z pomocą kilku spekulantów zorganizował swój „Wheat Trust“, nie miał jeszcze lat dwudziestu. Urodzony z ojca bogacza, miał on od kolebki miejsce wyznaczone wśród potentatów finansowych. Leiter rozpoczął swoje operacje, skupując zboża na wszystkich rynkach europejskich i amerykańskich, i zgromadził go do 35-ciu milionów korcy (bushel). Jednocześnie niewytłómaczone kłęski pojawiły się w różnych krajach wyłącznie produkujących zboże, jako to w Georgii i Florydzie. Spichrze, pełne zapasów, padały ofiarą płomieni, a ceny wzrastały ciągle. W ciągu pierwszych 14-tu miesięcy po zorganizowaniu się syndykatu Józef Leiter zrealizował 25 milionów franków czystego dochodu.

Ale tu zatrzymał się wzrost tej zadziwiającej fortuny. Spekulanci zbożowi, zrujnowani przez trust, i inni, zagrożeni podobnym losem, zjednoczyli się przeciw Leitrowi i jego spółnikom. Wheat Trust miał jeszcze w zapasie 15 milionów korcy zboża, kiedy ceny zaczęły raptownie spadać, a wyjątkowy urodzaj w 1898 r. uzupełnił porażkę.

W niespełna sześć tygodni Leiter stracił wszystkie swoje poprzednie zyski, i prócz tego

jeszcze milion dolarów. Spólnicy jego z trustu wycofali się w samą porę, aby mu dać ponieść wszystkie straty. Wkrótce zboże podniosło się do cen normalnych, a Leiter pomimo swego niepowodzenia nie utracił osobistego kredytu, i w dwa miesiące później zorganizował nowy trust, zagarniając tym razem monopol mleka. Wszyscy poszczególni dostawcy zostali usunięci, jedna tylko „General Dairy Company” opiera mu się jeszcze, ale musiała ona podnieść ceny detalicznej sprzedaży mleka. Kapitały napływają do kasy zdetronizowanego króla zbożowego, Leitera, który ustąpił miejsca „królowi mleka”.

Słówek jeszcze o nim samym. Jest synem Lewiego Leitera, króla srebrnego, który jest jednym z najbogatszych mieszkańców Fifth Avenue. Matka jego, znana z swego nieuctwa, w Ameryce przezwaną została panią *Malapropos*. Córkę swoją, Maryę Leiter, wydała za lorda Curzona, wice-króla Indyi. Kazała zrobić jej portret słynnemu Meissonierowi, a gdy ten wykończył swe dzieło, zapytała go:

— Czy nie mógłbyś pan polecić mi jakiego dobrego rzeźbiarza? Marya ma śliczne *ramię* i chciałabym kazać z niego zrobić *biust*.

I odtąd wszystkim pokazuje z dumą *biust ramienia* swojej córki.

Gdy pewnego razu, po powrocie z podróży na Wschód, przechwalała się tem, gdzie była, jedna znajoma zapytała ją, czy widziała Dardanele?

— Dardanelów? — odparła z oburzeniem pani Leiter. — Jak można nawet o to pytać? Rozumie się, że ich widziałam. Byłam nawet dwa razy u nich na obiedzie. To bardzo mili ludzie.

Pełna rzekomego zachwytu dla starych mistrzów szkoły holenderskiej i flamandzkiej, pani Leiter wygłasza zdanie, że oni jedni tylko umieją malować, to też, jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się dać zrobić swój portret, to będzie pozować tylko przed Rembrandtem lub van Dykiem. Dodajmy, że serce tej milionerki jest na wysokości jej inteligencji, i że nigdy nie poświęciła dolara na cele dobroczynne.

Królowie własności ziemskiej i król agronomil.

Olbrzymia fortuna Astorów powstała bez pomocy trustu a nawet bez zwykłych spekulacji, tylko przez naturalny przyrost kapitałów. Jest to wyjątkowy przypadek, który zasługuje na zastanowienie. Jeżeli bowiem wiadomo jest w Europie, że setki milionów Astorów reprezentowane są przez nieruchomości ziemskie, mniej znanem jest tam matematyczne prawo, na którego mocy nagromadziły się one same przez się, bez niczyjego spółdziału, członkowie bowiem rodziny nie mieli

nie innego do roboty, jak, skrzyżowawszy ręce, przyglądać się, jak Paktol złoty napływa do ich kasy.

W 1790 r. John Jakób Astor, pochodzenia niemieckiego, osiedlił się w New-Yorku, jako kupiec instrumentów muzycznych. Bardzo sprytny w interesach, rozwinął je pomyślnie i kilkakrotnie zakredytował już Bankowi pokaźne sumy; kiedy wyczytał ogłoszenie o wystawieniu na sprzedaż olbrzymiej przestrzeni gruntu na wyspie Manhattan, podówczas prawie nie zamieszkanej, leżącej pod uprawą warzywa. Nie zawahawszy się ani chwili, Astor zlikwidował swój interes, wyprzedał ostatnie trąby i flety, wycofał kapitały z banku, i kupił grunta w Mahattan za sumę 625,000 franków. Te to grunta, powiększone późniejszymi jeszcze nabytkami, stanowią dziś majątek Astorów. Była to jedyna ich spekulacja z przed 110-ciu lat.

Umierając, stary Astor wymógł od dzieci przysięgę, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie pozbędą się ani jednej piędzi ziemi. Przewidywał jaką ją czeka przyszłość. Przyrzeczenia tego spadkobiercy wiernie dotrzymali.

Zostawszy właścicielem gruntu, nowonabywca zaczął go zabudowywać szczerlnie. Życie w New-Yorku i rozrost miasta zdawał się posuwać w tym kierunku. Wartość ziemi podnosiła się z zadziwiającą szybkością. Najem domów przynosił rok rocznie ogromne sumy. W 1804 r. Astor zebrał tak znaczne kapitały, że zakupił nowe grunta. Wice-

prezydentem Senatu amerykańskiego był podówczas niejaki Aaron Burr, do którego należała znaczna część wyspy Manhattan. Nosił on się z zamiarem przeniesienia się do Meksyku, z czego korzystając Astor, manewrował tak zręcznie, że odkupił od niego całą posiadłość.

Od tej pory fortuna Astorów została ustaloną.

A jaka to fortuna, z „Tysiąca i jednej nocy!“ Biorąc tylko pod obrachunek grunta wyspy Manhattan, nie licząc innych późniejszych nabytków, dochodzimy do istic bajecznych liczb. John Jakób Astor zapłacił za nie 951,330 franków, a dziś dają one dochód roczny, przenoszący sto milionów. Przestrzenie te składają się z 1520 parceli, mających więcej siedmiu tysięcy frontów i to w najludniejszej i najbardziej ożywionej dzielnicy w New-Yorku. Ogromny rozwój miasta sprawia, że z dnia na dzień na jakichś nieużytkach powstaje bogata lub kupiecka nowa dzielnica miasta. Zdarza się też ciągle, że ta lub owa posiadłość, ceniona na 3 do 5-u franków za metr kwadratowy, w parę miesięcy podnosi się w cenie do 80 lub 100 fr. Jeżeli grunta są zabudowane, ceny lokalów wzrastają w dziesięćkroć, jeżeli nie, cała armia mularzy i architektów zjeżdża na miejsce i nowe ulice powstają jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Ze względu na rozrzucenie posiadłości Astorów we wszystkich dzielnicach New-Yorku niepodobna, aby ceny podniosły się gdziekolwiek, nie przynosząc im zysku. Do tej gałęzi przemysłu terytoryalnego przyłączono inną jeszcze specyalność, a tą jest

wypożyczanie sum na hipotekę. Obliczają obecnie, że sumy, wypożyczone przez Astora pod solidną gwarancją hipoteczną, przenoszą 115 milionów. W razie niezapłacenia procentu w najakuratniejszym terminie, nieruchomości przechodzi w ręce wierzyciela. Olbrzymia ta fortuna, obliczona przed kilku laty na 1,900 milionów fr., podzielona jest między dwóch braci i jedną siostrę. Widzimy z tego, że bogactwa Astorów nie powstały z ruiny spółzawodników, ani z krzywdy ludności robotniczej, ale wynikają ze zbiorowego postanowienia jednej rodziny utrzymania się przy własności ziemskiej. Rozwój ich fortuny normowany jest rozwojem bogactwa całego kraju. Pomyślność Ameryki, wzrost New-Yorku, suma dobrobytu ogólnego, napływ kapitałów, praca zbiorowa całego ludu, wytworzyły własność ziemską, przewyższającą dziś wartością cały Stan Delawara. A co to będzie jeszcze w przyszłości?

Z kolei teraz wypada nam powiedzieć kilka słów o „królu agronomii“. Jest nim były senator Charles Farwell, który doszedł do posiadania największych obszarów rolnych, jakie kiedykolwiek zgromadzone były w jednych rękach na obu półkulach. Jest temu lat 17, gdy Stan Texaso pamiętał się, że nie posiada gmachu prawodawczego, czyli, jak mówiono, Kapitolu, godnego reprezentacji. Kasa publiczna świeciła pustkami. Ciało prawnicze weszło więc w porozumienie z Farwellem, który, z pomocą brata swego Johna i syndykatu przedsiębiorców, podjął się własnymi środkami zbudo-

wać w Austin Kapitol granitowy, według planu, omówionego z góry. W rok potem gmach stanął, a Charles Farwell otrzymywał w państwie Texas dla siebie i swoich spółników ogromny obszar gruntu, nie mający dotychczas żadnego właściciela.

Rozmiary Ranch'u są olbrzymie. Jest to przesmyk ziemi, mający 33 kilometry szerokości na 266 długości. Grunt jest wyjątkowo urodzajny, a w niewykarczowanych dotychczas miejscach rośnie zimą i latem wyborna pasza dla bydła. Trzeba było ogrodzić tę przestrzeń, co pociągnęło ogromne koszty. W tym celu użyto 1500 mil długości drutu galwanizowanego. Zaczęto stawiać stajnie i obory oraz wszelkie budynki gospodarcze; wywiercono 300 studni na głębokości 40 metrów, z wiatrakami dla wprawiania w ruch pomp. Sprowadzono na miejsce 120,000 bydła, 1,550 koni, i rozpoczęła się eksploatacja, polegająca na hodowli bydła i uprawie ziemi. Okazy opasowe sprzedawane bywają w Chicago, gdzie z nich robią konserwy mięsne dla Europy i Indyj. Większa część gruntu leży pod łąkami, ale karczowanie idzie bez przerwy. Zbiory powiększają się z każdym rokiem, a upadek zbożowego Trustu Leitera spowodowany był częściowo oporem, jaki mu stawiał Ranch Farvella. Wartość jego przedstawia dziś około stu milionów, na które właściciel wydał w swoim czasie zaledwie ośm kroć sto tysięcy.

KILKA KRÓLOWYCH.

Dotychczas trust pozostawał wyłącznie w męskich rękach. Kobiety, którym udało się zgromadzić miliony, posługiwały się zwykłemi sposobami dorabiania się fortuny, a niektóre z nich zajmują poczesne miejsce wśród królów dolarowych.

I tak np. Mistress Richard King zasłużyła sobie na miano *królowej bydła*. Mąż jej, ubogi człowiek, który zajmował się w Texas hodowlą tego, umierając, zostawił żonie bardzo małą schedę. Ale energiczna wdowa zabrała się do pracy: rozszerzyła obory, dokupiła bydła, znalazła nowe drogi zbytu, i w krótkim czasie podwoiła swoje mienie. Inna kobieta na jej miejscu, zapewniwszy sobie dobrobyt, pomyślałaby może o wypoczynku, ale ją opanowała gorączka złota, to też rzuciła się w wir walki spekulacyjnej. Dziś posiada 700,000 hektarów ziemi. Jest to istne państwo, którem właścicielka zarządza arbitralnie jak monarchini. Wola jej stanowi tutaj prawo i jest tak szanowana, jakby miała do swoich posług cały zastęp wojska. Jest to dziś kobieta lat pięćdziesięciu kilku. Posiada na obszarach swojej ziemi dwie wspaniałe rezydencje letnie; chętniej jednakże przebywa w pałacu, który kazała sobie zbudować w Corpus Christi.

Charakter jej ocenia się dopiero prawdziwie, towarzysząc jej w objeździe po folwarkach, który odbywa dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, aby zdać sobie naocznie sprawę ze stanu bydła i paszy. W objazdach tych, stanowiących rozkoszną podróż, towarzyszą jej nieraz całe setki powozów, bo zaprasza z sobą rzeszę znajomych, w ślad których ciągnie imponująca eskorta, złożona ze sług, kucharzy, pastuchów i cowboyów.

Przed 15 tu laty pani King posiadała już 250,000 sztuk bydła rogatego, 50,000 cieląt, 90,000 owiec i 2,500 koni wierzchowych. Co rok wysyła ona przeszło 300,000 sztuk wołów na wywóz, za co pobiera 75 do 100 milionów franków.

Posiadłość pani King podzielona jest na dwa naście okręgów, z których każdy ma swojego naczelnika, podległego rozkazom głównego zarządcy. Każdy z tych naczelników w swoim zakresie używa nieograniczonej władzy. On to kieruje pracą, opłaca robotników, przyjmuje i odprawia służbę; słowem, rządzi samodzielnie, a raz tylko do roku przyjmuje rozkazy dane z góry. Każda osada zbudowana jest dokoła domu naczelnika, który musi być żonatym. Nauczyciel szkoły i pastor płatni są przez właścicielkę i całkiem oddani jej interesom. Domy oficyalistów zbudowane są skromnie, lecz obszernie i wygodnie. Obok znajdują się baraki cowboyów, chaty wyrobników meksykańskich i stajnie dla koni wierzchowych. W każdej osadzie zamieszkuje około stu osób.

Wszyscy urzędnicy otrzymują żywność, mieszkanie, światło, opał i starania lekarskie bezpłatnie. Tylko ubiór należy wyłącznie do nich. Ubóstwo jest tam nieznane i nigdy nie było wypadku zbrodni.

O *królowej złota*, pani Zuzannie Bransford Emery, niewiele jeszcze dziś powiedzieć można, prócz tego, że jest młodą, bardzo ładną i że miliony jej rosną z dniem każdym. Kiedy mąż jej umarł przed 10-ciu laty, zostawiając jej kopalnię, jak się zdawało, bez żadnej wartości, miała zaledwie lat dwadzieścia. Pani Emery udała się sama na miejsce robót, zarządziła nowe poszukiwania, zbadała rudy i, nabywszy przekonania, że zawierają dostateczną ilość srebra, rozpoczęła eksploatację. Energia jej została wynagrodzoną. Z końcem roku kopalnia dała jej 30,000 fr. miesięcznie czystego dochodu, który zwiększał się z każdym rokiem: Zebrawszy kapitał, pani Emery nabyła wielką kopalnię złota „Grand Central“, w stanie Eureka, która natychmiast w pierwszym roku przyniosła pięć milionów. Pratiem, nabywca, ofiarował 50 milionów odstępnego, ale odmówił; zapewniono ją bowiem, że kopalnia warta jest cztery razy więcej.

Tu winniśmy dodać, że młoda milionerka, słynna z piękności, ma ogromne powodzenie w New-Yorku dokąd, mimo licznych nalegań, nie chciała się dotychczas przesiedlić. W ciągu jednego roku odmówiła 138-iu konkurentom, ubiegającym się o jej złotą rączkę.

TRUSTY I POLITYKA.

Z wyjątkiem Astorów i kilku kobiet, odgrywających podrzędną rolę w świecie finansowym, wszyscy miliarderzy, jak widzimy, dorabiali się majątków przez trusty. Tego rodzaju syndykaty, oparte na wywłaszczeniu i wyzysku, podkopują żywotność kraju, tamując rozwój indywidualny energii i przemysłu, wytwarzając nędzę i rozpręgając stłumione namiętności ludowe. Człowiek, nie mogący być pomówiony o parcyalność, należy bowiem sam do uprzywilejowanych *czterystu*, senator Chauncey Depew, wykazawszy dowodnie szkody, jakie wyrządzają trusty w życiu ekonomicznym kraju, wydał im zaciętą walkę. Ogromny jego majątek osobisty, oparty na silnych podstawach, pozwala mu działać swobodnie.

Trusty są stanowczo zabronione przez prawo, ale trybunały w Ameryce są reprezentowane przez kreatury wielkich przywłaszczycieli, którzy podczas kampanii wyborczej wydają miliony dla przeprowadzenia swoich kandydatów i przekupienia oponentów. Czy można przynajmniej spodziewać się, że to nagromadzenie wielkiej własności w jednych rękach jest złem przejściowym? Istniało dawniej przysłowie w Ameryce, że na trzy pokolenia jedno przynajmniej było obdarte; bo syn, który odziedziczył ogromną fortunę po ojcu, trwo-

nił ją i sam musiał dorabiać się na nowo. Ale dziś zmieniała się postać rzeczy, bo fortuny miliarderów zabezpieczone są własnym swoim ogromem, a marnotrawstwo nie zdoła ich podkopać. Testatorowie zresztą zastrzegają się przeciw rozrzutności przyszłych pokoleń. Wiliam Vanderbilt, syn komodora, umierając, zostawił miliard do podziału pomiędzy ośmioro dzieci, ale każde z nich miało prawo tylko do podniesienia połowy swojej schedy. Druga połowa miała być pozostawiona trustowi, a właściciel mógł wycofywać z niego tylko nadwyżkę gromadzonych kapitałów. Jay Gould, który umarł w 1892 r., zostawił 800 milionów do równego podziału między sześcioro dzieci. Samemu tylko synowi Jerzemu przeznaczył trzydzieści dodatkowych milionów, tytułem nagrody za jego spółpracownictwo w interesach; ale żadnemu ze spadkobierców nie wolno było wycofać z syndykatu kapitału, do procentów tylko i zarobionych sum mogli rościć sobie prawo. Co więcej, w razie śmierci którego z dzieci, część jego powracała do rodzeństwa.

Wiliam Astor zostawił 500 milionów, z których przeznaczył trzy miliony renty dożywotniej dla żony; trzem córkom dał w posagu po 20 milionów; pięćdziesiąt milionów rozdał różnym instytucjom dobroczynnym w kraju, a resztę zostawił swojemu synowi, pułkownikowi Jakóbowi Astorowi. Z przypadających mu jednak w udziale 300 milionów pułkownik mógł podnieść na razie tylko 90, a drugie tyle w cztery lata potem. Pozosta-

łych 180 milionów miało stanowić kapitał podstawowy trustu, od którego procenta tylko pobierał spadkobierca.

U wszystkich trzech więc królów dolarowych znać obawę o rozpadnięcie się fortuny i jednakowo wygórowaną ambicję dynastyczną. Zabezpieczone w ten sposób miliony zwiększają się z każdym rokiem, a syndykaty nie przestają pochłaniać kapitałów krajowych i zagranicznych, tworząc potęgę finansową groźną dla świata.

Nietylko nędzę, ruinę, ucisk i gwałt rozpowszechniły trusty w Stanach Zjednoczonych, ale przekupstwo wyborcze, spaczenie sprawiedliwości i obezwładnianie władzy wykonawczej. Złe zakorzenia się coraz głębiej i coraz trudniejsza jest walka z nim.

Przedewszystkiem należałoby zmusić potentatów finansowych do opłacania podatków państwowych na tej samej zasadzie, której ulega reszta ich spółrodaków. Obecnie nie płacą oni nic prawie. W Stanach Zjednoczonych istnieje prawo, na mocy którego każdy obowiązany jest płacić podatki tylko w Stanie, w którym mieszka. Wyjątek w tym względzie stanowią nieruchomości. W celu uchylenia się od tej powinności, królowie dolarów uciekają się do przeróżnych wybiegów. I tak, od fortuny oszacowanej na miliard dwieście pięćdziesiąt milionów Rockefeller płaci zaledwie 30,000 podatku, gdy w Niemczech ściągnięto by z niego, według miejscowej stopy procentowej, trzy miliony sto dwadzieścia pięć tysięcy franków.

John Jakób Astor, który płaci w Ameryce 25,000 franków, zapłaciłby w Niemczech milion dwakroć pięćdziesiąt tysięcy. Pierpont Morgan i Twombly, którzy płacą każdy po 2,100 franków, byłiby opodatkowani na 250 tysięcy i t. d.

Kompanie transportowe: „Metropolitan Street Railway,” „Third Avenue Railway Company,” „Union Railway” i wiele innych, które posługują się placami i ulicami New-Yorku, a realizują olbrzymie korzyści i wypłacają akcyonaryuszom 35% dywidendy — nie płacą ani szeląga podatku. Władza municypalna New-Yorku zaprotestowała przeciw temu nadużyciu, a proces, który ciągnął się przez lat siedm i kosztował miasto około 500 milionów, nie doprowadził do żadnego wyniku.

Miliarderzy amerykańscy, działając bądź każdy na swoją rękę, bądź zbiorowemi grupami trustów, mają tylko na widoku pomnożenie swojej fortuny i wyłamanie się z pod wszelkich ciężarów i kontrybucyj państwowych. Łatwo jednak jest przewidzieć, że przyjdzie czas odwetu, kiedy będą się widzieli zmuszeni uciec pod opiekę tych samych praw, gwałconych dziś przez nich bezkarnie.

Jak się bawią miliarderzy.

Wobec takiego nieprawdopodobnego skupienia się bogactw, mimowoli nasuwa się pytanie: jaki też

rodzaj rozkoszy przynoszą one swoim właścicielom? Widzimy zawziętych spekulantów, którzy, po kilkudziesięcioletniej, wyczerpującej pracy, doszedłszy do późnego wieku, nie ustępują z wyłomu i do ostatniego tchu trwają w pogoni za nowemi zdobyczami, które nie zmieniają przecież w niczem trybu ich życia, ani nie przyniosą im większej przyjemności. Miliarder amerykański nie jest w niczem podobny do bogaczy europejskich. Nie ma charakterystycznych rysów Harpagona, ani Shyloka; nie ciuła milionów po to tylko, aby napawać się ich widokiem. To by się nie zgadzało z jego temperamentem anglo-saksońskim. Nie wyrывałby sobie włosów, gdyby mu wyłamano kasę ogniotrwałą, bo kredytywy bankowe zastępują mu tytuły własności. Zależy mu tylko na tem, aby zużytkować wartość ekonomiczną złota i dogodzić nadmiernej swojej ambicyi, olśniewając Amerykę i świat cały. Oto cel, do którego dąży i w którym dopomagają mu żony i córki, usiłując wzbudzić zazdrość swoich spółzawodniczek zdobyciem rekordu na wyścigowem polu próżności.

Przez jakiś czas donacje weszły w modę, a miliarderzy prześcigali się w królewskich darach dla uniwersytetów i bibliotek narodowych. Dzienniki rozpisywały się nad hojnością Vanderbiltów, Astorów i innych bogaczy żądnych rozgłosu. Ale w końcu publiczność oswoiła się z tem i wdzięczność zastygła w sercach. Ekscentryczni miliarderzy wynaleźli sobie więc inną drogę reklamy, siląc się przenieść na swój grunt nowoczesny da-

wne wspomnienia i pamiątki historyczne. I tak, Amerykanie żywią dla Napoleona cześć wyjątkową. New-York nie może nigdy odżalować, że kolebką jego była Korsyka, nie Stany Zjednoczone, gdzie pamięć jego dotychczas otoczona jest aureolą. Pałac w Malmaison, historycznej miejscowości, nabytej przez cesarza dla Józefiny, reprodukowany jest w tysiącach ilustracyj i oleodruków, rozrzuconych po kraju, a najmniejsze relikwie epoki Napoleońskiej cenione tu są na wagę złota. Styl cesarski przeważa też w umeblowaniu; Fryderyk Vanderbilt, syn komodora, zwiedziwszy Malmaison podczas pobytu swego we Francyi, zapragnął stworzyć sobie zupełnie podobną rezydencję nad brzegami Hudsonu.

Oblężenie Paryża przez Niemców uszkodziło wielce piękny pałac Józefiny. Strzaskane kolumny, rzeźby i sztukaterye, odłamy cennych mozaik, walały się w stratowanych trawnikach. Dzieła sztuki rozproszyły się wśród antykwaryuszów Paryża i Frankfurtu. Vanderbilt jął to wszystko skrupulatnie skupować, polecił budowniczym zdjęcie dokładne planów Malmaison i rozpoczął budowę pałacu w New-Yorku. Jest on wiernem odbiciem rezydencji zdebronizowanej cesarzowej. Widzimy tam tę samą paradną salę jadalną w stylu Odrodzenia włoskiego i hale centralne, otoczone marmurowymi schodami, z posadzką mozaikową. Apartamenta państwa Vanderbilt reprodukuja w najdrobniejszych szczegółach sąsiadujące z sobą pokoje Napoleona i Józefiny. Łóżka są istnemi arcydziełami

sztuki: nad każdym z nich wznosi się baldachin cesarski, wsparty na sięgających sufitu kolumnach z drogocennego kasztanu kaukaskiego, pokrytego misternymi rzezbami i bronzami. Sztukaterye we wszystkich pokojach są z najcenniejszego drzewa i każdy zakątek domu skopiowany jest dokładnie ze swego pierwowzoru. Fantazyja ta kosztowała Vanderbilta około 15 milionów.

Byłoby jednakże błędem przypuszczenie, że właściciel czerpie jakąś rozkosz artystyczną ze swojej posiadłości, nie umie on bowiem odróżnić jednego stylu od drugiego. Impuls jednakże został dany, rękawica rzucona. Podjęła ją pani Stuyvesant Fish. Vanderbilt miał swoją Malmaison; ona zapragnęła mieć swój pałac dożów.

Pewnego dnia, gdy marzyła na Moście Westchnień, mając po jednej stronie ponure więzienie, a po drugiej pałac, przyszło jej naraz do głowy, że byłoby to *a capital thing* przenieść to wszystko na przedmieście New-Yorku. Nie troszcząc się tylko o zewnętrzną stronę gmachu, pani Stuyvesant postanowiła skopiować wewnątrz pałacu, meble i malowidła dekoracyjne. Nabywszy ogromnym kosztem wszystkie podejrzone starożytności, jakie wpadły w jej ręce, przetransportowała je do olbrzymiego pałacu na Madison Avenue, ocienionego stuletnimi drzewami Central Parku, a położonego naprzeciw muzeum Metropolitalnego. Pałac ten ma sześć pięter i mieści w sobie 40 pokoi. Po lewej stronie wielkiej hali znajduje się sala jadalna, zajmująca połowę długości gmachu, wyłożona do

połowy wysokości dębem i oksydowana stałą ze złotem inkrustacyami. Ściany oklejone są czerwonym obiciem w złote wieńce wawrzynowe; odrzwia i framugi dekorowane motywami z kutego żelaza, naśladującemi dzieła epoki przedhistorycznej, której kilka rzadkich okazów wynaleziono dopiero ostatniemi laty. Pełno w tem wszystkim anachronizmów, ale właścicielka nie dba o to. Dla uzupełnienia złudzenia, kazała nad kominkiem zawiesić portret doży. Z drugiej strony hali mieści się biblioteka i „sala przyjęć.“ W pierwszej oszklone szafy dębowe zajmują trzy ściany, a czwarta mieści w pośrodku wielki komin z marmuru weneckiego, nad którym zawieszono trofea broni z drzewa inkrustowanego złotem. „Sala przyjęć“ jest cała dekorowana białem. Obok znajduje się salon gobelinowy i sala balowa na wzniesieniu, na które się wstępuje przez schody marmurowe, naśladujące estradę, na której zasiadywała Rada dziesięciu. Na trzeciem i czwartem piętrze mieszczą się apartamenta prywatne, a powyżej pokoje służby. Ta bagatelka kosztowała panią Stuyvesant sześć milionów. Ale względu finansowe nie stają na przeszkodzie panu Stuyvesant Fish, który jest prezydentem wielu kolei i, prócz Pałacu Dożów, posiada jeszcze trzy inne, istic królewskie, rezydencye. Kiedy wszedł on w związku małżeńskie, był ubogim urzędnikiem kolejowym i nic nie zapowiadało przyszłego jego powodzenia. Pani Stuyvesant jednakowoż szybko przystosowała się do nowych, a zbytkownych

warunków swego otoczenia. Na bal, który wydała w willi swojej w Newport, akcesoryów kotylionowych dostarczył na salę żywy osieł, podkutty złotem podkowami, w zaprzęgu inkrustowanym drogiemi kamieniami. Następnej zimy zaprowadziła w swoim kółku nową modę mistycyzmu, oddając się z zapalem magii i okultyzmowi. Jej wieczory, na których prezydował Egipcjanin Khaldal i fakirzy indyjscy, miały ogromne powodzenie. To starczyło, aby ją obwołano w New-Yorku królową mody, wytrącając z rąk pani Astor piastowane dotychczas przez nią berło elegancyi i zbytku.

Dom Wiliama Whitney'a na Fifth Avenue nie rości sobie żadnych pretensyj historycznych, jak poprzednie. Jest to poprostu olbrzymi gmach ciężki, niezgrabny i całkiem pozbawiony stylu. Za to właściciel szczyci się zawartemi w nim zbiorami porcelany chińskiej, bronzów florenckich, starej porcelany sewrskiej i saskiej, gobelinów i kobierców perskich, wśród których oko znawcy odszuka łatwo wiele tandety. Ale panu Whitney'owi nie chodzi wcale o rzeczywistą, artystyczną wartość swoich zbiorów, lecz o wzbudzenie zazdrości w drugich. Pewnego razu pokazywano mu obraz Meissoniera, przedstawiający rok 1814, a zakupiony przez Astora za sumę pięciu kroć stu tysięcy franków.

— Ja mam taki sam u siebie, tylko malowany przez innego malarza — rzekł pyszałkowato.

—Kupiłem go za sześćdziesiąt dolarów na jakiejs licytacji.

I odtąd obraz ten figuruje na poczesnem miejscu w jego muzeum.

Przed kilku laty pani Whitney, jedna z naj-słynniejszych piękności w New-Yorku, uległa w Aiken poważnemu wypadkowi, który nadwężył mocno jej zdrowie. Mąż, uwielbiający ją, rozkazał natychmiast umyślnym pociągiem sprowadzić z New-Yorku d-ra Dana, w ślad za którym podażyły wszystkie znakomitości i sławy świata lekarskiego i chirurgicznego. Doktor miejscowy, Mac Gohan, był momentalnie porwany całąj swojej licznej klienteli i zmonopolizowany przez chorą, nad którą czuwały również dniem i nocą trzy dozorcynie dyplomowane. Pan Whitney zaniedbał swoje interesa, aby się wyłącznie poświęcić pielęgowaniu żony. Skoro stan chorej pozwolił na to, przewieziono ją do New-Yorku, nie tylko że specjalnym pociągiem, ale i wagonem, zbudowanym umyślnie w tym celu. Sprowadzono z Francyi słynnego kuchmistrza, który, pod dozorem przydanego mu lekarza, przygotowywał codziennie posiłek dla chorej. Ponieważ pani Whitney jest wielką amatorką kwiatów, więc zgodzono ogrodnika, który miał poleczone czuwać nad wspaniałemi bukietami, jakie codzień nadsyłały jej bogate przyjaciółki. Literata, używającego już pewnej sławy, zaangażowano na sekretarza, którego zadaniem było załatwiać korespondencyę pani

Whitney i czytywać jej głośno ulubione utwory. W tem jednak wyręczał go często sam pan Whitney, który w tym celu zaczął brać lekcyę dykeyi i deklamacyi od znanego artysty z Filadelfii.

Śpiewacy, śpiewaczki i wirtuozi byli ciągle w pogotowiu na rozkazy chorej. Wynagradzano ich po królewsku, z zastrzeżeniem, że nie wolno im, pod karą zerwania umowy, popisywać się w żadnym innym domu. Codziennie też specjalne pociągi zwoziły dla wybrednej pacjentki najpiękniejsze i najrzadsze owoce z Florydy, Luizjany, a nawet z Meksyku.

Rozumie się, że przykład pana Whitney'a znalazł naśladowców, na czele których zacytować należy p. Antonio Terry'ego, drugiego miliardera, ożenionego przed kilku laty ze słynną śpiewaczką, Sybillą Sanderson, która zaraz w pierwszych dniach po ślubie uległa atakowi paralitycznemu i odtąd nie odzyskała władzy. Młodzi małżonkowie osiedlili się w willi w okolicach Paryża, dokąd zawezwali wszystkich najznakomitszych specjalistów z całej Europy. Prócz tego czterech lekarzy i sześć infirmerek czuwało nieustannie nad chorą. Zamiłowanie do muzyki przerodziło się z czasem niemal w chorobliwą namiętność. Tylko muzyka zdawała się przynosić niejaka ulgę jej cierpieniom; to też pan Terry na królewskich warunkach zaangażował wysoce utalentowanego skrzypka, który nie opuszczał nigdy willi. Pewnego dnia chora wyraziła życzenie usłyszenia opery „Esclarmonta,” w której zaznała kiedyś największego powodzenia

na scenie. Niezwłocznie pan Terry zebrał trupe najslynniejszych artystów paryskich i ci w pokoju chorej odśpiewali całą operę.

Ale prawdziwie wzruszający charakter nadał tym wszystkim objawom troskliwości to, że pan Terry nie ograniczył się na wydawaniu bajecznych sum dla ulżenia cierpień ubóstwianej małżonki, lecz sam wycofał się zupełnie ze świata, aby poświęcić się wyłącznie pielęgnowaniu jej z niestrudzoną pieczołowitością. Dowiódł tem potęgi swego uczucia i wyjątkowej dobroci serca, którą rzadko się napotyka między mieszkańcami Fifth Avenue.

Ekscentryczność i pycha miliarderów ujawnia się nawet w grobowcach, któremi niektórzy usiłują zaćmić przepych pałaców; to też cmentarz Woodlawn, przeznaczony wyłącznie dla bogaczy, stanowi dla ich próżności nowe pole popisu. Przez długi czas grobowiec Jay Goulda, kosztujący trzykroć sto tysięcy, a nad którym dniem i nocą czuwali dozorecy, wybrani z pomiędzy oficyalistów z dóbr rodzinnych, ściągali na siebie powszechną uwagę. Dziś odsunięty on jest na plan podrzędny wobec wspaniałego mauzoleum, które za życia jeszcze wystawił sobie bogacz Townsend Hutchinson. Zbudowane ono jest całe z granitu, a ołtarz wykuto z najkosztowniejszego, zielonkowego marmuru, stanowiącego rzadkość w swoim rodzaju. Przed kilku laty odkryto pod New-Yorkiem kopalnię takiego marmuru, a Hutchinson pośpieszył się zakupić ją, aby nikt inny nie miał

podobnego grobu. Pałac pośmiertny, jaki sobie zbudował Robert Gould, kosztował 620,000 fr. Jest to największy gmach w swoim rodzaju, jaki posiada Ameryka, a przedstawia tę oryginalność, że nie zawiera w sobie nic, coby nie było produkowane przez grunt ojczysty. Jest on w stylu jońskim i ma sześćdziesiąt przedziałów, stanowiących jakby osobne apartamenta dla każdego nieboszczyka. Wewnętrzne urządzenie skopiowane jest z dawnych grobów hebrajskich. Palma pierwszeństwa jednakże pod względem pomysłowości i przepychu należy się królowi miedzi, senatorowi Wiliamowi Clarkowi, z Montany, który wydał przeszło milion franków na swój grobowiec, cały z białego granitu, do którego wstępuje się przez schody wykute z jednego łomu i którego wspierał fronton waży nie mniej jak 35 ton. Rysunek drzwi, wykutych z bronzu, zrobiono w Paryżu. Posadzka ułożona jest cała z marmurów zagranicznych, a nad ołtarzem inkrustowana jest mozaika z zielonego marmuru, zmieszanego z kryształem złocistej, naturalnej barwy. Na plafonie widnieją mozaiki, naśladujące okazy, które pochodzą z dawnych grobowców egipskich. Światło i powietrze przenikają swobodnie wewnątrz przez kopułę, umieszczoną ponad głównym ołtarzem. Takim to sposobem miliarderzy usiłują pokonać grozę śmierci.

Wobec takich przykładów rozrzutności dziwnem by było, gdyby Amerykanki nie szły w ślady mężów swych i ojców. Próżność ich, o której

mieliśmy już sposobność mówić, nie zna miary, tam zwłaszcza, gdzie chodzi o zadziwienie świata przepychem stroju. I tak, panna Paulina Astor, wybierając się do Anglii, gdzie miała być przedstawioną na dworze królowej, poruszyła cały New-York i Paryż, w celu odpowiedniego wyekwipowania się w drogę. Po wielu wahaniach zdecydowała się zabrać z sobą tylko 120 sukien, z których każdą upakowano w osobny kufer. Bielizna mieściła się w 38-iu pakach, a same kapelusze zajmowały ich 72. Toaleta jej dworska z białego atlasu, pokrytego koronkami, prócz pereł, któremi była zahaftowana, kosztowała 12,500 fr. Jako klejnoty używa ona tylko pereł, ale każda z nich kosztuje 15 tysięcy fr., a jest ich 30 w jednym naszyjniku. Z powodu 19-tej rocznicy jej urodzin ojciec podarował jej drugi sznur pereł niebywałej wielkości, którym cała okręcić się może. Posiada też szkatułkę pełną brylantów, a rubiny jej i szmaragdy, odziedziczone po matce, wprawiają w podziw jubilerów całego świata.

Miss Churchill chlubi się znów posiadaniem najpiękniejszej bielizny na świecie, i w tym celu każe sobie wyrabiać w Holandyi i we Francyi specyalne batysty cienkości pajęczej. Wyprawa jej, wystawiona przez tydzień na widok publiczny, wzbudzała powszechną zazdrość. Sama bielizna kosztowała przeszło sześć kroć, niektóre jej sztuki dochodziły do ceny trzech tysięcy franków, a nawet więcej.

Miss Józefina Brooks, córka miliardera, nie podziela zamiłowania miss Churchill do bielizny; za to kocha się w kapeluszach i bucikach, których posiada niezliczoną ilość i które przyozdabia najcenniejszymi klejnotami. Pantofelki jej dochodzą nieraz do ceny 1,300 fr., nie licząc w to klamry, a kapeluszy zakupiła do swojej wyprawy za 28 tysięcy. Sama raczyła też robić reporterom honory wystawy swoich strojów, dając im wszelkie informacye.

Miss Wirginia Fair, poślubiona Vanderbiltovi, zdobyła rekord pierścieni zaręczynowych. Otrzymała bowiem od narzeczonego soliter wartości przeszło dwakroć, unikat w swoim rodzaju, który przedstawiał tylko tę niedogodność, że przeszkadzał szczęśliwej właścicielce wkładać rękawiczki. Miss Fair, posiadająca zdolności do rysunku, wyrysowała sama projekt ślubnego swego łoża, które kazała wykonać ze szczerzego złota. Ramy tylko są żelazne, pokryte emalią z kości słoniowej, nasładowanej wieńce z blade-niebieskich niezapominajek. Z góry zwiesza się jedwabny baldachin odpowiedniej barwy, przybrany cennymi koronkami. Łoża spoczywa na czterech gryfach ze złota, maskujących kółka. Wszystkie kostiumy sportowe i wizytowe miss Fair naszykowane były także jej ręką; wybredna ta osobka bowiem nie znosi banalności. W dzień ślubu sama bielizna, jaką miała na sobie, istne arcydzieło kunsztu, przedstawiała wartość 50 tysięcy. Marnotrawnica ta jest o pięć lat starszą od swego męża, który poślubił

ją w 21 roku swego życia. Podróż poślubna młodej pary trwała trzy tygodnie i kosztowała trzykroć. Dodać należy, że małżonkowie jechali sami we dwoje, nie chcąc się krępować obecnością służby. Podróżowali zaś tylko specjalnymi pociągami i w żadnym hotelu nie znosili obecności innych gości.

Ekscentryczność Amerykanek nie ogranicza się na posiadaniu rzadkich klejnotów lub strojów, lecz rozciąga się na zwierzęta domowe. Według wykazów statystycznych, dowiedzione jest, że w świecie miliarderów wydają rocznie 25 milionów na psy. Pierpont Morgan posiadał ich cztery, za które zapłacił 52 tysiące. Jego psiarnie utrzymywane są z istic amerykańskim zbytkiem, a dozór nad nimi powierzony jest specjalście, który otrzymuje bardzo wysokie wynagrodzenie. Wspomniały park właściciela stoi otworem dla ulubieńców czworonożnych, a duży staw zarezerwowano dla ich codziennych kąpiei. Kucharz przyrządza im jedzenie, a rzeźnik dostarcza codziennie mięsa w najlepszym gatunku. Właściciel jest bardzo dumny ze swoich psów, ale nie przywiązał się wyłącznie do żadnego: nigdy nie widziano, aby którego pogłaskał. Nie wszyscy jednakże mają tak zatwardziałe serce. Tak, miss Alicya Horwitz, idąc do ślubu, tuliła do piersi faworyta swego foksteryera, Jocka, z którym się nigdy nie rozstaje i podczas całej ceremonii nie wypuściła go z rąk. Piesek z powodu tej uroczystości uwieczony był białymi chryzantemami, przepasanymi białą wstążką atłasową. Pani Ogden Mils nie uczy-

szeza nigdy na zebrania, na które nie może przyprowadzić z sobą swego pudła.

Elegantki europejskie z XVIII wieku kazały nieść tren swoich sukien murzynom w liberyi szamerowanej złotem. W Ameryce murzyni nie są żadną osobliwością; za to panny służące Francuzki są w modzie, a płacą im niekiedy od 200 do 250 dolarów miesięcznie. Kamerdynierzy japońscy i węgiersey, piwniczy tureccy i malajscy, ogrodnicy chińscy i kucharze francuzcy przepłacani są również w wielkich domach.

Dziwactwa kobiet przekraczają nieraz wszelką miarę: razu pewnego widziano miss Morris, rzucającą się do kąpiei morskiej w toalecie spacerowej, dla wygrania zakładu; miss Sedley z pocernioną twarzą usługiwała do stołu jak murzynka i narażała się na niestosowne żarty biesiadników; miss Johnson wyskoczyła z olbrzymiego pałacu; miss Adams, ładna aktorka, wzbudza tak olbrzymi zapal w swoich adoratorach, że postanowili oni ulać jej posąg ze złota i wysłać go na wystawę Paryską, poczem miał on wrócić do modelki i, przetopiony w mennicy, zapewnić jej byt na resztę życia. W tym celu otwarto listę składek, które, w niespełna dwa tygodnie, przyniosły 1,740,000 fr.

Mali miliarderzy zaczynają już być oznaczani numerami, jak synowie monarchów. Tak, kuzyn Payne Whitney, syn Korneliusza Vanderbilta i poślubionej przez niego wbrew woli całej rodziny Gracyi Wilson, znany jest dziś pod nazwą Korneliusza V Vanderbilta. Ma on zaledwie drugi rok

życia a zajmuje już całą opinię i prasę amerykańską. Dwie bony i przydany lekarz czuwają nad nim bezustannie od chwili jego przyjsia na świat. Ma on służbę, złożoną z dwóch stangretów, szwaczki, ochmistrzyni i dwóch lokajów. Przepisy higieny są jaknajściślej przestrzegane w jego wychowaniu; tak, nigdy nie wolno nikomu go pocałować, aby mu nie udzielić bakterij zarazliwych. Korneliusz V ubiera się tylko biało. Jego apartamenta całe, od góry do dołu, wyłożone są białą emalią; przebiera on się trzy razy dziennie i ma na sobie naszyjnik z pereł wartości 60,000 fr. Wózek, którym jeździ na spacer, eskortowany przez dwie bony i dwóch kamerdynerów w liberyi, to arcydzieło w swoim rodzaju: cały emaliowany na białło i wymoszczony kosztownymi białymi futrami. Biegli oceniają na dwakroć garderobę tego malca. Kapelusik zwłaszcza, ozdobiony wspaniałemi piórami strusiemi, stał się historycznym. Pióra te bowiem, stanowiące rzadki okaz w swoim rodzaju, przeznaczone były dla księcia Walii, ale pani Vanderbilt podkupiła go, płacąc za nie bajeczną sumę. Mały Korneliusz wegetuje samotnie, otoczony całym tym zbytkiem i przepychem. Nigdy nie pokazuje się u swego ojca, ani dziadka. Nawet przez rodziców jest on uważany i traktowany jak przyszły monarcha.

Pod № 840 Fifth Avenue mieszka 8-letni Jack Astor, dziedzic największych posiadłości w Ameryce. Jest to chłopiec smutny i ponury, nietyle skutkiem charakteru, co dziwacznej edukacji, jakiej go poddano. Całe skrzydło pałacu ojcowskie-

go jest oddane do jego wyłącznego użytku. Żyje w nim samotnie, nie widując nigdy żadnego rówieśnika, któryby podzielił jego zabawy. Dom jego składa się z ochmistrzyni - Francuzki, mającej ogólny nadzór nad wszystkim, z dwóch pokojówek, dwóch kamerdynerów, dwóch lokajów, dwóch stangretów i sześciu groomów. Codzień młody paniez wyjeżdża na spacer sam, mając dwóch lokajów, stojących za karetą. Ochmistrzyni-Francuzka jedzie za nim drugim powozem, pilnując, aby nie przemówił do nikogo i ograniczał się tylko na złożeniu ukłonu znajomym. Robinson Kruzoe nie był więcej osamotnionym na swojej bezludnej wyspie, jak ten potomek miliardarów. W zamian za to kuchnia jego urządzona jest z przepychem, o jakim trudno wyrobić sobie pojęcie; co rano kamerdyner przedstawia młodemu Astorowi na srebrnej tacy *menu* obiadu, starannie opracowane przez głównego kuchmistrza. Raz lub dwa na miesiąc Jack Astor prowadzony jest ceremonialnie na salony swego ojca, co stanowi epokę w jego życiu. Tam bowiem pozwalają mu bawić się szablą, którą Jan Jakób Astor piastował wraz z komendą wyekwipowanego przez siebie pułku podczas wojny Kubańskiej. Jedynym nieodstępnyim towarzyszem biednego dziecka jest mały fortepianik, zrobiony umyślnie dla niego, na którym brząka całemi dniami, usiłując wygrać arye operetkowe, które nuci jego ochmistrzyni. Nie bierze on żadnych lekcji muzyki i zaledwie umie czytać i pisać. Rodzice postanowili, że całą edukację odbędzie on w swoich apartamentach; za nic w świecie bowiem nie

pozwolą mu uczęszczać do żadnej szkoły. Jan Jakób Astor twierdzi dumnie, że żaden potomek mornarszy nie zasiadał na ławkach uniwersyteckich; kiedy mu zaś cytują przykład synów Ludwika Filipa, odpowiada arogancko, że Astor musi szukać wzorów powyżej a nie poniżej siebie.

Dzieci miliarderów, wychowane wszystkie, prawie bez wyjątku w powyższy sposób, stają się istotami pozbawionemi woli, myśli samodzielnej i energii do czynu. Samotność wytwarza u nich zanik władz umysłowych, oddziałując zarazem ujemnie na rozwój fizyczny. Oczywisty przykład tego mamy na synach Jerzego Pullmana, wynalazcy wagonów sypialnych.

Od dnia ich przyjścia na świat podziwiano Jerzego i Waltera Pullmanów, dwóch braci-bliźniaków, jako niemowlęta niezwykle urodziwe i silne. Edukacya, jaką im dano, szybko położyła koniec tej anomalii. Ich także odsunięto od wszelkiego zetknięcia ze światem zewnętrznym i zamknięto szczelnie w zbytkownych apartamentach, skutkiem czego zmarnieli fizycznie i stępieli umysłowo. Zamiast ich posłać do szkół, otoczono ich całym zastępem guwernantek i profesorów, którym przykazano wpajać w nich wszelką wiedzę ludzką, zachowując jednocześnie względem uczniów uszanowanie, należne ich stanowi. Z tego wynikło, że Jerzy i Walter nie nauczyli się nic zgoła, a profesorowie musieli się wyrzec niewdzięcznego zadania; jedyną bowiem przyjemnością i rozrywką obiecujących bliźniąt było drzeć i tłuc wszystko, co im wpadło w ręce, i dręczyć zwierzęta domowe. Kie-

dy który z nauczycieli zaniósł skargę do rodziców, odprawiano go natychmiast. Niepomyślna próba edukacyi domowej skłoniła w końcu pana Pullmana do oddania niesfornych synów do szkół, gdzie umieszczono ich w gronie o wiele młodszych od nich chłopców. Pomimo to byli zawsze ostatnimi uczniami. Otoczeni największym zbytkiem, rzucali pełnemi garściami złoto w sposób szkodliwy dla otoczenia. Tak, jedną z największych ich przyjemności było skupowanie złych psów, które mi szczuli nauczycieli swoich i kolegów. Wakacye spędzali zawsze w Europie, oddając się rozpuszcieniu. Wobec takiego rozpasania ojciec powziął heroiczne postanowienie—oddania ich do szkoły rzemiosł. Próba ta wypadła gorzej jeszcze od poprzedniej. Mieli podówczas lat 18 i przetrwonili już we dwóch przeszło ośm milionów. Wyjechali na miejsce swego przeznaczenia, do Pottstown, w Pelsywanii, zbytkownym wagonem salonowym, otoczeni zwykłą świtą nauczycieli i sług. Ale wobec protestu wszystkich spółtowarzyszy nauk, przełożony szkoły musiał wydalić młodych łobuzów, którzy wrócili do swoich nieszczęśliwych rodziców, co w niczem nie zatruło ich dobrego humoru. Okazali się nawet bardzo zadowoleni z tego, że ojciec przekonał się nareszcie, iż nie z nich zrobić nie można. Czują oni jednakże z postępem lat braki swego wykształcenia. Gdy bowiem pewnego razu pewna ich znajoma dziwiła się, że, przebywając tak często w Paryżu, nie nauczyli się nawet obchodzić bez tłumacza, Jerzy Pullman rzekł zawstydzony:

— Tak, niema w całej Ameryce dwóch takich nieuków, jak my dwaj z bratem. Nikt nami nie kierował. Gdziekolwiek pokazaliśmy się, traktowano nas jak Nababów. W New Yorku matka stawiała w hotelu Windsor, ale my woleliśmy włóczyć się całymi dniami i nocami po ulicach. Wtedy matka wysyłała za nami policyantów, aby nas szpiegować, a my płataliśmy im i przechodniom różne figle. Pamiętam, że przez cały tydzień wywracaliśmy w błoto wózek jakiejś starej kobiety, handlującej jabłkami, to znów rzucaliśmy na chodnik skórki z pomarańczy, aby się ludzie ślizgali i przewracali. Trwoniliśmy ogromne sumy na same głupstwa; ale czegoż innego można się było spodziewać po chłopcach tak wychowanych jak my?

Rzecz godna zastanowienia: ojciec nie przedstawiał uczyć ich pogardzać przemysłem, z którego powstała ich olbrzymia fortuna. Smutne następstwa, jakie wyniknęły z tego, otwarły mu jednakże przed śmiercią oczy. Testamentem swoim ograniczył on rentę dwóch marnotrawnych synów do 15 tys. fr., podzielonych na spłaty tygodniowe, po odbiór których spadkobiercy stawiać się muszą osobiście w kasie, pod karą ich utraty. Chcąc się rehabilitować, wstąpili oni w charakterze urzędników do T-wa kolei żelaznych, założonego przez ich ojca, ale po tygodniu odprawiono ich, gdy się przekonano, że są zupełnie niezdolni do jakiegokolwiek pracy. Obaj bracia mają wygląd wąły i chorowity. Jedynem ich zajęciem jest pić whisky i grać w karty. Nigdy nie szukają oni rozrywek umysłowych, a ogrom ich nieuctwa przechodzi wszel-

kie pojęcie; niektóre zaś ich odpowiedzi przytaczane są w pismach humorystycznych. Pani Pulman, mianowana ogólną spadkobierczynią milionów męża, okazuje potajemnie pomoc synom; ci zaś oczekują chwili, kiedy wejdą w posiadanie jej fortuny i będą mogli zawrzeć jaki ekscentryczny związek w półświatku amerykańskim.

Frank Gould, najmłodszy syn Jay'a Gould'a, ukończył swoje nauki w 14 roku życia, w którym to wieku zaślepiony ojciec, upatrując w nim niezwykłe zdolności, mianował go dyrektorem kolei. Chłopiec zaczął jeździć bez końca po całej linii kolei żelaznych, z romansem w ręku, dokonywając rzekomych inspekcji toru. Po śmierci ojca, siostra jego, miss Helena Gould, o której rozumie i dążnościach humanitarnych mieliśmy już sposobność mówić, położyła temu koniec: kazała bratu złożyć urząd dyrektora i zabrać się ponownie do nauk, po ukończeniu których dopiero zwrócono mu tę godność. Obecnie Frank Gould uchodzi w swoim świecie za nieco dzikiego i mało interesującego młodzieńca, który stroni od ludzi i czuje się tylko szczęśliwym przy swojej siostrze. Wydaje ogromne pieniądze na skupowanie książek i zakładanie bibliotek, ale sam nie czyta prawie nic. Spokojny ten i stateczny chłopiec, pozbawiony zupełnie woli i odporności byłby się dawno ożenił z pierwszą lepszą kobietą, któraby go chciała, ale siostra strzeże go pilnie przed natarczywością młodych *miss*, czyhających na jego fortunę.

Payne Whitney, syn dawnego sekretarza marynarki, różni się całkiem od rówieśników swoich,

młodych potomków miliarderów. Jest on bardzo piękny i ma osobiste poglądy swoje na świat i życie, które doprowadzają do rozpaczyny jego 'rodziny. Zamiłowany w sporcie, lubi on przedewszystkiem tanie rozrywki. Odbywa dalekie wycieczki pieszo lub rowerem, zabierając tylko z sobą skromny bagaż zwyczajnego turysty. Zazwyczaj towarzyszy mu jeden z jego przyjaciół, niezamożny młodzieniec, z którym obaj żyją jaknajskromniej, zadowolając się powszednią strawą i zwykłemi warunkami hotelowego życia. Przepada on za muzyką klasyczną i za Szekspirem, ale nigdy nie ukazuje się w łoży ojcowskiej. Ukryty wśród szarego tłumu, na paradyzie, oddaje się rozkoszy wsłuchiwania w arcydzieła ulubionych swoich mistrzów. Przy każdej sposobności daje się też słyszeć z zamiarem zerwania kiedyś z tradycjami swojej rodziny i rozpoczęcia innego życia, zdala od trustów, giełdy i interesów wszelkiego rodzaju. Nie dziw też, że wśród swoich uchodzi za półgłówka, niegodnego nazwiska, jakie mu przekazał ojciec.

Jeżeli młode Amerykanki usiłują wznieść się na drabinie hierarchii społecznej, zbliżając się do starej arystokracji rodowej, to, przeciwnie, młodzież męska zniża się często ku sferom podrzędniejszym. Wszyscy bowiem odczuwają nieprzepracowaną potrzebę wyrwania się ze swego otoczenia i szukania dla siebie nowych dróg życia. W ciągu czterech lat 152 dziedziczki amerykańskie wyemigrowały do Europy, przywożąc z sobą tysiąc dwieście milionów, które pozłociły niejedną tarczę herbową z czasów krzyżackich. Synowie dorobkowiczów

szukają łatwiejszych zdobyczy za kulisami teatrów, na arenie cyrkowej i w magazynach nowości, skąd często biorą żony. Te zaś świeżością swoją, zdrowiem i wdziękiem odbijają na każdym zebraniu od przedwcześnie zwiędłych postaci swoich mężów. Jeden z rzadkich wyjątków, pod względem fizycznym przynajmniej, stanowił Eugeniusz Kruger, znany w Fifth Avenu pod nazwą Apolina miliarderów. Wysoki, silnie zbudowany, o rysach klasycznych i kruczo czarnych włosach, młodzieniec ów słynął z wprawy i zręczności we wszystkich sportach. Jeździł, strzelał, pływał, wiosłował, a jednocześnie prowadził kotyliony i był duszą wszelkich zabaw. Wielkie panie i aktorki kochały się w nim na zabój, kiedy, osiągnąwszy szczytu sławy światowej, poznał raz na balu miss Blankę Speddon, równie jak on piękną i bogatą. W dwa tygodnie potem zaręczyli się, a następnie ślub młodej pary odbył się nadzwyczaj uroczysto i wystawnie.

Przez lat kilka małżeństwo to żyło zgodnie i szczęśliwie. Mąż i żona, otoczeni szalonym zbytkiem, pędzili egzystencję światową, trzymając dom otwarty, a pani Kruger piastowała niepodzielnie berło elegancji w Tuxedo, zbierając tyle laurów zwycięskich, ile jej małżonek. Ale po trzech latach miłość zobopólna zaczęła stygnąć. Pan Kruger zbyt długo oddawał się próżniactwu, zbytkom i łatwym miłostkom, aby dać się usidlić więzom małżeńskim. Żona jego zażądała rozwodu i, otrzymawszy go, opuściła dom z dwojgiem dzieci, aby wkrótce potem wyjść powtórnie za mąż. Eugeniusz

Kruger ze swej strony puścił się w podróż po Europie, gdzie w dalszym ciągu pędził żywot hulaszczy i rozwiązły. Nie był to już ów świetny młodzieniec z dawnych czasów, zwłaszcza, że zaczął pić bez umiarkowania, zachował jednakże pewien urok, czego dowodem, że młoda wdowa, córka miliardera, pani Meta Bell, oddała mu swoją rękę. Związek ten jednakże trwał krótko, bo zwycięski dotychczas Don-Juan z Fifth Avenue, napotkał nareszcie na drodze swego życia kobietę, która go zwyciężyła. Rozpustny salonowiec rozkochał się najczystsza i najidealniejsza miłością, tym razem nie w kobiecie ze swego świata, ale w młodej kasyerce, Oldze Heitzen, z kawiarni w lasku Bułońskim. Była ona niepospolicie piękna, ale nie otrzymała prawie żadnej edukacji, co właśnie w oczach zakochanego stanowiło największy jej urok. Kruger zwierzył się z swoją miłością żonie, która, wyprawiwszy mu gwałtowną scenę, wyjechała do Ameryki starać się o rozwód. Kruger, oswobodzony powtórnie z jarzma małżeńskiego, porwał młodą kasyerkę z kawiarni i kupił dla niej wspaniały zamek, gdzie oboje, odcięci od świata, oddali się swemu szczęściu. Światowiec, zblazowany sukcesami salonowymi, pierwszy raz w życiu zaznał niezamąconych rozkoszy w związku z dziewczyną z ludu, pełną prostoty i słodyczy. Ale starzane nadużyciami wszelkiego rodzaju zdrowie Krugera podupadało coraz bardziej. Ataki epileptyczne, którym podlegał, panawiały się coraz częściej, a troskliwość i przywiązanie młodej kobiety zdawały się wzrastać z dniem każdym.

— W ciągu mojego życia—rzekł raz Kruger do pewnego dziennikarza amerykańskiego—robiłem nieraz to spostrzeżenie, że kobiety z naszego świata nie są wcale zdatne na żony. Wychodzą one zamaż dlatego jedynie, aby się bawić, a osoba męża gra w ich życiu podrzędną tylko rolę. Złe więc robimy, szukając towarzyszek w naszej sferze, kiedy je możemy znaleźć gdzieindziej, wśród warstw społecznych mniej zepsutych i zdenerwowanych jak nasze. Mężczyzna, który w małżeństwie szuka szczęścia domowego, potrzebuje żony, której by on był jedyną myślą i celem w życiu, która by w potrzebie nie wahała się pracować dla niego, czuwać nad nim w chorobie i spełniać wszystkie jego życzenia. Takich poświęcających się, pełnych zaparcia kobiet, niema w naszym świecie. Z dniem, kiedy mężczyźni zdecydują się przekroczyć zakłętą koło konwenansów światowych i szukać żon z sercem a nie z posagiem — i brać je tam, gdzie je znajdują—wszystkie walki dla interesów ustaną same przez się. Pieniądz przestanie być jedynym celem naszych zabiegów. Widzisz pan więc, że rozstrzygnąłem, jednym zamachem, jeden z najtrudniejszych problemów społecznych zwłaszcza w Ameryce.

W ten sposób Eugeniusz Kruger określał rolę kobiety w społeczeństwie, osładzając sobie resztki życia miłością, rozprawami filozoficznymi i szampanem. Silny atak epileptyczny położył koniec jego zmarnowanej egzystencji. Umarł w pełni szczęścia, zdobytego nareszcie, zapisując cały swój majątek wiernej towarzyszcze, która z niestrud-

dzoną pieczołowitością pielęgnowała go do ostatniej chwili i śmierć jego oplakała szczeremi łzami żalu.

Zdarza się niekiedy, że na rozmaitych szczeblach społecznych rodzą się dusze nie należące zgola do swego otoczenia. Taką była dziecięca, czysta duszyczka Lelanda Stanforta. Ojciec jego piastował godność senatorską i był gubernatorem Kalifornii; matka stanowiskiem swoim i milionami, jakie wniosła w posagu, królowała nad całym towarzystwem w San-Francisco. Szczyciła się najwspanialszym zbiorem klejnotów, i nie opuściła żadnego balu, ani widowiska, zostawiając synka na opiece guwernantek i służby. Dziecko, obdarzone niezwykłą uczuciowością, wszystkimi siłami kochającego, nie uznanego serduszka, przywiązało się do matki, którą widywało tak rzadko. Śmierć bliskiego krewnego, która okryła dom żałobą, zmusiła i panią Stanfort do przerwania na czas jakiś światowego trybu życia, a czego wyniknęło poufniejsze zbliżenie się rodziców do dziecka. Mały Leland zaczął towarzyszyć matce we wszystkich jej przechadzkach, z cichem i milczącym rozradowaniem dziecka, którego wszystkie pragnienia nareszcie się ziściły.

W liczbie znajomych pani Stanfort była pewna niezamężna osoba, która interesowała się bardzo ochronkami dla małych sierotek. Pewnego razu namówiła ona przyjaciółkę do zwiedzenia swego przytulku. Zabrano też małego Lelanda powozem, pełnym zabawek i łakoci. Widok tego małego, sierocego światka był jakby objawieniem dla młodego milionera: uczył bezbrzeżną litość dla swych

zaznał chwili spokoju, póki nie dopiął celu. Stwarzał lub groził zawiązaniem kompanij spółzawodniczych, podwyższał taryfy transportowe, podniecał znowy robotnicze, skupował akcje, ścigał i prześladował do ostateczności. Kolejno „New York Central,” kolej Filadelfijska i Chicago, zagarnięte zostały przez trust. Do tej pory jednakże pokonywał tylko drugorzędne linie, gdy wielkie kompanie stawiały mu opór. Wziął się więc do innych sposobów.

Pod wpływem potęgi jego milionów zarządy lokalne udzieliły mu swego poparcia przeciw spółkom opornym. Szereg najniedorzeczniejszych procesów, wytoczonych pod błahemi pozorami, obrócił się na jego korzyść. Sędziowie, prawnicy, senatorowie stali się powolnemi narzędziami w jego ręku. Pod ciągłą groźbą, zawieszoną nad głowami, kompanie zaczęły się strachać. Za pierwszym wezwaniem przed sądy kapitulowały, jak np. linia Bostonu, którą Vanderbilt nabył za 25% wartości akcji. Wprawdzie nowonabywca zatrzymał całą administrację, podwyższywszy jej płacę. Vanderbilt zawarł był poprzednio z nią umowę na pięć lat, której skrupulatnie dotrzymał. Ale w dniu, w którym upływał ostateczny termin, zawiadomił wszystkich dyrektorów, administratorów, inżynierów, bez wyjątku, że są wolni od jutra; nowi zaś ich następcy zapłacili swoją część ofiary, którą zwierzechnik zmuszony był niegdyś ponieść dla ich poprzedników.

siadał swój specyalny proceder postępowania. Jay Gould miał tylko ogólne pojęcie o kolejach żelaznych i sposobie eksploataowania ich, dlatego pole swego działania obrał zdala od ich toru. Według niego kolej nie była reprezentowaną przez relsy, dworce, parowozy i wagony, ale przez różnobarwne papiery, zwane akcyami, które stanowiły symbol własności. Był przede wszystkim „maklerem.“ Operował na walorach, akcyach, obligacyach, skupując je i sprzedając, podnosząc lub obniżając ich walutę, to też do tytułu króla kolejowego mógłby był dodać tytuł króla giełdy. Był uosobieniem geniuszu spekulacyjnego, nie skrupowanego żadnymi skrupułami. Nie troszczył się o wybór środków, byle dopiąć celu.

Kiedy przybyłem do New Yorku, przyjaciel mój, służący mi za przewodnika, zaprowadził mię na giełdę. W tłoku, wrzawie i ścisku spostrzegłem przypartego do ściany mężczyznę, wydającego rozkazy całej armii faktorów, pokornie zgromowanych dokoła.

— Patrz: — rzekł mój przyjaciel — to ciekawy widok, którego nie każdemu dano jest cglądać. Jay Gould, trzymający ręce w swoich własnych kieszeniach, gdy dotychczas zatapiał je zawsze w cudzych.

Vanderbilt w pogoni swojej za milionami posługiwał się zawsze tradycyjalnymi zasadami trustów. Kiedy rzucił okiem na jaką kompanię, którą zapragnął zagarnąć pod swoją władzę, nie

rówieśników, pozbawionych pieszczot rodzicielskich. Pełnemi rączkami zaczął rozdawać zabawki, ścisnął i całował ubogie dzieci, śmiał się i płakał z radości, czując się tak szczęśliwym jak nigdy. A kiedy matka przyglądała mu się ze zdziwieniem, rzucił jej się na szyję, szepcząc słodkim głosem, pełnym wzruszenia: „Mamusiu, nigdy w życiu nie sprawiłaś mi większej przyjemności.“

Ale od tej pory zawsze wątłe zdrowie małego Lelanda zaczęło szybko podupadać. Zdawał się żyć tylko dla swego małego przytułku, w którym spędzał dni całe, przyglądając się zabawom dziecięcym, w których nie mógł już brać udziału. Aby go oderwać od tego pochłaniającego zajęcia, matka wywiozła go do Rzymu. Ale tu biedny chłopczyzna zapadł na malaryę i w gorączce nie przestawał wspominać swoich małych sierotek. Pewnego dnia, czując się nieco zdrowszym, zewezwał matkę do swego łóżeczka.

— Mamusiu, — rzekł pieścizotliwie — widzisz, ile szczęścia można przysporzyć pieniędzmi. Proszę cię więc, abyś mi coś przyrzekła... Mam swoje drobne oszczędności w banku... jest tego pięć tysięcy. Otóż, kiedy mnie nie będzie, trzeba, abyś podniosła tę sumkę i użyła jej na ratowanie biednych sierotek.

Pani Stanfort, zanosząc się od łez, utuliła syna do piersi. Leland mówił dalej:

— Widzisz, mamusiu, to tak strasznie musi być nie mieć kawałka chleba, żeby włożyć do ust... a jeszcze straszniej nie mieć matki. Więc pomyśl o tych, którzy nie mają ani chleba, ani matki.

Nasze pieniądze mogą im dać chociaż chleb, gdy matki nie już im nie przywróci; ale ty, taka dobra, kochana... obmyśl jaki sposób, aby im ten brak zastąpić. Ty, mamusi, kiedy nie będziesz już mieć swego synka, byłabyś taką dobrą mateczką dla nich. Oni mnie zastąpią... Czy mi przyrzekasz, że przygarniesz te sierotki do siebie?

W trzy dni potem mały Leland zgaśł na ręku zrozpaczonej matki. Pani Stanfört stokroć więcej jeszcze uczyniła, niż przyrzekła. Zaczęła od założenia sześciu ochron dla sierot; potem zaś, sprowadziwszy zwłoki ukochanego syna do wspaniałej posiadłości swojej, Palo Alto, zamieniła ją na wzorowe schronisko dla ubogich dzieci, nadając mu imię zmarłego chłopięcia. Obok przytułku Leland Stanfорта powstał wkrótce uniwersytet tegoż imienia.

Zacna kobieta powoli jąla wyprzedawać wszystko, co posiadała: klejnoty, konie, powozy; nawet słynny naszyjnik brylantowy, oceniony na trzy miliony; — i, zlikwidowawszy po śmierci męża całą swoją fortunę, która wyniosła około stu milionów, oddała wszystko na uczynki miłosierne przez pamięć na jedyne dziecko, któremu na łonie śmierci przyrzekła opiekować się biednymi sierotami.

Cześć zacnej kobiecie, która na ołtarzu swego bólu, złożyła próżność ziemską, i zrozumiała, że ofiara i zaparcie siebie ze strony wybranych okupują nadużycia i krzywdy, wyrządzane przez innych!

KONIEC.

POWÓDŻ

POWÓDŹ

POWIEŚĆ

PRZEZ

H. D. W.



WARSZAWA.

Nakładem „Biesiady Literackiej”.

1904.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Марта 1904 года.



I.

Ranek był chłodny, wiatr podnosił się ze strony zachodniej, od morza. Gdzieindziej powietrze takie nazwanoby orzeźwiającem; w Judei jednak, i to podczas lata, niktby nie mógł uczynić podobnego określenia. Świadomość suchej spiekoty, jaka nadejdzie wkrótce, wypala nerwy; wyobraźnia, przejęta upałem południowym, nie pozwala ciału używać świeżości wyjątkowego poranku.

Godzina była wczesną. Pomimo tego, stosownie do zwyczaju sfer gorących, w stolicy panował już ruch ogólny. Odkryte targowiska, rozłożone po obu stronach drogi lub w cieniu bram, prowadziły ożywiony handel, znajdując nabywców wśród ludności pobożnej, która, wstawszy z brzaskiem poranku, dążyła do świątyni.

Dla synagog brzask ów najruchliwszą był porą. Pełny żołądek i czyste sumienie w dobrej zostają zgodzie; mieszkańcy też jedli i modlili się

zaczynając w ten sposób dzień, z zadowoleniem, jak zwykle u ludów wschodnich.

Drugi dzień w tygodniu zajaśniał właśnie nad Jerozolimą, nad wspaniałem Jeruzalem, tą chwałą i rozpaczą, tą dumą, nadzieją, przeznaczeniem i zagadką wieczystą rasy całej.

Podczas sabatu mniej widziałeś mieszkańców podmiejskich; za to w innych chwilach tygodnia pełno ich było na ulicach Jerozolimy. Dziś rozpoczynano właśnie ranek poniedziałkowy.

Nawet judejskie kobiety zalegały miasto. Ukończywszy pierwsze obowiązki, po przygotowaniu śniadania z owoców i soczewicy, po strząśnięciu mat i otarciu pyłu, wykąpane i zawinięte w welony, szły zdala za cieniem swych mężów, którzy nie przemawiali do nich na ulicy.

— Oto idzie mój pan—wyrzekła jedna z kobiet, obdarzona głosem niskim i szybko biegającymi oczyma. Mówiła do sąsiadki, dążącej wraz z całą grupą mieszanek przedmieścia na nabożeństwo do jednej z pomniejszych synagog.

— W takim razie i brat mój musi się znajdować w pobliżu—odparła zagadniona.

— Widzę go nawet — zauważył głos inny, znacznie od obu poprzednich łagodniejszy. — Stoi na boku, sam jeden, Marto. Patrz, tam, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, to brat nasz przecież.

— Zapewne—przyznała Marta. — Twoje oczy dalek widzą, niż moje. Zawsze tak było.

Badawczy spostrzegacz, spojrzawszy na obie kobiety, powiedziałby lub pomyślał:

— To serce jej dalek widzi, niż twoje.

Prosta jednak niewiasta nie umiała tego rozróżnić. Przytem własne interesy więcej ją zajmowały nad sprawy sąsiadek.

— Mam nadzieję, iż Ariela da sobie dziś radę beze mnie. Matka Barucha przyrzekła zaglądać do niej; przytem i na Barucha spuścić się można; wart on pod tym względem więcej od dwóch dobrze widzących ludzi. Chciałam nawet, aby mąż został w domu; ale cóż? powiada, że nie jest babą, aby miał doglądać chorych. Patrzcie, idzie właśnie. On sam, Malachiasz... Przystojny człowiek; a że lubi własną mieć wolę, to od tego przecież mężczyzna.

Malachiasz, faryzeusz, kroczący z pewną fanforanadą, strojny w „tales“ i najszerszą filakterję, zawiązaną na ciemnem, pospolitem czole, przeszedł równocześnie obok rozmawiających niewiast, nie poznaając ich napozór. Dobrze formy bowiem nie pozwalały w Judei, aby mąż pozdrawiał własną żonę na ulicy.

— Byłabym chętnie pozostała z Arielą — zabrzmiał znów ten sam głos, pełen słodyczy. — Ślepy Baruch jednak tkliwszym jest i łagodniejszym w obejściu od wielu kobiet. Możesz też być spokojną, Hagar; nie jej się złego nie stanie.

— Wiem o tem — odparła Hagar opryskliwie. — Zresztą to trudno! Sądzę, iż mam prawo, narówni z innymi ludźmi, zobaczyć od czasu do czasu trochę świata. Nie mogę się wyrzec wszystkiego dla choroby mojej córki.

— Cicho! Och, cicho! Wszak wyszliśmy, aby się pomodlić.

Hagar zwróciła na towarzyszkę okragłe swe oczy więcej z podziwem, niż z niezadowoleniem i, ulegając jej wpływowi, ucichła wreszcie.

Z pochylonemi głowami i zakrytem obliczem, krokiem przez poczucie czei stłumionym, grupa cała zbliżyła się teraz ku progom świątyni i, minawszy przedsionek, przekroczyła osobne wejście, przeznaczone dla płci swej.

Mężczyźni, więcej samodzielni w zachowaniu, a mniej przejęci świętością miejsca, gawędzili swobodnie aż do ostatniej chwili. Nie mówili po hebrajsku, gdyż był to język martwy poniekąd, język sfer uczonych tylko. Porozumiewali się po aramejsku, mową ludu i demokracji. Nie byli to wyznawcy wielkiej świątyni, uświetnionej tradycją i czcią narodową, świątyni ukochanej przez podania religijne, a popieranej przez wpływy społeczne. Byli to ludzie uczęszczający do synagog, w których jawnie głoszone herezyę. Byli to faryzeusze. Przedstawiali oni silną partję mieszczańską, która postanowiła zreformować Kościół żydowski—i celu swego dopięła poniekąd.

Nawet teokracja, łącząca w jedną całość religię i patryotyzm, nie może wyłączyć kwestyj politycznych z rozmów mężczyźn. Polityka zaś żydowska w owych czasach przypominała dom obłąkanych.

Każdy z maniaków politycznych szedł za śladem swojej idei, dopóki, zetknawszy się z silniejszym od siebie dozorcą, nie uległ mu, pod grozą kaftana, jaki na niego wkładano.

Malachiasz, faryzejczyk, usunawszy, po krótkiej gawędce, kilku swoich znajomych, zbliżył się do owego młodzieńca, który stał na boku, w myślach pogrążony. Z oczyma utkwionemi w ziemię — a należy zaznaczyć, iż piękne były niezwyczajnie — był dorodnym mężczyzną. Posiadając niezwykłą urodę, będąc niepospolicie pięknym, młodzieniec ów nie należał jednak do ludzi światowych.

Nie był również prostakiem. Ruchy jego i wyraz twarzy znamionowały posiadane doświadczenie, stnowisko i władzę. Strój wskazywał za możność i smak wytworny. Posiadał przytem pewność siebie, właściwą bogatym klasom średnim. Wytwornie zbudowany, zbrojny w siłę, wyrobioną przez ruch i pracę, zachowywał spokój istoty, która wie, iż najtrudniejsza część zadania życiowego spełniona już została. Czynił też wogóle wrażenie człowieka o wyższych pragnieniach, powołanego przez los do pracy fizycznej, człowieka, zrodzonego z powołaniem, wyrzniętego na czoło, lecz zrodzonego zarazem w warunkach, które mu osiągnąć myśli przewodniej nie pozwoliły.

Wielkie, siwe jego oczy były smutne; palił się w nich blask przejrzysty, zjednywający odrzu. Usta zachowały delikatny, nieledwie ascetycz-

ny rysunek temperamentów o upodobaniach umysłowych i duchowych. Włosy i cera posiadały niewieścią prawie wytworność kolorytu. Pociągał też, jak dzieło dobrego pędzla i dłuta pociągać zwykło.

Malachiasz krokiem pysznym, przybieranym przez ludzi tego rodzaju, choćby nawet nie mieli z czego się pysznić, przybliżył się do młodego człowieka, kładąc na ramieniu jego rękę z tą poufałą żartobliwością, nieznośną zarówno dla natur wytworniejszych, jak dla kobiet dobrze wychowanych.

Ponieważ wyrazy jego nie przytem nie zawierały ważnego, otrzymał zimną i krótką odpowiedź. Dopiero słowo jedno, w przelocie rzucone, podziało na spokój młodzieńca, jak iskra na zapas słomy suchej.

Było to tylko imię, jedno imię, na wargach Malachiasza zawisłe, a jednak ożywiło ono zapalem postać jego towarzysza.

— Upprzedzono mię,—ciągnął starszy mężczyzna z wyrazem, który miał dodać ważności jego osobie—upprzedzono mię z pewnego źródła, iż będzie On przemawiał dzisiaj do wiernych, zgromadzonych tutaj.

— Od kogo słyszałeś o tem? — podjął młodszy żywo.

Ton jego wskazywał bądź-to rzeczywiste zdumienie, bądź udaną nieświadomość. Co z dwóch tych uczuć stanowiło prawdę, niełatwo było odgadnąć.

— Powiedział mi to poufnie sam chazan — objaśnił faryzejczyk. — Wiesz przecież, jak często bywam wzywany do narady nad sprawami synagogi. Zdanie moje posiada widocznie pewną wartość... Zapytywano mię też, czy mogę polecić im młodego Rabbi.

— I jakąż dałeś odpowiedź? — podjął młody człowiek z powściągliwym uśmiechem na ustach.

— Och, zrobiłem wszystko, co mogłem uczynić dla niego. Powiedziałem, iż uważam Go za uczciwego młodego człowieka, który zasługuje w każdym razie, aby go wysłuchać choćby ten raz jeden. Co do zasad Jego, co do głoszonej doktryny, nie jestem jej tak pewny. Zdaje się być wolnomyślną, bardzo wolnomyślną. Nie trzyma się On ściśle ani prawa, ani ustnych tradycji... Kto wie nawet, czy nie okaże się niebezpiecznym. Ponieważ jednak ja sam jestem człowiekiem wolnomyślnym także, rzekłem więc: zróbcie próbę pozwólcie Mu raz przemówić.

— Ten, o którym mówisz, będzie ci wielce obowiązanym—wtrącił młody człowiek poważnie.

— Zapewne—przyznał Malachiasz.—Powinien przecież czuć wdzięczność dla mnie.

Mówiąc to, rzucił badawcze spojrzenie na odwróconą od siebie twarz towarzysza, delikatny jednak profil jego nic mu nie powiedział. Faryzejczyk doznał w tej chwili niemiłego uczucia osób, które domyślają się, że uległy krytyce, a nie wiedzą, dlaczego i w jaki sposób.

Nabożeństwo w synagogach było pod owe czasy główną zabawą miejscowej ludności, a zarazem podstawowym obrządkiem religijnym. Czem igrzyska dla rzymian, tem stały się praktyki pobożne dla żydów—popularną rozrywką, obowiązującą każdego, sposobnością do zobaczenia sąsiadów i pogawędzenia z nimi. Życie starożytne niewiele różniło się pod tym względem od dzisiejszego. Parafianie szli na nabożeństwo dla tych samych, różnorodnych przyczyn, dla jakich obecnie część owieczek dąży na modlitwę do prowincjonalnego kościoła wiejskiego.

Żydzi przytem, będący zawsze narodem oszczędnym, kładli silny nacisk na przemysł swój, czcząc rzemiosła wysokiem poszanowaniem. Ojciec też kształcił tu zwykle syna w tym zawodzie, jaki sam uprawiał, z czego wyradzało się tak silnie zaznaczone poczucie wyższości klas pewnych, iż budowano nawet osobne synagogi, przeznaczone wyłącznie do użytku tych lub innych pracowników. Kamieniarze, kotlarze, tkacze namiotów mieli odrębne swe bożnice. Dom modlitwy, o którym mówiliśmy powyżej, znany był pod mianem synagogi ciesielskiej.

Był to budynek prosty, wzniesiony z kamienia, o greckim portyku, podtrzymywany przez zwykle kolumny. Być może, iż między zarysem wspaniałej świątyni prawowiernej a konturami tej skromnej bożnicy dysydenckiej możnaby odkryć niejaki podobieństwo. Każdy bowiem żyd prawdziwy, bez względu na przekonania swe religij-

ne, dla świątyni głównej cześć mimowolną posiadał.

Kobiety siedziały już na swych miejscach, gdy mężczyźni weszli do synagogi. Obie płci ściśle były rozdzielone, a przegroda, utworzona z niskiej kraty, wznosiła się między niemi. Wysockość jej wszakże pozwalała zajrzeć do środka i objąć wygodnie okiem zawartość całej świątyni.

Bożnica chłodną była i spokojną. Kobiety, zdawały się w welonach swych przedstawiać kwiaty zakapturzone. Zwracały one głowy spokojnie ku górnej części synagogi, gdzie leżała księga Praw, ukryta w szafie, naśladowującej arkę przy mierza.

Na wzniesieniu mówca dnia tego, ten, którego nazywali Sheliaoh, powtarzał głosem donośnym zwykle formuły.

Młodego Rabbi nigdzie nie można było dojrzeć.

— Przyjdzie z pewnością — wyszeptał Malachiasz, faryzezyk. — Sam chazan zapewniał mię, że go oczekują dzisiaj. Źle to z jego strony, że się opóźnia.

Istniał przepis w religijnych zwyczajach żydowskich, który opiewał, iż dziesięciu słuchaczy jest nieodzownie potrzebnych do rozpoczęcia nabożeństwa. Bez liczby tej przykazania nie mogły być odczytane. Wobec niej rytuał zaczynał się o naznaczonej godzinie; w ten sposób niczyje opóźnienie nie mogło wpływać na tok modlitw.

Młody człowiek, którego Malachiasz objaśniał o programie nabożeństwa na dzień ten, żadnej nie dał odpowiedzi, zbliżając się w milczeniu do zwykłego swego miejsca. Przedzielone ową lekką kratą tylko, znajdowało się ono tuż obok siostr jego, które dawno już ławkę swą zajęły. Starsza na odgłos kroków zwróciła głowę w stronę brata, młodsza jednak siedziała ze skromnie spuszczonej powiekami.

Wtem Marta szepnęła:

— Patrz, zawraca się. Ktoś go wywołał widocznie.

Łagodny wyraz oblicza słuchającej uległ pewnej zmianie. Nie należała ona jednak do kobiet rozmawiających w synagodze, choć ją gadatliwa siostra popychała ku temu. Rysy jej przytem tak wyraźnie myśl ujawniły, iż słowa zbyt czczeniowymi były. Wyższa ponad znaczną część niewiast wschodnich, którym brak wykształcenia i ciągle zamknięcie w domu nadawały pewną ospałość, zdumiewała wrażliwością oblicza. Dalekie wszakże od kobiecej zalotności i wesela, przemawiało ono raczej godnością i słodyczą, niż ożywieniem.

— Ale gdzież jest On? Gdzie? — nalegała Marta.

Palec, podniesiony do delikatnych ust siostry, był jedyną odpowiedzią. Pomimo jednak ruchu tego, oczy jej wskazywały gorączkowe podniecenie, siłą tylko tłumione. Pochyliwszy też głowę, zwróciła całą uwagę na słowa starego kaznodziei. Młody snycerz z oddziału męskiego rzucał ku niej

pełne zachwyty wejrzenia; ona zaś nie odpowiadała na jego spojrzenia dla tej prostej przyczyny, że nie wiedziała o nich wcale.

Brat jej tymczasem, posłuszny wezwaniu, opuścił synagogę i, minawszy portyk, zaczął rozglądać się po ulicy za posłem, niosącym wieści. Stał on opodal. Pozdrowiwszy się niemem skinieniem głowy, usunęli się obaj na stronę, zamieniając słów kilka głosem stłumionym.

Posłaniec zdawał się być człowiekiem prostym, przybranym w robocze szaty zwykłego rybaka. Pomimo tego jakiś niepochwytany odcień w zachowaniu stawiał go wyżej ponad zwykłych towarzyszy. Gramatyka, jakiej używał, wskazywała człowieka z ludu, głos jednak wyrobiony zdradzał dla ucha spostrzegawczego wyższy stopień rozwoju umysłowego.

Rozmawiając poważnie, wyglądali obaj na ludzi, którzy mogli stać się wielkimi przyjaciółmi, gdyby ich okoliczności ku sobie zbliżyły. Natury ich zdawały się dążyć wzajem ku sobie; przedmiot zaś, zajmujący ich, nie należał do zwykłych tym razem.

Po krótkiej rozmowie pocałowali się według zwyczaju wschodniego i rozdzielili. Posłaniec zeszedł z pagórka i zniknął szybko wśród przechodniów; towarzysz jego powrócił do synagogi.

Kaznodzieja wciąż jeszcze mówił, a zgromadzeni zasypiali powoli. Marta, tłumiąc ziewanie, kręciła się wciąż na siedzeniu. Malachiasz, faryzejczyk, spoglądał z widocznym znudzeniem na

słuchaczy. Młody snycerz nie przestawał rzucać spojrzeń wymownych w stronę Marty, a raczej pięknej jego siostry.

Ona jedna zachowywała ciągle ten sam spokój.

Wracając na miejsce swe, brat jej potrafił zręcznie upuścić trzymany w ręku zwitek pergaminu, zapisany ustnemi tradycjami zakonu. Podnosząc go, przełamał prawa duchowne i zwyczaje towarzyskie, nie cofnął się bowiem przed szeptaniem kilku słów swej siostrze. Na szczęście, nikt tego nie spostrzegł. Były to wyrazy:

— Rzymianin grozi. Nie oczekuj go więc, Maryo. Nie przyjdzie tu dzisiaj.

— Skąd wiesz?—odszepnęła.

— Z ust Jana, ucznia Jego.

Mówca na kazalnicy mruczał dalej. Oblicze Maryi smutek pokrył. Nabożeństwo szło tymczasem swoim trybem, a później dopiero jeden z pomocników kapłana obwieścił zgromadzonemu, iż młody, głośny już Rabbi, który miał przemawiać w dniu dzisiejszym, nie będzie mógł, niestety, przybyć. Czeigodny więc ojciec nasz i przyjaciel, a obecny mówca, zastąpi go tym razem. Objasnienie to udzielonem zostaje na podstawie słów ogólnie znanego i cenionego naszego spółwyznawcy, budowniczego Łazarza, zamieszkałego w Betanii.

II.

— Jestem w swoim domu! — wołała Marta — położę więc matę, gdzie mi się podoba.

Co prawda, miała rację; dom ten do niej należał. Po co jednak było powtarzać to ustawicznie? Rys to wybitny temperamentu i charakteru.

Młodsza jej siostra żadnej nie dała odpowiedzi. Milczenie Maryi było największem jej wdziękiem i najsilniejszą bronią. Osłaniając ją bowiem, otaczało pewnym urokiem zarazem. Posiadała ona najwyższą cnotę panowania nad sobą.

Odwrociła twarz tak, iż profil jej tylko widocznym pozostał dla Marty, i zamiatała dalej przedsięonek. Delikatne jej ręce, obnażone aż do ramion, wysuwając się z lekkiej sukni domowej, opadały coraz z miotłą w podłużnych, rytmicznych ruchach. Wysmukła postać pochylała się przytem z wdziękiem marzycielskim, a wielkie, zamysłone oczy zdawały się gonić oddalone obrazy. Duch Maryi nie bawił przy miotle w dancę chwili, a jednak przedsięonek został jaknajczyściej wymieciony.

Gdyby młody snycerz, który tak bacznie przyglądał się jej w synagodze, mógł ujrzeć ją obecnie, popadłby z pewnością w ostateczną niewolę. Niestety, widok ten uszedł jego oczu, zajęty był bowiem po drugiej stronie domu, do którego Łazarz dodawał właśnie nową przybudówkę.

Marya знаła go dawniej i, znajdując, iż Ja-

kób bardzo dobrym jest chłopcem, nie myślała więcej o nim. Uspokojeniem różniła się znacznie od innych kobiet. Miłość ziemską nie istniała dla niej, a nawet zdawała jej się czemś tak obcym i niezrozumiałym, jak zapatrywania Marty na gospodarstwo domowe. Młodzież żydowska, szanując też Maryę, lękała jej się potrosze. Należała ona do tych kobiet, które idą przez życie, wiodąc za sobą szereg wielbicieli, milczących, lecz pełnych czci i podziwu.

Marta była wdową.

Zaznała ona wiele zmartwień, które nie potrafiły jednak uszlachetnić jej wrażliwości. Wydała ją za mąż zbyt młodo, wtedy, gdy, będąc wesołą dziewczynką, rwała się do wszelkich rozrywek, dostępnych dla szanującej się niezamężnej żydówki. Nie było to wiele, lecz Marcie wystarczało najzupełniej. Tymczasem nie pozwolono jej nacieszyć się swobodą, trafiła się bowiem tak zwana „dobra partya“; Szymon, mąż jej, bogatym był człowiekiem. Dzięki temu po części związek jej ułożył się w zadowalający sposób, gdy nagle spadło na nich największe, najstraszniejsze nieszczęście, jakie spotkać może ognisko domowe na Wschodzie: Szymon został dotknięty trędą.

Przeniesiony szybko, zarówno na żądanie prawa, jak na życzenie żony, do osad dla trędowatych, położonych za bramami Jerozolimy, on, człowiek obdarzony bogactwem, stanowiskiem i rodziną, zmarł w osamotnieniu.

Marta, oplakawszy stratę jego, zajęła pierw-

szorzędne miejsce w domu, którego stała się panią wszechwładną. Nigdy ona przedtem tak pełną piersią nie używała życia.

Ponieważ prawo i zwyczaje uznawały zawsze męczyznę za głowę rodziny, do domu Marty zatem sprowadził się brat jej, Łazarz, wraz z młodszą siostrą, Maryą. Wszyscy troje prowadzili odtąd wspólne życie, zaprawione zwykłą domieszką sporów familijnych. Być może zresztą, iż te rodzinne nieporozumienia mniejszemi nawet były niż gdzieindziej, gościnny dom bowiem Marty cenili wysoko wszyscy, ciszę i pokój miłujący, lub raczej ci, którzy ciszę i spokój wszędzie z sobą przynoszą.

Łazarz był człowiekiem hojnie obdarzonym przez Opatrzność. Gdyby też wielkość domu była jedynym punktem, z którego wartoby patrzeć na życie, to zasługiwał on bez zaprzeczenia na wspanialsze pomieszczenie, niż mieszkanie Szymona. Lecz Łazarz nie był żonatym, wołał więc mniej przestrzeni, a więcej wygod domowych, jakie znajdował w domu owdowiałej siostry. Jakkolwiek bowiem wysoko cenił, jakkolwiek szczerze kochał Maryę, sprawiedliwość kazała mu wyznawać, iż Marya ta nie była, niestety, stworzona na skrzętną gospośkę i panią domu, gdy zdolności kulinarne Marty okupowały w znacznej części język jej szorstki i nieznośny.

Wszyscy więc troje razem, połączywszy wzajemne swe przymioty, tworzyli, uzupełniając się, kółko rodzinne.

Dom tymczasem znany był i nadal w Jerozolimie pod firmą „Szymona Trędowatego.“ Łazarz jednak, idąc za swymi upodobaniami, zamienił go przez ciągle przybudówki i rozszerzania w jedną z najpiękniejszych siedzib Betanii, przyczem własne jego mieszkanie, strojne w cechy wytwornego smaku, zapewniało mu słodkie godziny swobody i samotności.

Urządzenie takie czyniło zadość zobopólnym upodobaniom rodzeństwa, Marta bowiem nie znośiła, aby mężczyzna kręcił się ciągle po domu.

Łazarz wzamian i młodsza jego siostra Marya schodzili się często na poufną gawędkę, spędzając chwile wolne bądź to w cieniu zbudowanego przezeń przedsionka, bądź na dziedzińcu, dotykającym własnych jego progów. W uroczystość sabatu nawet, spełniwszy w miejscowej, podmiejskiej, synagodze wszystkie obrządki, prawem przepisane, spędzali razem długie godziny.

Trójka ta więc wiodła idealne życie podmiejskie, do czego, w praktycznym znaczeniu, bliskość stolicy znacznie dopomaga. Posiadali zresztą dostatek, wpływy, szacunek ludzki i spokój, przez zamożność zwykle zapewniany. Do szczegółów tych zaś, które same w sobie zadowolenie już przynieść mogły, Łazarz dodawał jeszcze zawód budowniczego, z zamiłowaniem uprawiany, a przynoszący znaczne korzyści. Pośród ludności, która na najniższe, byle ucziwe, rzemiosło spoglądała z uznaniem, powodzenie, zdobyte przez młodego budowniczego, ogólnie jednało mu szacunek. Wyjątek

stanowili tu jedynie ludzie wyższego stanowiska lub krańcowo-zachowawczych pojęć religijnych. Łazarz bowiem był sumiennym, wpływowym faryzejczykiem, postępowcem, chcącym wiarę swą i czasy pchnąć na nowe tory. Słowem, był on reformatorem, należącym do średniej, zamożnej klasy ludności.

Rozszerzaniu domu Marta nie sprzeciwiała się bynajmniej; postanowienie Łazarza uważała nawet za rzecz zupełnie właściwą.

— Nie będzie to wiele kosztować,—mówiła,—a ja sama potrzebuję więcej przestrzeni dla swoich kobiet.

Dnia tego, w którym źle położone maty w taki gniew ją wprawiły, Łazarz powrócił o zachodzie słońca, milczący i zamyślony. Marta spostrzegła to natychmiast.

— Co ci jest, Łazarzu?—podjęła. — Dlaczego przychodzisz z taką kwaśną miną?

— Znużony jest poprostu — tłumaczyła Marya łagodnie.—Czy nie widzisz tego, Marto? Praca całego dnia, przy takim jak dziś upale, za ciężką być musiała. My, kobiety, siedzące spokojnie w cieniu chłodnego domostwa, powinnybyśmy pamiętać, iż mężczyzna zmuszony jest mozolić się pod skwarem promieni słonecznych.

Była to—jak na Maryę—bardzo długa przemowa. Marta też, zdziwiona nieco, przyjęła słowa jej milczeniem, co należało do również rzadkich zjawisk, poczem, zaniechawszy sprzeczeki, poszła przygotować dla brata zwykły posiłek wieczorny.

Marya i Łazarz pozostali sami. Ona nie pytała o nic,—lecz brat, jak gdyby zrozumiał niepokój, w milczeniu tem ukryty, zaczął mówić natchnieniem:

— Czy jest jaka wiadomość od naszego gościa?

— Żadnej, mój bracie.

— Sądziłem, że go zobaczymy. Lud jednak zanadto Go oblega, zanadto nuży. Zabijają Go swemi troskami: chorzy, kulawi, ślepi i, gorsi nad wszystkich, bo trędowaci, otaczają go bezustannie. Przeciążają brzemieniem, cięższem od kamieni, jakie niewolnik dźwigać musi. Mówią, iż od tygodnia blisko nie zaznał chwili spoczynku. Za całe wytchnienie idzie na szczyt góry, by się tam pomodlić spokojnie.

— Jakto, modli się przez noc całą? — podjęła Marya ze spólcuciem. — Prawda,—dodała—wszak ci, którzy widzieli Go zbliżka, mówią, iż wygląda, jak człowiek pozbawiony oddawna snu i spoczynku.

— Jan, rybak, tego samego jest zdania—potwierdził Łazarz. — Spotkałem się z nim dzisiaj na targu i rozmawialiśmy w tym przedmiocie. Powiedział mi wprost: Ten człowiek umrze z bezsenności.

— Niechżeż spocznie u nas w górnej komnacie—przerwała Marya głosem błagalnym. — Niech odetchnie wśród ciszy... Wszak pamiętasz, Łazarzu, jaki wyraz przybierają oczy Jego, gdy po nocy spędzonej pod naszym dachem schodzi zrana na dół?

— Wiem o tem i oczekiwałem Go ciągle — przyznał smutnie.

Pomimo męskiej powściągliwości w słowach, głos Łazarza wskazywał to samo żywe spólcucie i gorącą życzliwość, jaka przebijała z wyrazów Maryi.

— I ja nań czekałam. Czekałam codzień, co wieczór... A jednak nie przyszedł.

Głębokie milczenie zapanowało na chwilę. Marya poruszyła się wreszcie, a siadając na niskiej ławeczce, u stóp brata, zapytała lekliwie:

— Czy sądzisz, Łazarzu, żeśmy Mu się już uprzykrzyli, że się już znudził nami?

Faryzejczyk poruszył się żywo.

— Widziałem, jak ludzie odstępowali Go, lecz nie znam istoty, którą by On opuścił!

Słowa jego brzmiały głębokiem przekonaniem.

Marya skinęła głową twierdząco. Spojrzanie jej skierowało się ku strzelającemu pod obłoki szczytowi góry, a rysy opromienił wyraz niebiański, wywołany przez szczerą modlitwę.

Lecz w tejże chwili drzwi otworzyły się hałaśliwie i na progu stanęła Marta.

— Chodźcie! Chodźcie! Wieczera podana, a wy tu, jak dwie mumie, siedzicie w ciemnościach, gdy ja, niby niewolnica, usługiwać wszystkim muszę. Idźcie, Maryo, rusz się też trochę i weź do roboty! Łazarzu, chodź zaraz! Cożes taki oswiały?

— Mam ważny interes na głowie — objaśnił młody człowiek z godnością.

Marta nie oburknęła nie tym razem. Sam wyraz „interes“ budził w niej wysoki szacunek. Zначył on przecież tyle, co pieniądze i stanowisko; a dwie te rzeczy pojmowała i ceniła należycie.

Przy wieczerzy jednak podniosła kwestyę poważnie.

— Miałem na myśli umowę, jaką proponowano mi dzisiaj—objaśnił Łazarz.—Chodzi o rzecz dość ważną dla mnie.

— Może nowy klient?—podjęła Marta z ożywieniem.

Marya, której myśl o możliwym zarobku brata nie pochłaniała wcale, popadła tymczasem w zamyślenie. Usługując Łazarzowi, siedzącemu za stołem, poruszała się tak cicho, jak gdyby była aniołem, szybującym na obłoku. Zdawało się, iż przy jednym dmuchnięciu obłok ten może ją unieść gdzieś w krainy nieznane.

Rozmowa toczyła się tymczasem dalej:

— Tak—mówił Łazarz.—Proszono mię o odnowienie części pałacu.

— Pałacu?!—wykrzyknęła Marta.

— Tak, pałacu Annasza.

— Annasza, arcykapłana? Jakte? on sam dał ci podobne zlecenie?

— O nim przecież mówię — objaśnił Łazarz spokojnie. — Czy sądzisz, że uczciwe moje rzemiosło nie jest dość dobrem dla kapłanów? Alboż nie pracowałem przy samej Wielkiej świątyni?

— Bądź-co-bądź, przyjmij koniecznie zamówienie — nalegała Marta z przebiegłym wyrazem w oczach.—Kiedy masz zacząć robotę?

— Natychmiast, jeżeli jej się podejmę wogóle — objaśnił Łazarz. — Przyznaję jednak, iż mam ochotę pójść za twą radą, siostró Marto. Sąd twój w sprawach domowych i w interesach przewyższa o wiele zdanie innych kobiet.

Te proste słowa, pochlebiając Marcie, niezmiernie jej się podobały. Odrazu też odzyskała dobry humor. Łazarz, mówiąc je, wypowiadał tylko szczerą prawdę, do kłamstwa bowiem nie uciekłby się nigdy, nawet dla miłości spokoju domowego. Kobiety w rodzaju Marty wiedzą doskonale, że są nielubiane, lecz potrzebne dla społeczeństwa. Otóż uznanie posiada zazwyczaj wysoką wartość dla tych, którzy nie zwykli spotykać się z niem często; istoty zaś praktyczne i nieczułe napozór więcej do niego przywiązują wagi, niżby się to zdawać mogło. Marta przytem chorowała na chroniczne uprzedzenie, iż ludzie lgną do Maryi kosztem życzliwości, jaką by dla niej posiadać winni. Łazarz wiedział o tem doskonale. Dla ocalenia jednak własnego życia nawet nie mógłby uczuć swych podzielić równo. Kochał Maryę więcej, lecz w zamian prawa jego natura starała się zawsze podnosić z uznaniem dobre strony w charakterze starszej siostry.

Po skończonej wieczerzy przeszli wszyscy troje na dach domu i, usiadłszy tu dla spoczynku,

używali go w niezwyklej zgodzie. Był to jeden z najpiękniejszych wieczorów, spotykanych w Judei. Pałaca parność powietrza ustępowała przed dobroczynnym chłodem; ostro zabarwione obłoki gasły stopniowo na zachodzie. Mała wioseczka betkańska tuliła się do wschodniego stoku góry Oliwnej, jak dziecię uśpione do opiekuńczych ramion matki. Poniżej dolina lekkim zalegała już cieniem, zarysy skał tylko i biała wstęga wijącej się drogi błyskały niepewnie w półmroku. Postacie, przesuwające się w oddali, nabierały nikłych konturów malowniczych i poetycznych zjawisk, na których oko zatrzymywało się ze spokojnem i estetycznem zadowoleniem. Powyżej góra prostowała się uroczyście, wznosząc szczyt swój ku niebiosom. Spokojna, dumna, królowała jak władczyni, pełna tajemniczych zamysłów i powagi. A ponad nią jasny, przejrzysty, głęboki szafir wschodniego nieba zdawał się drzeć i dyszeć przejmującym go eterem, zamieniając rozsiane na nim ostatnie ogniste promienie w wielką szarą kopułę.

Wtem owo ciche, przejrzyste powietrze rozbrzmiało nagle tonem potężnym.

Był to odgłos trąby z wielkiej synagogi, wzywający dzieci Jehowy do modlitwy wieczornej.

Pan domu podniósł się na pierwszy dźwięk tego rozkazu, a za jego przykładem poszły kobiety. Niewolnicy nawet, pracujący na dziedzińcu, przerwali natychmiast swe zajęcia. I cała rodzina żydowska stała z pochylonemi głowami i złożone-

mi rękoma. Modlili się cicho, z obliczem ku Jeruzolimie zwróconem.

Gdy skończono składać cześć Panu, Marta zeszła na dół, by wydać rozkazy służebnym, a Łazarz zajął dawne swe miejsce. Jedna Marya tylko, zbliżywszy się na sam brzeg dachu, przyglądała się w milczeniu dolinie. Wysmukła jej postać osunęła się po chwili na ławeczkę, kryjąc się pod spojrzeniami przechodniów za lekką kratę, otaczającą dach. W rysach jej przytem odbiło się nagle niezwykle ożywienie.

— Czy widzisz co ciekawego, Maryo?—zapytał brat uprzejmie.

— Chodź tylko, Łazarzu, i spojrzysz sam—odparła zcicha.

Równocześnie wskazała palcem w stronę doliny, którą półmrok zwolna zalegał. Z cieniu tego wysunęła się grupa ludzi i, idąc od strony Jeruzolimy, mozolnie pięła się pod górę. Przystanęli właśnie na chwilę, a krąg światła, panującego jeszcze na tej wysokości, pozwalał doskonale rozróżnić ich rysy.

Marya, podniósłszy ramię, wyciągnęła je w kierunku drogi.

— To On!—obwieściła.

— Nie; ja Go nie widzę—zaprzeczył Łazarz.

— To On!—powtórzyła niezachwianie.

I, ufna w opiekę i pomoc brata, przeszła poza baryerkę ochronną, dalej na dach, skąd oboje już wytyczyli oczy w stronę doliny.

Grupa, idąca gościńcem, zatrzymała się, prawdopodobnie wobec echa trąbki, wzywającej do modłów wieczornych. A może inna jaka przyczyna przystanąć im kazała?

Zdaleka trudno to było osądzić. Oko bowiem widziało tylko gromadkę zbitych razem ludzi i jedną wyniosłą, nieruchomą postać, która królowała nad nimi. Był to człowiek młody jeszcze, lecz przybrany i poruszający się z wielką powagą. Niknące światło zachodu nie pozwalało rozróżnić dokładnie jego rysów; w zamian jednak widać było doskonale, iż stał na uboczu nieco, otoczony zwartem kołem osób, które zdawały się już-to o coś nalegać, już błagać kornie.

W słabym blasku ostatnich promieni dnia znać było, iż człowiek ten zwrócony był obliczem ku górze, w stronę, gdzie widniał dom Szymona Trędowatego.

— Tak,—przyznał Łazarz — to On. On niezawodnie! Idź, powiedz Marcie, niech przygotuje wszystko. Gość, długo oczekiwany, przybywa narzeczcie!

Lecz Marya osunęła się na kolana i czoło przycisnęła do baryerki.

Rozkaz brata nie został spełnionym; nie słyszała go nawet.

— Maryo!—zawołał Łazarz, powstając z niezadowolaniem.—Alboż czas na zadumę wtedy, gdy On jest u wrót naszych i powinniśmy każdą chwilę poświęcić na Jego usługi?

— O!—jęknęła—On nie przyjdzie. Nie przyjdzie! Patrz, Łazarzu. Przekonali Go, odwołali... Zawraca z drogi; patrz, patrz, odchodzi! Tak był blisko, taki spragniony spoczynku, i nie dali Mu go zakosztować nawet! Widzisz, wszak zwrócił napowrót oblicze swe ku Jerozolimie!

— Masz rację—przyznał Łazarz smutnie.

Po chwilowem zaś milczeniu dodał głosem stłumionym:

— Stało się, jak zawsze. Dobre masz oczy, Maryo. Tak, zawraca! A możeby pobiegnać, dogonić Go i zmusić słowem serdecznem, by wstąpił tutaj?

— Nie, nie! — przerwała Marya. — Nie, mój bracie! Nie namawiaj Go. Wie On najlepiej, co czynić; zna wolę swoją i wolę Tego, który Go posłał! A przytem — dodała — alboż On nie rozumie, iż pod dachem twoim jest gościem wiecznie pożądanym? Skoro sam nie przychodzi, nie należy uprzykrzać Mu się naleganiem. Patrz! Spójrz tam, daleko. Zakręca w tej chwili na drodze, wiodącej dokoła góry. Wszak słyszysz, jak ci ludzie wołają, jak cisną się i biegną za Nim? Niosą naprzeciw jakąś postać ludzką... To chory lub kaleka. Więc dlatego powrócił...

— Tak jest w rzeczy samej — przyznał Łazarz. — Niosą widocznie chorego. Kto wie nawet, czy nie jest to człowiek opętany. Jeżeli cokolwiek odwołało Go od nas, to tylko głos cierpienia, niedoli lub grzechu. Tak, złączył się z powracającymi ludźmi, niknie w oddali... Już Go nie widać...

Marya pochylała głowę w milczeniu. Słońce jej życia i światło duszy — nadzieja ludu, ich Pan i Tajemnica, zniknął nagle z przed jej oczu.

— Powróci przecież — uspokajała Marta, gdy jej opowiedziano rzecz całą. — Powróci, gdy tego biedaka odda komu w opiekę.

W głosie jej brzmiała zwykła praktyczność, będąca bądź to ulgą, bądź postrachem dla całej rodziny.

— Ma się rozumieć, że powróci — powtórzyła raz jeszcze z niezamąconą pewnością siebie. — Pójdę nawet przygotować pokój na górze. Stój tu na straży, Łazarzu, i daj mi znać, gdy tylko ujrzysz Go zdaleka.

— Stosowną też z chorym obrali chwilę — mówiła jeszcze tonem gniewnym. — O zmroku nawet nie dać komuś spokoju! Kaleka nie wart pewno uzdrowienia, a ten, który go o tę porę przyprowadził, waryatem chyba być musi.

Słów jej nikt nie słuchał. Marya siedziała cichutko, a Łazarz w milczeniu towarzystwa jej dotrzymywał. Piękne, wyraziste jego rysy cechował wyraz doznanego zawodu.

Żadne z nich nie rzekło już ani słowa. Zmrok zapadał tymczasem coraz silniejszy, kroki zaś rzadkich przechodniów rozbrzmiewały słabem echem.

— Nie przyjdzie już wcale — obwieścił wreszcie pan domu z męską stanowczością w głosie. — Ja schodzę na dół. Uczyni to samo, Maryo.

Milczała, nie dając żadnej odpowiedzi. Przytulona do kraty, wpół klęcząc, wpół siedząc, pozostała długo zamodloną.

III.

Dzień roztoczył wyjątkowy spokój nad domem Malachiasza, faryzejczyka. Niestety, nie o wszystkich dniach roku to samo dałoby się powiedzieć. Malachiasz był człowiekiem popędliwym i wymagającym; Hagar, jego żona, odznaczała się kłótliwem, nieuległym usposobieniem; jedyne zaś dziecię ich było przykute kalectwem do łóża. Wobec podobnych warunków łatwo odgadnąć, jaki duch panował w ich kółku rodzinnem.

Gdy matka jej i ojciec opuścili już progi domowe, udając się na wycieczkę do Jerozolimy, chore dziewczę opadło na poduszki z nieukrywaniem westchnieniem ulgi. Samotność była w życiu jej zbytkiem, którego doniosłość może tylko pojąć chory, pozbawiony władzy w nogach, a więc zawsze do tego samego przykuty miejsca. Jedyna służebna, jaka znajdowała się w domu, powinna była w zasadzie czuwać nad młodą swą panią. Zająta jednak robotą na drugim końcu mieszkania, nie mogła ona żadnej dać opieki kalece. Co prawda wreszcie, zapomniała o niej zupełnie.

Ariella, uważając opuszczenie to za rzecz bardzo zwyczajną, zastosowała się do okoliczności i wyrzekła się wszelkich potrzeb ze słodyczą istoty, przyzwyczajonej już do zaniedbania, w jakim ją pozostawiano. Łatwiej zresztą było obejść się bez wody, której nie miał kto podać ustom spragnionym, łatwiej dyszeć z parnego powietrza i upału, gdy nie mogła dosięgnąć wiszącego tuż obok wachlarza, niż zamknąć uszy wobec hałaśliwych swarów matki, lub korzyć się i zasklepić w sobie przed surowością ojca.

Malachiasz bowiem nie mógł nigdy przebaczyć dziecku swemu, że się urodziło kobietą. Mieć córkę i w dodatku kalekę—czyż on zasługiwał na podobne umartwienie?

Ariella, pojmując głuchy gniew ten, wyrzucała sobie nieraz własną niedolę. Było to bowiem najśłodsze dziewczę pod słońcem; tak przynajmniej—zanim nieszczęście to spadło na nią—myślała młodzieź okoliczna, a w jej liczbie i Łazarz, najbliższy sąsiad malachiaszowy.

Kalectwo jednak odcięło ją od ludzi; a że trwało już lat wiele, zapomniano więc o niej potrosze. Być może nawet, iż w pierwszych latach młodości między nią a bratem Marty istniał ten pociąg nieokreślony, który, stanowiąc przedwstęp do głębszego uczucia, nie miał jednak dość czasu, aby się zamienić w potężną namiętność. Z wrażeń tych dziś pozostało im tylko tklive wspomnienie oraz pewien odcień zaufania i wzajemnego szacunku. Łazarz współczuł szczerze losowi Arielli;

Ariella przyjaźnie zawsze myślała o Łazarzu, i z przyjemnością patrzyła, gdy przechodził obok ich domu, dążąc ku Jeruzalem. Czasami pamiętał pozdrowić ją, przechodząc,—inaczej nie spotykali się nigdy. Chociaż więc była niegdyś piękną i wesołą, choć swym wdziękiem czarowała wszystkich, pamięć o niej zacierała się z biegiem lat w umyśle Łazarza. Obraz jej bladł stopniowo, jak płowieją barwy tkaniny syryjskiej, niebacznie wystawionej na działanie rosy i słońca. Być może, iż w innych warunkach byłaby ona stała się dla duszy jego wszechmocną potęgą,—dziś jednak budziła w nim jedyny żal, wynikły z poczucia ludzkości. Żadna wszakże kobieta nie była bliższą nad Ariellę sercu tego uczciwego, myślącego młodzieńca.

Przeznaczonem snąć było biednemu dziewczęciu zakosztować wszystkich męczarni, właściwych losowi kalek. Posiadając przywiązanie do życia i wszystkie gorące jego uczucia, znała ona jednak przedsmak śmierci. Leżała też, jak ów żołnierz raniony:

„Niezdolny powstać, ni umrzeć,”

wiedząc, iż w sercach najlepszych nawet przyjaciół zamienia się z wolna w ducha, któremu, jako istocie dawno od świata oderwanej i pogrzebionej, potężne lecz przelotne tylko święci się wspomnienie. Ta śmierć pozorna, wobec której serce bije jednak nadzieją, namiętnościami i ambicjami ludzkiemi, to nienasycone pragnienie czynu i gorączka

woli, paraliżowana niemocą ciała, stanowią dla kaletki męczarnie, gorsze od zgonu.

Ariella starała się znosić je z poddaniem; była wszakże bardzo młodą. Ciężkie też zadanie przechodziło niekiedy jej możność.

Cierpiąc kalectwo od urodzenia, mniejby może wymagała od życia; nieszczęście jednak spadło na nią w pełni rozwoju sił żywotnych, a zawdzięczała je następującej przygodzie:

Pewnego lata, gdy Ariella skończyła już szesnaste wiosen, susza wielka nawiedziła Betanię. Studnia w podwórzu malachiaszowem świeciła szarem dnem. Hagar też wysłała córkę po wodę do znanego źródła, położonego o milę na drodze, wiodącej ku Jerycho.

Przybrana w zwykłą zasłonę i zbrojna w opiekę prostej służebnej, Ariella z wielką ochotą spełniła zlecenie matki. Zdawało się, iż wycieczka w tak blizkiem sąsiedztwie stolicy, bo źródło było oddalone tylko o dwie mile od Jeruzalem, nie może przedstawiać żadnego niebezpieczeństwa. Betania jednak leżała — jak to już wyżej wspominaliśmy — na drodze do Jerycho, poza podmiejskimi siedzibami zaś nie brakło włóczęgów i złodziei.

Jeden z nich spotkał dziewczę, wracające już ku domowi. Sam strój objaśniał go, z kim ma do czynienia. „Zabiorę cię i zawiadę do mego pokolenia!“ — zawołał, zatrzymując ją gwałtownie.

Ariella, rzuciwszy dzban, uciekała, ile jej sił starczyło. Śmierć nie byłaby przeraziła jej bar-

dziej od tej zaczepki. Uciekała też, jak gdyby chodziło o jej życie.

Złoczyńca wszakże, przeczuwając okup, puścił się za nią, i po strasznej gonitwie, pochwycił ofiarę niedaleko jej domostwa. Nastąpiła walka ciężka, wśród której krzyk Arielli sprowadził ojca jej, Malachiasza, wysłanego właśnie przez żonę na spotkanie córki.

Włóczęga został ujęty i skazany na wysoką grzywnę za zerwanie zasłony z twarzy żydówki w miejscu publicznem. Dziewczę jednak sroższą poniosło karę. Przerazenie, gwałtowna ucieczka i walka z napastnikiem wywołały nieuleczalną chorobę.

Działo się to przed dziewięciu laty. Ariella, licząc dziś dwadzieścia pięć wiosen, stanowiła rozpacz dla najlepszych lekarzy jerozolimskich. Przedstawiała też ofiarę, zasługującą na największe społeczenie: była bowiem młodą, a nie zostawiano jej żadnej nadziei uleczenia. Doktorzy „odstapili“ nieszczęsną kalekę.

Pozostawiona owego ranka samotnie, Ariella leżała spokojnie na niskiem posłaniu. Wiedziała, iż za chwilę przyjdą sąsiedzi, a lubiła ich oboje — zarówno Rachelę, jak ociemniałego jej syna, Barucha. Wiedzieli oni, czem było nieszczęście, czem kalectwo i jedni też rozumieci dokładnie jej uczucia.

Ariella miała na sobie suknię z cienkiej, białej tkaniny, przerabianą jedwabiem, a zahaftowaną na rogach w drobny deseń lilij polnych. Leżąc

w niej, blada, cicha, o słodkim wyrazie, była ona sama podobną do lili, wyrosłej na nieprzyjaznym, zbyt suchym, gruncie. Rysy jej, przedziwnie modelowane, posiadały łagodną delikatność linii, wyrobioną przez długoletnie, głębokie cierpienie oraz przez nieporównaną cierpliwość, z jaką je znosiła.

Oczekiwana przyjemność zawiodła ją i tym razem. Sąsiadka Rachela przyszła wprawdzie, lecz po to jedynie, aby oświadczyć, iż pozostać z nią dziś nie może. Służebna zachorowała, — należało więc wracać, zajęcia bowiem gospodarcze wymagały jej obecności.

— Nie dowodzi to jednak, abym cię miała zostawić zupełnie samą: — zawyrokowała Rachela z macierzyńską troskliwością, — przyślę Barucha, przynajmniej. Niechaj rozerwie cię rozmową; wasza zaś Debora powinna siedzieć niedaleko i być na zawołanie. Już ja się z nią rozmówię. Pozostaw to memu doświadczeniu. Zresztą, wobec twego kalectwa i ślepoty Barucha, nikt zbliżenia waszego za złe wziąć nie może. Opieka Debory wystarcza tu najzupełniej. Gdyby więc ktokolwiek zarzucił nieprzystojność w pozostawieniu was razem, to już ja za nią odpowiem, nietylko przed twymi rodzicami, ale nawet przed całą Judeą. A przytem złe języki nie osiągną cię, Ariello, boś inna od wszystkich dziewcząt.

Dzięki postanowieniu, przeciw któremu chora nie podnosiła głosu, Ariella i Baruch spędzili całe przedpołudnie wśród odosobnienia i swobody, jakiej młodzież żydowska nie znała zazwyczaj.

Nowe to położenie przyjęli oni ze zwykłym spokojem duchów oderwanych od ziemi. Rachela pobłogosławiła ich oboje, obiecując zajrzeć na chwilę, gdy jej tylko zajęcia domowe na to pozwolą. Wpierw jednak sprowadziła Debora, przypominając jej obowiązki służebne i rolę, którą miała dziś spełniać nad domem. Przy jej też pomocy wyniesiono jeszcze chorą przed ganek, gdzie u wezglowia jej usiadł Baruch, oparty plecami o kamienną kolumnę.

Ranek stawał się coraz bardziej upalnym; wśród dziedzińca panowała głęboka cisza; dom pustym był zupełnie. Zdała tylko rozlegał się głos Debory, śpiewającej psalmy przy robocie.

Ariella i Baruch gawędzili spokojnie. To osamotnienie sprawiało im rozkosz.

Chłopiec ślepy był od urodzenia.

— Los twój cięższym jest od mego—mówiło dziewczę ze współczuciem.

— Och, nie, mogę chodzić przynajmniej—zaprzeczył z wiarą głęboką.

— Tak, a przytem posiadasz męską siłę — podsunęła Ariella, czując instynktem niewieścim, że mu słowami temi przyjemność robi.

Delikatne pochlebstwo okryło rumieńcem lica ociemniałego.

— O, jestem nawet bardzo silny — przyznał z zadowoleniem. — Gdy trzeba dzwignąć jaki ciężar, matka mnie zawsze woła.

— Chwali cię też i mówi, że dobrym jesteś synem—dzwignął słodko głos Arielli.

— Mógłbym nawet podnieść ciebie razem z wezglowiem, obejść, jak z piórkiem, dokoła dziedziniec i, niezmęczony wcale, przyjść położyć cię na tem samem miejscu.

— A więc spróbuj — zaśmiało się chore dziewczę wesoło.

W głębi serca czuła, że wielką sprawiłoby jej to przyjemność. Mój Boże! gdybyż mogła choć raz jeden poruszać się i bawić, jak inne jej rówieśnice...

Baruch jednak wstrząsnął głową przecząco.

— Bałbym się — wyznał. — Zapomniałaś, żem ja ślepiec... Mógłbym cię uderzyć o słup kamienny, lub przewrócić się o jaką przeszkodę. Nam nie wolno, Ariello, igrać, jak innym ludziom.

Ten ton powagi podobał się w głębi duszy dziewczęciu. Poddawała mu się tak chętnie, jak łatwo kłos pszenicy chyli się z wiatrem. Baruch miał męską powierzchowność. Chora patrzyła z przyjemnością na jego rysy dorodne, nacechowane wyrazem mężnie znoszonego cierpienia. Nie widział jej — mogła więc przyglądać mu się do woli.

— Patrząc tak badawczo, posiadasz znaczną wyższość nade mną — zauważył młodzieniec po chwilowem milczeniu.

Ariella zarumieniała się. Skąd on się dowiedział, że trzyma wzrok jej przykuty do swego oblicza? Czuła się tak zawstydzoną, jak gdyby mu wyrządziła rozmyślną przykrość.

— Czy sądzisz, że nadużywam wyższości mej? — pytała ze skruchą. — Przysięgam poprawić się odtąd.

— Ależ przeciwnie; jeżeli ci to może zrobić najlżejszą przyjemność, patrz na mnie dowoli — przerwał ociemniały. — Wiesz, że nieba bym ci przychylił; jeżeli więc mam żal, to tylko o to, że ja ciebie widzieć nie mogę. Gdybym posiadał zdrowe oczy, możesz być pewną, iż nie krępowałbym się w zwracaniu ich ku tobie.

— Nie miałbyś na co patrzeć — zaprzeczyła z odcieniem bezwiednej niewieściej zalotności. — Ogromnie zeszczułałam; twarz mam taką długą, bladą...

— Moja matka mówi, żeś śliczna i że oczy przykuwasz do siebie — odparł Baruch z prostotą.

Ariella umilkła. Młody ślepiec, jako towarzysz wspólnej niedoli, imponował jej zawsze powagą swą i mocnym, niezłomnym charakterem. Wobec ciężkiego jego kalectwa własne jej cierpienie mniejszem się zdawało.

A przytem tak jej niekiedy było żal Barucha, iż często niedolę jego oblewała gorzkimi łzami.

Baruch zaś tak głęboko spólczył z bólem Arielli, iż byłby chętnie ukląkł u stóp jej i stopy te całował gorąco.

Dziewczę odgadło snąc myśli jego.

— Doboro, — wołała, przyzywając służebną — Deboro! Chodź tutaj! Proszę cię, przynieś mi wachlarz z świetlicy.

Lecz Debora, rozśpiewana całą siłą płuc swoich, nie mogła wśród pobożnego psalmu usłyszeć wołania młodej pani.

— Ja ci go podam zaraz — zapewnił ociemniały.

I, zerwawszy się, pobiegł w głąb domu. Co nim kierowało: oczy, wieczną mgłą zasnutę, czy serce, które mgłą tę przebijało, — któż odgadnie? Stanąwszy na progu zwykłego schronienia Arielli, torował sobie delikatnie drogę przez ten przybytek skromności i cierpienia. Przystanąwszy przed białem posłaniem, na którym zasypiała lekkim snem chorych i cierpiących, podniósł ręce i, przesuwając nimi delikatnie po ścianie, dosięgnął wachlarza, by z nim szybko powrócić na dziedziniec.

Całe to zachowanie Barucha, jako rażące wobec zwyczajów miejscowych, sprzeciwiało się silnie etyce towarzyskiej Wschodu. Ale ociemniały nie zastanawiał się nad tem. Wszak niebo samo uczyniło go różnym od innych ludzi; po cóż więc miał stosować się do nich?

Dziewczę tego samego snąć było zdania; po dziękowało mu bowiem z wylaniem, które jego znów zawstydziło i wyprowadziło z równowagi. Usiadł i, zmieszany, przesunął rękę po brzeżku miękkiej tkaniny, spływającej z jej szaty.

— Wszak to lilie wyhaftowane są tutaj? — zapytał.

Głos jego stłumiony zdziwił Ariellę. Co mu się stało?

— Deboro! — zawołała. — Deboro!

Lecz Debora nie mogła słyszeć; zajęta bowiem na drugim końcu domu przyrządzaniem jarzyn i gotowaniem ryby na obiad, nie troszczyła się wcale o chorą. Arielli pozostała jedna tylko ucieczka: oto zmieniła przedmiot rozmowy, kładąc w ten sposób tamę zobopólnemu ich zakłopotaniu.

— Słyszałam, — zauważyła nagle — iż nowy Rabbi ma przemawiać dziś w synagodze. Tak bym pragnęła usłyszeć Go!... ale cóż, nie wolno mi pójść tam, jak to inne czynią dziewczęta.

— Ja Go tu przyprowadzę! Muszę go przyprowadzić! — przerwał ociemniały żywo.

— Mówisz, jak życzliwy sąsiad i dobry przyjaciel, Baruchu. Słowa twe jednak są tak niemożliwe do spełnienia, jak niepodobnem byłoby dla mnie powstać i iść wraz z innymi do Jeruzalem.

— Nie sędzę, aby...

Ociemniały zamilkł nagle.

— Co nie sądzisz? — podjęła.

— Aby obie te rzeczy były niepodobnemi, droga Ariello.

Zbliżony cierpieniem i kalectwem, Baruch używał często określenia „droga Ariello“. Żadnemu z nich jednak nie byłoby przyszło na myśl szukać w słowach tych innego uczucia nad przyjaźń tkliwą i serdeczną.

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć — zabrzmiał smutnie głos dziewczęcia. — Ale tylu doktorów na cierpienie me szukało ratunku, a zawsze napróżno! Ojciec mówi, że jednego srebrnika nie

poświęci już dla nich. Jeruzalem? Ja w Jeruzalem? Alboż nie wiesz, że oczy me nie sięgają poza ten dziedziniec? Dawniej, gdy to rodzicowi memu nie sprawiało zbyt wiele trudu, brał mię niekiedy w ramiona, bym chociaż w dal spojrzeć mogła. W ten sposób zeszłego lata widziałam trzykrotnie słońce, zachodzące nad szczytami Syonu. Jaka mi to rozkosz sprawiło! O! bo słońce nawet zmieniło się, odkąd chorą jestem... Zdawało mi się, że urosło, spotęgniało... Doznałam takiego wrażenia, jak gdybym je była żegnała chłopięciem, a witała później dojrzałym, poważnym mężczyzną.

Ariella rozśmiała się, a głos jej był słodki i ujmujący.

— Ten, o którym mówisz, już uleczył niejedną niemoc—ciągnął Baruch.

— Lecz nie uleczy mojej—przeczyła Ariella.—Rzecz taka przechodzi siłę ludzką.

— Ariello,—zawołał ślepiec, powstając i wznosząc ociemniałe swe oczy ku niebu — Ariello, wobec Jehowy, który nas słyszy, wyznaję, iż nieraz już przyszło mi wątpić, czy człowiek ten ludzką jedynie moc posiada!

— Jakto?—zawołała, — czyżbyś miał wierzyć, że nowy ulubieniec ludu jest... jest...

— Nie kończ! — przerwał żywo niewidomy—nie wymawiaj tego słowa! Jeżeli o nim mówiło Pismo, czas to wykaże, Bóg Wszechmocny wyświeśli. Co do mnie, czekam. Czekam i czuwam, Ariello. Tobie mogę się z tego wypowiadać. Czekam i czuwam, Ariello...

Baruch w tej chwili był podobnym do człowieka, który widzi nie drobne rzeczy, dla innych oczów dostępne, jak: niebo, ziemia, morze, oblicza ludzkie i sztuka ludzka, lub wypadki, podniecające namiętności nasze; ociemniały kaleka zdawał się dostrzegać jakąś potęgę niewidzialną, wpływy silniejsze nad wszelkie dowodzenia. Patrzył oczyma duszy.

— Czekasz i czuwasz?—powtórzyło dziewczę. Przywiązujesz taką wagę do Jego osoby? Miałaby być prorokiem?

— A może więcej niż prorokiem—podszeptał Baruch głosem stłumionym.

— Słyszac o nim,—uzupełniła chora zcicha,—myślałam sama nieraz, że nie jest On podobnym do innych ludzi, na przykład do mego ojca, Malachiasza, lub do naszego sąsiada, Łazarza. Stąd też przychodziło mi niekiedy do głowy, że... że musi on być tak dobrym, jak ty, Baruchu.

— Och, Ariello! Nie, nie! Cicho, nie mów tego, Ariello!

I ociemniały ruchem porywczym palce, jak pieczęć, na usta jej przyłożył.

Przez długą chwilę zaległa głęboka cisza. Mężczyzna wreszcie przerwał pierwszy milczenie, wracając z uporem do tego samego tematu:

— Myśl ta, Ariello, oddawna ciąży mi na duszy. Jeżeli uzdrawia innych, dlaczegoż nie mógłby uleczyć ciebie? Chciałbym też, aby cię zobaczył, i dlatego pytam, czy przyjmiesz Go, gdy przyjdzie tu ze mną?

— Ależ Onby nie przyszedł, Baruchu! — zaprzeczyła żywo, zapominając wobec względów praktycznych o wdzięczności swej dla ociemniałego.

— A ja mówię, że przyjdzie—zapewnił z odzieniem stanowczości w głosie.

— Mnie nikt już nie uzdrowi—szepnęła z żalem głębokim.

Baruch wstrząsnął głową, przecząc upornie:

— Jesteś młoda, jesteś słodka i cierpliwa, a przytem choroba twoja nie była nigdy kalectwem z urodzenia, lecz pochodzi z wypadku, z wstrząśnienia. Leczy On dotkniętych ciężiej przez Boga, uzdrawia srożej cierpiących. Czyż nie wiesz, Ariello, że mówią głośno w Betanii, jakoby trędowaci nawet pod jego dotknięciem oczyszczeni byli? On ich ocala i odrodzonym każe wracać do dawnych domów.

Zwątpienie dziewczyny nie dało się jeszcze pokonać.

— Nawet trędowaty łatwiejszym może być do uleczenia, niż takie jak ja stworzenie, wątłe i schorowane!

— Nie mówmy lepiej o tem—przerwał z rodzajem niezadowolenia. — Sądziłem, że ci dodam otuchy...

— Przebac, Baruchu! — zawołała. — Za twą dobroć i tklivość szorstkością odpłaciłam tylko. Przebac... Dziękuję ci i błogosławię za myśl twą pocziwą, bez względu, czy mnie ona może uzdrowić. Troszczysz się o mnie, jak brat najlepszy, a ja nigdy nie miałam brata... Ty jeden

mnie znosisz, ty jeden wspierasz i sił dodajesz. Gdyby też czyjakolwiek wola uleczyć mnie mogła, twoja dokonałaby tego najprędzej. Ja to rozumiem i z serca odczuwam; a jeżeli wdzięczności mej okazać nie umiem, przebac... Jestem bardzo znuzoną i bardzo cierpię. Bądź cierpliwym ze mną!

— Mogłabyś mię również dobrze prosić o cierpliwość i spólcucie dla własnej niedoli, dla własnego serca—odparł chłopiec, głęboko wzruszony.—Czy nie wiesz, Ariello, że drogą mi jesteś? Czy nie wiesz, żeś mi droższą nad...

— Nie, nie!—przerwał dziewczę.—Nie... Cicho, Baruchu, cicho... Nie mów mi tego. Ja... ja nie chcę tego słyszeć...

— Pozwól, że przywołam Deborę — odparł, powstając nagle.—Czas mi wracać do domu.

Lecz biedna kaleka, nie przyuczona do szorstkości, pod jaką mężczyźni kryją często wzruszenie, wybuchła rzewnym płaczem.

— Idź więc—mówiła, łkając.—Idź! Snać nie możemy sobie przynieść ulgi nawzajem. Idź!

— Przeciwnie, pozostanę—rzekł Baruch z męskim uporem. — Nie opuszczę cię w takiej chwili. Przywołaj Deborę, jeżeli chcesz, ale nie pozwolę, byś na łasce jej była.

— A ja... ja...—mówiło dziewczę ze skrucą—zobaczę wielkiego Rabbi, skoro życzysz sobie tego koniecznie.

— Kto wie — wybuchnął Baruch z uniesieniem, — a może też cudowna moc Jego dotknięcia postawi cię na nogi?

— Sądziś więc, że On mógłby tenąć życie w takie biedne, złamane ciało, jak moje?

— Bądź odważną—pocieszał. — Bądź dzielną, Ariello. Umiąłeś dotychczas cierpieć w milczeniu. Niechżeż promień nadziei uczyni ci lżejszem cierpienie.

— Ariella — mówił głosem stłumionym — to znaczy Siła Boża. Piękne masz imię, słodka moja.

— Brzmienie jego zawstydzia mię — szepnęła Ariella.

IV.

Tyberyusz, cesarz rzymski, Poncyusz Piłat, prokurator, i Kaifasz, wielki kapłan — oto, jak się przedstawiał pod owe czasy porządek władzy w Jeruzalem. Przedstawicieli jej mnożył jeszcze też Kaifasza, Annasz, przez grzeczność zwany arcykapłanem. Dzierżył on wprawdzie wysoką tę godność przez lat siedm, lecz obecnie, pozbawiony jej oddawna, dbał tylko o utrzymanie wysokiego swego stanowiska w towarzyskim świecie Jeruzolimy. Przychodziło mu to tem łatwiej, iż był przedstawicielem znanej „rodziny kapłanów“, która wtedy nawet, gdy religia stawiała się igraszką polityki, potrafiła utrzymać świętą służbę ołtarzy przez lat pięćdziesiąt w swych rękach. Położenie też społeczne Annasza w Jeruzalem było, jak Salomona, niewzruszonem.

Łazarz więc zbliżał się do pałacu nie bez pewnego uczucia obawy. Choć bowiem niezależny i zamożny faryzejczyk, był on jednak przedewszystkiem Żydem. Zarówno więc on, jak ex-arcykapłan Saduceusz, członek sanhendrynu i arystokrata do szpiku kości, posiadali te same tradycje i pamiątki narodowe, te same modlitwy i nadzieje. Ani polityka, ani nawet spory teologiczne nie mogły zmniejszyć szacunku, jaki tkwił w sercu każdego Żyda, dla wielkiej świątyni i jej przewodników. Otrzymać też obstalunek z pałacu Annasza był to zaszczyt dla budowniczego.

Łazarz, zeszedłszy z góry Oliwnej, minął słynny most, zarzucony nad strumieniem Cedron, i znalazł się bezpośrednio prawie u drzwi świątyni. Nie zatrzymując się tutaj, skierował kroki swe ku dolinie, by, przebywszy most drugi, doskonale zbudowany, lecz już zużyty, wydostać się na górę Syon, przybytek monarszej, kapłańskiej powagi, siedlisko kapłanów i bogatych pałaców. Tu błyszczał imponujący zamek Heroda Wielkiego, władcy, którym rządziły dwie namiętności: zamięłowanie budownictwa i żądza krwi. Tu również wznosił się skromniejszy już pałac Machabeuszów, pałac Kaifasza i wyniosła siedziba aniaszowa.

Był to wspaniały budynek z kamienia, uzupełniany drzewem, a upiększany według surowego stylu, przyjętego przez rasę całą. Rzeźby nie zdobyły nigdy mieszkań żydowskich, odtwarzanie bowiem ludzkich lub zwierzęcych postaci surowo

było zakazane. Obrazy ryte dłutem przypominały bałwochwalstwo i Babilon, a z niemi przedsiönek piekła. Snycerze też i architekci szczupłe tu mieli pole do rozwinięcia skrzydeł fantazyi, ku sławie szybującej. Pracowali więc z wysiłkiem, uczciwie a wytrwale, starając się surową nieugiętością tej pracy zastąpić swobodny polot wyobraźni.

Pałac był, rzecz prosta, bardzo obszerny, tak obszerny, iż oprócz głównego dziedzińca mieścił znaczną ilość mniejszych jego naśladowań. Było to na Wschodzie warunkiem wygody i ostentacyi zarazem, zapewniało gościnności przestrzeń szeroką, umożliwiało spędzanie wieczorów pod niebem otwartem, dawało wreszcie niewiastom, w części dla nich przeznaczonej, swobodę, względną choćby.

Łazarz objął to wszystko jednym rzutem oka i, czekając w przedsionku na arcykapłana Annasza, badał szczegöły pałacu spojrzeniem znawcy.

Komnata, do której go wprowadzono, obszerną była i chłodną. Marmurową posadzkę zaścielały miękkie dywany, a także kobierce zarzucone były na niskie otomany, wijące się pod ścianami. W najbogatszym nawet domu wschodnim nie znajdziesz nigdy obfitości mebli. Szczegół ten nie uderzył też Łazarza, który stał, przyglądając się bacznie otoczeniu swemu. Obszerne wymiary i rozległość pałacu zapewniały mu zarazem spokój. Głęboką ciszę maciły jedynie kroki niewolników i lekkie uderzenie ciemnych, obnażonych stóp o chłodny kamień posadzek.

Wpływ tej ciszy rozmarzył Łazarza. Czując, jak miło jest być człowiekiem światowym, zaczął porównywać z pałacem tym własne swe mieszkanie i własne życie, swą walkę o to, co nazywano herezyą, oraz związanie się z nieznanym i nielubianym Rabbim; równocześnie przyszło mu na myśl, jak też ten dumny saduceusz traktować go zechce.

— Jak zwykłego robotnika zapewne — wyszeptał. — Jak cieślę, który ma od niego odbierać rozkazy.

Ta uwaga podnieciła go. Łazarz nie był przyzwyczajony, aby nań patrzano z góry; przeciwnie, w swojej sferze zajmował stanowisko wybitne i umiał nakazać dla siebie uznanie. A że dotychczas pracował przeważnie dla równych sobie, nowe więc wrażenie nie było wcale miłym. Wyprostował też, z męską siłą, wytworną swą postać i głowę podniósł dumnie w górę.

Głęboka cisza pałacu przerwana w tej chwili została. W przestrzeni rozległ się dźwięk słodki, metaliczny, dźwięk srebrny dziewczęcego śmiechu.

Łazarz drgnął i obejrzał się dokoła. Cóż to był za śmiech rozkoszny! Doprawdy, w całej Judei nie zabrzmiał chyba nigdy głos szczerzy i bardziej z serca płynący. Kto mógł się weselić tak w tym pałacu magnackim? Łazarz zwrócił oczy ku obszernemu dziedzińcowi, lecz źrenice jego przysłoniły się równocześnie, olśnione blaskiem, jaki błysnął przed niemi. Była to tylko postać niewieścia, która jak na skrzydłach przebiegła

w powietrzu, stopą — zdawało się — nie dotykając ziemi. Kobieta? Tylko kobieta? Nie, to raczej światło, dźwięczące piosenką, — to prądzem muzyka, harmonia, bujająca w przestworzu. A jednak młody człowiek był pewnym nieledwie, iż fenomen ten znalazł ucieleśnienie w niewieścich kształtach.

Jeżeli zaś zjawisko było niewiastą, natenczas okrywała je purpurowa tkanina tyryjska, a zdobiło złoto; błyszczała bowiem i lśniła jak ruchome płomyki ognia. Jeżeli, przeciwnie, było objawieniem tylko, to przybrało na się barwy nieba w dniu zaślubin jego z ziemią, upiększając jeszcze blask ich gorący skrzydłami serafina.

Łazarz stanął jak skamieniały. Ta gra kolorów, ten cud, olśniły go na razie, a później wprawiły w gorączkowe uniesienie. Próżno się jednak oglądał — nikogo widać nie było. Przez dziedziniec szedł stary, sześćdziesięcioletni niewolnik, niosąc dzban srebrny na głowie, przybranej w turban.

Wtem obok zdumionego młodzieńca zabrzmiał głos chłodny:

— Wszak widzę przed sobą budowniczego Łazarza?

Schwytany na gorącym uczynku, odwrócił się szybko. Sam Annasz, arcykapłan, wszedł na tę chwilę.

Łazarz szybko odzyskał przytomność i, złożwszy ukłon głęboki, z wprawą światowego człowieka, wyprostował się, patrząc prosto w oczy wysokiemu dygnitarzowi. A nie było to łatwą rze-

czą: badawczy wzrok bowiem arcykapłana przejmował, postać nakazywała szacunek. Wyniosły, szczupły, spokojny i imponujący stał przed architektem, jak arka przymierza przed narodem. Postawa jego, pełna prostoty, wskazywała świadomość władzy swej i świętości, tak pewnej siebie, jak królewskość księcia krwi cesarskiej, dziedzica tronu, który był od wieków własnością jednej rodziny. Długie jego włosy i broda, starannie pielęgnowane, spływały srebrnym strumieniem na piersi i ramiona. Białe brwi dwoma grubemi sznurami zbiegały się w surowej linii nad czołem.

Strój, odpowiadający bogactwem stanowisku jego i pochodzeniu, podnosił jeszcze powagę osoby. Wbrew prawom obowiązującym, ex-arcykapłan zachował wspaniałą, błękitną szatę swego urzędu. Skraj jej zafałdowany był w szkarłatne i karmazynowe kwiaty granatu. Odrzucił więc tylko dzwoneczki, które powinny były dźwięczeć pomiędzy temi kwiatami, i odłożył tyarę, noszoną podczas sprawowania urzędu. Poza tem zatrzymał wszystkie szczegóły, które mogły uczynić strój jego jaskrawym i nakazującym poszanowanie.

— Wszak budowniczego Łazarza widzę przed sobą? — powtórzył.

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Ja nim jestem i czekam waszych rozkazów.

— Mówiono mi, — ciągnął Annasz — że jesteś zdolnym pracownikiem.

— Jestem przedsiębiorcą — poprawił Łazarz

z lekkim odcieniem wyniosłości — a przytem wykwalifikowanym budowniczym.

— Czy sądzisz pan, — poprawił się Annasz, podnosząc brwi lekko w górę—iż potrafiłbyś przeprowadzić pewne przeróbki w gmachu naszego pałacu, bez uszkodzenia ogólnej harmonii stylowej, jaka — tu ręką wskazał na ściany przedsionka — budowę tę odznacza?

Lekka fala krwi przebiegła lica Łazarza.

-- Mam nadzieję — odparł z godnością, — iż każdy szczegół pracy, przeze mnie podjętej, okaże się godnym mego nazwiska i nie straci na porównaniu z innemi.

— Cenisz się, jak widzę, wysoko, mój godny panie — rzucił kapłan z badawczem, ironicznem nieco wejrzeniem.

— Siebie cenię o tyle tylko, o ile każdy szanujący się obywatel czynić to ma prawo. Na pracę zaś moją nakładam taką cenę, na jaką zasługuje gruntowna znajomość zawodu i sumienne wykonywanie tegoż. Zapewne, że w tych warunkach niską być ona nie może.

— Czy nie moglibyśmy zamienić słów tych na monetę, kurs w obiegu mającą? — podsunął arcykapłan z miną władcy, który raczy się zniżyć do praktycznych stron życia.

— Proszę o pokazanie roboty. Inaczej nie mogę oznaczyć warunków mych—zadecydował Łazarz stanowczo.

Annasz, przywoławszy niewolnika, kazał mu zaprowadzić Łazarza do oddalonego skrzydła pa-

łacu. Poczem zatrzymał się chwilę, jak gdyby godność nie pozwalała mu iść razem z architektem i za nim dopiero podążył na oznaczone miejsce.

— Przedewszystkiem — objaśniał — chciałbym doprowadzić do porządku część pałacu, przeznaczoną dla kobiet. Oto kolumnada ta potrzebuje koniecznie naprawy. Kilka słupów cedrowych wymaga zamiany na nowe, a rzeźby są prawie zupełnie zniszczone. Sądzę, że, o ile to ogólnego stylu architektury nie zmieni, należałoby zastąpić kolumny kamieniami. Zobowiąziesz mnie pan, zbadawszy rzecz tę dokładnie.

Łazarz spełnił żądanie w milczeniu. Obejrzał kolumnadę i ocenił ją szybko, mierząc słupy z wprawą specjalisty okiem i ręką.

— Ten tu grozi wprost niebezpieczeństwem—objaśnił stanowczo.—Może się zawalić lada chwila. Należy więc, dla uniknięcia wypadku, podeprzeć go natychmiast. Kamień nie odpowie całości; drzewo zaś cedrowe było tylko źle dobrane i dlatego tak szybko uległo zniszczeniu. Należy je więc odnowić, tak samo rzeźbiąc kapitele podług wzoru pilastrów.

— A cena?—podjął arcykapłan bez dalszych uwag.

— Trzy tysiące denarów.

— To duża suma, panie budowniczy.

— Przyjęcie warunków mych pozostawiam do woli—odparł Łazarz zimno.

— Nie mogę tyle zapłacić.

— To już rzecz nie moja.

— Weźmiesz pan dwa tysiące.

— Wezmę tylko tyle, ile powiedziałem.

— Racz pamiętać o doniosłości przedsięwzięcia, o rozgłosie, jaki ci ta umowa nada w mieście.

— Rozgłos, na jaki zasługuję, zdobyłem od dawna. Opinia moja, ani sława nie mogą zależeć od roboty w pałacu. Jerozolima przywykła znać już budowniczego Łazarza.

— A jednak musisz pan zniżyć cenę. Niechaj już będzie dwa tysiące pięćset denarów.

— Powiedziałem ostatnie słowo — przerwał Łazarz z godnością.

— W takim razie rozmowa nasza skończona—oświadczył wielki kapłan wyniosłe.

— Do woli pańskiej.

I, skłoniwszy się z szacunkiem, a odprawiony grzecznym ruchem pożegnania, Łazarz opuścił pałac.

Interes synagogi zawiódł go także. Polecenie Marty kazało mu wstąpić na chwilę do Racheli, matki ociemniałego Barucha, gdzie ten zatrzymał go, zasypując pytaniami o cudownego Rabbi, uzdrawiającego chorych. Ciemno też już było zupełnie, gdy wrócił do domu. Tu od progu wybiegła do niego Marta z zawiadomieniem, iż służący arcykapłana czeka nań oddawna.

Łazarz, przyzwawszy człowieka tego bez zbytego pośpiechu, dowiedział się, iż wielki kapłan prosi, aby pan budowniczy raczył pofatygować się do pałacu jutro wczesnym rankiem.

Czyniąc zadość żądaniu, które go nie zdziwiło bynajmniej, Łazarz stawiał się nazajutrz w progach Annasza.

Wielki dygnitarz nie ukazał się tym razem osobiście. Zastąpił go oficer świty, który, przyjąwszy cenę oznaczoną, oświadczył, iż arcykapłan życzy sobie, aby robota około zmiany kolumn została natychmiast rozpoczęta.

— Pan mój pragnie wiedzieć, czy usuwanie spróchniałych słupów może być bezzwłocznie uskutecznionem. Ze względu bowiem na bezpieczeństwo kobiet, zamieszkujących tę część pałacu, pożądanym jest jaknajwiększy pośpiech w przeprowadzeniu naprawy.

— Zarówno ludzie moi, jak potrzebne materiały, będą tu na miejscu w przeciągu trzech godzin—odparł budowniczy stanowczo.

— Arcykapłan zaniepokojony jest tą sprawą. Nadpsuta bowiem kolumnada dotyka wprost apartamentów jego córki. Dlatego też nagli o pośpiech.

Łazarz skłonił się w milczeniu, nie dając żadnej odpowiedzi.

Był on jednym z tych idealnie sumiennych pracowników, dla których słowo jest czynem zarazem. To też w trzy godziny później praca około pałacu zaczęta już została. Potrzeba naprawy okazała się gwałtowniejszą, niż to na razie sądzić można było; Łazarz zabrał się więc do niej z całą energią. Zanim słońce zaszło dnia tego, słupy grożące niebezpieczeństwem zostały już usunięte i zastąpione tymczasowymi podporami. Wzmocni-

ło to portyk, a usuwając wszelką obawę, pozwalało pracować zwolna już i swobodnie, zarówno nad odnowieniem rzeźb, jak nad artystycznym wykończeniem nowych kolumn. Młody snycerz, budowniczy zarazem, kochał swój zawód, a talizman ten stawał się czarownem narzędziem, które mu użyczało siły i zręczności.

Nowe zajęcie pochłonęło zupełnie jego uwagę. Przez parę dni zresztą ciszy pałacowej nie nie zakłócało, a spokój ten wzmacniał jeszcze skupienie jego w pracy. Oficerowie tylko i służba przechodzili tędy niekiedy. Sam wielki Annasz nie ukazał oblicza swego architektowi.

Pewnego dnia, a było to w chwili, gdy straszny upał zmniejszać się zaczynał, Łazarz, wyczerpany gorącem i pilnością, z jaką własnoręcznie pracował, oddalił się i usiadł w cieniu, rzucanym przez mury pałacu—patrzył stąd na robotę swych ludzi. Znużony, oparł się o ścianę, chcąc, aby chłód kamienia orzeźwił nieco zgorączkowane jego ciało. Równocześnie, dla lepszego ochłodzenia się, zdjął turban z głowy, odsłaniając dumny zarys czoła i całą piękność męskiego oblicza. Wtem lekki szelest w pobliżu wyrwał go z głębokiej zadumy. Łazarz zerwał się i z turbanem w ręce stanął wyprostowany, oczy zaś jego padły na śliczny obrazek.

Pomiędzy dwiema rzeźbionymi kolumnami stała postać młodziutkiej kobiety, postać dziewczęcia raczej, wahająca się i zalękniona. Nie czuła się znać pewną, czy ma iść naprzód, a nie miała najmniejszego zamiaru cofnąć się z powrotem.

Była wysmukła, wspaniała, a królewska jej powaga i wyniosła minka tak łączyły się z urokiem kobiecości, z powabem linii klasycznych i gorącego kolorytu, iż ów chłód monarszy, owa duma spojrzenia zdawały się tylko szatą zewnętrzną.

Czyniła wrażenie kobiety, którą ogień i szal namiętności zdołałby zamienić w słodkie, uległe a korne stworzenie, lecz która, płomieniem tym nie dotknięta, mogła nigdy nie uledez, nigdy nie nie czuć, nigdy nie pozwolić wysokości swej stopić się i roztajać.

Była doskonale, przedziwnie piękną, a uroda jej nosiła ten charakter delikatny, a zarazem olśniewający i zbyt kowny, jakim przykuwa oczy kosztowna rzeźba, wytworna makata, lub klejnot w artystycznej oprawie.

Strojną przytem była w szatę z tkaniny złotego koloru, przetykanej purpurą. Brzegi jej ramowała złota, długa frędzla, zakończona perłami pół-prawdziwymi. Perły, również wysokiej ceny, zwieszały się z ramion jej i leżały na piersiach. Blask ich rzucał promienie za każdym głębszym oddechem, a sznury długich tych klejnotów bujały się w takt ruchów jej zalęknionych i wahających na razie.

Oczy dziewczęcia i młodego budowniczego spotkały się przez dłuższą chwilę. On stał onie miały, ona nie śpieszyła się z narzuceniem na cudne oblicze obowiązującej zasłony. Przyuczona do niekrępowania się, patrzyła na niego z miną samo-

wolną i zaciekawioną zarazem. Stała tak wysoko, o tyle stanowiskiem swem przerastała ogół zwykłych kobiet, iż nie przyszło jej na myśl nawet, że może być źle zrozumiana.

Bo i czemuż był Łazarz, aby ona na progu własnych komnat, w pałacu swego ojca, miała w welonie kryć królewskie swe rysy? Przed kim? Przed zwykłym budowniczym może?

Mężczyzna przemówił pierwszy; kierowany taktem wroczonym, wyrzekł słowa, których najmniej spodziewać się mogła.

— Czy życzysz pani sobie, abym stąd odszedł?—zapytał.

Dziewczę rzuciło mu badawcze, płomienne spojrzenie. Gdyby jeden z pilastrów świątyni poruszył się i zaczął przemawiać, mniej by ją to może zdziwiło, niż odezwanie się młodego człowieka.

— Jeżeli się oddalisz,—rzuciła —pałac gotów się zapaść nad nami.

I zaśmiała się. Śmiech ów, jak prąd elektryczny, wstrząsnął Łazarzem. Dusza jego zdawała się wrywać z ciała i dążyć w ślad za tym srebrnym dźwiękiem. Znał on już tę wstrząsającą, rozkoszną falę muzyki—wszak słyszał ją za pierwszą swą bytnością w pałacu.

— Na wiarę ojców przysięgam,—wyszeptał— że Judea cała nie znała dotąd podobnej harmonii!

I, poruszony do głębi wrażeniem, silniejszym nad małostkowe warunki życia, podniósł głowę tak śmiało, jak gdyby prócz zachmurzonych jego spoj-

rzeń i cudnych rysów dziewczęcia nic nie istniało na świecie.

Równocześnie w duszy jego zaszła dziwna zmiana. Łazarz stracił przebiegłość, wrodzoną swej rasie; przestał być ostrożnym, chłodno obliczającym Żydem, a pod naciskiem pierwszego popędu, bez zastanowienia, myśl swą wyraził:

— Doprawdy, — zawołał—nie wiem, ktoś ty i jak mam mówić do ciebie. Jednej wszakże rzeczy jestem pewny: oto, że przedstawiasz muzykę, ucieleśnioną w kształtach niewieścich. Dlatego też głos twój sprawia mi rozkosz.

— A ja wiem w zamian, — odparła, oblana żywą purpurą — że jesteś śmiałym, mój młodzieńcze. Przypuszczam jednak, że słowa te rzekłeś bez złej myśli i dlatego... nie obawiam się ciebie.

— Mogłabyś równie dobrze lękać się swego ojca lub swego kapłana!—zaprzeczył gorąco.

— Mój ojciec jest moim kapłanem zarazem—objaśniła, dodając z wdzięcznym ruchem ręki: — Wiedz, że stoi przed tobą córka Annasza.

— Przed tobą zaś architekt wielkiego kapłana.

— Mówiłeś do Zahary — ciągnęła pani tych progów.

— A ty do Łazarza — odparł z pochyleniem młodzieniec.

— Nie spotkałam dotychczas wśród urzędników mego ojca podobnego zachowania—zauważyła z naiwną swobodą.—Zaciekawiasz mnie... A to nie-

często się zdarza... Ach, być kobietą to taka rzecz nudna! — dodała.

— To los boski! — wyszeptał Łazarz gorąco.

— Nie rozumiem was, mój panie—przerwała z zalotnością dziewczęcą.

Lecz w tej chwili zawołano na nią z pałacu.

— O! ja cię zobaczę! — wybuchnął gwałtownie. -- Będę tu przychodził jutro, pojutrze, przez dni wiele! Zobaczę cię! Chcę i muszę znów ujrzeć!

— Czy tak pewnym jesteś tego? --- zaśmiała się Zahara.

Obrzuciła go przytem wejrzeniem, które, jak skra, do zbożowego ładu przyłożona, pożar w duszy jego wzniecić musiało. I z tym śmieszkim srebrnym, ściągawszy na marmur oblicza białą ze złotem zasłonę, która je ukryła w przejrzystym obłoku, cofnęła się szybko, niknąc z przed jego oczu.

V.

Łazarz wracał do domu jak człowiek olśniony nagłą błyskawicą. W głowie mu się kręciło; krew nierównymi falami biła w żyłach. Potężne ściany świątyni zdawały się chwiać, gdy obok nich przechodził. Nawet znane zarysy góry Oliwnej tańczyły przed nim, a ludzie, spotykani na drodze,

zmniejszali się lub rośli do postaci olbrzymów wśród mgły, jaka przysłaniała źrenice Łazarza. Doznawał takiego wrażenia, jak gdyby kroczył ponad nimi po dziwnej wyżynie, a świat dostrzegał przez głowy ich dopiero. Sądził się być duchem, oswobodzonym z powłoki cielesnej, a wzlatującym w przestworze według własnej woli. Biegł więc i płynął poprzez prądy życiowe, nie wiedząc równocześnie, dokąd skierować łódź swoją. Dokąd i po co? — obojętnem mu to było. Czuł tylko, że szybuje po morzu upojenia i rozpacz; wiedział, że staje się podobnym do ptaka lub wichru, do drzewa, strzelającego potężnymi konarami, lub innej, silnej, życiem kipiącej a nieświadomej go, rzeczy. Rozsądek, władze umysłowe, przenikliwość—wszystko to opuściło go w tej chwili. Wiedział jedynie, że żyje, i czuł, iż fakt ten sprawia mu radość niewymowną.

Jak dotychczas, sądził, że istnieje jeden fakt tylko, który może, oderwawszy duszę od ciała i marnych trosk życiowych, wznieść ją nad poziomy; a faktem tym była śmierć. Tymczasem stał w tej chwili oko w oko z innym objawem równej siły i potęgi, z objawem tak obcym jego poważnym rozmyślaniom, a tak potężnym i niezmiernym, jak głębie fal oceanu. Objawem tym była miłość.

Przed Łazarzem, niestrudzonym pracownikiem, trzeźwym i wstrzemięźliwym panem domowego ogniska, najbardziej szanowanym z obywateli, najgłębiej religijnym wśród pobożnych, najczystszy

z ludzi, najpogodniejszym z umysłów — przed Łazarzem otworzyły się karty księgi, która dla większości ludzi na zawsze zamkniętą zostaje. Oto miłość natychmiastowa, gwałtowna, ów anioł potężny a tak rzadko spotykany, otoczyła ducha młodzieńca swojemi skrzydłami.

Było to dlań uczucie tak nowe, iż z początku odebrało mu przytomność. Gdyby ze skrzepowanemi rękoma i zawiązanemi oczyma wrzucono go, wśród burzy nocnej, w odmęty morza Galilejskiego, nie czułby się więcej odurzonym i bezradnym.

Na razie pojmował tylko, że idzie na dno, że tonie i... musi utonąć. Później instynkt zachowawczy kazał mu bronić się, walczyć, ratować.

— To sen — szeptał, odpędzając natrętne widziadła. — Muszę się obudzić... Muszę go zapomnieć!... Już mija, już mię oswobadza.

I przesunął rękę przez źrenice, chcąc odegnąć obraz, który ich nie opuszczał. Próżne staranie! Widziadło nie było grą wyobraźni i nie dało się rozproszyć jak mgła. Wryte w głębiach duszy, przeszło w krew i ciało, nie cofało się kornie na pierwsze skinienie.

Spróbował ruchem nakazującym rozwiać postać kobiety, a tymczasem ona, wysmukła, wyniosła, królewska w potęgde swej i blasku, jaki bił od jej rysów, patrzyła nań z czarem ułudnym, drwiąc z szamotań jego i rozkazu pożegnalnego. Nie da się odepchnąć; nie pozwoli mu odzyskać swobody. Patrz!... Stoi niewzruszona na gruncie raz zdobytym, żartująca z twoich usiłowań, pewna

siebie i swego panowania. Bo to nie widmo, to nie sen, Łazarzu. To rzeczywistość, która miękkimi ramionami, jak ramiona kochającej kobiety, otacza cię coraz silniej i więzi w coraz silniejszym uścisku.

Łazarz zadrzał, pochylając się przed nieznaną sobie potęgą. Zdawało mu się, że istność tej tkliwej, dumnej kobiety zjednoczyła się odtąd nierozdzielnie z jego istnością, że fala powietrza, którą oddychał, poruszała równocześnie jej usta.

— Zaharo! — wyszeptał — Zaharo!

I powtórzył imię to głośno, ulegając złudzeniu, że w ten sposób zbliża się ku niej, że dźwięk ów słodki łączy ich poniekąd. Odrzuciwszy też w tył głowę, szedł dumnie, pogrążony w upajającym marzeniu.

Wtem jeden z robotników dogonił mistrza, żądając objaśnień, dotyczących roboty w pałacu.

— Co mówisz? O co chodzi? — pytał Łazarz, jakby ze snu zbudzony.

Podwładny powtórzył pytanie, a pan zbył go kilku bezładnemi słowami i pośpieszył dalej. Czuł bowiem rozpacznie potrzebę ciszy... ciszy i samotności... Chciał być z Bogiem i z sobą tylko.

Wróciwszy do domu, zamknął się czemprędzej we własnej komnacie. Napróżno Marta szukała jego rady w drobiazgowym jakimś interesie.

— Proszę cię, siostró moja, załatw to sama — odparł. — Jestem znużony i potrzebuję spokoju.

— Ale to rzecz ważna — nalegała Marta. — Muszę z kimkolwiek o niej pomówić.

— A więc pomów z Maryą.

— Mogłabym również dobrze zwrócić się po radę do gwiazdy wieczornej—rzuciła Marta lekceważąco.

— Słucham zatem — poddał się Łazarz, ulegając lekkiemu wyrzutowi sumienia; był bowiem dobrym bratem i nie zwykł lekceważyć słów kobiety.

— Kiedy tak, — odwróciła się Marta z obrazą—nie mam ci już nic do powiedzenia.

Łazarz przeszedł do swego pokoju i zamknął drzwi za sobą. Tu dopiero stanął, uderzony zmianą, jaka w nim zaszła. Wszak w świetlicy tej wydawało mu się wszystko innem niż dotychczas, a jednak było takim samem. A więc tak—to on się zmienił, to on stał się nowym człowiekiem. Dawny Łazarz nie powróci tu już nigdy więcej. Poważny architekt nie poznawał siebie; przyuczony zapatrywać się trzeźwo na fakty życiowe, nie znał on dotychczas marzeń. Prowadził życie proste, pracowite i pobożne. Rozkoszna kraina snów obcą mu była, a ciszą istnienia po raz pierwszy wstrząsnęło potężne wrażenie.

Spokojna jego natura w tej chwili ulegała dziwnej burzy. Sztandar, pod którym przebiegał życie, prawa, jakimi się rządził, zdawały mu się obecnie nędzną łupiną, rzuconą na rozhukane fale. W jednej sekundzie, w mgnieniu oka, kobieta weszła do jego królestwa, wtargnęła do tego cichego świata — i odtąd całe bogactwo jego natury, cała sława, siła i potęga spoczęły u jej stóp. On zaś,

on pragnął tylko, aby mógł przycisnąć usta z czcią do stóp tych.

I, owładnięty tą myślą, rozpływał się w śmiechem a kornem zarazem żądaniu. Szaty jej spływały w fałdach prostych tak długo, iż zdawać się mogło, że ona stąpa nie po ziemi, lecz po jasnym obłoku. Miękkie draperye, jak welon na welonie, otaczały ją całą zazdrośnie. Że na widok jego nie zakryła oblicza, to dowód tylko dumy wyniosłej, dowód zastosowania wstydlivosti dziewczęcej do stanowiska. Bo przed kimże miała chować cudne swe rysy? Przed nim — robotnikiem swego ojca?

Łazarz rozważał to z uczuciem zachwyty i wstydu zarazem. Pierwszą jego myślą było:

— Wszak nie potrzebuje się stosować do zwyczajów innych kobiet. Spełnia własną swą wolę tylko, jak przystoi księżniczce.

Po chwili rozwagi zaś dodał:

— Tak. Ona jest córką Annasza. A ja kimże w jej oczach być mogę? Łazarzem, budowniczym, płatnym przez arcykapłana, jej ojca.

Czemżeż więc był wobec jej godności? Prochem, który nie miał prawa podnosić zuchwałej swej myśli aż do niej, do Zahary!

We wspaniale urządzonej komnatach Łazarza ciemność zaległa. On zaś, niepomny panującego tu dostatku, mierzył je krokiem gorączkowym, czując się w tej chwili uboższym od żebraka. W przeciągu godziny zubożał—runął bowiem gmach pewności siebie i zadowolenia, z jakim pa-trzył dotychczas na stanowisko swe w świecie.

Majątek jego, zdolności i fach, sumiennie wykonywany, dawały mu poszanowanie u ludzi, wiarę, kredyt i zaufanie we własne siły. Sądził dotychczas, że wybór jego, padając na kobietę, szczęśliwą ją uczyni. Po raz pierwszy pojawił też dopiero, że on, bogaty architekt i przewodca całego stronnictwa religijnego, nie po każde jednak dziewczę ma prawo wyciągnąć rękę, — że istnieją wyżyny, niedościgłe dla niego. W ciemnych, łagodnych zazwyczaj, oczach mężczyzny zapaliły się płomienie.

— Byłbym wzgardzony, odepchnięty! — zawołał głośno.

Tak. Bo i cóżby uczynił Annasz, wielki kapłan, Annasz członek sanhedrynu, Annasz saduceusz, posłyszawszy dumne imię córki swej Zahary na ustach faryzejskiego budowniczego, Łazarza? Nie ulega wątpliwości, że wypędzonoby go, jak niewolnika z przed oblicza pana, że ojciec Zahary nie zniósłby, aby cień najłżejszy padł na przesady kastowe, droższe sercu każdego Żyda nad życie nawet. Annasz przedstawiał arystokrację w społeczeństwie i w religii, Łazarz był mieszczaninem i dysydem.

Sam więc majątek, samo stanowisko i wpływy architekta stawały się w tym razie źródłem obrazy dla patrycyusza. Lepiej by może było dla młodzieńca, gdyby, jako prosty żebrak, mając „Pomoc w Bogu tylko“ (bo tak brzmiało jego imię), przyszedł i stanął kornie u schodów pałacowych. Arcykapłan uważałby go wtedy za człowieka, zajmującego właściwe sobie stanowisko, a rzuciwszy

mu garść srebrników, nie zwracałby na niego większej uwagi, niż na osła, przewożącego paki pod nadzorem niewolników.

Łazarz powstrzymał gorączkowe swe kroki, i, rzuciwszy się na kobierzec w pozie zgnębionej, pochylonej ku ziemi, a tak zwykłej na Wschodzie w chwilach wzruszenia, toczył dalej zaciętą walkę z samym sobą.

Czuł się wstrząśniony własną niedolą, zaskoczony znienacka niespodzianem położeniem. Wiedział, iż w duszy jego szamocze się wróg, z którym nie potrafił walczyć. Nie chciał mu się poddać, a nie umiał go zwyciężyć. Nie przyszło mu też nawet na myśl, by ten gwałtowny, namiętny wybuch nazwać miłością. Dał mu miano Zahary i faktu raz spełnionego nie studyował więcej.

— Zobaczę ją znów jutro — wyszeptał.

Lecz w tem przyszło mu na myśl, że to jutro może nigdy dla niego nie zabłysnąć, że najprawdopodobniej nie ujrzy jej więcej.

— Muszę! — wykrzyknął. — Chcę i muszę!

Po rozwadze jednak przyznał, że „chcę i muszę“ były w tym razie czczemi dźwiękami. Dotychczas nikt mu się nie sprzeciwiał; wola jego była prawem zarazem. Ale też, co prawda, nigdy aż do tej chwili niczego nie pragnął gorąco. Żądza ludzka, jak zwierzę nieokiełznane, wybuchała w nim po raz pierwszy, każąc zaciskać zęby i pięści w dzikiej walce z samym sobą.

W przerwach tych bolesnych szamotań potarzał tylko głośno:

— Zahara! Zahara!

Sam dźwięk ten zdawał się promieniować i błyszczeć. Co za wspaniałe imię!

— Zahara Jasna... Zahara Świetlana... Stąd, z ciemni mojej komnaty, uwielbiam cię i błogosławię, Zaharo!—szeptał Łazarz namiętnie.

I, gdy leżał tak, korny, zgnębiony, z obliczem ukrytem w dłoniach, lekki, nieśmiały głos zbudził go wreszcie z zadumy. Były to słowa siostry jego, Maryi, stojącej u drzwi zamkniętych.

— Czyś ty chory, mój bracie?—pytała zcicha.

— Nie, zdrów jestem zupełnie—brzmiała odpowiedź.

— A czy nie wyszedłbyś czasem, abym mogła pomówić z tobą?

— Chyba, że chodzi o coś ważnego.

— O, nie. Mogę poczekać. Nie chciałabym ci się uprzykrzać.

— Ty i natręctwo to dwa obce sobie pojęcia—zapewnił Łazarz serdecznie, wracając od marzeń namiętnych do rzeczywistych warunków życia.

Marya posiadała zawsze silny wpływ na niego. Podniósł się też i zbliżył ku drzwiom.

Marya była samą.

Ściemniło się, a wieczór roztaczał chłód dobroczynny. Brat i siostra usiedli na niskiej ławeczce, przystępując do poufnej gawędki. Marya patrzyła na Łazarza, ale nie przenikliwie; oczy jej łagodne, kochające, z tkliwością zatrzymywały się na nim. W żrenicach młodzieńca błysnęło nawzajem poczucie winy bezwiednej.

— Ona by mię nie zrozumiała... nie pojęła—powtarzał, jakby dla uspokojenia własnych skrępułów.

— Mam ci coś do powiedzenia — zaczęła lekliwie.—Marta chciała cię już wpierv zawiadomić ale nie słuchałeś jej nawet.

— Bo mię nudziła—objaśnił Łazarz krótko.—Ty jedna nie niecierpliwisz mię nigdy.

— Był tutaj—wybiegło na usta Maryi z niezwyczajną mocą.

— O kim mówisz?

— A o kimże myślećbym mogła? Wszak Jego jednego znamy tylko — odparła poważnie.—Mistrz i Pan nawiedził dom nasz.

— Podczas mojej nieobecności?

— Tak. Zabawił pod dachem naszym do dwunastej godziny. Dłużej nie mógł, choć Marta przygotowała górną komnatę i zapraszała Go serdecznemi słowy. Odszedł... Nie chciał pozostać.

Łazarz milczał przez chwilę.

— Gdybyś ty był tutaj,—dodała Marya—sądzę, że uległbyś prośbom naszym.

— Żałuję szczerze—wyznał Łazarz.

— Ależ wiem, że żałujesz — zapewniła z niezwyczajną żywością, choć głos brata zdawał jej się dziwnie stłumionym i jak gdyby rozbawionym dźwięku szczeroci.

Sądziła, że spotka się z głębokim żalem, że wieść ta zmartwi go; spokój też dziwnym jej się wydał.

— Łazarzu, — wyrzekła z odcieniem wyrzutu — wszak droższego nad ciebie i bliższego sercu ma On tylko jednego wśród tych wszystkich, którzy noszą miano Jego uczniów, a imię tego wybrańca ukochanego na równi z tobą nieobcem ci jest.

— Mówisz o Janie rybaku i rzekłś prawdę:—przyznał Łazarz.—Mistrz kocha go.

— A ciebie? Och, Łazarzu, On i ciebie na równi miłuje! Powiedziały to Jego własne usta. Stwierdziły Jego własne czyny. Dziwno mi, że tak chłodno mówisz o Nim, mój bracie.

— Niechże Bóg zachował!—bronił się żywo.— Nie zmieniłem się ani na chwilę. Jeżeli istnieje na świecie człowiek, wierny Jemu i Jego nauce, to ja nim jestem. Serce moje nie może nigdy oziębnąć dla Niego.

Wraz ze słowami temi jednak cień dziwnego przerażenia opanował Łazarzem. Czyżby w porównaniu z gorącym płomieniem namiętności, jaka dziś sercem jego zawładnęła, wszelkie inne uczucie musiało zblednąć? Czy to możliwe, aby on, Łazarz, ukochany przez Tego, na którym wszystkie nadzieje ludu jego zawisły, wybrany przez wzniosłą, tkliwą Jego duszę i podniesiony do godności ulubionego przyjaciela, aby on, Łazarz, zapomniał Mesyasza swego narodu, Jezusa, mistrza swego, dla jednego spojrzenia kobiety, wczoraj jeszcze nieznaney?

— Żał mi, — wyszeptał kornie — boli mię,

żem Go widzieć nie mógł. Jak wygląda? Co mówił do was.

— Mizerny—objaśniła Marya smutnie.— Błady i znużony; oblicze wydaje się przezroczyste, a ruchy wskazują zmęczenie nadzwyczajne. Doprawdy, Łazarzu, widok Jego wstrząsnął mem sercem.

— I co mówił? — podjął brat jej ze wzrastającym zajęciem.

— Słowa jego były nieliczne,—objaśniła z wyrazem czci najwyższej — nieliczne, a tem cenniejsze.

— Czy nie możesz ich sobie przypomnieć, siostrzo?

— Nie, Łazarzu. Alboż zdołałabym odtworzyć szum skrzydeł anielskich ponad ołtarzem świątyni? Sam Jego głos przejmującym dźwiękiem uniósł duszę mą ponad ciało; słów też nie mogłabym ci powtórzyć, choćby dlatego, iż, według mnie, niczyje usta niegodne bratać się z niemi.

— Że nie chcesz przytaczać Jego wyrazów, to mogę pochwalić ci tylko, Maryo. Stokroć byłoby lepiej, gdyby inni zachowali równą sumienność, nie przekręcając, często bezwiednie, mowy Jego. Śród naszej gromadki zbyt wiele istnieje gadatliwych języków. Ja sam podziwiałem już przykład, dawany przez Mistrza. W milczeniu jest On wymownym, a w mowie powściągliwszym od wszystkich mądrych ludzi, jakich mi się w życiu spotkać zdarzyło. Żałuję coraz więcej, że nie byłem dziś w domu, bo, doprawdy, bardzo, bardzo

jest mi on drogim—wołał Łazarz ze wzrastającym wybuchem uczucia. — Nie powtarzając słów, powiedz jednak, o czem była mowa.

— O groźbach Rzymu i nienawiści żydów — odparła Marya smutnie. — O przeszkodach, jakie ludzie stawiają zewsząd Prawdzie niebieskiej. Mówił o Prawdzie tej i Ojcu swym. O sobie rzucił tylko parę wyrazów, bo on nie dba o siebie, Łazarzu. Nie przywiązuje wagi do swego bezpieczeństwa, do snu, pożywienia, spoczynku lub zdrowia, nadziei lub szczęścia ludzkiego. Kocha tylko Ojca swego i nędzę ludzką.

— Bo On do nas niepodobny, bo od Ojca tego pochodzi—zapewnił Łazarz uroczyście. Stąd świat i jego troski nie szarpią Nim, jak nami. Chodzi wśród nas, niby ten, który bezkarnie wejść może do klatki z dzikimi zwierzętami. O, siostró, jam niegodzien rozwiązać rzemienia u Jego sandałów!

Łazarz pochylił głowę ku ziemi i odetchnął głęboko. Znać było, iż zapłakałby chętnie, gdyby go męska godność nie wstrzymywała od okazania słabości. Marya patrzyła na niego z przerażeniem i zakłopotaniem. Nie wiedziała, jak pocieszać w zmartwieniu, którego nie rozumiała nawet. Słodka, pogodna, przezzysta, nie dotknięta nigdy przelotnem choćby technieniem namiętności, była ona w tej chwili daleko duszą swą od Łazarza, niby jasna a zimna gwiazda w przestworzu.

— Muszę Go zobaczyć — zawołał Łazarz nagle, próbując zapanować nad sobą. — Szkoda, że straciłem tyle czasu. Oto wiele już tygodni upłynęło, odkąd oczy moje spoczęły na Jego obliczu. Zatarł się obraz rysów Jego w mojem sercu. A jednak, Bóg świadkiem, że serce to zostało Mu wiernem! Skoro nie dano mi spotkać Go przypadkiem, pójdę i sam poszukam Mistrza z Nazaretu!

VI.

Ranek roztoczył w przyrodzie przepych księżycy. Słońce powstało jasne, wspaniałe, a dźwięk trąbki, zwołującej na modlitwę, brzmiał w przeczysnem powietrzu doniosłe, drżał długo i przenikliwie.

Hasło to zastało już Łazarza przy oknie, wychodzącem — jak zwyczaj kazał — na Jeruzalem. Z głową pochyloną, pogrążony w głębokiej modlitwie, wznosił on w tej chwili duszę z uczuciem ukojenia. Wzmocniony, z nerwami uciszonemi spoczynkiem, pytał on sam siebie: czy wczorajszy wybuch namiętny, czy gorączka zeszłego wieczora nie była snem tylko? Co ją stłumiło: czyste technienie poranku, czy też równowaga ducha, przywrócona przez świętość myśli pobożnej? Łazarz doznawał

wrażenia człowieka, który z ciężkiej niemocy powraca do życia. Niedawna a potężna walka uczucia, ta burza, jaka nim miotła, snem wydawała mu się dzisiaj. Myśl też jego, wracając do córki Annasza, odczuwała tylko upokorzenie. W miarę zaś, jak obraz Zahary usuwał się i niknął z przed jego oczu, Łazarz wyrzucał sobie coraz silniej wzruszenie, jakiemu uległ wczoraj. Modlitwa więc tem bardziej przejmowała skrucą jego serce.

Przy śniadaniu siostra posługiwała mu w sposób cichszy i spokojniejszy niż zwykle. Być może, iż uwaga ta była tylko odbiciem własnego jego usposobienia, lub że wpływ gościa dziś jeszcze krążył nad całym domem. Dość, że Marta nawet zdawała się dobrą i uległą. Rysy jej przytem cechował wyraz tak pogodny, iż Łazarz, wyszedłszy, zaczął od usprawiedliwienia:

— Przepraszam cię, siostró, za szorstkość wczorajszą.

Słowa te sprawiły Marcie rzeczywistą przyjemność. Dotychczas bowiem ona najczęściej musiała się usprawiedliwiać z porywczosci. Zmiana pozycji przyniosła jej pewne zadowolenie. Wprawiło ją też w dobry humor, iż tym razem inny członek rodziny musi się przyznać do winy i przeproszać.

Rozstali się więc w zgodzie szczerzej, a brat, spokojny, choć zamysłony, udał się do zwykłej pracy.

— Postaram się zobaczyć z Nim wkrótce —

mówił przedtem do Maryi. — Będę dopóty szukał w Jerozolimie, aż Go odnajdę.

I, przejęty silnem tem postanowieniem, szybkim lecz pewnym krokiem skierował się ku pałacowi.

Robotnicy byli tu już przy pracy. Łazarz zarządził na dziś rzeźby na kolumnach cedrowych, wzniesć się mających, rzeźby tak delikatne, iż wymagały najściślejzego nadzoru. Młody architekt i snycerz zarazem rzucił się gorączkowo do pracy. Miał on duszę artysty, która, niedość w danym kierunku kształcona, a spętana ciasnotą przepisów żydowskich, objawiała się jednak z siłą w dostępnym mu zakresie. Kierował też sumiennie i z zapalem dłutami, ryjącymi gałęzie winogrodu i kwiaty granatów wśród arabesek, z których postacie ludzkie lub zwierzęce surowo były wygnane prawami religijnymi. W pośrodku tylko, ze zwojów roślinnych, wychylał się w płaskorzeźbie rząd drobnych pilastrów i kolumn, podtrzymujących miniaturowy strop portyku.

Rysunek ten pochłoniął całą uwagę Łazarza, a praca obiecująco posuwała się naprzód. Wejście i okna do niewieściej części pałacu przykrywały grube zasłony. Na dziedzińcu, prócz przechodzących niekiedy urzędników dworu kapłańskiego, nie ukazywał się nikt więcej.

— Annasz, wielki kapłan, wyraża zadowolenie swe z pracy architekta Łazarza — oznajmił jeden z nich z ceremonialną grzecznością.

Budowniczy skłonił się.

— Cieszy mię uznanie arcykapłana — odparł wyniośle.

I, powracając do zadania swego, oddał mu się z ponowną gorliwością. Jeden ze snycerzy jednak, pracujących pod jego kierownictwem, nie zdołał w delikatności linii zadowolić mistrza. Strofowany kilkakrotnie, a dotknięty ostrą krytyką, rzucił wreszcie rylec, mówiąc gniewnie:

— Skoro nie mogę ci dogodzić, napróżno pracowałbym dalej. Spróbuj dokończyć trudne zadanie sam, Łazarzu.

— Tak też uczynię—potwierdził i, podjawszy dłuto, pogrążył się cały w subtelnej robocie.

I, gdy pracował z zapałem, rzeźbiąc delikatny rysunek, poczerpnięty z własnej wyobraźni, duch uniósł myśl tak daleko, iż na razie Łazarz nie wiedział, co dłuto jego kreśli. Fantazja, rozwinięta skrzydła, dotknęła wyżyn, do których młody snycerz nie dążyłby nawet w pełni samowiedzy. Słońce wbiło się tymczasem w sfery południowe, a upał ciężki, piekący, podniecał tem silniej umysł Łazarza.

Pracownicy jego, obezwładnieni gorącem, zawiesili robotę, udając się w cień murów pałacowych na spoczynek i pożywienie. Gmach cały zajęła głęboka cisza. Łazarz, rozmarzony, stał przed pilastrem, rzeźbiąc gorliwie. Nagle ręka jego, jakby prądem paraliżu dotknięta, opadła bezwładnie ku ziemi. Śród martwego spokoju, przepełnionego palącymi promieniami słońca, rozległ się śmiech,

dźwięczący echem srebrnego dzwonka. Rylec wypadł z dłoni Łazarza. Krew uderzyła do głowy.

— Zahara! — wyszeptał.

Stała w rzeczy samej po za nim, jak zjawisko promiennej, olśniewającej piękności. Oczy jej przybrały wyraz szydery, usta wydeły się wzgardliwie, a ręka wyciągniętą była w kierunku rzeźby, wykonywanej na pilastrze pałacowym.

— Doprawdy,—mówiła drwiąco—jak na prawowiernego Żyda, wykonałeś, panie budowniczy, dzieło wspaniałe.

Dzieło wspaniałe? Cóż to znaczy? Co on uczynił? Oto na tle splecionych liści winogradowych, poza miniaturowym portykiem, na delikatnych kolumnach opartym, dłuto jego zarysowało w drzewie cedrowem kontury postaci niewieściej o długich, powiewnych szatach i smukłej postaci, skromnie kryjącej się wśród zwojów roślinnych.

— Synedryon niezbyt się ucieszy tym widokiem—żartowała dalej Zahara. — Pozwoliłeś sobie popełnić czyn, który prawo duchowne uważa za występpek.

— Czy i w twoich oczach jest on występkiem?—podjął snycerz porywczo.

Zrenice jego przytem spoglądały na nią z dziwną mieszaniną męskiej dumy i bezwiednej, wszechpotężnej tkliwości. Stopniowo przebijał się w nich promień śmiałego uczucia, które groziło owładnięciem całą istotą. I Łazarz, niezdolny opierać mu się w tej chwili, poczuł nagle prawo do okazania

się takim, jakim był — do nieukrywania zapalnej swej natury i owładającego nią zachwytu.

Na gorące spojrzenie jego, Zahara odpowiedziała najwpierw dumnym wejrzeniem królowej. Stopniowo jednak monarchini, pewna swej władzy, zaczęła ustępować przed kobietą, i oczy jej ze skromnością zwykłego dziewczęcia opadły przed palącym wzrokiem mężczyzny.

— Nie — odparła z wolna. — Praca twoja nie może mnie obrażać, bo nie ja przecież pisałam prawa, lecz Mojżesz. Nie moje więc przekroczyłeś rozporządzenia, nie moje złamałeś tablice.

— Ten obraz silniejszym był nade mnie — tłumaczył Łazarz porywczo. — Nie mogę cię zapomnieć, Zaharo. Widzę cię ciągle w myślach mego serca, w marzeniach umysłu! Wspomnienie postaci twej kierowało samowładnie mą ręką, jak wichor kieruje łodzią na morzu.

— A jednak rzeźba ta może się nie podobać memu ojcu — wyszeptała trwożnie Zahara.

I, cofając się, zsunęła szybko zasłonę na lica, by drżąca, spłoszona, tym wdziękiem nieśmiałym nadać podwójny urok swej postaci.

— Przestroga twa jest słuszną — przyznał młodzieniec. — Nie lękaj się, Zaharo. Błąd to, który można jeszcze naprawić.

Pochwycił rylec i ruchem gwałtownym, namiętnym, stał zarys wyrzeźbionej postaci. Zacięte głębiej drzewo cedrowe wydało prąd woni silnej, skarżąc się w ten sposób, jak żywa istota, iż zadano mu ranę.

— O Boże! — zawołała z udanym przestracaniem. — Za co sprawiasz ból taki tej biednej dziewczynie?

Oblicze Łazarza pobladło silnie. Zahara nie wiedziała nawet, na jaką próbę naraża go swą zalotnością niewinną. Czy, świadoma mocy swej, powstrzymałaby niebezpieczną igraszkę? Łazarz nie wierzył w to; poczucie też dumy męskiej kazało mu okazać więcej hartu, bronić niezależności swej. Nad spojrzeniem pełnym ognia nie umiał zapanować, usta jednak pozostały nieme.

Szybkim, mistrzowskim ruchem zatarł ostatecznie postać dziewczęcia, rzeźbiąc na miejscu jej bogate zwoje roślinne. Pracując nie oglądał się nawet, czy Zahara jest jeszcze. Był pewnym, że pozostanie do końca, i nie zawiódł się.

Stała, śledząc bacznie ruchy jego dłuta.

— Patrz! — zawołał, zwróciwszy się wreszcie ku niej. — Oto zniknęła już. Istnienie jej zatartem zostało. Prawo nie może mnie ukarać za zabicie tego, co sam stworzyłem. Czy Zahara jest zadłoloną?

— Nie może mię to obchodzić wcale — odrzekła głosem stłumionym.

— Nie potrzebujesz mi przypominać tej prawdy — zapewnił Łazarz. — Znam ją aż nazbyt dobrze.

— Nie chciałabym jednak — podsunęła nieśmiało — znaleźć się na miejscu tej wyrzeźbionej kobiety. Śmierć bowiem tak nagła i następująca po niej zapomnienie wasze bolałyby mię, mości budowniczy.

— Zaharo! — wybiegł na usta Łazarza okrzyk, pełen zachwyty.

— Zaharo! Zaharo! — rozległo się jednocześnie z głębi pałacu nawoływanie jednej z kobiet.

Zahara podniosła szybko obie ręce. Był to ruch błagania i pożegnania zarazem, — ruch samowolny i tkliwy, kapryśny i uroczy.

Łazarz stał, wpatrzony w miejsce, które zajmowała. Zahara już zniknęła.

Tegoż wieczora, zanim jeszcze robotnicy rozeszli się, szelest ciężkich szat jedwabnych uprzedził budowniczego o przybyciu Annasza. Wielki kapłan po raz pierwszy od czasu zaczęcia robót zaszczycał pracowników swoją obecnością. Ciesle i artyści pochyliłi się w głębokim ukłonie przed dostojnym dygnitarzem.

Łazarz powitał go z równymi oznakami szacunku.

— Przyszedłem obejrzeć roboty — zauważył Annasz — Naprawy, dotychczas wykonane, zadowolają mnie zupełnie. Muszę przyznać, iż obok dobrego pomysłu odznaczają się sumiennem wykończeniem.

Budowniczego skłonił się w milczeniu.

— Mam nadzieję, iż cała robota nie zajmie już dużo czasu — ciągnął z wyniosłą uprzejmością.

— Ukończymy ją w przeciągu tygodnia — zapewnił Łazarz.

Przy słowach tych poczuł dziwny ból w sercu — niepokój jakiś, nieznany dotychczas pracowni i spokojnemu jego istnieniu. Tydzień? Tylko

tydzień? A potem? Potem Zahara zniknie z jego życia i stanie się marzeniem tak niedoścignionem, jak niedostępnem było dlań zaproszenie do pałacu arcykapłana.

— Chciałbym jednak, aby robota była najdokładniej wykonaną — ciągnął arcykapłan. — Wolę więc, w razie przedłużenia jej, przyjąć nawet dodatkową, niewielką dopłatę, byle całość odpowiadała wykonanym dotychczas szczegółom.

— Czas ten zupełnie mi wystarczy — zapewnił Łazarz z wolna, gdy w duszy jego rozgrywała się zacięta walka. Jakże łatwo było przedłużyć pobyt w pałacu, przedłużyć sen rozkoszny, w którym sama jej obecność, sama możliwość spotkania, przejmowała go — czuł to w tej chwili — niewysłowioną, głęboką radością. Pragnienie zakochanego walczyło z sumiennością pracownika. Łazarz pojął, iż subtelne poczucie honoru i obowiązku teraz dopiero rysuje się jasno w jego umyśle.

— Czas oznaczony zupełnie mi wystarczy — powtórzył. Nie mógłbym i nie chciał nadużywać uprzejmości pańskiej.

— Jesteś, jak widzę, uczciwym i skrupulatnym człowiekiem — przyznał arcykapłan łaskawie.

— Praca ta sprawiła mi przyjemność — zapewnił Łazarz z kolei. — Miłoby mi też było, gdyby pałac potrzebował dalszych mych starań, lecz będą one zupełnie zbyteczne.

— Na teraz; w przyszłości jednak nieraz nam przyjdzie uciec się do pomocy pańskiej — zapewnił Annasz grzecznie.

Łazarz pobladł; chcąc zaś ukryć zmieszanie, pochylił się, podejmując rylec, którego ostrze próbował na palcu. Zwyczaje Wschodu jednak nakazywały mu odpłacić zdwojoną grzecznością.

— Dobroć waszej cześci — odparł słodko — przewyższa o wiele moje zasługi.

I, rzecz dziwna, poczuł w tej chwili w sercu jakąś nieokreśloną życzliwość dla tego imponującego starca, który był przecież ojcem Zahary. Ten jeden wzgląd usuwał uprzedzenia dotychczasowe.

— Zraniłeś się, próbując dłuta — zauważył Annasz.

— Och, to drobnostka — zapewnił młody człowiek, tamując krew naprędce.

— Czy wolno wiedzieć, — ciągnął tymczasem arcykapłan — jakim jest pomysł pański w tem miejscu?

Palec dostojnika spoczął właśnie na zwojach liściowych, w punkcie, gdzie rzeźbiona postać Zahary zamienioną została, niby dryada pogańska, w bujne, wysmukłe drzewo.

— Liście uderzają tu bogactwem — mówił Annasz. — Czy to naśladowanie greckich wzorów?

— Nie, to własny mój rysunek — objaśnił Łazarz z gorącym rumieńcem na licach.

Arcykapłan rzucił nań badawcze, przenikliwe wejrzenie. Co było jego powodem, któż odgadnie? Nie prawda, gdyż poprzedniej rzeźby nie mógł przeczuwać nawet. Pomimo to, obaj uczyli pewne zakłopotanie.

— Wszak jesteś faryzejczykiem? — zapytał Annasz, zmieniając nagle przedmiot rozmowy.

— Tak — przyznał Łazarz z godnością.

— Czy nie mógłbyś mi w takim razie powiedzieć cośkolwiek o rozruchach motłochu, o buncie religijnym klas niższych? Zdajesz się być człowiekiem inteligentnym, przewyższającym pod wielu względami ludzi swego stanowiska. Czy masz co wspólnego z tymi samozwańcami, z fałszywymi prorokami, którzy, stawszy się bożyszczem tłumu, wiedą go na rozdroża, jak wilcy stado owiec, poruczone swej pieczy?

— Nie znam wcale podobnych osobistości — brzmiała dumna odpowiedź Łazarza.

— Jeden z nich szczególnie pozwala sobie przybierać miano Proroka, przywłaszcza święte imię Mesjasza, naucza lud, niby Rabbi, mający prawo ku temu; udaje wreszcie cuda, mając niepotrzebnie łatwowiernych. Czy widziałeś go kiedy?

— Nie pamiętam nikogo podobnego — powtórzył Łazarz stanowczo.

— Mówię tu o Nazarejczyku — objaśnił arcykapłan. — Tego musisz przecież spotykać?

Łazarz nie zawahał się ani chwili.

— Znam go poufnie, a czezę wysoko — przyznał z zapalem.

— Mam nadzieję, — rzucił wielki kapłan surowo — że nie przywiązujesz znaczenia do śmiesznych pretensyj, jakie on sobie rości.

Błyskawica świetlana olśniła w tej chwili oczy Łazarza, a subtelna woń róży przepełniła powie-

trze, rozgrzane gorącym. To Zahara, strojna w białą, przetykaną srebrem szatę, z zasłoną z leciuchnej, blado-różowej gazy, przyfrunęła do ojca, opierając na jego ramieniu drobną rękę.

— Wracaj do komnat swych, moje dziecię— skarcił ją arcykapłan z pieszczotliwym marsmem na czole.—Mam wiele do pomówienia z panem budowniczym.

— O, pozwól mi zostać — przymilała się. — Nie będę przeszkadzała wcale. Przebiegam tylko przez dziedziniec, aby wydać rozkazy służebnym. Pozwól mi zostać przy sobie chwileczkę.

Wspaniałe jej źrenice, krążące pod rąbkiem gazy, jak słońce pod obłoczkiem przejrzystym, zatrzymały się teraz na obliczu Łazarza. W głębi ich jednak nie zabłysła najłżejsza isierka poznania. Zdawało się, iż człowieka tego widzi po raz pierwszy w życiu i że jutro nie raczy już przypomnieć sobie jego rysów.

Wsparta niedbale o ramię ojca, była wymownem uosobieniem niezamąconej obojętności. Na śmiało jej spojrzenie Łazarz odpowiedział wzrokiem pełnym szacunku. Serce jego uderzyło równocześnie żywiej na samą myśl, że ona, Zahara, raczyła ukrywać między nim a sobą węzeł drobnej wprawdzie, lecz nieznaney innym, tajemnicy. I, starając się stłumić wrażenie, zacisnął zęby, przysłaniając siłą woli żar spojrzenia mgłą chłodnej obojętności.

Zapanowawszy z męską godnością nad sobą,

spróbował podjąć rozmowę w miejscu, w którem ją przyjście Zahary przerwało.

— Co do Nazarejczyka...—zaczął.

— Och, Nazarejczyk!—rzuciła Zahara wzgardliwie.

Łazarz zamilkł. Po jego licach przebiegła tylko fala krwi.

— Kończ—rozkazał wielki kapłan.—Należysz może do jego uczniów, do motłochu, który obalamuca?

Oczy Zahary, patrzące na niego teraz prosto i badawczo, wyrażały jawnie podziw i niezadowolnienie. Łazarz zawahał się na sekundę; po upływie jej wszakże głos jego brzmiał już spokojnie i szczerze.

— Nie widzę przyczyny, — mówił — dla której miałbym tu przeczyć, iż należę do garstki wiernych, czczących zasady Jezusa z Nazaretu.

Głębokie milczenie było na razie jedyną odpowiedzią. Tłumaczyło ono aż nazbyt wyraźnie uczucia obecnych.

— Pozwól, młodzieńcze, — przemówił arcykapłan wreszcie—abym cię przestrzegł przed tą osobistością. Niebezpieczny to człowiek...

Zahara nie uczyniła żadnej uwagi. Źrenice jej tylko zatrzymały się wymownie na licach Łazarza; a widniały w nich: rozkaz, wyrzut, żal i coś jeszcze, coś jakby błaganie, jakby prośba niema. Wraz zaś z przeciągiem tem spojrzeniem poruszyła się żywo i pofrunęła w inną część dziedzińca. Jedna ze służebnych jej, ulubiona, młodziutka nie-

wolnica wybiegła równocześnie, otaczając kibić pani swej ramieniem w sposób poufny a pieszczotliwy.

— Ach, to ty, Rebeko!—zaśmiała się Zahara.

Łazarz miał w tej chwili niepomahowaną ochotę pochwycić w pól ową Rebekę i przerzucić ją przez mur pałacowy.

— Kończ pan robotę swą — rozkazał Annasz z nagłą a widoczną zmianą tonu. — Nie będę przeszkadzał ci dłużej.

Zamienili zimny ukłon pożegnania.

Wielki kapłan odszedł z miną poważną i wyniosłą; budowniczy pochylił się w milczeniu nad pilastrem, patrząc na punkt ten, gdzie wysmukłą postać dziewczęcia zastąpiły bujne liście winogrodu.

Nazajutrz jeden z oficerów pałacowych postawiony został na straży u wejścia do portyku. W beczynnej tej pozycji kręcił się i ziewał ustawicznie. Arcykapłan nie ukazał się ~~więcej~~, okna zaś komnat Zahary pozostały szczelnie zamknięte. Raz tylko Łazarz usłyszał, lub zdawało mu się, że słyszy śmiech jej srebrzysty i głos, wołający:

— Rebeko!

Dalej wszakże tylko wyobrażenia zadowolić go musiała.

— A to nudny dzień dzisiaj!—zauważył wreszcie oficer z niezadowoleniem. — Powiedz mi, mości budowniczy, coś, u licha, zrobił takiego, że aż mnie musiano na tę psią służbę postawić tutaj?

Łazarz podniósł głowę, patrząc na niego z nieukrywanem zdziwieniem.

— Doprawdy,—ciągnął strażnik—ty, jak widzę, wiesz tyle, co i ja. Ot, nowe jakieś przywidzenie arcykapłana, nie zbywa mu przecież na nich. No, zapewnię jego wysokość, żeś ty w każdym razie nic temu nie winien.

— Nie winien? Czego?—zawołał Łazarz zdumiony.

Na usta oficera wybiegł krótki, ostry śmiech. Równocześnie olbrzymi jego turban, jakby przypadkowym ruchem głowy, pochylił się w stronę niewieściej części pałacu.

Łazarz pracował dalej w milczeniu. Serce jego odczuwało równocześnie dziwne wrażenia. Był rozgniewanym do głębi i upokorzonym bez słusznej przyczyny. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, a jedno pojmował tylko dokładnie—oto, że spokój jego ducha pierzchnął na zawsze, bez nadziei powrotu i ukojenia.

— Stałem się nagle najnieszczęśliwszym człowiekiem — myślał Łazarz. — Bóg świadkiem, iż żałuję chwili, w której wbiłem pierwszy gwóźdź w pałac arcykapłana! Dlaczegoż danem mi było zobaczyć...

Nie mógł jednak słów ~~tych~~ dokończyć. Lepsiej, że ujrzał Zaharę! Wołał znajomość jej przypłacić stokrotnem cierpieniem! Łazarz niezdolny był już wyobrazić sobie życia bez jej widoku, bez promiennego spojrzenia jej żrenic.

— No, pozostaje nam już tylko sześć dni roboty około pałacu—zawołał w tej chwili jeden ze snyderzy z widocznem westchnieniem ulgi.

— Sześć dni!—powtórzył Łazarz. — Ach, tak, masz rację. Już tylko sześć dni.

— Moznaby nawet skończyć w pięć—podsunął inny.—Ale cóż, albo to tym nieznośnym próżniakom chce się pośpieszyć.

Łazarz cofnął się w tył, aby objąć okiem całość roboty.

— W rzeczy samej,—przyznał—może powinniśmy wykończyć wszystko w przeciągu dni pięciu.

VII.

Malachiasz, faryzejczyk, powrócił wściekły do domu.

Źle mu coś poszło w Jeruzalem, a nie należał do ludzi, lubiących ukrywać swe niezadowolenie. Zarówno więc Hagar, jego żona, jak Ariella, córka, spostrzegły, iż zanosi się na burzę na horyzoncie domowym. Obie też postanowiły złagodzić jej przebieg: Hagar milczeniem, Ariella, cofnąwszy się w głąb swego łóżka, tak, aby, jaknajmniej zajmując miejsca, nie zwracać uwagi na siebie.

Gniew Malachiasza podniecony był na punkcie najdrażliwszym, bo religijnym. Wracał właśnie z synagogi Ciesielskiej, gdzie odbyła się scena gwałtowna. Malachiasz opowiadał szczegóły te kobietom, wrząc z oburzenia. Słuchały też obie w skupieniu, niepomne, czy kiedy głową ich rodziny miotłała równie szalona wściekłość.

— Znieważono mnie!—krzyczał Malachiasz.—Znieważono mnie, mój dom i sektę, zaszczytaną naszym uznaniem. To obraza, której niepodobna darować, której nigdy, nigdy nie przebaczę! Niechaj on zapamięta me słowa!

— To okropne!—przyznała Hagar.—Ale mogłabym lepiej rzecz ocenić, gdybym wiedziała, o co chodzi.

— Kobieta nie powinna wiedzieć za dużo!—odrzucił gniewnie Malachiasz.—Dosyć, gdy słyszy, że mąż jej spotkała zniewaga. Nie wchodząc w szczegóły zajścia, powinna odczuć gniew i obrazę, bo tak przystoi dobrej żonie.

— Ja też się trzęsę z oburzenia — przyznała Hagar.—Ale mogłabym się trząść więcej, gdybym wiedziała, o co chodzi.

Przekonany nareszcie, Malachiasz rzucił się całym ciężarem na poduszki niskiego siedzenia i, podkurczywszy nogi, opowiedział następujące zajście.

Był on właśnie w drodze do synagogi, gdzie chciał posłyszeć nowego Rabbi, gdy rozległo się wezwanie do modlitwy wieczornej. Malachiasz, bi-

got i nabożniś, lubiący chelpić się religijnością i okazywać wyższość wobec skromniejszych, a mniej śmiałych ludzi, stanął ostentacyjnie tam, gdzie był, i zaczął modlić się głośno na środku ulicy.

Działo się to zaś w jednej z głównych dzielnic Jeruzolimy, na przecięciu, zwanem ulicą Złotników. W miejscu tak ruchliwem, tak ożywionem, nabożność jego musiała zwrócić należytą uwagę, musiała zaimponować tłumom. Malachiasz, nadęty, pospolity, przejęty ważnością własnej osoby, a strojny w szeroką filakterycę, wznosił ogorzale swe ręce ku niebu, wzywając pomocy Bożej z taką samą miną, z jaką przywoływałby nosiwodę lub woźnicę na gościńcu. I, gdy stał w śmiesznej tej pozycji, modląc się głosem doniosłym, z tłumu, zbierającego się dokoła, a objawiającego niezadowolienie i nieufność, padło nań nagle przeszywające wejrzenie.

Malachiasz odczuł moc jego przejmującą. Dusza faryzeusza zadrżała pod siłą wzroku tego, lecz niemniej, nie przerywając modlitwy, tem donioślejszym wyrażał ją głosem.

W tejże chwili niemłoda a znana mu kobieta spróbowała kornie zwrócić uwagę Malachiasza na siebie. Staruszka wyglądała na bardzo osłabioną, wycieńczoną z głodu istotę. Przepchała się ona z trudnością przez lud i, zatrzymawszy się, upadła przed faryzeuszem na kolana, dotykając drżącą dłonią skraju wspaniałej jego szaty.

— Komorne! — jęknęła ze łzami — komorne!
I, powstrzymując łkanie, ciągnęła boleśnie:

— Błagam: zwolnij mię z tej raty komorne-go! Poborca odesłał mię do ciebie, Malachiaszu! Nie mam czem zapłacić, żebrzę więc litości, łaski... poczekaj, sprolonguj, dopóki nie znajdę zarobku, który by mi pozwolił uiścić dług. Nikt mnie nie chce wziąć do służby, jestem już zgrzybiałą. Nie mam ani grosza. Mąż mój umarł, syn nie żyje, któż więc poratuje nieszczęsną? Jak ty Jehowy, tak ja ciebie, Malachiaszu, błagam o litość, o zmiłowanie! Odłóż komorne! Nie wyrzucaj mię, na imię nieba cię proszę!

— Kobieto, — odparł Malachiasz zimno — czy nie widzisz, że przerywasz mi modlitwę? Sprawa ta należy do mego poborcy. Odejdź więc i nie przeszkadzaj mi w rozmowie z moim Bogiem.

Tłum wybuchnął głośnym śmiechem; staruszka cofnęła się nieśmiało, Malachiasz zaś, przy-mknawszy powieki, modlił się coraz donośniej.

Gdy otworzył po chwili oczy, ujrzał przed sobą wyniosłą postać młodego Rabbi, wstępującą na wzgórze synagogi. Nazarejczyk nie spojrzał już więcej na faryzeusza, przeszedł obok spokojnie, lecz nawet chód jego zdawał się wyrażać głęboką pogardę. Wiatr odrzucał fałdy białej szaty, ukazując zarys szczupłej jego postaci oraz muskularne nogi człowieka, który zwykł wiele chodzić. Twarzy trudno było dojrzeć, z boku tylko opadała ku ziemi ręka z zamkniętą dłonią. U kogo innego możnaby ją uważać za pięść gniewnie ściśniętą — u kogo innego, w Nim bowiem każdy ruch wskazywał tyle panowania nad sobą, tyle siły ducha,

iż nie było tu mowy o zewnętrznych oznakach rozdrażnienia.

Malachiasz zamilkł nagle. Widok tej postaci wskazał mu, iż dość już sięgnął na siebie uwagi, dość się namodlił. Patrzył więc tylko z uczuciem pomieszania na wysmukłą sylwetkę Nazarejczyka, dopóki nie zniknęła w podwojach synagogi. Zaczekawszy chwilę na odzyskanie równowagi, Malachiasz skierował z kolei kroki swe ku świątyni i, przeszedłszy dumnie obok wszystkich, zajął zwykłe swe miejsce honorowe.

— A wtedy, — opowiadał Malachiasz gorąco swym kobietom — wtedy... czy wiecie, co człowiek ten uczynił? Czy domyślacie się, o czem rozpoczął kazać Rabbi? Czy macie pojęcie, co nastąpiło? Oto napad na nas! Napad na całą sektę faryzeuszów! Gwałtowny napad! Zniewaga skandaliczna, obrażająca, której nie można przebaczyć! Nie uwierzycie może, a jednak nie zawahał się rzucić nam przekleństwa z wyżyn kazalnicy.

— Och, nie przekleństwa, ojcze! — przerwała błagalnie Ariella. — Nie zdaje mi się, aby Rabbi zdolnym był rzucać klątwy. Imię jego budzi cześć wśród tych, którzy znają go bliżej.

— A więc osądź sama, ty gadatliwa waryatko! — wrzasnął Malachiasz. — Oto słowa, jakie wyrzekł: „*Biada wam! Biada wam, faryzeusze!*”

— Nikt nie rzuca przekleństw bez przyczyny — przerwała Hagar ostro. — I kaznodzieja więc musiał do słów tych mieć jakąś zasadę. Powiedz mi zaraz, Malachiaszu, jak to było! — strofowała

gniewnie. — Pewno niecałą mówisz prawdę, a ja i tak się dowiem. Cóż Rabbi rzekł dalej?

Malachiasz przytaczał z wściekłością:

— „*Biada wam!*” — wołał. — „*Biadu tym, którzy za dług swój zagarniają mienie wdów ubogich, i tym, którzy dla pozoru tylko, dlatego, aby ich widziano, odprawiają głośnie modły na ulicy!*” I to nie wszystko jeszcze, to nie najgorsza rzecz — krzyczał, bijąc zaciśniętą, szorstką pięścią w dłoń drugiej ręki. — Bez względu na moją obecność, ztorzezył dalej, dodawał zniewagę do zniewagi. — „*Jesteście na zewnątrz jak groby pobielane,* — wołał — *lecz w środku kryjcie tylko kości trupie i zgnilizna toczy was wewnątrz!*” Tak mówił Nazarejczyk! Śród słuchaczy powstał krzyk straszny. Cała synagoga trzęsła się z oburzenia. Ja pierwszy wołałem: „*Lapać go! trzymać! Chwytajcie go, chwytajcie!*” Wielu, podnieconych tym rozkazem, rzuciło się ku niemu, umknął jednak. Uciekł! — dodał Malachiasz wściekle.

— Czyż mógł uciec śród tłoku? — przerwała Ariella. — Było was przecież tylu, on jeden tylko. Jakimże sposobem zdołałby się wymknąć?

— Nie wiem — wyznał Malachiasz gniewnie. — Rzecz ta przechodzi moje pojęcie. Rozwiał się przed nami, jak płomień zdmuchnięty. Gdyśmy go już dotykali, zniknął; gdyśmy chcieli zapobiedz ucieczce, już go nie było. Rozpłynął się, przepadł... To nowa sztuka, rzecz prosta.

— W każdym razie mądra, a niełatwa do

spełnienia — zauważyła Hagar tonem, który nie mógł ułagodzić męża.

— Cicho, kobieto! — wybuchnął z wściekłością pan jej i władca. — Cicho! Czas, abyś zrozumiała, jak żona zachować się powinna. Od dziś ja i cały dom mój odrzeka się Nazarejczyka! Pamiętaj o tem, Hagar! Pamiętaj, Ariello! Nie wolno wam naśladować go, nie wolno przyjmować tutaj! Między Jezusem z Nazaretu a domem Malachiasza-faryzejczyka wykopana została przepaść. Na przepaść tę nie pozwolę nikomu zarzucać mostu! Nie pozwolę ani dziś, ani nigdy, rozumiecie?

— Mnie przecież nic na tem nie zależy — wtrąciła Hagar.

Ariella milczała. Z piersi jej tylko wybiegło ciche westchnienie. Wszak wczoraj jeszcze Baruch dał jej znać przez matkę swą, Rachelę, iż wybiera się, w towarzystwie małego chłopca, syna swoich sąsiadów, do Jerozolimy, by odszukać tam Jezusa, Uzdrowiciela chorych, i zanieść do Niego błaganie za przykutą do łoża Ariellą.

W dwa dni później Hagar uprzedziła córkę o przybyciu Barucha.

— Czeka u wrót — mówiła niedbale — i pragnie, więcej niż kiedykolwiek, pomówić z tobą. Sądzę, że mogę go tu przyprowadzić, wszak to ślepiec.

Ariella zgodziła się chętnie. Nie rozmawiała z Baruchem sam na sam od owego pamiętnego ranka, gdy wszyscy podążyli do Jeruzalem, aby posłyszeć słynnego Rabbi, który jawnem skarce-

nem wad całej sekty faryzeuszów podniósł taki gniew w sercu Malachiasza.

Przyprowadzony przez matkę Arielli, Baruch wszedł na dziedziniec i zajął w milczeniu ławeczkę, postawioną przy wezglowiu dziewczęcia dla odwiedzających ją gości.

Pomimo jednak spokojnych pierwszych słów powitania, chora spostrzegła odrazu, iż umysł ślepeca wstrząśnięty jest do głębi jakąś sprawą. W wypowiedzeniu jej przeszkadzała mu może obecność Hagary, która, siedząc przy dwóch kalekach, rozważała jednocześnie drobne plotki sąsiedzkie.

W gawędce tej wszakże, powtarzającej wydarzenia dni ostatnich, Hagar nie dotknęła żadnem słowem zajścia w synagodze, na które tak się oburzał Malachiasz. Dowód to, iż najprostoduszniejsza kobieta potrafi niekiedy odczuć ważność i doniosłość chwili. Hagar nie pojmowała może burzy uczuć, jaka, obejmując Judeję całą, jednoczyła się coraz silniej około osoby Nazarejczyka; moc jej wszakże była dla niej hamulcem i przestrogą. Nie wchodząc też w religijny i polityczny charakter sporów, czuła, że ważność ich nakazuje kobiecie trzymać język na wodzy i nie drażnić nim gniewu męzowskiego.

Zajęcia wreszcie gospodarskie, wyższe nad spory religijne, odwołały Hagar w inną stronę domostwa. Młodzi pozostali więc na chwilę sami. Baruch skorzystał z tego natychmiast.

— Ariello, — zawołał — widziałem Go! Mówiłem z Nim!

— Mówiłeś? O czym?—podjęła zdumiona.

— I ty możesz mię pytać? Ależ o tobie, Ariello!

— Mój Boże, ile ty sobie zadajesz dla mnie trudu!—westchnęła chora.

Szlachetne oblicze ociemniałego zwróciło się ku niej tak żywo, jak gdyby mógł ją zobaczyć. Nie odpowiedział ani słowa, lecz milczenie to właśnie było wymowniejszem nad wszelkie zapewnienia. Lica Arielli pokrył lekki rumieniec, żal jej się zrobiło wyrazów, które mogły wyglądać na cześć igraszkę z człowiekiem, wyższym nad względem podobne.

— Dziękuję, Baruchu,—poprawiła się — dziękuję za myśl pocziwą o mnie i proszę: nie zaniedbuj jej. Obym tylko potrafiła okazać się godną twojej troskliwości. Powtórz mi, coś mówił Mistrzowi z Nazaretu o mnie i o biednym mem życiu. Opowiedz, jak Go odnalazłeś i jakim ci się wydał?

— Innym od wszystkich na świecie—brzmiała uroczysta odpowiedź.—Ziemia nie miała dotychczas podobnych Mu ludzi. Ma w sobie coś nadprzyrodzonego, duchowego. Głos Jego przenika, jak gdyby mówił Syn Boga.

— Czy dotknął się Ciebie? — pytała Ariella z cziłą wzrastającą.

— Na chwilę tylko. Ręka Jego spoczęła na ramieniu mem, poruszyła skraj szaty zaledwo, a jednak czułem ją, niby prąd potężny. Zdawało się, iż siła anielska wznosi mnie do góry. Pochyliłem

się i, ukrywając oblicze w pokorze, błagałem całą mocą ducha o pomoc dla ciebie. Szedł właśnie drogą piaszczystą i zapyłoną, wśród zwartego tłumu ludzi. Scisk był wielki. Odpychali mnie też i deptali po mnie, aż On głosem, jakiego nigdy nie słyszałem, tyle w nim było słodyczy i potęgi zarazem, zawołał: „Odstąpcie! Odstąpcie! Zostawcie miejsce kalektwu, bo, zaiste, jest ono świętszem od zdrowia!” Tłum rozsunał się i pozwolono mi pomówić z Nim przez chwilę sam-na-sam.

— Czemuż nie mogłam słyszeć cię wtedy! — żaliła się gorąco Ariella.

— Powiedz: czemu Jego nie mogłaś usłyszeć!—poprawił ślepiec z zapałem.—O, ale ja tego dokażę, ja tego dokażę! On musi przyjść tutaj! Będąc w Betanii, uzdrowi cię, Ariello; sam mi tak powiedział!

Ariella, bardzo blada, opadła na poduszki. Przez chwil kilka milczała, walcząc widocznie ze wzruszeniem. Opanowawszy je wreszcie, zwróciła się do młodzieńca z wymówką w głosie:

— I ty, Baruchu, prosiłeś Go o to, żądałeś, aby odbył drogę tę daleką dla nieznannej a biednej chorej dziewczyny, o którą nikt się przecież nie troszczy? Jak śmiałeś wymagać rzeczy podobnej?

— Dla ciebie, Ariello,—odparł spokojnie—odważyłbym się przemówić nawet do Jehowy.

— Niestety, On mię nie może uzdrowić! — wyszeptała kaleka.

— Gdy opowiadałem Mu o tobie, — ciągnął Baruch — nadszedł niewolnik, służący dawniej w pałacu Heroda. Przeznaczony on był niegdyś przez króla dla jednego z oficerów, człowieka bardzo złego, którego los naznaczył trądem. Choroba dotknęła i niewolnika, czyniąc zeń istotę, wstrętną Bogu i ludziom. Przedstawiał on podobno widok tak straszny, jakiego Jerozolima nie znała dotychczas. Przewodnik mój, ujrawszy potworną tę postać, szarpnął mię i chciał pociągnąć w bok. Pozostałem jednak, bez względu na zarazę, bo okrzyk zgromadzonych: „Nieczysty! Nieczysty!” i jęki nieszczęsnego przykuły mię do miejsca. Równie wstrząsającego głosu dawno nie słyszały uszy ślepego... Ariello! — dodał Baruch, zmieniając ton nagle — gdy tam stałem, trędotawy ów został uleczony. Cały lud to zaświadczył, a radosne jego „hossanna!” wstrząsnęło niebem i ziemią.

— Nieprawdopodobne! — wyszeptała, wzruszona głęboko.

Nie trzeba było wzroku nawet, aby zrozumieć, jak silnie wstrząsnęło nią to opowiadanie. Usta jej, tak cierpliwe zazwyczaj, rozchyłał oddech krótki, urywany.

— I On, On przyjdzie do ciebie — powtarzał Baruch radośnie. — Rzekłem Mu tylko: Mistrzu, mam znajomą, biedną, chorą dziewczynę, która od lat wielu nie może opuszczać łóżka. Gdyby nie to, przywiódłbym ją do Ciebie, bo przecież, gdybyś Ty jej dotknął, Mistrzu, ona by powstała i chodziła.

— Jakąż dał odpowiedź? — pytała Ariella żywo.

— To już niech cię nie obchodzi — odparł wymijająco. — Dość, że przyrzekł być tutaj.

— Lecz ja pragnę posłyszeć Jego słowa.

— Tych ci właśnie nie powiem.

— W takim razie nie chcę Go widzieć, nie chcę być uleczoną! Wolę leżeć na tem posłaniu i wiecznie pozostać kaleką.

— Słodki z ciebie tyran — odparł Baruch z pobłażliwym uśmiechem. — Zawsze na swoim postawisz. Skoro więc chcesz koniecznie, powtarzaj ci te wyrazy. Oto rzekł: „Baruchu! Baruchu! *Błogosławiony!*”

— A zkadżeż znał twoje imię?

— Tego, na równi z tobą, pojąć nie mogę. Nikt Mu nie mógł powiedzieć, bo obcy tam byłem. Kalectwo nie pozwala mi wychodzić często z domu, żywa więc dusza nie zna mię w Jerozolimie. „Baruchu, — mówił — czy o nic nie prosisz mię dla siebie?” A ja odparłem: „Panie, nic mi nie trzeba!” Wtedy powtórzył: „*Bądź błogosławionym!*” I dodał tylko, iż przyjdzie, aby cię zobaczyć, Ariello! Przybędzie w pierwszym dniu tygodnia... Zostaniesz uzdrowioną... On cię uleczy, Ariello! Podniesiesz się i zaczniesz chodzić napowrót.

Zachowanie biednego ślepego wyrażało w tej chwili taką głęboką radość, takie zupełne zapomnienie o samym sobie, iż Ariella zadrżała wobec tego szczytnego poświęcenia.

— Och, Baruchu,—wyłkała—wielką jest twa wiara, lecz większą jeszcze dusza. Jam niegodna twojej przyjaźni. Ale... jakżeż ja ci to powiem? Posłannictwo twoje próżnem będzie, ojciec mój bowiem, obrażony przez Jezusa, zakazał mi wszelkiej z Nim styczności. Nazarejczyk nie może nigdy przekroczyć tych progów; Malachiasz nie pozwoliłby na to.

— Cóż my teraz uczynimy?—jęknął chłopiec.

Rozczarowanie jego było zbyt silne—bezradny też, ukrywając twarz w dłonie, łkał tylko.

— Nie smuć się — prosiła tkliwie. — Wszak i ty także dotknięty jesteś kalectwem. Czyż więc ja nie mogę znosić losu mego z poddaniem, jak ty to czynisz? Bóg przeznaczył nam obojgu podobną dolę...

— I Bóg również zesłał Proroka, który cię uleczyć może! — wykrzyknął Baruch, zrywając się gwałtownie. — Przysięgam też na wiarę ojców naszych, że On i ty musicie się spotkać!

VIII.

Nadszedł ostatni dzień pracy w pałacu. Dla budowniczego dzień ten zamykał istnienie całe, był końcem świata nieledwie. Wstał, jak człowiek skazany na śmierć, i krokiem wolnym przebiegał znaną mu górską drogę, wiodącą do rezydencji Annasza. Z oczyma w ziemię utkwionemi,

nie widział nawet wspaniałego przepychu barw, jaki przed nim roztaczała przyroda. A jednak bogactwo pierwszej jutrzienki zdawało się zamieniać niebo i ziemię w jeden kwiat olbrzymi. Z obłoków opadały listki o brzegach różowych i, otoczywszy zarysy wzgórz, zdawały się czoło ich całować świeżemi ustami. Za tło do pieśczoły tej służył horyzont, okryty ognistą purpurą, której płomyki odrywały się niekiedy i, rozwiane, niknęły w przestrzachu.

Łazarz nie dostrzegał nawet wspaniałego widoku. Odczuwał on go jedynie z tą goryczą, jaką budzi w nas gwar hałaśliwej zabawy w chwilach sieroctwa i opuszczenia. Po raz też pierwszy w swem zdrowem i prostem życiu Łazarz cofał się z obawą przed wschodem słońca. Smutek, rozlany w widokach Judei, przemawiał do jego serca, znajdując w niem echo bezwiedne. Nie podnosił też nawet wzroku do góry, tam, gdzie zapalały się różowe błyski. Oczy jego, spuszczone ku ziemi, widziały tylko ciężkie krople rosy, staczające się z brzeżków liści i wysmukłych łodyg trawiastych, poruszanych jego nogą. Dalej, ponad ścieżyną, strzelała wysmukła lilia biała, niezwykła w tych stronach, a przeniesiona tu przypadkiem z jakiegoś ogrodu. Kwiat, rodem z Persyi, pochylał w tej chwili śnieżny swój kielich pod ciężarem rosy, omdlewający, niezbudzony jeszcze z nocnego spoczynku. Obok lilia inna, dzika, szkarłatna, wznosiła koronę purpurową; w zagłębieniu zaś barwnych tych puharów zdawały się jeszcze walczyć:

rosa i odurzające bogactwo zapachu, noc i sen, wolne wracanie do świadomości i potęga budzących ją promieni słonecznych.

— Wspaniały kwiat! — wybiegło mimowoli na usta Łazarza.

W pracowitem swem życiu nie miał czasu zwracać uwagi na piękno, zawarte w świecie roślinnym. Nigdy też myśli jego nie kierowały się ku kwiatom, o których wiedział wtedy tylko, gdy Marya wyrzekła:

— Patrz, bracie, nasze lilie rozwinęły się w pełni.

— Wspaniały kwiat! — powtórzył tym razem głośno.

I, zatrzymawszy się, zerwał oba kielichy: lilie śnieżystą i lilie szkarłatną. Nie pamiętał już, czy mu się zdarzyło kiedy uczynić rzecz podobną. Kwiaty też wydały mu się czemś żyjącem, niezmiernie delikatnem, zdawały się patrzeć na niego niewinnymi źrenicami dziecka. Szedł ostrożnie, ze wzrokiem utkwionym w głębię ich serc, i niemal pieszczotliwie przekładał barwne kielichy z ręki do ręki, by nie otrząsnąć tęczy krolek rosy, zdobiących je w brylanty. Lilie posiadały dla niego nagle urok dziwny.

— Podobne są do kobiety — wyszeptał Łazarz.

— Ta — dodał po namyśle — musi być w swym świecie córką wielkiego kapłana, wychowaną w pałacu.

I, podniósłszy lilie szkarłatną na wysokość oczu swych, odrzucił głowę ruchem sobie właściwym, a patrząc na kwiat wspaniały, mówił:

— Tak, ta właśnie, *ta* jest... Zaharą!

Oczy jego, wpatrzone w lilie, nabrały rozmarzonego blasku, rysy pobladły; ruchem powolnym podniósł kwiat i z purpurowego jego serca spił rosę gorącemi usty. Poczem zatrzymał się, niepewny, niezadowolony, a ujmując z wahaniem lilie białą, wyszeptał z uśmiechem:

-- Ja się mylę. *Tu* raczej winna być Zaharą!

Zwolna, z czcią nieledwie, przysunął kwiat śnieżny do ust. Kropla rosy zadrżała, przyjął ją na spragnione wargi. Złączywszy teraz oba kielichy w jednej dłoni, patrzył na nie z dziwnem zakłopotaniem. Który był Zaharą? Wyobraźnia, ten rzadki gość w życiu Łazarza, uniosła go w tej chwili... Nie umiał nad nią panować, nie rozumiał sam siebie. Odurzony też, ze spojrzeniem utkwionem w oba kwiaty, szedł krokiem chwiejnym ku pałacowi.

Słońce powstało tymczasem, złocąc swym blaskiem świat cały. Łazarz, podniósłszy głowę, powrócił do rzeczywistości. Echa budzącego się życia zapełniały powietrze, a przedstawiciele sił roboczych Judei rozpoczęli już znój swój. Ten szmer, dobrze znany, wzniecił w duszy pracownika chwilowo uśpione poczucie obowiązku. Oczy jego ożywiły się, zagorzały. Staął, patrząc na wspaniałe

zarysy Jerozolimy, na wielką świątynię, odcinającą się ostro na krwawem tle wschodu, na cudną dolinę, w której zaczynało wrzeć życie, kierując się przez most tam, w stronę wielkich bazarów, należących do Annasza i Kaifasza. Składy same nie były widzialne ze stoku góry Oliwnej, na której stał Łazarz w tej chwili; miejscowość jednak, przez nie zajęta, dawała się doskonale oznaczyć.

Gromady gołębi, zawieszonych w górze, kołowały wśród powietrza przezroczego. Były to synogarlice, chowane umyślnie na sprzedaż, a służące młodym matkom za ofiarę, niesioną do synagogi. Łazarz patrzył z zadumą na ptaki, drżące jak drobne punkciki w przestworzu. Zdawały się one być uosobieniem myśli, zbyt niepochwytnych, aby je można ujarzmić. Wzrok jego przeniósł się z kolei na pałac, teraz już bardzo blizki, a w świetle słonecznem wspaniały, wyniosły i dumny. Przycisnął dłonią rozpaloną łodygi lilij i, zbliżając się do bram zaczarowanego zamku, powtarzał jak lunatyk:

— Ostatni dzień pracy! Ostatnie widzenie z Zaharą!

Uczucie Łazarza wzbierało gwałtowną falą. Zdawało mu się rzeczą niepodobną, aby on, po zajęciu tego słońca, które przed chwilę zabłysło pierwszym promieniem, miał nie ujrzeć jej nigdy więcej. Był odurzony, zgnębiony. Teraz dopiero przychodziło mu przecucie ciosu, jakim będzie rozłaka ta dla niego; teraz zaczynał go pojmować.

Nie należał on przecież do rasy, ani wieku, w którym zimne rozumowanie zmrozić musi każdy gorętszy poryw uczucia, stłumić szlachetną skrzę jego w samym zarodku, w chwili, gdy zaczynała błyszczeć. Nie on też nad wrażeniem, lecz ujarzmiająca potęga miłości zapanowała nad nim.

Od ostatniego widzenia z Zaharą, Łazarz ujrzał ją raz jeden tylko. Pozwoliła mu wtedy mówić do siebie dopóty, dopóki służebne nie spostrzegły nieobecności swej pani. Ta łaska niezwykła była dla młodego chłopca jeżeli nie nadzieją, to w każdym razie promieniem pociechy. Widocznem się zdawało, iż dziewczę znajduje przyjemność w jego towarzystwie; Łazarz zaś zbyt był prostodusznym, aby przypuszczać, że żartuje z niego, że bawi się nim tylko. Odurzał się jej obecnością, pił rozkosz jej, jak spragnione stoki Libanu pochłaniały krople rzadkiego deszczu. W tem ukojeniu zaś palącej tęsknoty marzeń zapominał o wszystkim, niezdolny był myśleć nawet.

Podczas jednak widzenia tego Zahara, niezależnie od łaski ukazania lub cofnięcia swego oblicza, potrafiła na innym jeszcze punkcie zamącić spokój Łazarza.

Stojąc bowiem na progu, ukryta w połowie przez jedwabną, drzwi przysłaniającą, draperyę, i bawiąc się złotymi sznurami portyery, tak, że kotara ta kryła ją w części przed pełnym czci i zachwyty wzrokiem snycerza, Zahara, wpatrzona w tę postać męską, silną jak jeden z rzeźbio-

nych pilastrów, a drżącą pod jej wzrokiem, rzuciła niedbale:

— Po tem, co opowiadałeś memu ojcu, widzę, Łazarzu, iż na sądzie twoim niewiele można polegać. Miałam cię za rozumniejszego człowieka. Powiedz mi, jak możesz mieszać się do takich niskich knowań?

— Nie rozumiem słów twych, Zaharo — zaprzeczył słabo, chociaż pojmował doskonale, o co jej chodzi.

Dziewczę złożyło wzgardliwie usta.

— Mówię o tym człowieku, o Jezusie. Czyż to stosowny dla ciebie towarzysz?

— Nie jest też towarzyszem moim — poprawił Łazarz, podnosząc głowę z godnością. — Ja go uważam za Mistrza.

— Tem gorzej — odrzuciła. — Nie możesz przecież oczekiwać, aby kobieta wyższego stanowiska pochwalała podobną osobistość.

— Nie oczekuję niczego, Zaharo — odparł Łazarz z siłą, patrząc prosto w jej oczy. — Wiem, co jest moim obowiązkiem, i w spełnianiu go pójdę własną drogą.

Zahara na spojrzenie jego odparła wzrokiem pełnym dumy wyniosłej. W głębi serca szanowała go za tę męską niepodległość zdania, okazanie tego wszakże nie leżało w naturze jej, ani zwyczajach.

— Zdaje mi się, — mówiła, bawiąc się łańcuszkiem od naramiennika, błyszczącego drogiemi ka-

mieniami — iż religia, która cię tak zajmuje, będzie wyznaniem motłochu tylko.

— Wiara naszych ojców jest zarazem wiarą proroków — odparł Łazarz mniej pewnym głosem. — To jej nadaje wyższość i nakazuje dla niej szacunek, Zaharo.

— Nie chcesz chyba dowodzić, że ów mistrz wasz jest Tym, którego zapowiadali prorocy? Nie przypuszczam, abys był zdolnym przyznać się do podobnego szaleństwa?

Słiczne usta Zahary skrzywiły się znów wzgardliwie.

— Jeżeli Jezus z Nazaretu jest naszym Mesyaszem, nie chciałbym należeć do tych, którzy stanęli przeciw Niemu — tłumaczył się Łazarz wymijająco.

— Jakto?, więc sądzisz, że *jest* Mesyaszem? — nalegała z uporem. — Tylu już ich było, tylu widziemy ciągle! Ukazują się, jak grzyby po deszczu.

Mówiła to z kobiecym ruchem lekceważenia, który zdawał się wskazywać, iż cała ta rzecz nie zasługuje na uwagę dobrze wychowanej osoby. Równocześnie wszakże w głębi jej żrenic tlił się ogień stłumiony, tkwił wyraz poważny, jakby natężonej uwagi i niewypowiedzianej obawy, wyraz niezwykle u kobiet jej szczepu i czasów owych.

Zdawało się, iż w ułudnej tej postaci objawiają się w tej chwili dwie odrębne Zahary. Obie walczyły z sobą; ta wyższa jednak, ta szlachetniejsza została zwyciężoną na razie. Pomimo tego Ła-

zarz spostrzegł, iż stojąca przed nim uroczą istotą różni się znacznie od młodych dziewic żydowskich, jakie znał dotychczas. Posiadała ona wolę i siłę charakteru, górowała nad niemi myślą, biegnącą w dal nieznaną.

— Sądziś więc, że Jezus ten *jest* Mesyaszem?— spytała Zahara jeszcze raz.

— Alboż mogę wiedzieć— odparł Łazarz.

Oczy jego z niewysłowioną tkliwością tonęły jednocześnie w jej rysach. Czuł, iż w tej chwili nic nie wie, niczego nie jest pewnym po za jej istnością. Pod siłą też spojrzenia tego źrenice kobiety skryły się pod osłonę rzęs ciemnych. Piers Łazarza podnosiła się w gwałtownym oddechu.

Pamięć spotkania tego dziś, w ostatnim dniu pracy, do reszty zamaściła spokój budowniczego. Zmieszany też, przybywszy do bram pałacu, trzymał wciąż jeszcze w dłoni owe dwie lilie bliźniacze, a jednak tak różne. Po co niósł je tutaj, nie umiałby odpowiedzieć. Trudno mu było na razie zebrać myśli, dla wydania stosownych rozkazów robotnikom. Snycerze też szeptali między sobą, iż pan ich marzy widocznie o niebieskich migdałach. On zaś wyszukał tymczasem cienia chłodnego poza jedną z kolumn i, ujrawszy dzban z wodą, przyniesiony przez pracowników, umieścił go w tem zaciszu, zanurzając łodygi kwiatów w ożywczym nektarze krynicy. Czynił to bez żadnej myśli; prawie machinalnie. Lilie te były mu tak drogie jak Zahara, którą przedstawiały. Należało więc mieć o nich staranie.

Nieświadomy fantazyi pana, jeden z robotników przewrócił wkrótce później dzbanek przypadkiem. Woda zalała marmur posadzki kryształowym strumieniem. Nie chcąc zasłużyć na napomnienie za nieporządek, wytarł posadzkę kawałem starego płótna, lilie zaś wyrzucił za ogrodzenie.

Spostrzegłszy wkrótce brak ich, Łazarz zapytał:

— Jakóbie, gdzie są kwiaty, które postawiłem przy tamtym słupie?

— Za murem — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Łazarz zwrócił się do niego z ostrem napomnieniem. Człowiek ten słuchał, nie pojmując, o co chodzi.

— A na cóż się to ziele zdać mogło?— mruzczał z lekceważeniem, okazywanem zwykle przez służbę dla słabostek pana.

Łazarz przypominał sobie na szczęście, iż prostak ów nie mógł wiedzieć, kogo przedstawiały te kwiaty. Wszak były one podobne do Zahary. Nie, to Zahara była podobną do nich. Zahara przedstawiała lilię szkarłatną i lilię białą.

Łazarz podniósł się w milczeniu, a przeszedłszy ogrodzenie, odszukał oba kwiaty. Spalone piekącym żarem słońca, opuściły już główki, lecz on, przytuliwszy je na chwilę do serca, ożywił później chłodnym strumieniem wody, w której ponownie zanurzył ich łodygi. Podniósłszy stopniowo kielichy, zdawały się patrzeć na niego z wdzięcznością. Nie były już tak wyniosłe, jak przedtem,

zanim je los wystawił na próbę żaru słonecznego. Po tym wypadku zdawały się być korne i posłuszne.

Gdy dzień posunął się ku południowi, arcykapłan Annasz przyszedł obejrzeć roboty. Dzieło dokonane podobało mu się, pochwalił je też z powściągliwością, nakazaną przez dobre wychowanie.

— Chciałbym zarządzić dalsze naprawy, wewnątrz pałacu — zauważył w rozmowie z Łazarzem. — Roboty te wszakże mogą być przedsięwzięte dopiero po naszym wyjeździe. Przed nastaniem największych upałów przeniosę się zapewne do mej siedziby wiejskiej w Kafarnaum. Podczas więc kilkotygodniowej nieobecności mej rodziny będziesz pan mógł pracować spokojnie nad przerobieniem budynku.

Łazarz skłonił się nisko. Nie było to ani wyrazem zgody, ani zaprzeczenia. Serce biło mu gwałtownie, ciemny obłok przysłonił oczy. Robota w pałacu, ale — bez Zahary! Znoić się i trudzić wśród gnębiących upałów, słuchać sporów robotników i szczęku ich narzędzi wtedy, gdy ona będzie w Kafarnaum!

— Przysięgam na Boga moich ojców, — myślał — że Annasz poszuka sobie innego budowniczego. Nie chcę męczarni podobnej!

Był jednak dość delikatnym, aby tego nie wypowiedzieć. Zresztą, pracy tej nie ofiarowywano mu przecież stanowczo, arcykapłan wspominał o niej jak o projekcie tylko.

Milczenie Łazarza rozniewało tymczasem dostojnika synagogi. Zmarszczywszy więc brwi, zmierzzył go chłodnem spojrzeniem i odsunął się nieco. Nagle jednak, jakby przypomniawszy coś sobie, zawrócił się i zbliżył ponownie do budowniczego:

— Ale, ale, — odezwał się grzecznie — co się też stało z owym Nazarejczykiem, o którym mówiliśmy raz tutaj?

— Przeprowadza dzieło swego Ojca — objaśnił Łazarz głosem stłumionym. — Dziś, jak i zawsze, spełnia wolę Boga.

Wielki kapłan uśmiechnął się zimno, wzgardliwie. Wypieszczona jego ręka gładziła z lekka brodę.

— Zdajesz się znać go dobrze, młody mój przyjacielu?

— Bardzo dobrze. Wszak mówiłem już o tem.

— Domyślam się stąd, iż musisz go często widywać? — pytał dalej z błyskiem spojrzenia, jak stał przenikliwym i jak ona chłodnym.

I mierzyli się obaj przez chwilę wzrokiem badawczym.

— Spotykałem go nawet bardzo często — przyznał budowniczy spokojnie.

— Czy i w ostatnich czasach?

Łazarz zawahał się na chwilę.

— Nie... Nie widywałem go teraz.

— A wolnoż zapytać dlaczego?

— Byłem bardzo zajęty. Praca pochłaniała mi wszystkie chwile. Nie mogłem też poświęcić

przyjaźni tej tyle czasu co przedtem, lub tyle, ile chciałbym go jej oddać, gdy zdołam pokonać najpilniejsze roboty.

— Od jakżeż więc dawna — nalegał arcykapłan — nie rozmawiałeś ze swym *Mistrzem*?

Na wyraz ten ostatni położył nacisk, tak sarkastyczny, iż fala krwi uderzyła na lica Łazarza.

— Niegodnym jestem uczniem — odpowiedział żywo. — Wstyd mi też wyznać, jak długo nie widziałem Tego, którego ze wszystkich ludzi Judei najwyżej cześć i szanuję.

W rzeczy samej tyle już upłynęło tygodni od ostatniego spotkania Łazarza z Nazarejczykiem, iż młody człowiek nie chciał ich liczyć wobec Annasza, który był przecież najzawziętym wrogiem Rabbi i nowej wiary, znanej już w szerokich kołach żydowskich.

Budowniczy pojmował, że próżno chce słowem gorącym naprawić zbyt widoczne zaniedbanie stosunków swych z Prorokiem. Czuł się zawstydzonym, a widział, że Annasz spostrzega to doskonale. Ostry też, ironiczny uśmiech, z jakim arcykapłan odwrócił się w tej chwili, utkwiał ostrzem strzały w duszy młodzieńca.

— Muszę zobaczyć Jezusa — przyrzekał sam sobie. — Muszę Go ujrzeć, zanim drugie słońce zajdzie nad Jerozolimą.

W tej chwili z po za kotary, oddzielającej drzwi przedsionka, dał się słyszeć głos kobiecy królewsko-rozkazujący; głos, tętnący majestatem i purpurą, która jedwabnemi niemi przewijała się

równocześnie w fałdach zasłony. Rzucił on jedno tylko imię:

— Łazarzu!

— Otom jest — odparł żywo.

Lecz na tem się skończyło. Postać Zahary nie zabłysła na prog.

Po chwili tylko posłyszał, jak przywoływała małą swą służebną, którą lubiła najwięcej:

— Chodź tutaj, Rebeko — mówiła. — Chodź i pociesz mię, rozwesel.

Dzień zbliżał się wreszcie ku końcowi, a Zahara nie ukazała swego oblicza. Łazarz pracował z trudnością, czuł się znużony i przybity.

— Czyżby zapomniała, że to ostatnie chwile? — rozmyślał. — Czy nie pamięta tego? Tak, ostatnie. Nie zobaczę jej więcej, nie zobaczę może nigdy...

Noc już nadchodziła; słońce zaszło, a zmrok wieczora coraz silniej obejmował ziemię. Z wieży wielkiej świątyni rozbrzmiało zwykłe wezwanie do modlitwy. Robotnicy złożyli narzędzia, nie godziło się bowiem dłużej przeciągać pracy.

Na czoło Łazarza wystąpiły grube krople potu. Głos wiązał mu w gardle i wypowiadał posłuszeństwo; zgnębiony też spojrział na ludzi swych z rodzajem niemego błagania.

— Czy jesteś chory, panie, czy tylko bardzo znużony? — zapytał z szacunkiem ten, którego zważano Jakóbem. — Warto weselej spojrzeć na naszą pracę; udała się niezwykle, a więc tem samem cieszyć cię powinna.

Młody snycerz okazywał wyjątkowe względy Łazarzowi, zarówno przez uznanie dla budowniczego, jak dzięki urokowi jego siostry, owej cichej Maryi, która, siedząc zamodlona w synagodze, nie zwracała uwagi na żadnego mężczyznę.

— Masz rację — przyznał Łazarz z wysiłkiem. — Praca, tak sumiennie i szczerze wykonana, zaszczyt nam przynosi. Wracajcie też do ognisk waszych i spocznicie teraz. Albo nie; czekaj, Jakóbie. Oto wstąpcie raczej do domu Szymona Trędowatego i powiedzcie siostrze mej, Marcie, że proszę, aby wam przygotowała ucztę na cześć ukończenia tej mozolnej roboty w pałacu arcykapłana. Weselcie się, moi drodzy, i bawcie, ale — beze mnie. Ja pozostanę tu, by, zanim zapadnie noc zupełna, przejrzeć raz jeszcze każdy szczegół. Lękam się bowiem, czyśmy czego nie zaniedbali, czy nie potrzeba gdzie poprawki. Idźcie zatem i nie czekajcie na mnie.

Robotnicy spełnili rozkaz, Łazarz zaś pozostał sam jeden pod łukami portyku, patrząc na niebo, oblane gorącym blaskiem zachodu. Horyzont zdawał się drzeć i mienić; mury pałacu odcinały młodego człowieka od reszty świata... Napróżno jednak powstrzymywał oddech; purpurowa kotara przedśionka pozostała nieruchomą.

Łazarz, z oczyma mgłą przyćmionemi, oglądał raz jeszcze rzeźby pilastrów i kolumn.

W pałacu zdawała się panować coraz głębsza cisza. Raz jeden przerwały ją kroki szybkie a oddalone, lecz echo ich wkrótce umilkło.

— Muszę iść — myślał Łazarz. — Muszę odejść. Nie pokazuje się przecież...

Poruszył się kilka kroków i, bezwiednie prawie, ujawszy owe dwie lilie, zachowane w dzbanku z wodą, obracał kwiat szkarłatny i kwiat śnieżny w dłoni swej, gdy wtem za nim zabrzmiał szept cichy:

— Ty, Łazarzu? Więc nie poszedłeś jeszcze? Praca twa trwa długo dzisiaj..

— Zahara!

Odwrócił się ruchem gwałtownym i ujrzał ją stojącą blisko, tuż obok niego. Zasłona kryła jej lica, oczy jednakże błyszczały z poza niej figlarnie, harmonizując iskrami, tlejącemi w nich, z szatą z purpury i złotą, tą samą, w jakiej widział ją po raz pierwszy.

Jaśniała szkarłatem tym i urodą, błyszczała wśród zmroku, jak meteor, wykradziony niebiosom a oświetlający surowy gmach pałacu. Klejnoty i ozdoby, strojąc ją obficie według zwyczaju kobiet wschodnich, chwyciły ostatnie blaski słońca i, mnożąc je, jednoczyły na cudnej tej postaci cały urok, całą świetność niktającego dnia. Łazarzowi zdawało się w tej chwili, iż zmrok, zapadający nad światem, był tylko symbolem ciemności, jakie ogarną jego życie wraz ze zniknięciem cudnej istoty.

Chciał wyznać jej to, chciał przemówić, lecz usta drżące wypowiedziały mu posłuszeństwo. Schylił więc tylko przed nią nisko głowę i obie lilie włożył w drobną jej rączkę.

Pustota i wesołość zniknęły z rysów Zahary. Wyprostowała się dumnie, rzucając mu wyniosłe wejrzenie. Lecz wtem wejrzenie to pod gorącym jego wzrokiem uciekło szukać bezpieczeństwa w osłonie rzęs ciemnych, a główka zwolna opadła na piersi.

Chwilkę wahała się jeszcze, poczem, podziękowawszy za kwiaty ruchem czarownym, ukryła je szybko, wpinając w fałdy wspaniałej swej szaty. Wdzięk niewieści, a nawet tkliwość, z jaką dotykała jego daru, odebrały resztę równowagi Łazarzowi.

— Zaharo! — wyszeptał — tyś jest lilią szkarłatną, bo jaśniejiesz jak płomień żywy. I tyś jest lilią śnieżystą, boś czystsza i bielsza nad obłok, po niebie płynący. Spiłem rosę z purpury kwiatu tego i dotknąłem ustami mlecznych płatków jego siostrzycy, gdyż przedstawiały one ciebie... A ty, Zaharo, jesteś dla mnie kobietą, a więc królową kwiatów i kwiatem kobiet; jesteś ogniem i lodem, burzą i słońcem! Kocham cię, Zaharo!...

Książęca córka arcykapłana rzuciła budowniczemu jedno tylko spojrzenie, lecz zjednoczyła w niem: wyrzut i błaganie, żal i tkliwość, dumę i przestach, niewiarę i tęsknotę. Spojrzenie to odzwierciadlało w sobie całą naturę, całą duszę niewieścią.

Łazarz jednak nie znał i nie rozumiał kobiet.

Pojał też tyle tylko, że Zahara cofnęła się i pierzchła, jak sarna spłoszona, szukając ratunku w ucieczce. Pierzchnęła, jak mknie na murawie

cień lilii, poruszanej wiatrem. Ciężka, haftowana kotara rozsunęła się i zakołysała. Purpurowe jej fałdy zamknęły się z dźwiękiem subtelnym, jakby wydanym przez złączenie dwojga ust. To Zahara zniknęła za szkarłatem draperyj jedwabnych.

Łazarz, zmieszany, z ostrym bolem w sercu, stał przez chwilę bezradnie. Wreszcie pochylił się, a zabrawszy kilka drobnych pozostałych narzędzi i ów dzbanuszek, w którym chował lilie, opuścił krokiem chwiejnym portyk pałacowy. U wyjścia jeden z oficerów pożegnał go grzecznem słowem. Młody budowniczy odpowiedział, nie wiedząc nawet, co mówi, i skierował się w milczeniu na ciemną ścieżkę, którą przychodził tu co rano.

Nie mógł jej jednak odnaleźć na razie. Na wpół też nieprzytomny kroczył przez spaloną, żółtą trawę, pokrytą już grubemi kroplami rosy.

— Nie chcę, abys tak odszedł. Pragnę wpięrow z tobą pomówić, Łazarzu — zabrzmiał w tej chwili głos cichy.

Zatrzymał się jak wryty.

Przed nim, niby posąg, spowity w mgły nocne, stała chwiejna, powiewna, drżąca Zahara.

— Zaharo! Narażasz się na naganę w domu, na ostre słowo rodzica! Przychodzisz sama... ty... do... mnie... Zaharo!

— Już odbiegam, — wyszeptała, oddychając ciężko — już wracam... Nie pozostanę tutaj; wykradłam się na chwilę tylko z pałacu. Nikt mnie nie widział... ciemno jest, dostanę się więc niepostrzeżenie do ojca.

— Och, gdyby życzenie serca mego spełnionem być mogło, nie opuściłabyś mię już nigdy, nigdy! — wykrzyknął Łazarz. — Znalazłabyś osłonę w mych ramionach i nazwałbym cię moją na zawsze! Bo ja cię kocham, Zaharo! kocham cię!

— *I ja ciebie*—odpowiedział mu szept nieujęty, jak tchnienie zefiru.

Wraz zaś z nieprawdopodobnymi temi słowami dziewczę zadrżało, zachwiało się i, walcząc na próżno z majestatem księżniczki, pierchnęło szybko ku pałacowi. Ciemność otoczyła postać jej smukłą, rzuciwszy między nią a ukochanego zasłonę z gazy, napojonej balsamiczną wonią zachodu.

Łazarz stał w miejscu, jak człowiek, ogłuszony piorunem radosnej a niespodzianej nowiny.

IX.

Zmrok zapadał nad Betanią. W domu wdowy Racheli i ślepego jej syna, Barucha, panowało niezwykle ożywienie. Zaszło tu bowiem wielkie zdarzenie.

U wejścia, dysząc ze zmęczenia, leżała na noszach niziutkich blada, delikatna dziewczyna, o rysach nacechowanych rzadką u jej rówieśnic pogodą i spokojem. To Ariella kazała się przenieść

do sąsiadki swej, Racheli. Miała tu nawet pozostać do jutra.

Malachiasz i Baruch przy pomocy niewolnika dostawili lekki ten ciężar tutaj; dzięki też silnym ich dłoniom, zanim słońce zajdzie ponownie, Ariella wróci pod dach ojczysty. Malachiasz zrzędził, co prawda, na tę zachciankę, która mu niepotrzebnie zabierała czas, lecz Hagar oparła się tym razem stanowczo:

— Ciekawa jestem, co masz lepszego do roboty?—oburzyła się. — Raz przecież możesz zrobić dziewczynie taką niewinną przyjemność.

Był to wpływ Barucha, który wpierw już uciekł się do łaski Hagary, zwalczając odmowną jej odpowiedź. Stało się więc zadość życzeniom obojga. Malachiasz i żona jego powrócili do siebie, Ariella zaś leżała cichutko przed domostwem Racheli, prosząc, by jej nie wnoszono pod dach jego, aż do chwili nocnego spoczynku. Tymczasem odurzała się widokiem nieboskłonu i piła orzeźwiający powietrze wieczora, jak Arab, umierający z pragnienia na pustyni, pije wodę życiodajną z czary, przytkniętej do ust jego sztywniejących.

W drodze, z domu ojca do siedziby Racheli, dziewczę przeszło istne męczarnie. Każdy krok mniej ostrożny, każde poruszenie noszy przejmowało ostrym bolem ciało biednej kaleki. Nie okazała tego jednak niczem. Przeciwnie, dawno niewidziane szczegóły świata zewnętrznego budziły w niej żywą a głośno objawianą radość. Ciągłe też wołała:

— Ach, ojcie, patrz, co za światło! Blask słońca na polach! Jakaż to rzecz cudowna słońce w miejscu otwartem!

— Baruchu! czy widzisz całe wzgórze tulipanów?! Szkarłatne, ogniste biegną wzdłuż i na dół, jak pochodnie w rękach hajduków na wyścigach.

— Matko, podaj mi rękę i pomóż unieść głowę, abym mogła spojrzeć na Jeruzalem. Świątynia błyszczy, niby zorza poranna. Tam jest Arka przymierza. W Arce Bóg przebywa. Ludzie pną się pod górę i wznoszą coraz wyżej, wyżej, jak modlitwa do tronu Jehowy! Och, czemuż nie mogę ujrzeć całej świątyni?! Wierzchołek góry Oliwnej zakrywa mi ją w części.

Zachwyt ten jednak i podniecenie wyczerpały siły Arielli. Teraz więc leżała na noszach cichutko, przedstawiając nieme, zanoszone do niebios błaganie. Po ożywieniu nastąpiła reakcja; po chwilach radości — ostry ból cierpienia. Świadomość beznadziejnego kalectwa wracała z całą goryczą, nieuchronna, jak zmierzch wieczoru. Rysy Arielli ściągnał kurcz, pogłębiający linie, niby w obliczu starej kobiety. A przecież miała zaledwo lat dwadzieścia sześć.

— Pozostawcie mnie samą—wyszeptwała z trudem. — Odejdź, Baruchu; opuść mnie, Rachelo. Zmiana była za silną, za nagłą; czuję się bardzo znużoną... Nie patrzcie na mnie; nie, nie. Bez was łatwiej ból znosić.

— Ależ Baruch nie może cię i tak zobaczyć—przypomniała Rachela.

— Dlatego właśnie jest on baczniejszym od innych—zauważyła Ariela.

Młodzieniec powstał i opuścił w milczeniu gościa swej matki. Rachela uczyniła wkrótce to samo. Spełniło się więc życzenie Arielli, jedyne, jakie chory ma często: pozostała sama z bólem swym, sama z własnem cierpieniem.

Nosze jej postawiono przed frontem domu, na dość obszernym, cienistym dziedzińcu. Prosiła, by ją umieszczono wśród zielonej murawy, lecz trawę w tej porze roku spalił już zupełnie żar słoneczny. Po za dziewczęciem wznosił się zarys skromnego, dostatniego domu Racheli. Światło tylko płonęło w jednym oknie, rzucając smugę jasną blasku na wybrukowaną część dziedzińca. W drzwiach głównych stał, oparty o framugę, Baruch i, czekając widocznie na kogoś, już-to wytężał z niepokojem biedne swe oczy, jak gdyby mógł dojrzeć niemi cośkolwiek, już też, zrezygnowany, wracał do poprzedniej, biernej cierpliwości. A dalej, dalej roztaczał się ciemniejący coraz bardziej horyzont, na który, ile razy ból ostry ustał na chwilę, dziewczę, więzione dotychczas w czterech ścianach domostwa, patrzyło z zachwytem, jak na obraz niebiański.

Na wschód od niej ciągnęła się droga do Jericho, dzika i niebezpieczna, wijąca się wśród wzgórz skalistych. Ariela mogła dziś jeszcze oznaczyć miejsce, w którym przed dziewięciu laty spotkało ją nieszczęście, grożące zwichnięciem życia całego.

Teraz pięła się tamtędy karawana podróżna, a czarne sylwetki wielbłądów [podnosiły się i nikły, jak zarysy łodzi na morzu wzburzonym. Karawana kierowała się ku Jeruzalem; podróżni śpiewali psalmy, których echo dochodziło po rosie aż tutaj.

Odwróciwszy głowę, dziewczę patrzyło z lubością na ładną i cichą wioskę betańską. W oddali dzwigała surowe swe zarysy forteca rzymska, sterząc murami, które w sercu każdego Żyda nieciły głuchy bunt. Domki Betanii rozłożyły się tuż u stóp warowni, lanca też rzymskiego żołdaka, strzegącego wałów, błyskała od czasu do czasu w ostatnich promieniach zamierającego wieczora. Dalej, u stóp góry, wznosiły się wielkie, kamienne grobowce, wykute w skale. Były to miejsca wiecznego spoczynku bogatszych rodzin z Betanii. Ariella patrzyła smutnie na poważne ich zarysy.

— Moje życie jest także grobem tylko—wybiegło na usta jej półgłosem.

Lekki szmer po za pnem oliwnym, o który oparto nosze, zwrócił uwagę chorej; nie zastanawiała się jednak nad nim. Jedno spojrzenie w tę stronę byłoby ją objaśniło, iż postać Barucha zniknęła z drzwi frontowych, w których stał przedtem. Biedny ślepiec opuścił je nieznacznie, kryjąc się poza drzewem, osłaniającem Ariellę. Dziewczę jednak, zapatrzone w widnokrąg, roztaczający się na południu wschodzie, utkwilo oczy swe w błyskającej zdala, ponurej powierzchni morza Martwego.

W tej chwili opanowała ją jedna z tych nie-

wytłumaczonych zachcianek, które chorem tak często przychodzą. Wszak nie słyszano nigdy, aby się kto w morzu Martwym utopił? Ach, gdyby ją tak wraz z posłaniem całem puszczone na jego nurty! Może miękkie to łożo przyniosłoby jej ulgę, może wśród miarowych kołysań fali życie jej łatwiejby uleciało!

— One jedne nie urażałyby mię — myślała Ariella.

I, zaśmiewszy się z tej dziecinnej fantazyi, próbowała unieść głowę, by, oparłszy ją na dłoni, sięgnąć dalej okiem, a tem samem nie tracić ani na chwilę zamierających blasków zorzy wieczornej. Wysiłek ten jednak spowodował ból tak ostry, iż jęk mimowolny, przejmujący, wybiegł na usta nieszczęsnej.

Ariella niezwykła była zdradzać cierpień swoich oznakami zewnętrznymi. Ból też musiał być srogi, męczarnie cięższe niż zwykle, skoro z piersi jej wyrwał się ów okrzyk, budzący litość.

— Ach, Ariello! — zawołał z trwogą Baruch, rzucając się ku niej bezradnie.

Staął i, pochylony nad nią, drżał cały ze współczucia, przejęty pragnieniem przyniesienia jej ulgi, a bezsilny w niemocy swojej.

— Ach, Ariello! — powtórzył rozpacznie — czemuż nie mogę widzieć cię przynajmniej! może wiedziałbym wtedy, jak ci pomóc, jak pocieszyć.

Ariella zapauowała natychmiast nad sobą.

— Gdybyż miłość mogła przynieść ulgę! —

wyszeptał Baruch — gdyby posiadała moc uzdrowiania...

— Miłość daje siłę, — poprawiła łagodnie — miłość pomaga do przetrwania chwil ciężkich...

— Tak, lecz miłość tych ludzi, których Bóg nie upośledził kalectwem. O! ci, którzy mają prawo kochać i mogą jawnie okazywać swe uczucia, cóż to za szczęśliwi wybrańcy, Ariello!

— Nie dla nas los podobny — przypomniła smutnie.

Ślepiec wyciągnął rękę i, szukając chwilę, ujął jej drobną dłoń. Było już ciemno zupełnie, dziewczę też niewiędziej widziało od niego. Baruch pochylił się ze czcią niemą nad tą małą, wychudłą, rozpaloną dłonią; pochylił się, lecz nie śmiał dotknąć jej ustami. Czuł, że pocałunek zerwałby tamę jego uczuć, że wobec tkliwszego słowa Arielli oszalałby z rozpacz i miłości.

— Czyś ty jest Baruch, ociemniały? — zabrzmiał w tej chwili głos przedziwny.

Baruch nie odskoczył, nie wypuścił z uścisku ręki Arielli. Przeciwnie, zatrzymał ją, odpowiadając równocześnie z powagą mężczyzny:

— Tak, Panie, jam jest.

— A chora, o której mi wtedy mówiłeś? Wszak patrzę na nią?

— Panie, leży tu właśnie.

— Czy wie, że ja przyszedłem?

— Nie, Mistrzu; nie domyśla się niczego.

— Pozwól mi stanąć przy niej.

Głos ten poważny brzmiał niezaprzeczoną po-

tęgą. Ariella, zadrżawszy pod jego siłą, przestraszona, dysząca, napróżno próbowała przebić wzrokiem ciemności.

— Uspokój się — prosił Baruch. — Ten, o którym ci mówiłem, jest tutaj.

— Ty ułożyłeś to z góry, tyś mię tu przywiódł umyślnie i nie, nie nie powiedziałeś mi, Baruchu!

W tonie jej brzmiał odcień wyrzutu. Spisek ślepeca udał się wybornie; świadomość też, że dała się tak wywieść w pole, stłumiła na razie wszelkie inne skrupuły w umyśle chorej.

— Co się stało, już się nie odstanie — przerwał z mocą. — Do mnie możesz nie mieć zaufania, walczyć jednak z wiarą w Niego... to rzecz, która nie leży w twojej mocy.

Baruch wskazał poważną postać przybyłego, który stał przez chwilę milczący, jakby skupiony w sobie. We troje tworzyli dziwną grupę: ślepiec pochyłał się naprzód, niespokojny, drżący, z ciałem wyprężonem, usiłując mocą ducha przebić otaczające go ciemności; dziewczę, dysząc ciężko, tuliło się z przestachem do wezglowia; nad nimi zaś górowała postać wyniosła, uroczysta, a niema, jak przeznaczenie.

Było teraz tak ciemno, iż Ariella nie mogła nawet rozpoznać rysów Barucha, choć, zwrócony w tę stronę, pochyłał się ku niej tklawie. Oblicze przybyłego kryło się w cieniu przed jej oczyma. Widziała tylko zarysy wysmukłej, szczupłej postaci, o ruchach poważnych i nakazujących szacunek.

Na progu ukazała się w tej chwili Rachela. Widok obcego gościa nie zdumiał jej bynajmniej; stosując się do ciszy, w jakiej stali pogrążeni, zbliżyła się w milczeniu ku nim. Ukryta za pniem drzewa oliwnego, przyglądała im się przez chwilę, poczem, posunawszy się naprzód, uklękła tuż u węgłowia chorej dziewczyny. Wtajemniczona w plany Barucha, Rachela nie dziwiła się niczemu, wiara jej zresztą w Nazarejczyka była głęboką i szczerą.

Poruszył się i, przystępując do noszy, prze-rwał gnębiącą ciszę. Głos Jego wszakże jedno tylko rzucił pytanie:

— Czy to matka dziewczęcia?

— Nie, Panie—objaśniła Rachela.—Chora jest tylko moim gościem, a zarazem ulubioną towarzyszką mego syna. Baruch powiedział nam, że Ty, Panie, możesz ją uleczyć.

Najpotężniejsza postać Judei przedstawiała się w tej chwili prostym duszom w postaci głosu jedynie.

Cóż to był za głos! Cała natura Arielli, cała jej istota zadrżała pod wpływem jego dźwięku. Silny jak powiew burzy, słodki jak miłość, głęboki jak nurty oceanu, opanowywał on sercem i rządził niem wszechwładnie, jak niebo rządzi ziemią, równocześnie przemawiał tak tkliwie, iż wstrząsał wrażliwością ludzką do najskrytszych tajników duszy.

— Ariello!

Było to jedno tylko słowo, lecz nigdy jeszcze do żywych, ni umarłych nikt tak nie przemawiał. Brzmieniem tego wyrazu, przez niewidzialne usta wymówionego, Ariella uczuła się porwaną z duszą i ciałem na niedojrzane wyżyny. Zdawało się, iż fale eteru, poruszone głosem tym, otoczyły ją, jak prąd morski otacza tonącego człowieka, i na powierzchni swej niosły coraz wyżej. Dźwięk ów, niby skrzydła, podjął ciężar jej ciała płynąc z niem ku górze.

— Ariello!

— Panie, otom jest — wyszeptała, zwracając ku Niemu, przez ciemnię, wychudłą, bladą swą twarzyczkę. Biedna, mała główka, z jakąż trudnością obracała się! Ariella w tej chwili cierpiała straszne katusze. Ruch i wzruszenie całego dnia, uwięzione wstrząsającą tą chwilą, ostatecznie prawie wyczerpały jej siły. Jęk też głuchy wybiegł mimowoli na jej usta.

Na dźwięk ów bólu i niedoli ślepiec rzucił się na kolana obok matki.

Odtąd Chrystus jedynie i chora dziewczyna brali czynny udział we wzruszającej scenie.

Głos Nazarejczyka, łagodny, słodki, a jednak rozkazujący, przejmował do głębi brzmieniem swem Ariellę. Spostrzegła, iż zapytuje jej o wiarę w Boga, Ojca swego, i w jego posłannictwo jako syna Bożego. Mówił dalej o spółczuciu dla nędzy ludzkiej, o mocy swej w uzdrawianiu chorych, o własnem jej cierpieniu wreszcie. Wypowiedział to w słowach tak treściwych, że Ariella powtórzyć

by ich nie umiała. Pozostało jej tylko wrażenie, iż badał przekonania jej religijne, głębię wiary i uczucia co do mocy, jaką posiadał. Ponad wszystkim zaś czuła palącą, wszechpotężną potrzebę wypowiedzenia prawdy, bez względu na przykrość, jaką brakiem zaufania i uprzejmości mogła wyrządzić Temu, który, znużony, spracowany, wyczerpany, odbył jednak, po dniu twardego znoju, ciężką drogę do Betanii, by tylko przynieść ulgę chorej, a nieznaney dziewczynie.

— Panie, — mówiła — jakżeż kto może mnie uzdrowić, skoro od lat tylu choroba czyni mnie bezwładną!

Nazarejczyk nie dał żadnej odpowiedzi.

— Dziewięć lat, — ciągnęła dalej — dziewięć lat przykuta jestem do łóżka. Dziewięć lat znozę straszne męczarnie. Ludzie nie rozumieją, czem jest mój ból, ile wycierpieć muszę. Skargi moje nużą i nudzą wszystkich, staram się więc tłumić je w milczeniu. Ale to pozór tylko. W gruncie nie jestem wcale cierpliwą, ani uległą. Ból wyczerpuje mnie... Panie, nie mam już siły do znoszenia go w cichości.

Ariella załkała gorzko.

— Panie! Wiara ma osłabła wraz z ciałem. Bo i cóżby mię uleczyć mogło?

— Mistrzu! — przerwał ślepiec, klęczący wciąż w pokorze — Mistrzu! Moja za to wiara stała jest i niewzruszoną, a tak potężną, iż, gdyby dziewczę to w grobie leżało, mogłaby mu jeszcze przywrócić życie.

— Baruchu! Baruchu! — upominała Ariella.

W głosie jej drgały łzy. Fakt ten wstrząsnął silniej jeszcze ociemniałym.

— Panie! Zbawco! — jęknął boleśnie.

Sród ciemni, dla oczu ich niedostępnej, uśmiech smętny okolił usta Nazarejczyka.

— Ariello, — ciągnął Baruch — wszak On żąda tylko ufności i wiary.

Dziewczę natychmiast doznało takiego wrażenia, jak gdyby chore jej ciało, uniesione siłą potężną, płynęło w przestworzu. Sądziła na razie, iż myśl jej przelotna o morzu Martwem w czyn wprowadzoną została; że zbolale, wycieńczone jej istnienie dobiega do kresu podróży ziemskiej i przez fale życia dąży ku innym widnokręgom.

Nazarejczyk stał w skupieniu, z głową pochyloną na piersi, jak człowiek pogrążony w głębokiej modlitwie lub zadumie, która wyłączała zupełnie świadomość świata zewnętrznego i otaczających go szczegółów. Podniósłszy wreszcie oblicze, przemówił uroczyście, nakazująco:

— Dziewczę! Ja tobie mówię: Wstań! Oto powtarzam ci: Powstań i chodź!

Z piersi Arielli wybiegł okrzyk przejmujący, rozpaczny.

Później dopiero opowiadała, iż ból, jaki przy słowach tych wstrząsnął jej ciałem, był zbyt okrutny i potężny, aby go mogła wyrazić w słowach. Przeniknął on całe jej jestestwo, poruszył wszystkie części organizmu, zespalając w sobie fizyczne

cierpienia członków, obezwładnionych przez długie lata. Zdawało się, iż choroba, posiadłszy moc ducha, mści się w tej jednej chwili za przywołanie potęgi uzdrawiającej, przed którą czuła, że jej ustąpić przyjdzie.

Na okrzyk ten Baruch zerwał się, chcąc jej dażyć z pomocą, chcąc osłonić własnymi ramionami. Ruch jednak nakazujący Chrystusa przykuł go napowrót do miejsca.

— Powstań — powtórzył z mocą. — Powstań i idź do drzwi tego domu! Znajdziesz tam za progiem dzban z wodą; ujmij go i przynieś tutaj.

Ariela na słowa te dźwignęła się na wezgiół i powstała. Nogi wszakże nie mogły jeszcze utrzymać ciężaru jej ciała. Zachwiała się, zakłysła, jak kłosa podcięty.

— Idź! — powtórzył Nazarejczyk nakazująco. I poszła.

Chwiejąc się jeszcze, lecz bez żadnej pomocy, bez żadnego podparcia, sama zupełnie, zwróciła się śmiało ku domowi, by za chwilę przekroczyć próg jego.

Baruch i Rachela stali oniemi, z tchem w piersiach wstrzymanym. Nie śmieli iść za nią. Z sercem bijącym śledziła Rachela ruchy wątej postaci, przybranej niedbale w ubogie szaty chorej kaleki. Widziała, jak, zniknąwszy za drzwiami, stała się później chwiejną, delikatną sylwetką na tle samotnego kaganka, błyszczącego w mieszkaniu Racheli. Patrzyli, jak pochyliwszy się, uniosła dzban. Był ciężki, napełniony wodą. Pomimo

to dziewczę, podjąwszy go, oparło zwyczajem kobiet wschodnich na głowie i teraz pewnym już krokiem skierowało się przez ciemny dziedziniec ku owym noszom nieszczęsnym, na których przejęczała pół życia.

Oczy Chrystusa i spojrzenie Racheli nie opuszczały jej ani na chwilę. Ślepiec nawet ze wzruszającym niepokojem wypręzał naprzód szyję, starając się pochyleniem głowy przebić otaczające go ciemności.

Ariella wracała tymczasem. Szła krokiem zupełnie już śmiałym; a stanawszy obok Nazarejczyka, złożyła u stóp Jego dzban, zdjęty z głowy.

I w ślad za nim, bez jednego słowa, sama do stóp Jego przypadła. Osunawszy się na kolana, pochyliła nisko oblicze, aż wreszcie usta jej spoczęły na skraju Jego szaty, na nogach, długą podróżą wycieńczonych i zapyłonych.

Przycisnąwszy do nich blade swe łica, mówiła:

— Panie! Panie! Przebacz mi! Jam tak długo cierpiała, tak długo byłam chora, iż zwątpiłam o wszystkim... Dziś, uzdrowiona przez Ciebie, błagam: Naucz mię, co mam czynić dalej!...

Rachela, wsparta o pień oliwny, zaniosła się głośnym płaczem.

Na dźwięk ten Baruch, drżący z radości, osunął się obok Arieli u stóp Chrystusa.

— Mistrzu! — zawołał — Mistrzu!

I, wyciągając dłoń, trzęsącą się ze wzruszenia, ślepiec szukał nią ręki Cudotwórcy lub choćby brzeżka sukni Jego. Lecz miejsce, w którym sta-

ło uosobienie litości i miłosierdzia, pustem już było. Nazarejczyk zniknął.

Ariella podniosła się i bez słowa jednego zwróciła się sama ku domowi.

Szła, jak istota pijana szczęściem i radością. Rachela, podjąwszy dzban z wodą, postępowała za nią z Baruchem, pogrążona w równie głębokiem milczeniu.

Puste a niepotrzebne już nosze pozostały pod drzewem oliwnem, jako świadek i przypomnienie minionego kalectwa Arielli.

X.

Powróciwszy do domu, Ariella, Rachela i Baruch ulegli dziwnemu wrażeniu. Wzruszenie, wywołane uzdrowieniem drogiego im dziewczęcia, wstrząśnienie, jakiego doznały proste umysły, zespoliwszy się w fackie niesłychanym, a przechodzącym ich pojęcie, podziało tak silnie, iż w ubogiem mieszkanku zapanowała głęboka cisza. Przytłoczeni potęgą zaszłych wypadków, nie umieli i nie próbowali wypowiadać swych wrażeń.

Baruch nie umiał rozeznąć własnych uczuć. Spodziewał się czegoś większego, a jednak cud, dokonany z taką prostotą w oczach wszystkich, przechodził najśmielsze jego marzenia.

Natężał ucho, aby posłyszeć odgłos lekkich kroków Arielli; nie mógł jej widzieć jednakże! Echo to wzruszało go, niby brzmienie przedziwne. Ariella zaś chodziła tam i napowrót, jakby dla przekonania się, iż zdolność ruchu nie jest snem tylko. Nogi jej zwinne, na wzór ptaka lub motyla, poruszały się żwawo a lekko. Z początku też kręciła się dokoła dla samej przyjemności, jaką jej ten fakt niezwykle sprawiał. Po chwili opadła na stojącą pod oknem niską, białem płótnem okrytą, kanapkę, a usta jej rozchyliły się ruchem, z jakim dzieci znużone zwykły ziewać. Sam dźwięk tego ziewnięcia, mówiący o fizycznem zdrowiu i zadowoleniu, był czemś niesłychanem u nieszczęsnej kaleki, przyuczonej tylko do jęków, bólu i cierpienia.

— Rachelo,—prosiła równocześnie słodko,— powiedz mi, co się stało? Mnie nic nie boli, jestem śpiąca tylko. Nie uwierzysz, Baruchu, co to za radość nie czuć żadnego bólu, żadnego cierpienia. Nie przywykłam do tego; nie wiem też, co mam robić. Chciałabym mówić, chciałabym wypowiedzieć wam wszystko, czego doznaję, a nie umiem. Bądźcie cierpliwi, przebacze mi to niedołęstwo!...

— Dawniej — ciągnęła po chwili — czekałam, aż ból ustanie chociaż na chwilę, by, korzystając z niej, zasnąć... Dziś nic mnie nie gnębi, nic nie obozwładnia, a przeraża jedna myśl tylko, że cierpienie może znów powrócić. Och, teraz gotowam czekać go z większą otuchą, mam prawo bowiem

powiedzieć mu: Szatanie chorych, wymknęłam ci się, na krótko wprawdzie, lecz niemniej przez godzin kilka straciłeś władzę nade mną! Chodź, mam teraz więcej sił do walki i drwię z twojej przemocy! Chodź, zobaczymy, kto zwycięży w śmiertelnych zapasach: ja, czy ty?

Lecz, kończąc wyrazy te, Ariella pochyliła się już i, zarzuciwszy ręce nad głowę, z twarzyczką, złożoną w zagięciu łokcia, zasnęła... Zasnęła nie jak schorowana kaleka, lecz jak dziecię, z rozkosznym, marzycielskim uśmiechem na ustach.

A był to sen niezwykle i pamiętny dla niej. Przez noc całą spokojny, równy jej oddech nie został zakłócony westchnieniem nawet. Spała też długo, długo, jak gdyby nerwy, stargane i wycieńczone tyloletniem zaburzeniem, potrzebowały od razu odzyskać swą siłę, jak gdyby życie zbyt ją kochało, aby budzić do trosk swych zwykłych.

— A jeżeli ona nie wstanie więcej?—zawołał nagle Baruch z trwożną obawą, poczerpniętą w miłości. — O, matko moja, może ona się wcale nie obudzi?

— Cicho! — przerwała praktyczna Rachela—ależ dziewczę ginęło z braku takiego snu właśnie. Wątpię nawet, czy pamięta, kiedy danem jej było spoczywać, jak innym ludziom. Pamiętaj, mój synu, iż uzdrowienie nie jest jeszcze zupełnem. Bez tego snu wzmacniającego mogłaby przez samo osłabienie popaść w dawną bezwładność. Trudno, aby kilka godzin zwróciło kobiecie siły, stargane dziewięcioletnią chorobą. Pozostaw ją w spokoju,

Baruchu. Wielu dowodzi, że potrafią uzdrawiać chorych. Czas jednak jest najlepszym probierzem mocy takiej. Widziałam ja niejedno życie, zwichnięte przez fałszywych lekarzy!

— Czynią to samozwańcy i szarlatani, wiem o tem—odparł Baruch.—Słyszałem o nich.

— A ja widziałam ich — poprawiła Rachela z ostrożnością starszej, a więc doświadczonej, niewiasty.—Widziałam kulawych, którzy mocą wiary w fałszywych bogów i proroków odrzucali swe szczudła po to, by za tydzień sprowadzać nowe z Jerozolimy.

— On nie jest do nich podobnym! — wyszeptał Baruch z siłą, czerpaną w ufności.

Tu już Rachela zgadzała się z synem zupełnie. W głębi duszy i ona wierzyła również w potęgę uzdrawiającą Nazarejczyka. Pomimo to jednak zdawało jej się, iż, dzięki doświadczeniu swemu, ma prawo wstrząsać głową i mówić:

— W każdym razie pozostaw dziewczę w spokoju. Niech śpi; uczyni i ty to samo; to będzie rzecz najlepsza.

— Wyjdę przed dom, aby stróżować—oznajmił młodzieniec.—Ty zaś, matko, czuwaj nad nią, jak nad skarbem.

Rachela, patrząc za odchodzącym, smutnie wstrząsnęła głową.

— I na cóż się zda mieć ślepego syna?—szepnęła.—Wszak myśli on tylko o dziewczynie tej i żyje nią, jak gdyby mu mogła zastąpić oczy.

W dziesięć minut później wszakże spała już

tak mocnym snem sprawiedliwych, iż ani chory gość, ani ociemniały młodzieniec nie mogli zakłócić jej spoczynku. Jeden Baruch tylko, podkradający się na palcach pode drzwi, by posłyszeć regularny oddech Arielli, wiedział, iż noc jej nie była zakłócona jękami bólu. Wzruszony też, przejęty wdzięcznością, strzegł domu do świtania, a z pierwszym blaskiem jutrzeńki zaczął się modlić.

Zbudziwszy się spokojnie, Ariella leżała ci-chutko przez chwil kilka. Dawny wyraz słodyczy i cierpliwości osiadł na jej rysach; bała się poruszyć i nie próbowała unieść nawet. Rachela przyglądała jej się badawczo, gdy Baruch, stojący za progiem, drżał z niepokoju.

— Rachelo! — mówiło dziewczę — Rachelo! Ach, jak ja spałam! Dobrze jest zasnąć pod twoim dachem, bo snąc spokój tu mieszka. Nie pamiętam już, kiedy tak pokrzepioną się czułam. Droga Rachelo, chodź jeszcze i pomóż mi przystroić się trochę; daj wody, abym mogła obmyć twarz i ochłodzić ręce.

— Czy sądzisz, że nie wiem, co gościowi przygotować należy? — zapytała matka Barucha. — W alkierzu czeka już woda, świeża bielizna i wszystko potrzebne do ubrania. Chodź ze mną, a przekonasz się, że z góry myślałam o twych życzeniach.

Dziewczę zwróciło na nią oczy, w których zdumienie i uraza walczyły naprzemian.

— Chodź — powtórzyła Rachela ze stanowczym, macierzyńskim rozkazem.

— Och, pamiętam! — wybuchnęła chora. — Pamiętam wszystko! Prawda, wszak ja wczoraj po ziemi stapałam, władałam swobodnie nogami, które zniosły ciężar całego ciała. Nazarejczyk rozkazał im i były posłuszne... Ale to się działo wczoraj... wczoraj...

— Dziś należy postąpić tak samo — poddała Rachela tonem spokojnym. — No, wstań, Ariello — powtórzyła stanowczo.

Dziewczę powstało natychmiast. Na razie nogi jej zadrżały i chwiała się przez chwilę. Siłą woli jednak postąpiła na środek pokoju, kierując się śmiało ku sąsiedniej komnacie. Płócienna kotara zachwiała się, rozchyliła i opadła, ukrywając za sobą postać Arielli. Rachela słyszała tylko plusk przelewanej wody, którą chora po raz pierwszy orzeźwiała swe członki. Nie próbowała jej pomódz lub posłużyć, lecz, wyszedłszy do Barucha, zapewniła go, że Ariella czuje się zdrową i chodzi.

Gdy tylko ukończono ranny posiłek, dziewczę udało się z powrotem do domu swych rodziców. Chłód, panujący jeszcze nad wioską betańską, zdawał się więcej sprzyjać krótkiej tej wycieczce od późniejszego upału. Ariella zresztą pragnęła iść natychmiast, a Baruch, nie pojmując pośpiechu tego i niecierpliwości, nie próbował jednak sprzeciwić się jej życzeniu, nie usiłował powstrzymać jej nawet.

Gdy wybiegła zrana przed dom, wyglądała jak obłoczek, jak rozchylający się pączek kwiatowy, jak kropla rosy, jak coś niepochwytne a uroczego, co, zrodzone wśród młodzieńczego czaru poranka, do chwili jego wyłącznie należy.

W oczach jej paliło się podniecenie tak silne, iż gorączka miłości niczem była w porównaniu. Radość uleczonej kaleki nie posiadała uczucia równego sobie na ziemi.

Ariella nie mogła usiedzieć na miejscu. Zdawało się, iż nogi jej posiadają skrzydła—poruszała się ciągle, biegła tu i tam. Fala krwi oblewała niespodzianie blade jej lica, jakby ucząc się zabarwiać je potężnym swym czałem, poczem cofała się również szybko, niby przybysz, nie mający jeszcze prawa gościć tu dłużej.

Usta jej nawet powtórna rozkwitały młodocia, składając się do dziecięco-swobodnego uśmiechu. Biegła tam i napowrót, kiwała główką i śmiała się z każdej rzeczy, jak mała, rozbawiona dziewczynka. Mówiła głośno i śpiewała, czuła się pochłoniętą nowem swem szczęściem, była niem upojoną.

Ten pośpiech wydobyć się z miejsc tych ciężkim był dla Barucha. Pragnął, aby pozostała z nimi, aby przynajmniej okazała chęć pozostania przez ten jeden dzień, pierwszy dzień szczęścia jej i rozkosznego powrotu do życia.

Arielli uzdrowionej, Arielli z uśmiechem na ustach nie rozumiał, nie znał wcale. Dawna jego

Ariella zniknęła na zawsze, a zamiast niej coś pozyskał?

— Czy to możliwe, — myślał ociemniały — aby szczęście zabrało mi ją, abym ją stracił na zawsze? Czemżeż jest to uzdrowienie? Ceną naszej przyjaźni, kosztem, za który przeistoczono mi Ariellę?

Pochylił z poddaniem biedną swą głowę, w duszy zaś powtórzył:

— Niech i tak będzie, byle tylko ona nie cierpiała dłużej. Jestem zadowolony, postawiłem na swoim: Ariella została uleczoną.

Dziewczę nie domyslało się tymczasem uczuć ślepeca. Nie przeczuwała smutku i bólu, jaki mu sprawia. Przeciwnie, pragnęła okazać się wdzięczną i kochającą. Zdrowie jednak i radość, rzeczy dla niej tak nowe, tak nieznane, olśniły ją na razie. Nie była też zdolną nie widzieć za niem.

Pomimo to, powtórzyła kilkakrotnie:

— Baruchu! Drogi Baruchu. Jestem zdrowa, stoję na własnych nogach, chodzę, biegam nawet! I nic mnie nie boli... Nie cierpię wcale. O, kochany Boruchu, ileż ci winna jestem!

Lecz młodzieniec nic nie odpowiedział. Czuł się osieroconym po dawnej Arielli.

Chciała wracać sama do domu i nawet na niewytłumaczony ów kaprys kładła silny nacisk. Rachela wszakże, oparłszy się podobnemu życzeniu, postanowiła jej towarzyszyć. Wobec woli tej dziewczę ustąpiło. Nic jej przecież na tem nie zależało — nic jej nie zależało na świecie całym, odkąd

mogła chodzić o własnych siłach. Opuszczając dom ich, ujęła rękę Barucha i wyrzekła kilka słów uprzejmych, których treści nie umiałaby jednak powtórzyć. Ślepiec przyjął je w milczeniu, a odwracając głowę, pomyślał:

— Już o mnie zapomniała.

Ariella przebyła drogę do Betanii w stanie ciągłego upojenia. Nogi jej zdawały się nie dotykać ziemi. Podnosiła głowę jak ptaszę, a rozkoszując się szerokim widnokresem i falami powietrza, żałowała tylko, że nie zna wszystkich przechodniów i że nie może, spotykając ich, wołać:

— Patrzcie, jam jest Ariella! Ariella uzdrowiona! Ariella, która, jak wy, sama porusza się i chodzi!

Niestety jednak, obcy to byli ludzie. Przykute przez długie lata do łoża, dziewczę nie widywało nigdy mieszkańców okolicznych. Biegła więc, nie zatrzymywana przez nikogo, a Rachela, sapiąc i stękając, z trudnością za nią mogła nadążyć.

Przestrzeń między dwoma domami wynosiła pół mili zaledwo. Uszedłszy część drogi, obie kobiety spotkały pierwszego znajomego wśród przechodniów. Był to człowiek młody, idący zwolna, z głową pochyloną i wzrokiem w ziemię utkwionym.

Ariella, zbliżywszy się, poznała w nim dawnego znajomego, którego, pomimo dłuższego niewiedzenia, doskonale pamiętała.

Był to Łazarz, lecz Łazarz dziwnie zmieniony. Spojrzenie jego, w dal utkwione, zdawało się nie nie widzieć dokoła; oczy błyszczały radością, gorejąc nieledwie wśród białego oblicza. Szaty, zmięte i rosą zwilżone, wskazywały poniekąd, iż młody człowiek spędził noc tę na ziemi, pod niebem gwiazdzistym. Znany jako poważny, szanujący się mieszczanin, a zarazem człowiek, przywiązujący wielką wagę do form zewnętrznych, Łazarz zdumiewał w tej chwili przeczącą im a zaniedbaną powierzchownością.

Oblicza Arielli nie kryła żadna zasłona. Dziewcę, zamknięte od lat wielu w swej izdebce, zapomniało już o tym zwyczaju świata zewnętrznego. Nie był to brak skromności, lecz raczej uwieszczenie jej — Ariella bowiem, przywrócona do naturalnej, wrodzonej prostoty uczuć, nie pojmowała nawet, do czego welon ów był potrzebny.

Łazarz zwrócił na nią spojrzenie człowieka, który, pogrążony we własnych myślach, nic poza niemi nie widzi. W tejsze jednak chwili zbliżyła się Rachela. Obecność jej oprzytomniła budowniczego.

Łazarz zatrzymał się i, patrząc na kobiety, wyrzekł zwolna:

— Chyba mnie oczy mylą? Czyżby to była Ariella, dawna Ariella?

— Ariella we własnej osobie — potwierdziła Rachela. — Patrz, jaki cud Bóg Wszechmocny okazał nad nią!

— Chodzę! chodzę! — wołało dziewczę. — Spójrzyj, biedz nawet mogę. Jestem uzdrowiona, uleczona. Wracam od Racheli do domu moich rodziców o własnych siłach, na własnych nogach! Ja, Ariella!

— Co to znaczy? Jak się to stało? — pytał Łazarz, zbudzony nareszcie z pochłaniającej go zadumy widokiem zaszłych a niepojętych wypadków. Ariella spoważniała nagle, drobne jej rysy przybrały wyraz niemal uroczysty.

— Nazarejczyk chciał tego! Rozkazał, abym chodziła, i chodzę!

Na wyrazistem obliczu Łazarza odbiła się dziwna, przejmująca walka uczuć. Rachelą tymczasem, odrzucając surowo przestrzegane formy konwenansów żydowskich, do czego — jak sądziła — równie niezwykły wypadek zupełnie ją upoważniał, opowiadała głośno wszystkie szczegóły sceny wczorajszej.

Jeżeli w duszy Łazarza powstało kiedy powątpiewanie, jeżeli, ulegając silniejszej potędze, walczącej z jego wiarą, słuchał sceptycznie o cudownych uzdrowieniach, wywołanych przez Mistrza, to widok Arielli niweczył to powątpiewanie odrazu.

Ta nie była mu obcą. Ariellę znał osobiście, jak znał dolę jej smutną a beznadziejną. Tu na cud patrzył własnymi oczyma. Ariella, idąca wzdłuż ulic Betanii! Kimże był ten, który potrafił wywołać przewrót podobny?

Powinszowawszy serdecznie uzdrowionej, Łazarz oddalił się szybko. Nie mógł i nie chciał rozprawiać o tej rzeczy. Umysł jego wrzał pod natłokiem wrażeń potężnych a różnorodnych. Była to bowiem pierwsza jutrzienka po owym zmroku który mu przyniósł wyznanie Zahary.

Łazarz spędził noc bezsenną, krążąc po górze Oliwnej, chwiejny, zataczający się, pijany szczęściem. Na samotnym tym szczycie, uświęconym dziś dla ludzkości, tam, gdzie najpotężniejszy władca Judei wyczerpywał siły swe w nocach na modlitwie spędzanych, tam słaby duchem uczeń jego i towarzysz trawił długie godziny na gorączkowym czuwaniu, wywołanem przez miłość dla kobiety.

Gdy Łazarz wrócił do domu, zawiadomiono go, iż Chrystus spędził noc tę właśnie pod dachem Szymona Trędowatego. Spoczął On godzin kilka w górnej komnacie, poczem, z pierwszym brzaskiem dnia, nie poczekawszy na ranny posiłek, udał się w drogę, zwracając oblicze ku Jeruzalem.

— Nie mogliśmy Go nawet objaśnić, gdzie ty jesteś, Łazarzu — skarżyła się Marta. — Doprawdy, przyszło mi wstydzić się za ciebie.

— Nie czynił żadnych zapytań — poprawiła Marya łagodnie. — Wymienił imię twe tylko, mój bracie.

Łazarz w milczeniu pochylił głowę. Czuł się bezsilnym wobec porywów własnej natury.

Niepewny siebie, zmienił tok rozmowy, opowiadając o cudzie, dokonanym nad Ariellą. Zamiast jednak odwrócić uwagę sióstr, spotęgował ją raczej w kwestyi, która nie tylko tutaj, lecz w tysiącach rodzin żydowskich, była jedynym i najważniejszym przedmiotem ogólnego zająćcia.

— Ten, który potrafił postawić Ariellę na nogi, musi być potężnym prorokiem — zawyrokowała Marta. — Matka straciła oddawna nadzieję uleczenia dziewczyny. Stanowiła też ona wieczną jej troskę.

Marya milczała. W łagodnych jej zrenicach odzwierciedlał się spokój błogi. Rzecz ta nie dziwiła jej—była na nią przygotowana, skąd więc zdumienie wszystkich?

— Szcześliwa Ariella! — wyszeptła mimowoli.

Sądziła bowiem, iż dla podobnego uzdrowienia warto było przez lat dziewięć znosić najsroźsze męczarnie.

Marta, zdumiona faktem doniosłym, wybrała się natychmiast do domu Malachiaszów, by zasięgnąć szczegółowych wieści. Łazarz, zamknawszy się tymczasem we własnych komnatach, próbował zasnąć. Próżne to jednak było usiłowanie—wzburzenie wewnętrzne nie dopuszczało spoczynku. Na tle cichego, zacienionego pokoju stawały ciągle przed jego oczyma dwie postacie, których obraz nosił wyryty na dnie serca. Wizerunek Zahary walczył tu z podobieństwem Nazarejczyka. Córa kapłanów ksią-

żących prostowała się wyniośle wobec ubogiego Rabbi; On zaś spoglądał kolejno, z pełną słodyczy godnością, na tę piękność wzgardliwą i na wielbiącego ją młodzieńca.

— Boże! Czyż walka ta ma serce me rozdrzeć napoły? — skarżył się Łazarz boleśnie.

Ariella przybyła dnia tego do domu niezmiernie szybko. Niczyje nogi w Betanii nie zdołałyby przebiec owej pół mili z taką chyżością. Zarumieniona, promienna, piękna samem ożywieniem, córa, którą przed kilku godzinami zabrano stąd na noszach, wpadła teraz jak błyskawica pod dach ojczysty, stając niby niepojęte zjawisko przed oczyma matki.

Hagar upuściła na ziemię misę z rozczysem, rozrabianym właśnie do chleba, a z piersi jej wyrwał się krzyk przerażenia:

— Duch! Duch! Malachiaszu, chodź tutaj! Ariella musiała umrzeć, bo duch jej wrócił do domu. Patrz: to widmo naszej córki!

— Głupie gadanie! — ofuknął faryzejczyk.— Nauczę ja was zaraz rozumu!

I z zaciśniętymi pięściami wybiegł do izby sąsiedniej.

Należał on do ludzi, którzy, nie wierząc w duchy, boją ich się jednak.

Za Ariellą tymczasem wbiegła zdyszana Ra-

chela, a dalej w ulicy widniała sylwetka Marty, dążącej tak żywo, jak tylko na to godność zamożnej wdowy pozwalała. Inni sąsiedzi, którzy zdala ujrzeli Ariellę, zbierali się szybko, a wieść przebiegła już widać jak strzała domy okoliczne, gdyż cała gromadka ciekawych kierowała się ku mieszkaniu Malachiasza.

— Ja chodzę! — wołała tymczasem Ariella. — Mogę znów chodzić. Nazarejczyk sprawił to swym rozkazem. O, moja matko, pocałuj mnie! Pobłogosław mię, ojcze, wszak nie jestem już gorsza od innych ludzi...

— I czy uwierzyłbyś, — wołała Rachela z oburzeniem, opowiadając po powrocie scenę tę Baruchowi — czy uwierzyłbyś, że istnieje ojciec podobny? Oto Malachiasz, na widok uzdrowionego swego dziecka, zaklął siarczyście, przysięgając, że oszukiwała ich widać przez długie lata, że sobie kpiny z nich stroiła, bo, gdyby chciała, mogła była w każdej chwili tak samo wstać i chodzić.

— Nie może być! — wołał ociemniały.

— Oho, gdyby tylko tyle — ciągnęła Rachela. — Gdy spostrzegł, że Ariella ozdrowiała dzięki cudowi tylko, wpadł we wściekłość bez granic. Wywarł całą złość swą na mnie za to, że, jak mówi, skradłam mu dziecko, i na tobie, żeś ją wciągnął w sidła, a jego oszukał podstępem.

— Ten samozwaniec oczarował mi dziewczynę! — krzyczał do sąsiadów. — Rozejdźcie się, wracajcie do siebie i troszczcie się o dom, nawiedzony

nieszczęściem. Pozostawcie nas samych z naszym smutkiem i rozpaczą!

Słowa te zniecierpliwiły nareszcie Hagarę.

— I cóż ona, cóż matka dziewczęcia mówiła? — pytał Baruch z niepokojem.

— Oho, z nią niema żartów. Hagar poskoczyła do męża i, pochwycawszy go za ramiona, wstrząsnęła nim, jak małym, krnąbrnym wyrostkiem. Tak, naprawdę, żona Malachiasza faryzejczyka nie wahała się nauczyć go rozumu wobec wszystkich sąsiadów. Nie żałowała przytem wcale pięści. Uczepiwszy się garściami jego brody, szarpała nią, aż wył z bólu. Ona, taka korna zazwyczaj, przywołała męską odwagę na niewieście swe usta i, wybuchając po raz pierwszy, wołała z sił całych:

— Malachiaszu! Przez długie lata byłeś tu panem, a ja ulegałam ci, jak prosta służebnica, ale dziś dosyć przewodzenia! Jestem matką tej dziewczyny i powiadam ci: Spójrz na nią! Spójrz, patrz! Jeżeli widok dziecka, które, po tylu latach męczarni, po raz pierwszy chodzi o własnych siłach, nie wzruszy ci serca, jeżeli nie skłoni cię do dziekczynienia Bogu za okazaną nam łaskę, to, naprawdę, wart jesteś, aby cię ukrzyżowano bez sądu.

Marta dodała tylko poważnie: *Amen*. Wszyscy zaś sąsiedzi powtórzyli owo *Amen* z równą uroczystością.

Malachiasz, zawstydzony, wpadł w tem więk-

szą wściekłość; zwracając się też do zebranych, wołał:

— Pamiętajcie, ludzie z Betanii, że, pomimo wszystkich komedij tego samozwańca, zobaczycie ją niezapowiedzianą przykutą do tego samego łoża, z którego teraz powstała. Pamiętajcie moje słowa, bo przekonacie się, że ta sama Ariella jutro już nie będzie chodziła!

— To okropne! — przerwał Boruch. — Cóż Hagar na to?

— Odwróciła się tylko i zawołała: Wstydź się, mój mężu! Hańba ci za taką zaciekłość!

— A nasza Ariella? Co biedna uczyniła?

— Nic — objaśniła Rachela. — Nic. Drżąc, jak śmierć blada, stała, chwiejąc się, przed ojcem. Hagar tylko otoczyła ją ramionami i zasłoniła sobą przed gniewem Malachiasza. Nie mógł im wszakże zrobić nic złego, bo lud cały zaczął się ujmować za niemi.

Hagar okazała dziś tyle siły, iż możesz być spokojny o jej dziecko. Co do Malachiasza, jestem pewna, że gotów on raczej przywiązać córkę swą do łóżka, niż pozwolić, aby Nazarejczyk uzdrowił ją z kalectwa.

Z ust Barucha wyrwał się jęk rozpacz.

— Łazarz za to... — ciągnęła Rachela.

— Jakto, widzieliście Łazarza? — podjął ocieśniały.

Matka opowiedziała mu szczegółowo spotkanie Arielli z młodym budowniczym w drodze do domu Malachiasza.

Ślepiec odwrócił się w milczeniu. Usta jego pozostały zamknięte, lecz lica pobladłe wiele mówiły. Łazarz ją widział, — Łazarz mógł widzieć...

W dodatku Ariella wśród zamętu burzliwej sceny domowej, zapomniała przesłać ociemniałemu przyjacielowi przez wracającą jego matkę jednego życzliwego słowa.

Baruch opuścił smutnie głowę, a odszedłszy pod drzewo oliwne, usiadł tam samotny, lecz nie mniej daleki od sarkania na los swój i niedolę.

XI.

Stosunek między Łazarzem a Nazarejczykiem szczególny był zawsze i niezwykły. Znajomość ich, zmieniona następnie w przyjaźń, jaką żaden z uczniów młodego Rabbi poszczycić się nie mógł, zawartą została w następujących okolicznościach:

Łazarz podjął się wykonania delikatnych ozdób snycerskich w jednej części świątyni jerozolimskiej, owej wielkiej świątyni, która była wiecznie wzrastającą, a nigdy nieskończoną dumą i sławą Żydów. Dziesięć tysięcy ludzi pracowało nad nią przez lat czterdzieści, a jednak artysta cierpliwy, wytworny,

znajdował tam, w poczuciu prawdziwego piękna, wiele jeszcze rzeczy do wykonczenia.

W zakresie podjętego zadania Łazarz potrzebował również wybornej i delikatnej roboty cieślielskiej. Jako więc człowiek sumienny, nie zadowolili się znanymi mu ludźmi, lecz szukał przez czas pewien zdolnego pomocnika. Wtedy to polecono mu młodego człowieka, który, nosząc imię Jezusa, zamieszkiwał w niskiej, nielubianej miejscowości, zwanej Nazaret. Osobistość ta okazywała — jak mówiono — umiejętność wyższą od swych towarzyszy i mogła wykonywać z powodzeniem najdelikatniejsze roboty. Łazarz, odszukawszy cieślę, zamówił go do pracy w świątyni Pańskiej.

Młody człowiek wykonał powierzone sobie zadanie ze zręcznością i artyzmem, niespotykanym u zwykłych rzemieślników.

Łazarz rzadko spotykał się z Nazarejczykiem. Obaj byli niezmiernie zajęci, choć każdy w innym kierunku. Pomimo to, głęboka i serdeczna życzliwość łączyła ich zawsze. Najwyższą przyjemnością dla Łazarza było podejmować Jezusa pod własnym dachem; niestety, sposobność ku temu nie często się nadarzała. Budowniczy jednak nie zmienił nigdy swych uczuć, nie okazał nigdy tchórzostwa pod tym względem. Gdy szmer niezadowolenia, paraliżując religijne nauki młodego Rabbi, wzrósł tak, iż zaczął zagrażać jego życiu, gdy rada Sanhedrinu i sąd najwyższy, gdy kapłani i faryzeusze napiętnowali potępieniem swem Jezusa, nawet wtedy jeszcze Łazarz, wpływowy mieszczanin i obywatel,

pozostał wiernym ubogiemu wędrowcowi, darząc Go gościnnością i tkliwą przyjaźnią.

Ostatni wieczór, spędzony w pałacu arcykapłana, wzniesił walkę zachwyty i rozpacz w duszy Łazarza. Z początku upojenie brało górę. Zahara kochała go. Radosnego tego faktu nie mogło zmienić niebo, ani ziemia. Gdy jednak minął dzień następny, a później drugi i trzeci, gdy, trawiony chęcią ujrzenia ukochanej kobiety, pojął, ile zapór nieprzebytych dzieli go od córki arcykapłana, wtedy poczucie niemocy własnej wzniesiło rozpacz głuchą w jego sercu.

Pracę swą ukończył. Nie było więc żadnego pozoru, ułatwiającego mu powrót do pałacu. Wobec zaś zamkniętych bram tego pysznego przybytku nie istniała dlań również Zahara. Jakaż więc pozostała mu droga?

Iść z męską odwagą do ojca i prosić o rękę dziewczęcia było istnem niepodobieństwem. Arcykapłan nie odda księżęcej swej córki budowniczemu. Samo podejrzenie podobnego zamiaru mogło się okazać zgubnem dla nich. Annasz gotów wysłać natychmiast córkę do Egiptu, Rzymu, gdziekolwiek, byle uchronić ją od zetknięcia z niepożądanym konkurentem.

Łazarz znał świat, swój świat przynajmniej, co pozwalało mu już ocenić należyte charakter arcykapłana, niełatwy do odgadnięcia, bo pociągający i odpychający zarazem, dobroniuszny i zimny, szczery i podstępny, życzliwy i nieugięty.

Annasz zmieniał barwy swe, jak kameleon, stosownie do prądu chwili i rządzącego nim uczucia. Nie dojrzawszy w domu swym sprawy miłosnej, mógł później zrównoważyć opieszałość tę surowymi środkami. W społeczeństwie bowiem na tym stopniu rozwoju, jaki istniał podówczas w Judei, władza takiego dygnitarza, jaki Annasz, była nieograniczoną i mogła się stać niebezpieczną. Wola jego w czyn się zamieniała, czyny zaś nie były przestrzegane przez nikogo. Rozporządzenie więc osobą, która zawadzała na razie rządzącemu, lub usunięcie jej, to drobnostka, zależna tylko od wykonania. Cóż mogło bowiem znaczyć zniknięcie jakiegoś budowniczego?

Łazarz rozumiał doskonale trudności swego położenia; zdawało się być ono beznadziejnem, a jednak młodość i miłość posiadają wiele ufności i wiary, rozpacz zaś niewygodnem jest uczuciem...

Uniesiony niewytłumaczonym promykiem nadziei, krążył koło pałacu, przesuwając się tak blisko, jak tylko ostrożność pozwalała. Nigdy jednak, ani na chwilę nawet, dojrzeć jej nie mógł. Zawiedziony, zaczął śledzić po ulicach Jerozolimy, czy nie spotka lektyki, konwojowanej przez służbę arcykapłana. Mieszał się z tłumem, z gawiedzią, by posłyszeć z gawęd próżniaczych, co słychać w pałacu Annasza, by chociaż pochwycić jej imię w przełocie. Zmieniony, zaniedbał zwykle zajęcia, nie sy-
piał, nie jadał prawie.

Życie takie musiało go wyczerpać, musiało podkopać siły fizyczne. To też gdy raz, po długiej a bezowocnej wędrówce na wierzchołek góry Oliwnej, skąd chciał dojrzeć wnętrze dziedzińca pałacowego, powracał do domu, słońce pomściło się za śmiałość, z jaką urągał żarowi jego w ostatnich czasach. Łazarz poczuł zawrót głowy i dziwne olśnienie, osłepienie nieledwie, zasłaniające mu oczy mgłą gęstą. Osłabiony, spostrzegł nagle, że nie widzi nic, nic zgoła, że znane zarysy i scenerya doliny przestały dla niego istnieć.

— Tam płynie strumień Cedron, tu musi być pałac, a owdzie dom nasz, dom Szymona Trędowatego — tłumaczył sam sobie. — Co to jest? Dlaczegoż ich nie dostrzegam, czemu nie odróżniam? Za wiele chodziłem i widocznie chory jestem... Tak, głowa mię boli i pała, jak gdyby w płomieniach była. Potrzebuję odpocząć gdziekolwiek, byle w cieniu, byle się schronić przed tą spiekotą, wypalającą mózg. Zmęczyłem się zanadto, siły więc wypowiedziały mi posłuszeństwo...

I z temi bezładnemi myślami, które szeptem wybiegały na spieczone usta, młody człowiek, zachwiałszy się, runął nagle na ziemię. Ciało, osłabione niszczącym upałem, uległo porażeniu słonecznemu. Bezsilny, z twarzą do ziemi, a dalej na zgubny żar ten wystawiony, leżał Łazarz bez zmysłów na rozpalonym stoku góry Oliwnej.

Opodal zieleniał nieduży ogródek, ku któremu kierował się przedtem. Była to własność jednego

z jego przyjaciół, pełna cienia i zieleni, wabiąca ciszą i chłodem. Rozkoszny ów zakątek zwano Getsemane.

Łazarz upadł bez zmysłów u bramy ogrodu tego. Stan jego gorszym był stokroć od omdlenia—składało się bowiem nań wiele przyczyn, groźących poważnem wstrząśnieniem organizmu.

Gdy, po dość długiej nieświadomości, przyszedł wreszcie do siebie, błogie wrażenie cienia i chłodu ożywiło go nieco. Zabójcze słońce nie znęcało się już nad rozpaloną jego głową, drzewa bowiem oliwne, połączywszy dobroczynne swe ramiona, tworzyły nad nim namiot z gęstej, rozkosznej zieleni. Ruchome konary poruszały się zciha, a delikatny, podłużny zarys liści drżał na tle nieba, pokrytego ogniem purpury. Szarawa ich barwa podnosiła jeszcze wrażenie chłodu, powiew zaś lekki wprawiał delikatne to sklepienie w ruch falisty.

Balsamiczna woń owoców i starannie uprawianych kwiatów, nieznanym Łazarzowi, jak cały świat roślinny, którym się nie miał czasu zajmować, orzeźwiła go wkrótce. Wtedy to oczy jego, wciąż przepełnione obrazem Zahary, zwracając się leniwie ku wspaniałym zarysom ogrodu, zaczęły w nim rozpoznawać dawno widziane szczegóły. Leżał sam zupełnie, a jednak nie obcem mu było, iż nieznanne jakieś ręce musiały go przenieść i złożyć tutaj.

Kto się wszakże nim zajął? Gdzie jest ten niewidzialny przyjaciel?

— Amos!—zawołał Łazarz słabo, wymawiając imię jednego ze swych towarzyszy.

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Chory musiał też kilkakrotnie głos swój i siły natężyć, zanim ukazał się nareszcie właściciel ogrodu. A szedł śród drzew oliwnych wolno, spokojnym krokiem człowieka, któremu zajęcia rolnicze nadały pewną równowagę. Był to Żyd lat średnich, o twarzy myślącej, świadomy stanowiska społecznego, jakie zajmował, okazujący przytem wiele przychylności dla ruchu religijnego, od którego Łazarz usunął się w ostatnich czasach.

— A, zbudziłeś się—zauważył Amos.— Pozostawiłem cię umyślnie w spokoju, licząc, że sen najlepszą przyniesie ci ulgę. Przez chwilę byłem już w strachu o ciebie, Łazarzu...

— Co się ze mną stało?—pytał chory głosem słabym.—Co to było?

— Ni mniej, ni więcej, tylko porażenie słoneczne—objaśnił Amos krótko.— Niema w tem zresztą nic dziwnego. Bo czy kto słyszał, aby w dzień upalny iść w samo południe na szczyt góry Oliwnej? Powiedz mi, skąd ci przyszła taka dzika myśl?

— Sądziłem, że idę do domu, i zmyliłem wiadać drogę—wyszeptał budowniczy.

— Sądziłem, zmyliłem!—wykrzyknął Amos.— Cóż to znów za słowa w ustach trzeźwego i pracowitego człowieka?! Wiesz, Łazarzu, że ja cię nie poznaję od jakiegoś czasu.

— Ja sam siebie poznać nie mogę — wyznał młody człowiek zcicha.

Był zbyt słabym, zbyt cierpiącym, aby stawić opór ostrym słowom przyjaciela. Amos wszakże skorzystał z tego właśnie, by tem snadniej uderzyć w bezsilnego. Zwyczaj to przecież tak stary, jak starą jest przyjaźń u ludzi.

— Więc to ty uratowałeś mię, przynosząc tutaj? — mówił Łazarz tymczasem. — Dziękuję ci, Amosie. Pamiętam tylko, że upadłem; dalej nie wiem, co się działo ze mną. Ale jakżeż ty zdołałeś mię dźwignąć?

— Co prawda, nie dźwigałem cię wcale — wyznał Amos.

— Jakto?

— Nie ja bowiem, Łazarzu, przyniosłem cię do Getsemane.

— Któż więc? — podjął chory, unosząc się z murawy. — Kto to taki? Gdzie on jest? — pytał, przebiegając ogród spojrzeniem.

— Ten, który brzemie wziął na swe ramiona, odszedł stąd oddawna — objaśnił Amos. — Czuwał On nad tobą, dopóki nie zaczęły ci wracać pierwsze oznaki przytomności, czuwał i ratował cię, jak się ratuje tylko istotę bardzo ukochaną. Gdyś się poruszył, gdyś zaczął zwolna odzyskiwać zmysły, podniósł się i oddalił. „Nie zatrzymuj mię, — powiedział — chcę bowiem zniknąć, zanim się zbudzi”. I, powierzywszy cię najtkliwszej mej pieczy, pobłogosławił cię i odszedł w ciszy.

— Powiedz mi jego imię — prosił Łazarz — Powiedz, kto mię uratował?

— Alboż potrzeba ci imienia? — zapytał właściciel Getsemane surowo. — Sądzę, Łazarzu, że napróżno udajesz nieświadomość. Nie wiesz, kto to być może? Nie wiesz, kto pod żarem słonecznym gotów jest wdrapać się na szczyt góry Oliwnej, nie dla czezej, jak twoja zachcianki, lecz dla spełnienia potężnej woli Ojca, dla posłannictwa przeznaczonego przez Boga? Któż to przychodzi tu, do mego ogrodu, i spędza w nim nocę całą na modlitwie? Kto, ujrawszy chorego, leżącego bezprzytomnie wśród dróżki ustronnej, bierze go na własne ramiona i ratuje najtkliwiej wtedy, gdy nikt inny nie pomyślał o podaniu mu dłoni pomocnej? Kto, znosząc oddawna oziębłość przyjaciela, przebacza mu ją i strzeże go, osłania, ratuje z poświęceniem, a później usuwa się, by nie odbierać słów serdecznych, które nie przyjaźń już, lecz wdzięczność by dyktowała? Pomyśl, Łazarzu, czy jest dwóch ludzi w Judei, odpowiadających podobnemu obrazowi?

Łazarz milczał, wzruszony głęboko. Wiedział on, na równi z Amosem, że jeden tylko człowiek zdolny był do takiego poświęcenia i przyjaźni.

— Gdy będziesz się znów widział z Nazarejczykiem... — podjął głosem drżącym.

— Zobacz się z nim sam i sam mu najlepiej powiedz wszystko — przerwał Amos.

— Masz rację, Amosie — przyznał Łazarz poważnie. — Mam nadzieję, iż nadarzy się wkrótce sposobność osobistego spotkania.

XII.

Słońce zachodziło nad Kafarnaum. Powierzchnia jeziora spokojną była i gładką jak zwierciadło. Cicha jego tafla bielila się w blasku, podobna raczej do rozpiętego żagla, suszonego wśród wzgórz, niż do głębin, kryjących nurty zdradliwe. Kafarnaum, położone na drodze z Damaszku na południe, wzrastało szybko, rojąc się podróżnymi i gośćmi, spędzającymi tu miesiące letnie. Był to bowiem rodzaj miejsca kąpielowego, do którego dążyli chętnie mieszkańcy Jerozolimy, znajdując tu malownicze domki, budowane z białego i czerwonego kamienia, a rzucone na tle przepysznych myrtów, akacyj i róż, pnących się po stokach wzgórz. Kafarnaum zdawało się łączyć wszystkie warunki, jakich ludzie zamożni szukają w swych siedzibach letnich. Stąd też mieszkania jego, szczególnie w pobliżu jeziora, dochodziły dość wysokich cen.

Na wzgórzu, przylegającym do północno-wschodniej części miasta, stała willa, uderzająca wytwornymi pozorami. Wzniesiono ją z białych i różowych kamieni, odznaczwszy fasadę tylko ciemnymi barwami. Całość, nie imponując rozmiarami i powagą, pociągała raczej, starannie zaś utrzymany, rozległy ogród nadawał jej cechę wydatną.

Poważny starzec, przechadzający się wśród tego otoczenia, patrzył na dzieło swe, z widocznym zadowoleniem. Biała broda spadała mu na piersi, bogate, falujące szaty dodawały majestatu wynioślej postaci. Starannie utrzymane, tłuste ręce podnosiły się szablonowym ruchem błogosławieństwa, jakiego zwykł używać wobec rodziny, służby i niewolników. Oczy jego, przebiegłszy do szczytów wzgórz i wybrzeży jeziora, wracały z upodobaniem ku małemu widnokręgowi letniego pałacu, na który spoglądał z uczuciem wyższości, wyrobionem przez pieniądź i stanowisko, uwalniające go od trosk wszelkich. Było to bowiem rzeczą znaną w Jerozalemie, iż arcykapłan, wyjeżdżając na kilka tygodni do letniej swej siedziby w Kafarnaum, uwalniał się zarazem od wszelkich zajęć, związanych z zawodem swym.

Wytworna szalupa, pomalowana jasnymi barwami, prula tymczasem, wśród ciszy i chłodu, spokojne fale morza Galilejskiego. Wiosłowana rękami niewolników, a zajęta przez kobiety, zwracała na siebie ogólną uwagę. Nie było to rzeczą łatwą—powierzchnia jeziora bowiem roiła się od drobnych statków i łodzi. Obfitość ich zdawała się dziś większą, niż kiedykolwiek. Parny, upalny dzień wywabił, oprócz pracowników, i gości, goniących za rozrywką; rybacy więc, oraz przelotni mieszkańcy Kafarnaum zaludnili jednocześnie powierzchnię jeziora.

Flotylla ta, złożona z drobnych statków, stała się tak liczną, iż w przystaniach powstał, wśród

kryp i czółen, dążących ku pomostom, tłok nie do opisania. Trzeba też było sterować bardzo oględnie i zręcznie, aby uniknąć spotkania, często niebezpiecznego. Na szczęście, w powietrzu panowała głęboka cisza; zarówno więc wytworne cacka ludzi bogatych, jak proste łodzie biedaków, mogły krążyć swobodnie, nie obawiając się groźnego starcia.

Najpiękniejsza z szalup spacerowych bujała się leniwie na falach. Purpurowe jej żagle, przymocowane złotemi sznurami, odpowiadały godności władczyni, która, niezadowolona widocznie, siedziała wśród swoich towarzyszek, pogrążona w wyniosłym milczeniu.

— Cóż to za nudne miejsce to Kafarnaum! — odezwała się wreszcie. — Powiedz mi, Rebeko, po co myśmy tu przyjechały?

— Och, ożywi się zaraz, gdy tylko zaczną budować nawę skrzydło przy willi — odparła dziewczyna.

— Nie widzę, co to ma z sobą wspólne — wtrąciła Zahara obojętnie. — Któż będzie stawiał skrzydło, nie wiesz? Zapomniałam zapytać się o to mego ojca. Niechby przynajmniej wzniesli coś ładnego i rozszerzyli dom przyzwoicie, skoro już mamy spędzić tu całą zimę.

Rebeka jednak nie wiedziała, kto podjął się dobudować nową część pałacyku. Słyszała tylko, że architekt, który poprawiał gmach arcykapłański w Jeruzalem, miał obecnie inne zobowiązania; tu więc przysłano kogoś zupełnie nieznanego. Roboty

będą zaraz zaczęte; o tem — jak zapewniał — świadczyły nawet namioty dla rzemieślników, wzniesione po drugiej stronie wzgórza.

— Postawiono je bardzo szybko, — dodała — dziś bowiem o wschodzie słońca nie było jeszcze ich śladu.

— Mało mnie to obchodzi — rzuciła Zahara niedbale.

Oczy jej pobiegły wprawdzie ku grupie namiotów, rozłożonych za willą Annasza, lecz obojętne wróciły natychmiast do błyszczącego zwierciadła jeziora. Ogień żrenic tych był przyémiony, śliczne zaś rysy dziewczęcia cechował jakiś łagodny, zgnębiony wyraz. Życie zdawało się ciężać pięknej córce arcykapłana; Zahara też pierwszy raz od swego istnienia czuła się smutną dzisiaj.

— Marne morze i głupia, nudna łódź! — zawołała wreszcie. — Lepiej już wracać do domu, lepiej drzemać na dywanie. Każ tym ludziom wiosłować szybciej, inaczej będziemy tak płynąć całą noc chyba. Niechaj skierują ster i przewiozą mnie na tamten brzeg. Może przecież zobaczę coś nowego w tem mieście, w którym się nigdy nic nie zdarza i nic nie dzieje.

W chwili, gdy przewoźnicy łodzi arcykapłańskiej, chwyciwszy wiosła, odsuwali się od reszty statków krążących po jeziorze, z namiotu, położonego za willą Annasza, wyszedł młody człowiek i skierował się szybko ku wybrzeżu. Stanąwszy nad zatoką, zdawał się bawić barwnym widokiem

drobnej a ruchliwej flotyli, przyczem oczy jego, powleczone zadumą, nie przywijały snąc żywszej uwagi do tych łodzi. Słowa jednego z widzów, rzucone znienacka, zmieniły dopiero wyraz jego rysów.

— Córka arcykapłana Annasza używa dziś przejażdżki na jeziorze—mówił.— Ot tam, czy widzisz?... to jej szalupa.

— Ach! — zawołał młody człowiek, zatrzymując się nagle. — Gdzie? Która? Pokaż! Tak, widzę już: ta strojna w purpurę. Więc to łódź jego córki?

— Rzecz prosta — potwierdził nieznajomy.— Płynie od przeciwnego brzegu, przy wiosłach pracują niewolnicy Annasza.

Młody człowiek skłonił się w podzięcie za otrzymaną wiadomość i odszedł dalej. Wzrok jego, ożywiony nagle, pałający, nie opuszczał już wody; oblicze całe wypiękniało pod wrażeniem uczuć wewnętrznych, w źrenicach zapalił się tkliwy ogień. Usta, przysłonięte jasnym zarostem, poruszyły się, a z piersi wybiegło zaledwie dosłyszalne:

— Zahara!

Annasz nie zwykł był spowiadać się z zamiarów swych domownikom — stąd też Rebeka nie wiedziała, że to Łazarz właśnie objął trudne zadanie rozszerzenia willi i że, umieściwszy podwładnych swych w namiotach na stoku wzgórza, sam zajął mieszkanie w jednej z gospód miejscowych.

Brat Marty uczynił to wszystko z pośpiechem, pozbawionym wszelkiego zastanowienia. Gdy bowiem arcykapłan, znajdujący, jak wszyscy mieszkańcy miasta, wielkie upodobanie w letniej swej siedzibie, zmienił projekt proponowanej naprawy pałacu na myśl rozszerzenia willi, Łazarz, zawiadomiony o zamiarze tym, tak szybko zgodził się na wyjazd do Kafarnaum, iż Annasz skorzystał z gorączki tej, by wyzyskać pracę jego za możliwie niską cenę.

Łazarz przyjął podyktowane warunki, nie zastanowiwszy się nawet nad tem, że on, jeden z pierwszych mistrzów w Jerozolimie, obniża sztukę swą do śmiesznych, nieprzyzwoitych nieledwie granic. I cóż go to obchodziło? Wszak za możność pozostawania w Kafarnaum gotów był darować Annaszowi nawet willę taką.

Chodząc wieczoru tego wzdłuż brzegu ze wzrokiem utkwionym w łódź Zahary, Łazarz spostrzegł innego człowieka, który śledził z równem zajęciem chyżo mknącą szalupę. Był to zwykły rybak—zajęcie też, z jakim zwracał poważne swe oczy ku morzu, uderzyło Łazarza.

Zaniepokojony młody człowiek zbliżył się ku niemu. Rybak czekał snąc na to, aby wypowiedzieć głośno swą obawę.

— Żeby tylko ci ludzie nie powieźli kobiet za daleko—mruknął.—Czuć burzę w powietrzu.

Budowniczy spostrzegł w tej chwili, iż znał oddawna rybaka.

— Jak się masz, Piotrze—zawołał.— Powiedz mi, czy sądzisz, że córce Annasza może grozić jakiekolwiek niebezpieczeństwo?

— Bądź pozdrowion, Łazarzu — brzmiała odpowiedź. — Oblicze twe obcem mi było w ostatnich czasach. Co do niebezpieczeństwa, wiem tyle tylko, iż wszystkie łódzie spacerowe to marne i wątle łupiny. Dziwnem to jest dla mnie, że, im człowiek bogatszy, tem silniej wyzywa na wodzie żywioły. Zamożność nigdy jeszcze nie dodała zdrowego rozsądku marynarzowi.

I ze słowami temi Piotr oddalił się, ubóstwo bowiem i praca nie zostawiały mu czasu na puste gawędy.

Zaledwo Piotr zniknął na zakręcie zatoki, gdy silniejszy a nagły powiew wiatru zmarszczył zwierciadlaną taflę jeziora. Woda cofnęła się wobec tego napadu i, nie piętrząc się jeszcze, zaczęła tylko zwijać się w żartobliwe kręgi. Wtem, jakby w odpowiedzi na lekki jej szum, rozległ się odgłos, podobny do śmiechu szyderczego, i echem tryumfującym odbił się o wzgórze nadbrzeżne. Po chwili echo to zamieniło się w wycie złowieszcze, zbliżone do ryku; a gdy ciemność nagle zaległa horyzont, jezioro Genezaret, usprawiedliwiając prawo swe do miana morza Galilejskiego, zahuczało, pokryło się pianą i szerniało, groźne, spiętrzyło się w bałwanach niosących śmierć.

Była to jedna z tych burz nagłych, jeden z przerażających huraganów, jakie nawiedzały tak często wybrzeża Galilei. Spokojne głębie wody

przybrały cechy rozszalałego żywiołu, a łagodne ich barwy, mieniające się tęczowemi blaskami, zamieniły się najpierw na ołowiany, później zaś na ponury, czarny nieledwie, odcień.

Śród łodzi spacerowych podniosły się okrzyki trwogi i przerażenia. Zwijano żagle, pędząc, ile sił, do brzegu. Podmuchi taki, wypadający nagle z rozpadlin górskich, budził zwykle trwogę wielką na wybrzeżach jeziora. Wiedzano, iż nie należy z nim żartować. Okrzyki więc przestrogi, wzruszenia i obawy podniosły się zarówno na łodziach, jak u zatoki. Jedno z drobnych czółen wywróciło się tuż przy brzegu nieledwie. Na szczęście, zajmowało je tylko kilku wyrostków żydowskich, którzy, przepłynawszy śmiało kawałek wody, dostali się w bezpieczne miejsce.

Wicher wzrastał tymczasem z chwilą każdą, rzucając się w wściekłym gniewie; czarne chmury, napędzane huraganem, zaciemniły nieboskłon. Ostanie blaski słońca zniknęły, a ciemność, zalegająca szybko okolice górskie, podniosła jeszcze ponurą grozę chwili.

Śród szalejących żywiołów tłum szalał również u wybrzeża. Jedni wydostawali się na pomost, inni cisnęli do wody, aby lepiej zobaczyć, co się dzieje, a wszystko to kłębiło się masą zbitą, pełne przerażenia i obawy. Tu zawodzono, tam nawoływano się głośno, mnożąc zamęt i popłoch, jaki burza rzuciła dokoła. Śród tego zgłętku jeden tylko człowiek stał w milczeniu, osłupiały, z oczyma

utkwionemi w fale ciemne, dzikie, pieniające się w zajądłym gniewie.

Był to Łazarz, skamieniały nieledwie z obawy i przerażenia. Łódź Zahary stała się niewidzialną.

— Czółna!—zawołał nagle, odzyskując przytomność.—Łodzi i przewoźników! Zapłacę, ile żądacie!

Obecni jednak wstrząsnęli tylko głowami, patrząc w ponurem milczeniu na obraz zniszczenia i grozy. Nikt nie myślał nawet się poruszyć. Łazarz porwał się, skoczył ku wybrzeżu i, pochwyciwszy brzeg krypy, zaczął ją spychać na fale. Wtedy dopiero obecni rzucili się, odbierając mu ją z rąk przemocą.

— Żaden rybak galilejski nie da ci ani łodzi, ani przewoźników, podczas podobnego huraganu—rozległ się głos rozkazujący jednego z obecnych.—Gdybyś się tu zabił nawet, nikt z nas nie wyruszy w chwili takiej na morze, nikt ci nie udzieli pomocy.

W tej chwili nad zgietkiem, nad tłumem, zapanaował jeden głos potężny, przywykły do rozkazowania.

— Łodzi! Łodzi!—wołał. — Pięćdziesiąt denarów za łódź i przewoźników!

Był to głos arcykapłana. Sądziwe jego oblicze drżało przeżeniem; długą, mleczno-białą brodę wiatr rozwiewał, rysy od bólu i niepokoju były wykrzywione konwulsyjnym ruchem.

Jakiś rzymianin, stojący obok, objaśnił zebranych:

— Niewiasty z domu arcykapłana zostały na morzu.

Wtedy to Łazarz podbiegł do Annasza i w dzikich, splątanych, niezrozumiałych wyrazach ofiarował mu usługi swe, aby ocalić Zacharę.

— Wyrwij im tylko czółno,—błagał—zmuś tych tchórzów nikczemnych, aby mi dali łódź, a przysięgam na Boga naszych ojców, że jej dosięgnę, że ocalę Zaharę!

Annasz, uniesiony troską i niepokojem, porwany gorącemi słowami młodzieńca, zapomniał na chwilę o różnicy ich stanowisk, o swej godności książęcej, a chwyciwszy rękę budowniczego, pobiegł z nim razem w stronę wody. Tu, rzucając garść złota w twarz jednego z rybaków, odepchnął go i wspólnie z Łazarzem odczepił łódź z łańcucha. Gdy jednak młody człowiek skoczył już w łódź, nagle przytomność powróciła arcykapłanowi.

— Czy jesteś dobrym marynarzem?—zapytał.—Umiesz-że sterować przynajmniej?

— Nie — wyznał artysta - rzeźbiarz. — Nie umiem... Znam się jednak z wiosłami, potrafię i muszę do niej dojechać.

— W takim razie bezpieczniejszą będzie bez ciebie—odparł arcykapłan zimnym tonem.

Burza i szum fal spienionych, wycie ich nieledwie, doszły tymczasem do takich rozmiarów, iż obaj mężczyźni z trudnością mogli posłyszeć własne słowa. Zarówno morze jak widnokrąg zamie-

niły się w jedną otchłań czarną, nad którą wichry rozrywał niekiedy tylko chmury ciężkie i ciemne. Arcykapłan, tracąc napowrót przytomność, stał i głosem donośnym nakłaniał niewolników swych, aby zajmowali miejsca w czółnie.

— Tutaj! Skocz w środek, chwytaj wiosło! Czy nie widzicie, psy podłe, że trzeba ratować panią?!

Kierowany niewytłumaczonym natchnieniem, popychany jakąś siłą wewnętrzną, Łazarz odwrócił się od tej sceny posępnej i na własną odpowiedzialność puścił się łodem strzały wzdłuż wybrzeża. Nie wiedząc nawet, co czyni, nie zdając sobie sprawy ze swych kroków, a targany dziką chęcią zbliżenia się do zagrożonej łodzi, biegł pod wiatr, walcząc z huraganem, i, zboczywszy przy załamie jeziora, skakał ze skały na skałę, gnany szalonym pośpiechem, coraz dalej a dalej, bez wytkniętego celu, zupełnie na ślepo. Jeżeli Zahara popłynęła do przeciwległego brzegu, w takim razie chęć zobaczenia jej była beznadziejną. Być może jednak, iż orkan zawrócił wątlą łódź jej, a wtedy, z chwilą gdy błyskawica rozerwie chmury, będzie można choć zarys jej zobaczyć zdala.

Droga, podyktowana instynktem serca, nie okazała się mylną.

Jak długo trwał szalony bieg Łazarza, nie umiał on sam powiedzieć, stracił bowiem pojęcie czasu i przestrzeni.

Nie zdawał też sobie sprawy, czy mija północ lub nadchodzi poranek, czy znajduje się jeszcze w Kafarnaum lub dobiega Jerozolimy, gdy nagle oczy jego, krwią nabiegłe, wyczerpane wytężeniem wzroku, ujrzały łódź niewielką, z poszarpanym żaglem, gnaną przez wichry wprost w jego kierunku, a oddaloną od brzegu o pół ligi za ledwo.

Łazarz włożył całą duszę w jeden wielki okrzyk:

— Zaharo!

Chcieć jednak wyrwać ją z wiru burzy, z odętu nocy, znaczyło to samo, co wzywać ducha Sary, żony Abrahamowej, aby powstała z wiekowych ciemności grobu.

Zdawało mu się, że widzi purpurowy żagiel maleńkiej łodzi poszarpany i zwieszony strzępami wzdłuż masztu. Czółno, podobne na czarnych tych falach do łupiny jajka gołębiego, podnosiło się i opadało bezsilnie, rzucone wichrem na wsze strony. Wtem silniejszy podmuch zakręcił nim i — o Boże! — tuż przed oczyma Łazarza, podrzuciwszy cacko to, przewrócił je zupełnie, wyrzucając przerażone kobiety w głębię fal bezdennych. Gwałtowny wybuch burzy zakrył jednocześnie widok ów przed oczyma mężczyzny.

Gdy Łazarz odzyskał przytomność, ciemności rozproszyły się nieco. Szczelina wśród chmur pozwalała dojrzeć nawet gwiazdę, świecącą hen, w górze. Zbudzony, zerwał się obłąkany bólem, rzucił

się ku wodzie, nawołując Zahary, błagając niebios, aby mu ją zwróciły. Usiłował płynąć w stronę rozbitków — fale jednak, gnane wichrem, poniosły go z powrotem na wybrzeże.

Rzucony na piasek, nie próbował już walczyć z obcym mu a potężnym żywiołem. Rozpacz go ogarnęła i zgłębiła ostatecznie. Nie wymawiał nawet jej imienia, nie nawoływał... Z twarzą, zwróconą ku groźnym, naładowanym gromami chmurom, leżał bezsilny i bezradny.

I gdy tak, pogrążony w zwątpieniu, stracił nawet pojęcie nadziei, cisza dziwna, niewytłumaczona, spadła nagle na rozszałałe bałwany. Potężny podmuch huraganu, wyjący nad jego głową, umilkł z ostatnim, przerażającym rykiem.

Ryk ten groźniejszym był od grzmotu, a wydał się Łazarzowi jakimś strasznym, nieznanym mu dotychczas odgłosem. W ślad zaś za nim, jakby na komendę wojskową, jakby na okrzyk: Stój! burza umilkła odrazu. Chmury rozjaśniły się i rozstały, a niebo zabłysło nad głowami. Woda, niepokonana jeszcze, pieniała się z bezsilną wściekłością, z głuchym buntem przeciw narzuconym jej pętom. Gdy młody człowiek dzwignął się na kolana, by, korystając z przerwy w burzy, wyteńczyć spojrzenie w stronę łodzi rozbitej, oczom jego ukazał się dziwny widok.

Wprost od brzegu, aż do miejsca, w którym czołno zostało wywrócone, ukazała się linia jasna, spokojna, jakby droga przecięta wśród piany i kłę-

biących się bałwanów. Ścieżyną tą, błyszczącą i świetlaną, szła postać wyniosła, majestatyczna. Posuwała się ona ku brzegowi, idąc po wodzie krokiem lekkim, jak zwykli stąpać ludzie po równym, twardym piasku. Oblicza człowieka tego niepodobna było dojrzeć, ruchy jego wszakże przykuwały oczy prawdziwą potęgą i powagą. Z ramion jego zwieszała się bezwładnie Zahara, ociekająca strumieniami wody.

Serce Łazarza biło tak, iż groziło mu uduszeniem, oddech wypływał z jego piersi w falach urywanych. Usiłował zerwać się na nogi, lecz, drżący z wrażenia, opadł napowrót na kolana. W zarysie tej rozkazującej, poważnej postaci, w ruchach jej, pełnych prostoty i majestatu, widniał odcień nieobcy Łazarzowi, a głęboko wstrząsający jego sercem. Postać posuwała się naprzód, uroczysta, milcząca, nieodgadniona. Był-że to Bóg, Anioł, czy człowiek? Tymczasem krok każdy przybliżał go do brzegu. Dosięgnąwszy go, skierował się wprost ku młodemu człowiekowi i złożył u stóp jego Zaharę.

Teraz dopiero Łazarz oprzytomniał; teraz, zerwawszy się, chciał dwie te postacie objąć jednym uściskiem, a z piersi jego wybiegł okrzyk potężny, którego echo popłynęło wzdłuż wybrzeży galilejskich:

— *Mistrzu!*

Postać, będąca Bogiem, Aniołem, czy człowiekiem, nie odrzekła ani słowa. Pochyliwszy się w milczeniu, wyciągnęła tylko nad Łazarzem rękę

błogosławiącą, poczem oddaliła się wśród ciszy, ni-
knąc za gęstem ulścieniem krzewów nadbrzeż-
nych.

XIII.

Powróciwszy onego czasu z ogrodu Amosa, zwanego Getsemane, Łazarz czuł w sercu odcień najtkliwszego żalu i wyrzutu. Przyjaźń jego dla Nazarejczyka podniosła się do stopnia serdeczej tęsknoty; pragnął też skorzystać z całym pośpiechem z pierwszej sposobności, by zobaczyć się z przyjacielem, który, pomimo przewinień z jego strony, okazywał mu tyle szlachetnej wierności. Udawszy się nazajutrz, w godzinie wieczornej modlitwy, do Jerozolimy, przesukał Łazarz wszystkie znane miejscowości, w których—jak sądził—z łatwością spotka Jezusa. Nie odnalazł Go jednak. W zamian znalazł Jana, rybaka; ten zaś objaśnił go spokojnie, a nawet chłodno nieco, iż Mistrz udał się w drogę do Tyberyady, gdzie uczniowie i towarzysze mają nazajutrz za nim podążyć.

Łazarz bez długiego namysłu postanowił udać się również do Tyberyady. Zanim jednak wykonał ten zamiar, arcykapłan przysłał mu rozkaz przebudowania willi w Kafarnaum.

Bez chwili wahania przystał na wszelkie warunki.

W ten więc sposób przeznaczenie, lub raczej los, przez nas samych zgotowany, któremu tak chętnie dajemy miano przeznaczenia, stanął między młodym człowiekiem a Mistrzem, wielbionym przez niego i zaniebywanym, czczonym i zasmucanym zarazem. Teraz więc dopiero, wśród strasznej chwili trwogi, wśród burzy, cieni nocnych i zniszczenia, obaj ci ludzie spotkali się ponownie. Łazarz nie dojrzał oblicza swego przyjaciela—było ciemno dokoła, a wzrok jego émiły łzy, rozpaczą i natężeniem oczu wywołane. Odczuł też jedynie cudowną i dobroczynną Jego obecność, jak się czuje przemknienie Anioła wśród ciemności.

Burza uciszyła się tymczasem nagle, z tą samą szybkością, z jaką powstała. Fale poruszały się jeszcze niespokojnie, owa jednak drożyna błyszcząca, po której siedł Nazarejczyk, nie rozwiała się, lecz, przeciwnie, rozszerzona, obejmowała stopniowo coraz szersze kręgi, jak gdyby na wodę wzburzoną wylano nagle zapas kojącej ją oliwy.

Jakim był los towarzyszek Zahary, Łazarzowi nie przyszło na myśl zapytać; co prawda, zapomniał o nich zupełnie. Zahara bowiem oddychała, Zahara leżała u stóp jego, piękna, wpół uśpiona, wpół łkająca, budząca się do życia z uroczym wyrazem przestachu, który mu resztę przytomności odbierał.

Widział tylko ciszę, samotność i Zaharę. Żadna ręka nie mogła mu jej wyrwać i odebrać. Żadne prawo niezdolne było pozbawić go tej go-dziny.

— Łazarzu!—wybiegło lekkim tehnieniem na usta kobiety—czy ja utonąłam? Czy zginęliśmy razem, ja i ty, Łazarzu?

Pochylił się nad nią tkliwie.

— Przysięgam na cienie Abrahama, że żyjesz, że jesteśmy w miejscu bezpiecznem — uspokajał. — Cud to tak wielki, jak cudem jest nasze spotkanie, którego wytłumaczyć nie umiem... Powiedz, Zaharo, czy nie doznałeś obrażenia, czy nie czujesz gdzie bólu, czy nie cierpisz? Wskaż, co mam zrobić, w czem mogę ci być użytecznym?

— Jestem tylko cała przemoczona, ale cóż to znaczy wobec przerażenia, które mogło zabić silniejszą kobietę? Trudno mi więc zapanować nad sobą, trudno oprzytomnieć. Proszę też: odprowadź mię do domu mego ojca.

I podniósłszy się z wysiłkiem, stanęła przed młodym człowiekiem w pełnem świetle gwiazd, co raz jaśniej błyszczących.

Cóż za wspaniała istota!... W mózgu Łazarza zaszumiło i wyciągnął ku niej oba ramiona.

Zahara zachwiała się.

— Pomóż mi—wyszeptała zcicha.—Wesprzyj mię, gdyż nie mogę iść sama. Musisz mię chyba odprowadzić do domu, inaczej bowiem...

Co inaczej? Tego Zahara nigdy nie dopowiedziała. Łazarz zresztę nie pytał nawet. Klęcząc ciągle u stóp jej, wyciągnął błagalnie ramiona, Zahara zaś z całą swą książęcą godnością raczyła się zniżyć do nich.

— Łazarzu,—wyszeptała—czy ty pojmujesz te dwie rzeczy: żyję i kocham cię?!

— Kocham cię i jesteśmy razem nareszcie — odparł.

— Zaharo,—mówił dalej—czas nam się porozumieć. Wiesz, kim jestem, wiesz, że Łazarz, budowniczy, to człowiek uczciwy i szanowany, ale... tyś córa arcykapłana. Że twoim jestem na śmierć i życie, tego nie potrzebuję powtarzać, bo czujesz, iż stałaś się jedynem a potężnem marzeniem mego serca. Otóż kobieta, równa mężczyźnie urodzeniem, poślubia go w takim razie, łączy się z nim na życie całe. Nas jednak dzieli przepaść. Czy zechcesz więc zniżyć się do mnie?

— Powiedziałam już—wyszeptała nieśmiało.

— Powiedziałas? Co? Uszy moje dźwięk ten straciły, bo duch ogłuszony jest radością. Zaharo, wiem, że mię kochasz, lecz będzie-ż miłość twa silną do tego stopnia?

— Panie, jam tylko służebnica twoja. Uczynię, co zechcesz, co rozkażesz.

Głos Zahary, zaledwo dosłyszalny przedtem brzmiał teraz dziwną słodyczą i powagą. Podniosła twarzyczkę, ukrytą na jego piersiach, i odrzuciwszy w tył głowę, starała się, pomimo panujących ciemności, spojrzeć mu w oczy głęboko.

Po słowach jej, nieprawdopodobnych nieledwie, zapanowała przez chwilę cisza, najlepiej świadcząca o jej wzruszeniu, a stokroć miłsza nad mowę.

— Annasz, ani nikt na świecie, nie odbierze mi ciebie — przysięgał Łazarz. — Ślubuję, że będziesz żoną moją.

Godzina takiego szczęścia, jakiego zaznali w tych chwilach uroczej, rzadkiej samotności, wyjątkowym tylko ludziom i to raz w życiu przypada w udziale. Niejedno serce nie zazna jej nigdy i nigdy na drodze swej nie spotka. Urok jej podnosiło jeszcze spotkanie bez świadków, rzecz tak zwykła dziś w towarzystwie uczciwych mężczyzn i kobiet, lecz surowo wzbranią przez ówczesne zwyczaje. Łazarz i Zahara wiedzieli o tem, sposobność też do samotnej rozmowy podwójnie była im drogą.

Jak długo pozostawali w tym samotnym, od zniszczenia ocalonym zakątku, żadne z nich nie wiedziało nawet. Zahara pierwsza odzyskała pamięć rzeczywistości, a oswobadzając się z uścisku Łazarza, powstała ruchem łagodnym, lecz stanowczym.

— Teraz muszę już pójść naprawdę—zawyrokowała.

— Tylko jeszcze chwilę, — błagał usilnie — chwilę, Zaharo!

— Mój biedny, stary ojciec, jakże on się niepokoić musi—mówiła.— Czyż kochałbyś mnie więcej, Łazarzu, gdybym o nim zupełnie zapomniała? Wtedy, gdy spędzałam najszczęśliwsze godziny, on może śmierć mą już głąkuje. Wszak, będąc złą córką, nie stałabym się przez to. władco mój, lepszą żoną dla ciebie.

Wobec słów tych Łazarz nie nalegał już dłużej. Powstał i, wybierając drogę, sam odprowadził Zaharę do domu. Że droga ta była długa, tego powtarzać nie trzeba. Dziewczę nawet uśmiechało się, patrząc na przebiegane ścieżyny. A chociaż Zahara, wystawiona teraz na wiatr nocny, czuła i mokre swe szaty, i całe znużenie z trwogi śmiertelnej, z zapasów z burzą wynikłe, jednakże na usta jej nie wybiegła najlżejsza skarga. Łazarz też w zamian okrył ją własnym płaszczem, a tuląc do serca, podpierał i niósł nieledwie po ostrych skałach przydrożnych.

Idąc tak, ręka w rękę, ramię w ramię, rozmawiali już poważniej. Łazarz, przywrócony do równowagi, sądził, iż powinien skorzystać z chwili tej, aby dać poznać Zaharze cudowny sposób, w jaki ocalona została. Zapytał też z pewnem wahaniem, czy pamięta szczegóły rozbicia łodzi.

— Pochyliła się i przewróciła, potem słyszałam już tylko głos Rebeki i dzikie okrzyki przerażenia niewolników. Biedna Rebeka! Zapomniałam o niej. Mam nadzieję, że ją ci ludzie ocalili. Wiem tylko, że trzymała się brzegu łodzi, gdy ja wpadłam odrazu do wody i, poczuwszy zimno śmierci, błagałam Jehowy, aby mnie uratować raczył. Czułam jednak, że tonę, że idę na dno... wtem ręce jakieś nieznane pochwyciły mnie i... i nic już nie pamiętam dalej.

— Czy wiesz, kto cię ocalił, jedyna moja? — pytał Łazarz tkliwie. — Czy zdajesz sobie spras-

wę, w jaki sposób czynu takiego dokonać było można?

— Nie. Nie mam o tem żadnego pojęcia — odparła niedbale.

— Nie domyślasz się zatem, kto cię uratował z głębin i przeniósł na wybrzeże? Wszak tu chodzi o dużą przestrzeń, byłaś na pełnem morzu nieledwie.

Dziewczę wstrząsało głową, patrząc na niego ze zdumieniem.

— Sądziłam, że tyś mi ocalił życie?

— Niestety, Zaharo, byłem już tak blisko ciebie, że długość łodzi przedzielała nas tylko, lecz wiatr odrzucił mię napowrót ku brzegowi. Nie miałem dość mocy, aby zwyciężyć fale, byłem bezsilnym, jak żagiel jedwabny, porwany przez burzę.

— Dziwna rzecz — mówiła Zahara. — Czyżby mię uratował jeden z niewolników?

— Nie, Zaharo! Tam, gdzie nie mogła cię ocalić moc ludzka, dokonał tego Król Królów!

Wielkie, błyszczące oczy kobiety podniosły się nagle ku niemu i, starając się przebić ciemności, patrzyły nań badawczo a ciekawie. Czyżby burza pomieszała mu zmysły? Co miały znaczyć dziwne te słowa?

Wobec niedowierzania jej Łazarzowi pozostało tylko opowiedzieć fakt zdumiewający a nacocznie widziany. Sądził, że, przejęta nim, Zahara nawróci się może na nową wiarę, że poczuje uwiel-

bie nie dla potężnego Rabbi. Ku wielkiemu wszakże jego zdumieniu, dziewczę wysłuchało dość chłodno całego opowiadania.

— Uległeś widocznie dziwacznemu złudzeniu — tłumaczyła. — Ciemność i przestrah o mnie musiały cię, najdroższy, w błąd wprowadzić. Przypuszczam, że prędzej któryś z dobrze pływających niewolników zdołał mię donieść do brzegu.

— Niechże Bóg broni! — zaprzeczył Łazarz gorąco. — Ten, o którym mówię, nie płynął, lecz szedł wyprostowany po powierzchni wody, a dosięgnąwszy wybrzeża, złożył cię omdlałą u stóp moich i zniknął. Czyż niewolnik potrafiłby uczynić rzecz taką?

U załamu drogi zabłysły przed nimi światła w Kafarnaum. Opodal wznosiła się willa arcykapłana; trzeba więc było rozstać się, nie wiedząc, kiedy i w jakich warunkach danem im będzie spotkać się powtórnie.

XIV.

Gdy Łazarz i Zahara dosięgli miasteczka, ostatnie ślady burzy zniknęły już na horyzoncie. Niebo, usiane gwiazdami, odbijało zimne ich światło w uspokojonych falach, a jezioro odzyskało zwykłą swą postać. Niebezpieczeństwo minęło tak szyb-

ko, jak szybko i niespodzianie nadbiegło. Wysyłano też ze wszech stron czółna, w poszukiwaniu rozbitej łodzi arcykapłana.

Wszystko, co żyło, wszyscy, którzy mogli opuścić dom, zebrali się na wybrzeżu; ulice więc miasteczka puste były zupełnie. Łazarz i Zahara przechodzili je, nie zauważeni przez nikogo, jak dwa duchy, z sobą związane, a dla świata niewidzialne. Gdyby zginęli byli owej nocy i, porzuciwszy ciała, zatopione przez rozszalałą burzę, wrócili bez swej ziemskiej powłoki, nie mogłoby ich spotkać wśród żyjących cichsze przyjęcie.

Wobec zaszłych wypadków spokój ten niezamącony wydawał im się rozkosznym.

Zahara była nawróć przemokniętą, noc zaś zaczynała stawać się tak chłodną, iż Łazarz, nie zatrzymując się nawet dla poszukania arcykapłana na wybrzeżu, przyspieszał kroku, by jaknajprędzej dotrzeć do jego willi.

— Żegnaj mi, jedyny i ukochany! Żegnaj, władco mój!

— Jesteś moją i niebo ani ziemia nie przeszkodzą mi w pozyskaniu ciębie, Zaharo!

— Jakżeż uczynić to zdołasz? Znam arcykapłana, mego ojca, znam jego surowość i wiem, że, jak grób otwarty, stać będzie między nami.

— A więc do grobu tego zstąpię, lecz mieć cię muszę! — wołał w zapale. — Człowiek, który kocha, jak ja, nabiera potęgi, zyskuje siłę ducha i moc ciała, o jakiej inni ludzie nie mają pojęcia!

Środki i przeszkody maleją wobec niego; stwarza je też lub niszczy wola swą niezłomną. Ten, którego ty wieńczysz miłością, winien być królem nieledwie. Pozostaw mi wybór drogi, jaką pójdę, lecz bądź pewna, że potrafię pozyskać cię na niej. Przyśięgam ci na niebo, które nas słyszy, że nie spocznę, dopóki moją nie będziesz.

W willi tymczasem panowało wielkie zamieszanie. Służba i oficerowie tracili głowę wśród zamętu. Stary arcykapłan, którego jakiś litościwy, a silną wolą obdarzony, człowiek odprowadził do domu, zgnębiony nieszczęściem, wydawał najsprzecznniejsze rozkazy. Trzeźwość sądu i przytomność umysłu opuściły go zupełnie. Z chwilą, gdy wzrastająca burza zakryła nieledwie jezioro przed jego oczyma, a nikt z obecnych nie chciał za żadną cenę puścić się na morze, Annasz, złamany rozpaczą, stracił całe panowanie nad sobą.

Arcykapłan tak zrosł się ze ślepem posłuszeństwem tłumów, tak przyzwyczajony był do rządzenia masami, iż ten opór w chwili, gdy córka jego tonęła, ta niemożność ratowania jedynego dziecięcia, przypawiły go prawie o szaleństwo.

Nie mógł jej ocalić, nie mógł nieść jej pomocy! Kazał więc przynajmniej dom uiluminować, pozapalać wszystkie światła. Willa stała na wzgórzu, królowała poniekąd nad okolicą—może rozbitek ujrzą błyszczące jej okna, może im posłuży za drogowskaz.

Pocieszając się myślą tą, słał równocześnie gońców na prawo i lewo, gnał ich ustawicznie na

wybrzeże i z powrotem. W chwili, gdy Zahara wchodziła na próg, przyniesiono właśnie wiadomość, iż udało się pochwycić szczątki łodzi spacerowej, z przyczepioną do nich kobietą. Była to Rebeka; dzięki zaplątaniu się w szury, opadające z masztu, uratowaną została. Łódź i pokojowa ocalały, o pani jej za to, która od razu wpadła do morza, nie wiedziano, nie odnaleziono nawet żadnego jej śladu. Wioślarze potonęli również; dwaj zaś niewolnicy, którym arcykapłan kazał przemocą płynąć śród burzy na ratunek czółna, nie powrócili wcale.

Annasz, zgrzybiały nagle, drżący i blady na równi z nieszczęsnymi przewoźnikami, których trupy spoczywały w tej chwili na dnie jeziora, stał bezzradnie przed jasno oświetlonym podjazdem willi. Pochodnie, dzierżone w prawicy wysłańców, biegnących z wybrzeża lub na wybrzeże, rzucały migotliwe światło na postać jego zgarbioną i zimne zazwyczaj, a dziś bolem napiętnowane, rysy. Zmiana, zaszła w arcykapłanie, budziła litość. To też, gdy tłum się rozstąpił, a jeden z dworzan podprowadził ku niemu zmoczoną i zawodzącą głośno Reбекę, na usta zbolełego starca wybiegł okrzyk, którego rozpacz wstrząsnęła do głębi sercami obecnych.

— *Ty! ty, nie ona! Ciebie uratowano, ciebie, której nędzne życie stokroć jest mniej warte od jednej złotej nitki we frędzlach, zdobiących jej szatę?!* Jak śmiałaś wychylić podłe swe oblicze ponad fale, skoro one ją pochłonięły? Czyż nie wiesz, że

obowiązkiem twym było znaleźć obok niej zgubę? że, służąc twej pani, winnaś wraz z nią położyć życie w chwili niebezpieczeństwa? Wstyd ci, wstyd i hańba, żeś o sobie myślała tylko! Przekleństwo wam! Przekleństwo wszystkim, którzy dbali o własne życie w chwili, gdy śmierć zabierała Zaharę!

— Ojczel! — zabrzmiał nagle z cieni ogrodu głos o brzmieniu bogatem i głębokim.—Ojczel, nie gniewaj się na biedną Reбекę... Ona tu nic nie winna, ja żyję przecież!

I Zahara, postępując naprzód ze zwykłą swą majestatyczną powagą, stanęła przed arcykapłanem tak spokojna, jak posąg grecki, wzniesiony w świątyni pogańskiej, jak uosobienie klasycznego wdzięku i prostoty.

Śród okrzyków i zamętu, wznieconych nagle jej ukazaniem się, nie straciła ani na chwilę królewskiego spokoju, który zwykł tak uśmierzała, działając na masy.

Co prawda, czerpała siłę swą i wyższość w sercu poprzedniej. Wzruszenie jej przytłumiło wrażliwość dziewczęcia na wrzawę, słyszana w tej chwili. Wobec wstrząśnienia, doznanego w ostatniej godzinie, malało dla niej wszystko na świecie. Bo czemuż był ten żal za nędznym życiem ludzkim przy potędze, jaką wlewała miłość w ich serca!

Delikatne, przeczyste rysy Zahary, blade od wzruszenia, piękniejszymi się jeszcze zdawały. Od

szat jej białych, ociekających wodą, jaskrawe światło pochodni odbijało z podwójną siłą. Stojąc też przed tłumem, zdawała się błyszczeć i lśnić, jak klejnot potężny, pysznie oprawny, szlifowany w tyśiączne załamy. Kobieta słabsza, nie tak posągowo zbudowana, byłaby już omdlała z wyczerpania sił, lub, osunąwszy się w ramiona ojca, szlochałaby i zawodziła narówni z Rebeką.

Zahara jednak czuła się silniejszą w tej chwili, niż kiedykolwiek.

Nie lękała się też niczego, nikogo. Arcykapłan przestawał dla niej być strasznym, tracił całą urzędową swą godność; jak każda córka, widziała w nim ojca tylko. Podbiegłszy też ku niemu, rzuciła się w wyciągnięte ramiona, niby zwykła śmiertelniczka, i, z poufałością plebejuszowską, a czarem dziewczęcym, pieściła go tkliwie, chcąc gorącemi pocałunkami zatrzeć pamięć godzin rozpacznych.

I Annasz był w tej chwili ojcem jedynie. Zapomniawszy o powadze arcykapłana, płakał z radości, a tyłąc córkę, błogosławił ją, błogosławił za życie to drogie Boga swej świątyni i swego ludu.

— Patrz, mój ojcze! — wołała Zahara. — Oto ten który ocalił dziecię twe od śmierci!

Łazarz zaprzeczył ruchem mimowolnym. Nieprzygotowany na słowa podobne, nienawykły do porywczego usposobienia Zahary, co miał uczynić? Jak postąpić? Na usta cisnęły mu się słowa, nierozważne może, ale uczciwe.

Chciał wyznać całą prawdę, opowiedzieć szczególnie ocalenia. Zahara jednak, odwróciwszy szybko głowę, rzuciła mu jedno tylko spojrzenie, lecz spojrzenie to wymową swą kładło pieczęć niezłomną na jego ustach. Wyrazowi oczu jej nie zdołałby sprzeciwić się żaden mężczyzna; najmniej zaś zdolnym był oprzeć mu się Łazarz; walka bowiem poprzednia, rozstrajając nerwy, wyczerpała zupełnie jego siłę duchową. Z dwojga tych ludzi mężczyzna słabszym był w tej chwili od kobiety.

— Zahara przecenia słabą mą pomoc — wyrzekł, składając niski ukłon arcykapłanowi. — Przypadło mi tylko w udziale przeprowadzić ją przez niedostępną część wybrzeża; starałem się zaś uczynić to jaknajlepiej w stosunku do marnych swych zdolności.

W tejże chwili przedmiot jakiś, brzęknąwszy głośno o kamienie, stoczył się do stóp jego. Łazarz, zdumiony, patrzył nań z podziwem, i o mało, pochylając się, nie skruszył klejnotu. A był to dyament wielki, błyszczący jak gwiazda na bruku wilgotnym.

— Proszę, — rozkazała Zahara wyniośle — zechciej, panie budowniczy, podnieść naramiennik, który zsunął się mi z ręki.

A gdy spełniał jej wolę, ona, postąpiwszy na przód, pochylona dla odebrania bransolety, zdobnej w szmaragdy i hyacenty, wyszeptała słów kilka. Były one tak ciche, tak szybkie, jak tchnienie zefiru, tak niedosłyszalne, iż najszaleńsza tylko mi-

łość i najdziksza zazdrość, mogły pochwycić ich brzmienie. Pomimo to jednak, odurzony i zmieszany młody człowiek rozumiał je doskonale.

— Nie zaprzeczaj mi — mówiła. — Kto ocala córkę, ten ma prawo do względów ojca. W imię więc miłości naszej, błagam, nie zadawaj mi fałszu!

— Ojcie, — ciągnęła głośno — ja ze swej strony podziękowałam już, lecz dług mój względem tego młodzieńca wielki jest i niełatwo da się spłacić. Pomyśl więc ty, ojcie, by czyn jego nie został bez należnego uznania i nagrody. Co do mnie, tak jestem przemokła i znużona, iż chciałabym znaleźć się jaknajprędzej wśród moich kobiet i spożyć nieco.

— O, ojcie mój, — ciągnęła dalej, wzruszona — gdyby nie siła i nie odwaga tego dzielnego człowieka, gdyby nie poświęcenie, z jakim mię ratował i tutaj przywiódł, trup twej córki spoczywałby teraz na dnie morza... Nie wiem, — dodała z prostotą, tembardziej przekonywającą, że tym razem prawdę mówiła — nie wiem, jak tego dokonał; fakt jednak, że mię ocalił, skoro tu jestem; fakt, że ręce jego, którym cześć za to noszę, przywróciły ci dziecię jedyne, a skazane na śmierć pewną. Jeżeli rzucił się umyślnie w morze, aby mię ratować, poświęcenie takie zasługuje na miano bohaterstwa. Powtarzam też, ojcie, wobec ciebie i wszystkich twych domowników, iż za dzielność tę i wyświadczone mi dobrodziejstwo błogosławię go z całego serca. A teraz żegnaj mi, dobry panie. Wdzię-

czność ocalonej kobiety zawsze towarzyszyć ci będzie! Ojciec mój podziękuje ci raz jeszcze za przysługę, jaką, ratując mię od śmierci niechybnej, oddałeś nietylko arcykapłanowi, lecz i całemu naszemu domowi ksiązęcemu.

I po słowach tych Zahara, pełna wdzięku i słodyczy, oddaliła się w otoczeniu swych niewiast, pozostawiając Łazarza na łaskę i niełaskę wielkiego kapłana, na pastwę zakłopotania i wyrzutów sumienia.

Annasz tymczasem wyciągnął ku niemu oba ramiona. W sędziwych jego rysach odzwierciedlało się potężne wzruszenie, ujawniała walka, której sprzeczność dobitnie się malowała w wyrazie ust i oczu. Patrzyli też obaj na siebie z tą dziwną mieszaniną uczuć, jakiej doznawali przy każdym spotkaniu. Czuli wzajemny pociąg ku sobie, lecz wrazeniu temu towarzyszyła skryta nieufność, instynkt, który szeptał im wyraźnie, aby się mieli na baczności względem siebie.

Annasz nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego, pomimo mimowólnej sympatii, odczuwanej dla młodzieńca, rządził się względem niego pewnem niedowierzaniem. Łazarz zaś wiedział doskonale, co go pociąga do starca tego i co odpycha zrazem. Wszak arcykapłan był najpotężniejszym nieprzyjacielem ruchu religijnego, w którym tyłu ludzi ze średnich klas żydowskich widziało swe zbawienie. Łazarz więc, jako jeden z przedstawicieli tego ruchu, nie mógł pałać ku niemu gorącym uczu-

ciem. Lecz Annasz był zarazem ojcem Zahary i, jako taki, pociągał jego serce ku sobie.

Wypadki jednak owego wieczora szybko obaliły wzajemny brak ufałości. Obaj też zbliżyli się serdecznie; miłość rodzica i miłość kochanka stała się bezwiednem ogniwem między nimi. Arcykapłan zarzucał przytem budowniczego wyrazami wdzięczności za uratowanie swej córki.

— Nie zasługuję niczem na hołd podobny — przeczył Łazarz z zakłopotaniem. — Przykro mi, że przeceniasz, Annaszu, udział mój w tej sprawie. To, co uczyniłem, nie zasługuje nawet na wzmiankę.

— Grzeczność nakazuje ci tak mówić — przeczył arcykapłan z wymownym, a poważnym ruchem ręki. — Słowa jednak mej córki są dla mnie dostatecznem świadectwem. Ocaliłeś jej życie, uratowałeś ją od śmierci niechybnej i w tem też świetle będziemy odtąd patrzeli na ciebie, Łazarzu.

Budowniczy zamilkł w braku dalszych argumentów. Jakżeż mógł wobec ojca Zahary zaprzeczyć własnemu jej świadectwu? Co miał uczynić, co powiedzieć?

— Jeżeli wasza cześć pozwoli, — przemówił z widocznem zakłopotaniem — powrócę do namiotu. Teraz czuję dopiero, iż z szat moich sączy się woda. Chciałbym więc znaleźć się pod osłoną dachu i spocząć nieco.

— Mam nadzieję, — przerwał arcykapłan

z wyszukaną grzecznością — iż, przebywając w Kafarnatm, nie będziesz szukał innego schronienia nadom wielkiego kapłana Annasza, ojca Zahary, którego uratowałeś życie.

XV.

W wiosce betańskiej wszystkie języki pracowały z niezwykłym ożywieniem. Jeszcze bowiem nie uspokojono się po cudownem uzdrowieniu Arielli, jeszcze czas nie położył tamy gawędom i komentarzom, gdy nowcy, a zdumiewający wypadek poruszył znów umysły ludności miejscowej.

Nazajutrz po dokonanych cudzie, sąsiedzi zaczęli napływać do domu malachiaszowego, żądając dowodów dla stwierdzenia faktu. Dziewczę jednak nie ukazało się, a drzwi były zamknięte niegościnnie. Nikogo nie wpuszczano do środka, nikomu nie rzucono nawet słowa tłumaczenia lub usprawiedliwienia. Jediną odpowiedzią na wszelkie pytania były zaryglowane podwoje, co domostwu całemu nadawało wygląd ponury.

Lud miejscowy, nienawykły, by się z nim obchodzono w sposób podobny, zaczął podnosić hałaśliwe okrzyki.

— Malachiasz nie pozwala ukazać się dziewczynie! Chce przeczyć cudowi i dlatego ukrywa córkę, fałszuje dowody. Hańba mu! Hańba faryzejcykowi!

Malachiasz, dbający o poważanie sąsiadów i żądny pozorów jego przynajmniej, widząc, jaki obrót bierze sprawa, ukazał się coprędzej zebrany.

Otworzywszy drzwi, stanął na progu, ujmujący i grzeczny napozór. Wciekłość jednak, jaka nim miotła, tak była widoczną, iż układne jego słowa nie mogły być przyjęte za dobrą monetę.

— O, moi sąsiedzi, — wołał Malachiasz — o, moi przyjaciele! Zapewne niesiecie spółczucie dla nieszczęścia, jakie spadło na dom mój? Niestety, biedna, chora moja córka, którą samozwaniec skrzywdził nikczemnie, budząc w niej fałszywe nadzieje, szkodliwe dla zdrowego nawet umysłu, nie może wam złożyć dowodów jakiegokolwiek cudu. Niema mowy o żadnem uzdrowieniu! Była kaleką, jest nią i będzie już pewno na zawsze!

— Ariella — ciągnął po chwili — nie może nawet unieść głowy z poduszki! Namawiałem ją, aby spróbowała ukazać wam się; powtórzyłem, iż wioskę całą od wczoraj obiega wieść o rzekomem jej uzdrowieniu, że domagacie się dowodów, że chcecie ją widzieć; ale cóż, niestety, nie może się dźwignąć z łoża. Bezsilna jest i złamana! Wskutek wzruszenia, w jakie ją wczoraj wprawiono, wywiązał się stan groźny, który budzi we mnie najcięższe obawy. Jeżeli rochoruje się niebezpiecznie, lub

jeżeli poprzednie jej kalectwo powiększy się jeszcze, przysięgam, iż człowiek ten będzie sądzony za czary i rzucenie złego uroku!

— Jakie czary?— przerwał zimny głos wśród tłumu—skoro, ja mówisz, nie nie zrobił i nie dokonał żadnego cudu?

Był to Amos, właściciel Getsemane, człowiek spokojny, przyuczony do ważenia słów własnych, a niezachwiany przytem w czci swej i wiernej przyjaźni dla Nazarejczyka.

— W każdym razie, — tłumaczył zmieszany Malachiasz — jeżeli nie popełnia czarów, to winien jest bezprawnego i nieupoważnionego wtrącania się do chorych. Nie chodzi mi o nazwę i nie upieram się przy niej; sam czyn mówi za siebie. A czyn ten jest przeciwny prawu i szkodliwy. Ciemny ów człowiek naraził chorą na nieobliczone skutki swej zarozumiałości. Żądam też kary na niego, kary za to, iż stan mojej córki gorszym jest obecnie, niż kiedykolwiek.

— Pozwól nam zobaczyć ją—nalegał Amos.— Pozwól, aby kilka kobiet z sąsiedztwa poszło rozmówić się z nią.

— I ja chcę widzieć Ariellę — przerwała Rachela, matka Barucha.— Byłam świadkiem uzdrowienia, niechże więc ujrzę i pogorszenie, jeżeli ono naprawdę nastąpiło. Chodzi tu o cześć moją, o wiarygodność i uczciwość mego słowa. Przyszę też usilnie, aby mi pozwolono zobaczyć się z chorą.

— Otóż nie pozwolę!—wybuchnął Malachiasz, zaciskając pięści. — Nie dam sobie dyktować praw, nie dopuszczę, aby tu rządono! Gdyby nie ty i nie twój syn przeklęty, napiętnowany przez Boga już przy urodzeniu, jak on i godna jego matka w pełni na to zasługują, gdyby nie wasz pomysł, córka moja nie cierpiałaby dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek.

Na te brutalne słowa wśród zebranych powstał głuchy szmer. Spółczuciem i sympatyą wiedzeni, sąsiedzi otoczyli zwartem kołem Rachelę, zapewniając jej w ten sposób pomoc swą i opiekę.

Matka Barucha zdawała się być głęboko dotkniętą.

— Skoro mi nie wolno zobaczyć dziewczęcia,—mówiła — proszę cię, Malachiaszu, pozwól mi zamienić słów parę z matką jej, Hagarą.

Ostra odpowiedź fryzejczyka upewniła ją, iż żona jego zbyt jest zajęta przy łożu chorej córki, aby mogła widzieć się z kimkolwiek. Wraz z objaśnieniem tem cofnął się, a trzasnąwszy drzwiami zaryglował je w sposób, niedopuszczający żadnych dalszych uwag.

W Betanii od tej chwili zapanowało jeszcze większe wzburzenie. Pogłoska o cudownem uzdrowieniu kaleki i o dziwnem zachowaniu jej ojca doszły do Jerozolimy, budząc ogólne zaciekawienie.

Łazarz, pochłonięty potęgą swego uczucia i zajęty przeprowadzaniem robót w Kafarnaum, nie

brał żadnego udziału w wypadkach, dotyczących młodej swej sąsiadki. Siostra jego, Marya, zamieszkała w ciszy domowej i rzadko opuszczająca własne progi, nie również nie wiedziała o wszystkim. Marta jedna, zaciekawiona pogłoskami i gawędami kumoszek, chciała dotrzeć do jądra prawdy; ofuknięta jednak w sposób przykry przez Malachiasza, obraziła się i powróciła do rzeczy stokroć dla siebie ważniejszej, t. j. do przygotowywania konfitur z fig i daktyli, których zapas musiał wystarczyć na całą zimę.

Jeden więc tylko Baruch upierał się wraz z matką swą Rachelą, aby mu pozwolono zobaczyć chorą. Niełatwą jednak rzeczą było przełamać opór Malachiasza.

Wzburzenie Barucha wzrastało też z dniem każdym. Gdy czas płynął coraz chyżej, a faryzejczyk bronił wciąż zapamiętałe przystępu do Arielli, biedny ślepiec stawał się tak zgnębionym i nieszczęśliwym, iż całe spółczucie Racheli przeniosło się z córki Malachiaszowej na ociemniałego syna. Cóż ją obchodziły cierpienia tamtej, gdy tu własna jej krew, kość z kości jej, doznawała takich męczarni.

Położenie Barucha pogorszało się tymczasem. Chciał przysłużyć się ukochanej towarzyszce lat dzieciennych i naraził ją tylko na nowe przykrości, bole i zawody. Na szczęście, opinia publiczna, poruszona tą całą sprawą, zaczęła oświadczać się głośno przeciw faryzejczykowi. Oskarżano wprost Malachiasza o rozmyślnie więzienie i ukrywanie cór-

ki; mówiono, iż nie chce, aby lud, sprawdziwszy cudowne uzdrowienie, szerzył sławę i cześć dla Nazarejczyka.

Rodzaj ten zapatrywania, zamiast zmniejszyć, powiększył tylko niedolę i smutek Barucha. Myśl o Arielli, straconej niegdyś z wyżyn szczęścia, zdrowia i nadziei do smutnego losu kaleki, a dziś, pomimo cudu dokonanego na niej, zmuszonej do udawania dalszego choroby i bezwładności — myśl ta była tak smutną, iż nie mógł spokojnie zatrzymać się na niej. Wszystko zdawało się dowodzić, iż przeznaczenie nie ma litości nad Ariellą.

Wstrząśnienie moralne, doznane przez Barucha, mogło wywołać najopłakańsze skutki. Matka tymczasem, niezdolna do zrozumienia jego stanu, patrzyła z pewnem zniecierpliwieniem na zaszłą w nim zmianę. Ślepiec, z natury kalekta już zamknięty w sobie i mało skłonny do wynurzeń, teraz zapadł w milczenie gnębiące, w apatyę ciężką, która, odosobniając go od reszty świata, mogła stać się nieledwie zgubną dla wrażliwej tej natury. Pograżony w ponuręj zadumie, kręcił się uporeczywie w pobliżu domu Malachiaszów, lecz nie prosił, ani nie nalegał o dopuszczenie go do ich progów. Stracił nadzieję w możliwość spotkania się z Ariellą, która, trzymana wciąż pod rygłem, nie dawała znaku życia o sobie. Im trudniej jednak było dowiedzieć się coś stanowczego o stanie jej zdrowia, tem więcej wzrastały ciekawość i oburzenie wśród mieszkańców Betanii.

Pewnego popołudnia wreszcie Baruch, prowadzony przez chłopca, który mu zwykle towarzyszył, zniknął z obrębu wioski. O zmroku nie było go jeszcze. Noc w końcu zapadła, a ślepiec nie powrócił wcale. Żegnając matkę, uprzedził ją, aby go nie wyglądała i nie niepokoila się, jeżeli nie zdąży nadejść na czas.

Rachela więc o tyle tylko nieobecność jego brała do serca, o ile w podobnych warunkach uczyniłyby to każda inna matka. Wszak Baruch był już mężczyzną, miał więc prawo, bez względu na kalektwo swe, żądać od czasu do czasu zupełnej swobody. Dola jej — jak każdej kobiety — nakazywała poddawać się biernie podobnym żądaniom.

Północ nadeszła, a Rachela siedziała sama jedna, czekając wciąż na syna. Ranek zaświtał, rozwinął się w południe, zniżył ku zachodowi, rozplynął w zmierzchu — a Baruch nie powrócił jeszcze. Druga noc nie przywiodła go również. Trzeci już wreszcie wieczór zapadał, a Rachel, pozbawiona wciąż wiadomości od syna i nieświadoma, gdzie się kaleka obraca, doznawała coraz silniejszego niepokoj.

Nigdy jeszcze nie wydała się na tak długo, nigdy nie puszczał się w dalszą drogę pozbawiony wszelkiej opieki. Serce matki wzbierało troską i spólcuciem dla biednego chłopca. Przyszło jej też na myśl pójść i prosić o radę Nazarejczyka; wszak uboga ludność utrzymywała, iż, pomimo znużenia, pomimo zajęć, pochłaniających czas cały, nie

odmawiał On nigdy przystępu do siebie chorym, lub nieszczęśliwym.

Chciała więc biedz po wskazówki do Niego, lecz objaśniono ją, że Jezus opuścił Jerozolimę. Był podobno w Tyberyadzie, Kafarnaum, czy Jeryho; każdy mówił co innego, każdy utrzymywał, że wie, dokąd się udał, lecz nikt nie umiał wskazać jej właściwego miejsca pobytu Chrystusa.

W domu Malachiasza nie się tymczasem nie zmieniło. Tłumy ciekawych gromadziły się codziennie przed zamkniętymi drzwiami fryzejczyka, witając serdecznym okrzykiem otyłą jego postać, gdy tylko ukazała się na progu.

Malachiasz zaś, znużony długą bezsennością,—zbiegowisko bowiem zakłócało mu spokój spoczynku nocnego — rozdrażniony ciągłemi pytaniami o zdrowie córki, postanowił zerwać z pozorami nawet grzeczności. Nie odpowiadając też wcale, zatarasował drzwi i, rozciągnawszy przed progiem kilimek, położył się spać na nim. W ten sposób kobiety jego skazane zostały na zamknięcie, na areszt, przymusowy czy dobrowolny—któż to mógł odgadnąć?

W dwa dni po zniknięciu Barucha, drogą, wiodącą ku Tyberyadzie, szedł osieł, obciążony potężnie. Na grzbiecie silnego zwierzęcia siedziało, oprócz młodego człowieka, małe chłopię jeszcze, które, skręciwszy w bok nieco, szukało miejsca wygodnego do spoczynku. Wierzchowiec odbył wido-
cznie drogę daleką, zarówno bowiem na nim, jak

na przewodniku i ociemniałym młodzieńcu, znać było potrzebę snu i spoczynku.

— Słuchaj, Enochu, — mówił starszy — po-
dejdź do domów tych opodal i poproś o strawę dla nas, oraz o paszę dla osła. Zapłacę, ile będą wymagali. Jesteś tak zmęczony, iż musisz się po-
silić; spożyj też najpierw, co dostaniesz, a później dopiero przynieś dla mnie cząstkę. Poczekam tym-
czasem, pilnując zwierzęcia. Ten, którego szuka-
my musi być niedaleko. Jeżeli też Bóg pozwoli, załatwię dziś jeszcze interes, a jutro powrócimy tą samą drogą do domu.

Gdy chłopiec odszedł, ociemniały osunął się na ziemię i, dzierżąc mocno uzdę, aby wierzchowiec ich nie uciekł, popadł w głęboką zadumę. Uwolniony od badawczych oczu przewodnika, mógł być sobą, mógł pograć się w smutnych myślach. Jak dotychczas, podróż jego była ciężka a bezowocna. Wprawdzie udało mu się przyłączyć do licznej karawany, idącej w tę stronę, i, korzystając z opieki jej, uniknąć niebezpieczeństw, na jakie narażony być musiał bezbronny kaleka, podróżujący z dzieckiem tylko, — lecz niemniej cel wycieczki był wciąż niedościgłym. Na znużonem jego czole osiadł cień troski i zakłopotania.

— Baruchu — odezwał się równocześnie tuż przy ślepcu głos słodki i poważny. — Baruchu, kogo szukasz?

Kaleka drgnął, a wznosząc ku mówiącemu oblicze, pokryte żywą purpurą, wyszeptał tylko:

— Ciebie, Mistrzu!

— Mnie? A w jakim celu?

— Aby cud, jakiś sprawił, Mistrzu, stwierdzonym został.

I szybko, z przyspieszonym oddechem, zaczął opowiadać wypadki, zaszłe po uzdrowieniu Arielli. W połowie jednak słów swych splątanych, gorączkowych, powstrzymał się, dodając z głębokiem przekonaniem:

— Panie, Ty wiesz wszystko, Ty znasz wyrazy, zanim do ust mych dojdą; mówiąc więc, czynię, jakobym dolewał kroplę wody do jeziora Genezaret. Przed okiem Twem nic nie jest ukrytem, znasz przeto boleść moją i jej nieszczęście. Mistrzu, jam głuchy i ślepy przed Tobą! Błagam też jedynie: bądź miłosierny, ulituj się i ocal dziewczę z dzisiejszej niedoli.

Postać, stojąca nad ślepcem, pochyliła się, przemawiając do nieszczęśliwego w ujmujący, przedziwnie łagodny, sposób. W głosie tym, niepodobnym do żadnego ludzkiego głosu na ziemi, przejmującym a potężnym zarazem, brzmiała nieskończona litość i niezgłębione współczucie. Wydelikaczone, subtelnie wrażliwe ucho ociemniałego zadrżało, doznając przyjemności silniejszej nad tę, jaką ludzie obdarzeni wzrokiem zwykli się rozkoszować. Nazarejczyk rozmawiał z nim o długości nużącej podróży, o niepewności, z jaką udawał się w drogę, o sile jego wiary i ufności; pytał, na czym opierał nadzieję odnalezienia go i złączoną z niem pewnością odniesienia pożądanego skutku.

— Byłem przekonany, Mistrzu, że znajdę Cię tutaj, i oto jesteś—odparł Baruch z prostotą.

— A czy wierzysz,—podjął Nazarejczyk głosem, którego powaga przedzierzgnęła się nieledwie w odcień surowości — czy wierzysz, że dziewczę ozdrowiało według słów Moich?

— Panie! — wyznał ślepiec—czyżbym był tutaj, gdybym nie wierzył?

— Wracaj przeto do siebie, — rozkazał Nazarejczyk głosem głębokim — wracaj do Betanii. Uczyń według woli mojej, pilnując domu swych ojców. Alisci wiara twoja, która wielką jest, znajdzie tam usprawiedliwienie, a nagrodzoną zostanie.

Ociemniały powstał natychmiast. Zdawać się mogło, iż podróż jego, trudna i znojna, odniosła słaby skutek, lecz on, nie wdając się w roztrząsania, podniósł się i, gotów do drogi ponownej, ślepe oczy zwrócił w stronę wioski.

— Gdyby chłopiec, który mię prowadzi, był tutaj, — zauważył kornie — odszedłbym natychmiast.

— Baruchu! „Błogosławiony przez Boga!“ — zawołał Nazarejczyk z widocznym wzruszeniem. — Pytam się ciebie po raz wtóry, czy zaiste nie będziesz mię prosił o nic *dla siebie*?

— Panie, — odparł ślepiec z pokorą—i o cóż prosić Cię mogę? Wszak, co czynisz dla dziewczęcia tego, dla mnie czynisz.

— Czy jednak — nalegał Rabbi głosem, który się Baruchowi dziwnie miękkim wydawał—nie masz

żadnych potrzeb? Czy zaprawdę nie żywisz żadnych pragnień, jak inni ludzie, że wobec niedoli bliźnich zapominasz o sobie, jak gwiazda zapomniana bywa w blasku słonecznym?

Nastała chwila ciszy głębokiej.

— Panie, — wyszeptał wreszcie Baruch nieśmiało — gdyby mi danem było zanieść prośbę, o jedno błagałbym tylko: Rzekłbym: Mistrzu! Pozwól mi, zanim skonam, ujrzeć ją raz jeden, na mgnienie oka choćby! Ale, Panie, jam ślepy z urodzenia!

— Idź swoją drogą — odpowiedział Nazarejczyk uroczyście. — Oto nachodzi przewodnik twój; bierz go i wracaj w pokój! Niechaj bezpieczeństwo towarzyszy ci wszędzie, niech pośpiech doprowadzi cię szczęśliwie pod dach twych ojców! Przybywszy do domu ich w Betanii, klękni u progu i przyzwij moje imię, a Bóg, gwoli wierze twej, pobłogosławi ci w owem mgnieniu oka, którego pragniesz.

Gdy chłopiec nadszedł, Nazarejczyk zniknął już, Baruch zaś stał samotnie, trzymając osiełka za uźdę. Osiodławszy go, natychmiast udali się w drogę. Napróżno zaś Enoch, przewodnik, zachodził w głowę, co ma znaczyć ten odwrót nagły, — Baruch bowiem nie objaśnił mu zaszłych wypadków ani jednym słowem.

Czwartego dnia po zniknięciu syna, Rachela smutna i zgnębiona, siedziała, samotna wśród zmroku wieczornego, w cichym swym domku w Betanii.

Usłyszawszy mocne stukanie do bramy, zerwała się, z pośpiechem ludzi niespokojnych, dręczonych obawą, i szybko pobiegła otworzyć wrota.

— Wpuść nas, Rachelo — szeptał trwożliwie głos, dobrze jej znany. — Wpuść nas i daj schronienie; błagam o to w imię Chrystusa z Nazaretu!

Oblicze Racheli zasępiło się przy pierwszym już dźwięku. Nie był to Baruch. Przed bramą stały drżące postacie Hagary i córki jej, Arielli.

Wrażenie zawodu w rysach kobiety ustąpiło miejsca spółczuciu.

— Wejdźcie, w imię Nazarejczyka — odparła, otwierając furtę.

I z całą już serdeczną gościnnością wciągnęła do środka dwie kobiety, pytając z przyspieszonym oddechem:

— Jakżeście się tu dostały?

— Przyszłyśmy piechotą — brzmiała lakończna, rzucona niskim głosem Hagary, odpowiedź.

— Ty, rozumiem. Ale ona? Jak ona się tu dostała?

— Na własnych nogach. Przeszła cały kawał drogi, jak to czynią inni ludzie.

— Ach, więc Rabbi dotrzymał słowa!... Baruch ciągle w to wierzył. Co do mnie, przyznaję, że, odkąd ludzie zaczęli przeczyć głośno cudowi,

nie wiedziałam, co sądzić o tem. Ależ wejdźcież, drogie sąsiadki; proszę: wejdźcie i podzielcie ze mną skromną wieczerzę.

— Ja wracam natychmiast—odparła Hagar.— Wracam do domu Malachiasza, bo on, jako pan mój, ma prawo tego wymagać. Ze mną robi, co zechce, lecz nad Ariellą nie będzie dłużej przewodził; od czegoż jestem jej matką, od czego mam nogi zdrowe i głowę do kierowania niemi? Przez wszystkie te dni Malachiasz, mąż mój, trzymał nas na uwięzi, pod kluczem. Wstyd i hańba mu, że rzeczy takie wyznać muszę przed sąsiadami! Dziś wreszcie, chwala za to Jehowie! zasnął mocno na kilimku przed drzwiami, że aż chrapanie rozlegało się daleko. Korzystając z tego, wstałam i, aby się przekonać, czy nie udaje, uszczypnęłam go. O, nawet, co prawda, uszczypnęłam bardzo mocno, bo mi ta zemsta miłą się wydała; ale tak spał, że ani drgnął. Wtedy to uciekłyśmy obie z Ariellą. Biegła, jak gdyby jej skrzydła wyrosły u ramion; nie zatrzymywałyśmy się też ani na chwilę, byle prędzej znaleźć się na swobodzie. Sąsiadko Rachelo, weź moją dziewczynę, proszę cię: weź i daj jej schronienie, dopóki sama upomnieć się o nią nie przyjdę.

I przekonana, że jej nie odmówią, Hagar odeszła z temi słowy, pozostawiając Ariellę pod opieką wypróbowanej przyjaciółki.

—Mówiłam Boruchowi,—zauważyła Rachela— że może być spokojny o Ariellę, skoro się ona znajduje pod opieką Hagary. Wszak zwierzę nawet umie

bronić swych małych, a cóż dopiero matka jej miałaby sobie nie dać rady z Malachiaszem, chociaż go losy zrobiły jej mężem.

Dziewczę milczało. Wypadki, zaszłe świeżo, wstrząsnęły nią do głębi; lica pałały, źrenice świeciły niezwykłym blaskiem. Zdawało jej się, iż czuje ogień w żyłach. Nie mogła ani mówić, ani spożądać; gorączkowe jej spojrzenie tylko obiegło w sposób pytający komnatę.

— Brak jej Barucha—myślała Rachela.—A jednak jestem pewna, że nie zapyta o niego.

— Siadaj, Ariello — odezwała się głośno po chwili.— Siadaj, odpocznij i powiedz mi, jak się to wszystko odbyło?

Posłuchiwała o tyle tylko, iż osunęła się na najbliższą ławę; usta jej wszakże pozostały zamknięte, a oczy zwracały się błagalnie ku Racheli. Znużenie i przestraszenie odebrały jej zdolność wyrażenia myśli, paraliżowały głos w gardle.

— Biedna moja owieczka! — mówiła Rachela z tklivością macierzyńską. — Czemżeż ja cię pocieszę, czem utulę? Dlaczegoż Barucha tu niema? Niestety, serce me bardzo niepokoi się o niego, bo oto trzeci dzień już upływa, jak, opuściwszy dom ten, zniknął mi z oczu.

Ariella nagle odzyskała głos.

— Barucha niema?—zawołała. — Baruch zniknął? O, pozwól mi go szukać!

Zerwała się gwałtownie, poskoczyła ku drzwiom i, otworzywszy je ruchem rozpaczonym, rzuciła się bez namysłu w noc ciemną.

Rachela pobiegła za nią z okrzykiem prze-
rażenia.

Ślepiec tymczasem czwartego dnia o zmroku
dobił się nareszcie do Betanii. Przybywszy do
stoku wzgórza, na którym się wznosił dom jego
matki, odprawił małego przewodnika wraz z osieł-
kiem. Tu już nie potrzebował prowadzącej dłoni,
każdy bowiem kamyk tej drogi, każde ziarnko pia-
sku nieledwie, lepiej mu były znane, niż twarze są-
siadów tym, którzy je widzieć mogli. Sam też zwol-
na skierował się ku domowi.

Znużony był i wyczerpany. Pomimo to je-
dnak oblicze jego, spokojne i pogodne, jaśniało nie-
ledwie boskiem światłem. Szedł zwolna, z głową
opuszczoną na piersi, a sercem pełnem myśli pod-
niosłych. Dosięgnąwszy wreszcie domostwa, wy-
ciągnął rękę, szukając u furtki znanego sobie za-
trząsku.

W tejże chwili furtka ta otworzoną została
gwałtownie, a głos dziewczęcy wykrzyknął z rado-
snem upojeniem:

— Baruch! Szłam cię szukać właśnie, a ty sam
do mnie wracasz! Baruchu! Baruchu!

Słowa Nazarejczyka przebiegły jak błyska-
wica umysł ślepego. Był właśnie u wrót domu
swych ojców. Osunął się też na kolana i, pochy-
liwszy kornie głowę, modlił się ze złożonemi rę-
koma:

— Panie! — mówił głośno. — Wzywam imie-
nia Twego, aby słowo Twe w dziełach się ujaw-
niło, i błagam zmiłowania nad dziewczęciem, któ-

rego szczęście droższem mi jest, niż światło wła-
snych źrenic, droższem niż wzrok ociemniałemu.

Mówiąc to, Baruch ruchem mimowolnym pod-
niósł twarz swą i oczy ku niebu — a wtedy na je-
dno mgnienie powieki, przez przeciąg czasu potrze-
bny do otworzenia jej i zamknięcia, on, ślepy z uro-
dzenia, przewidział nagle.

Ujrzał zaś najpyszniejszy, najbardziej uroczy
widok na świecie: ujrzał rysy kobiety, która była
marzeniem i ukochaniem jego serca.

Ariella, pochylona naprzód, dysząca od szyb-
kiego biegu, promienna radością, odcinała się ży-
wo od blasku pochodni, jaką Rachela, dążąc za nią,
zapaliła szybko u ogniska. Blask czerwonawy świa-
tła, trzymanego wysoko przez matkę, padał na ca-
łą jej postać, oświecając zarówno wysmukłą kibić,
jak delikatne oblicze. Wielkie jej źrenice błysz-
czały, niby dwie gwiazdy na niebie; drobne usta,
rozchylone wzruszeniem, ukazywały szereg pereł
białych; lica zaróżowione mogły iść w zawody
z kwiatem najpyszniejszym; włosy zaś jedwabiste,
rozwiane przez wiatr, tworząc aureolę u czoła, spa-
dały płaszczem na ramiona.

— Boże ludu mojego! — zawołał ociemnia-
ły — miej zmiłowanie nade mną, bo oto ujrzałem
anioła!

Na słowa te z piersi matki jego wybiegł
okrzyk straszny, okrzyk zachwytu i przerażenia,
a Rachela, rzuciwszy pochodnię na ziemię, chciała
bieść ku synowi.

Dotknięcie Arielli powstrzymało ją na miejscu. Dziewczę pochwyciło pochodnię, zanim zagasiła, i, uniósłszy ją, stało wyprostowane, jaśniejące blaskiem przedziwnym, a podobne w samej rzeczy do nieziemskiego zjawiska.

— Ta, na którą patrzysz, Baruchu, nie jest aniołem, lecz tylko kobietą i, jako taka, z całego serca ci błogosławi—mówiła.

Mężczyzna wyciągnął ku niej oba ramiona; nie dotknął jej wszakże, lecz tylko w błagalnej tej postawie podniósł oczy, które *widziały* Arelę. Po dziw i cześć, rozkosz i upojenie, szal i obawa jakas dzika, obawa, aby obraz ów nie zniknął, odbijały się w nich kolejno. Obie też kochające go kobiety stały nieme i obozwardnione siłą tego spojrzenia.

— Panie, — wyszeptał Baruch — bądź błogosławiony, żeś mi przez przeciąg czasu, potrzebny do otworzenia żrenicy, pozwolił ujrzeć ją nareszcie! Bądź błogosławiony! Teraz zaś niech spełni się Twoja wola! Choćbym miał na zawsze w ciemności zostać wtrącony, będę chwalił Twe imię, bo Bóg uczynił mię szczęśliwszym od wszystkich ludzi na ziemi!

XVI.

Gość, podejmowany w domu areykapłana w Kafarnaum, nie mógł zasnąć tej nocy. Przepyśne niebo wschodnie patrzyło na niego milionem gwiazd błyszczących. Wiatr ucichł zupełnie, zagniewane fale jeziora zdawały się znów uśmiechać, a wygodne, z przepychem zasłane, łóżce wywalało go do spoczynku. Pomimo to Łazarz czuł...

W pałacu Annasza panowała cisza tak głęboka, że można ją było porównać nieledwie ze spokojem śmierci. Wypadki poprzedniego wieczora zbyt były wstrząsające, aby natury wschodnie, rozmiłowane przedewszystkiem w wygodzie, miały nie odczuć ich głęboko. Wszyscy też, począwszy od członków rodziny areykapłana, aż do najniższego niewolnika w willi, wytrąceni chwilowo ze zwykłego trybu życia, przez reakcyę popadli teraz w sen głęboki, krzepiący siły po wzruszeniach dnia poprzedniego. Zahara nawet spała ze spokojem małej, znużonej dziewczynki. Łazarz czuł tylko.

Sam fakt przebywania pod jednym dachem z kobietą ukochaną był dla niego czynnikiem zbyt pobudzającym, aby mógł na chwilę zapomnieć o nim. Wszak losy dziwnie zdawały mu się uśmiechać. Na skarb bowiem taki, jakim było dzisiej-

sze spotkanie, w zwykłych warunkach towarzyskich życie całe napróżno by czekał. Serce też jego biło gwałtownie, a upajając się najdzikszymi marzeniami i nadziejami, zapadało z kolei w czarne przywidzenia, złączone z ostatecznem zwątpieniem.

Położenie bowiem, rozważane na wybrzeżu jeziora, wśród burzy i rozbicia, wobec grozy natychmiastowej śmierci, z Zaharą, utrzymaną w ramionach—inne było zupełnie, niż teraz. Tam wszechpotęga miłości równała wszystko, strojąc przyszłość w tęczowe blaski szczęścia i nadziei. Zdawało mu się wtedy, że musi pozyskać Zaharę, że zdobycie jej jest zadaniem najprostszem, a niezbitem, kwestyą czasu jedynie. Teraz rzecz ta, sądzona z innego stanowiska, przybrała inne barwy.

Wspaniałość willi Annasza, samotność nocy gwiaździstej, powrót wreszcie do praw społecznych i przesądów towarzyskich, rzucały nowe światło na przyszłość i wzajemny stosunek kochanków. Spozstrzegłszy to, Łazarz stanął oniemiały.

Jakimże cudem, w imię jakich poświęceń, zdobył on zdobyć rękę córki arcykapłana? Jakiem prawem ośmieli się prosić, by została jego żoną? Chyba porwie ją, uniesie i ucieknie ze zdobytą podstępnie, dosiadając najszybszego wielbłąda pustyni? Chyba, kryjąc się pod strażą Izmaelitów, osiedzie w dalekiej ich osadzie, i tam strzedz jej nie przestanie, chowając w ten sposób ukochaną na zawsze dla siebie?

Widziadła, nieznane w najszańszych chwilach upojenia, opanowały teraz duszę Łazarza; miotła nim dzika burza. W walkach takich, staczanych z samym sobą, najspokojniejsze natury, najłagodniejsze, najczystsze serca ulegają niekiedy rozbiciu moralnemu. Nie z każdej rozterki duch wychodzi wzmocniony; Łazarza zaś opanował właśnie taki wir moralny, taki huragan.

Położenie jego pogorszało się jeszcze wybiegiem, jakiego Zahara użyła zbyt pośpiesznie, opowiadając ojcu o ocaleniu swego życia.

Odurzony miłością, zdumiony, Łazarz popadł nieświadomie w tę, z uczucia dłań wynikłą, lecz nierozważną, pułapkę. Bo i jakżeż tu przeczyć kobiecie, a w dodatku tej, która była bożyszczem jego serca i jedyną córką dostojnego gospodarza domu? Samotność dopiero rozwiała to złudzenie, poddając ostrej krytyce postępowanie Łazarza.

Północ, przywróciwszy mu trzeźwość sądu, okazała się nieubłaganą w logice. Bezsensowność podszeptowała jednocześnie dziwne rzeczy, a ciemność rozbrzmiewała gorzkimi wymówkami. Przyjaźń i miłość walczyły z sobą, uderzając w coraz nowe struny jego wrażliwości. Głos spokojniejszy od głosu Zahary przywoływał go, oblicze poważniejsze od jej oblicza rysowało się w pamięci. Obowiązek, chłodniejszy, lecz zarazem czystszy i podnioslejszy, od uniesień miłości, patrzył nań głęboko oczyma duszy, patrzył ze słodkim, przejmującym wyrzutem. Postać uroczysta, wyniosła i ci-

cha, idąca wśród burzy przez fale morskie, szła teraz ciągle stopami świętymi przez burzę, wrzącą w myślach jego i sercu. Wspomnienie zaś Nazarejczyka budziło w nim niewymowną pogardę dla siebie samego.

Gdy tylko świt zapalił pierwsze blaski, Łazarz opuścił komnatę, rzucając się w czyste, rozróżwione powietrze. Uroczą ciszą pierwszego brzasku miała przywrócić spokój jego rozgorączkowanemu umysłowi.

W otoczeniu tem można było w rzeczy samej odzyskać równowagę. Jezioro spało, jak dziecię niewinne w kołysce, uwitej ze wzgórz. Burza orzeźwiła powietrze, odmłodziła świat cały. Barwy drzew i kwiatów zdawały się tętnić nowem życiem. Łazarz jednak, zgnębiony, krążył wśród drzew owocowych, z głową smutnie zwieszoną na piersi.

Z dziwnem też wzruszeniem, w którym jednocześnie się przyjemność i przykrość, ujrzał, wracając ku willi, wyniosłą i uroczystą postać arcykapłana, idącą na jego spotkanie.

Annasz był sam zupełnie. Obaj też spotkali się z serdecznością, nieznana im dotychczas. W sercu Łazarza rodziła się żywa sympatya ku ojcu Zahary; Annasz czuł, iż ceremonialna jego sztywność topnieje wobec zbawcy jedynego dziecięcia.

Grzeczności też rannego powitania, tak zwykle przy każdym spotkaniu na Wschodzie, brzmia-

ły ze strony arcykapłana szczerą serdecznością. Od pierwszych słów zaraz jął powtarzać wynurzenia wdzięczności za ocalenie swej córki. Wtedy to Łazarz, niezdolny znieść dłużej narzuconej sobie roli, przerwał mu nagle, niemal gwałtownie:

— Panie, pozwól, abym fałszywemi pozorami nie czynił dłużej krzywdy tobie i sobie. Pomyłka chwilowa stawia mię w bardzo przykrem położeniu; pozwalając dłużej na fałszywe pozory, stałbym się sam winnym fałszu. Muszę też wyprowadzić cię z błędu.

W rysach arcykapłana odbiło się zdumienie.

— Czy wolno zapytać, — podjął — jakiej okoliczności dotyczą się te słowa?

— Faktu najdziwniejszego pod słońcem, a który dotyczy zbliżka nas obu.

— Nas obu? — głos arcykapłana brzmiał wyniosłe, usta zaś jego okolił uśmiech wzgardliwy. — Czy mam być tak mało unysłowo rozwiniętym, że mi wypadki życia tłumaczyć aż potrzeba?

Łazarz pochylił nisko głowę z przeczącym ruchem ręki, który dostatecznie odpowiadał na sarkazm arcykapłana. Po chwili zaś, wracając do myśli pierwotnej, oświadczył prosto:

— To nie ja ocaliłem życie córki twej, Zahary. Bóg świadkiem, iż za przywilej ten dałbym cenną ofiarę. Był on jednak za wielki, aby niebo zeisłało mi go w udziale.

Arcykapłan rzucił gościowi swemu spojrzenie, zimne jak błysk sztyletu, a jak cios jego szybkie i przejmujące.

— Komuż więc, jeżeli nie tobie, cny panie, winien jestem spłatę ciężkiego tego długu?

— Temu z mieszkańców Judei, od którego najmniej może chciałbyś przyjąć taką usługę.

Słowa te wymówił Łazarz szybko, głosem pełnym, doniosłym. Sumienie, dotknięte w nieskazitelnosci swej, zbudziło w nim dawnego człowieka. Poczucie prawdy tryumfowało w jego duszy. Korzystać też dalej z zasługi Przyjaciela, przybierać fałszywe pozory, zdawało mu się rzeczą niemożliwą. Lepiej już narazić się Zaharze. Przyszedszy raz do tego przekonania, odetchnął swobodniej i śmiało podniósł do góry piękną swą głowę.

— Córkę twą, Annaszu, — dokończył Łazarz głosem zniżonym, lecz wyraźnym — ocalił Jezus z Nazaretu.

Rysy arcykapłana pokryła chmura ciemna. Przyjął wiadomość głębokiem milczeniem.

— Moja córka — wyrzekł wreszcie głosem ostrym — inne składa świadectwo.

Na wzmiankę tę Łazarz, kierowany chęcią osłonięcia ukochanej, stracił odrazu część poprzedniej godności.

— Daleką jest ode mnie, — pośpieszył zaprzeczyć — dalszą, niż od kogolwiek na świecie, chęć krytykowania Zahary, lub też podawania w wątpliwość słów tej, w której czystej duszy honor obrał sobie stałe mieszkanie.

— W takim razie, — przerwał arcykapłan,

zmiękczony nieco, lecz niemniej podejrzliwy i bawdawczy — w takim razie zechciej wytłumaczyć sprzeczności swej mowy.

— Córką twą, Annaszu, — ciągnął Łazarz śmiało — była zbyt blizką śmierci, aby mogła wiedzieć, kto ją uratował z wody. Śród okrutnych szamotań się z falą, omdlała i straciła przytomność. Sądząc po stanie, w jakim się znajdowała, gdy ją ujrzałem, musiała dwukrotnie co najmniej iść na dno Genezaretu. Została więc wprost wyrwana śmierci i złożona u stóp moich na wybrzeżu wtedy, gdy jedna chwila mogła już stanowić o jej życiu. Ten, który ją ocalił, odszedł natychmiast, zastawiając ją mojej pieczy. Ocuciwszy zemdloną, przywiodłem ją tu, w progi ojcowskie. Moja więc zasługa na tem jedynie ogranicza się i kończy.

Annasz słuchał słów tych z widocznem wzruszeniem, do którego łączyły się z kolei: niezadowolenie, niedowierzanie i rozdrażnienie najwyższego stopnia.

— Należy przypuszczać, — przerwał zimno — iż pomyliłeś się co do tożsamości osoby, która uratowała mą córkę.

— Nie mogłem popełnić takiego błędu, — zapewnił Łazarz stanowczo — gdyż z człowiekiem tym łączy mię przyjaźń dawna; znam go więc bardzo dobrze. Nie mógłbym pomylić się pod tym względem, jak nie mógłbym nie poznać Syna Bożego, gdybym Go spotkał na ziemi. Nazarej-

czyk, nikt inny, ocalił twoją córkę; względem niego też zaciągnąłeś dług, Annaszu, i Jemu tylko winienesz wdzięczność.

Annasz odwrócił się wzgardliwie i, nie wyrzekłszy ani słowa, odszedł, pozostawiając gościa swego samego w cieniu drzew figowych.

Położenie Łazarza w willi stało się teraz niewygodnem i tak kłopotliwem, iż nie wiedział, jak wyjść z niego. Przez dni kilka arcykapłan nie ukazał się wcale swemu gościowi; Zahara była również niewidzialną. Łazarz więc schodził do roli budowniczego, który w dalszym ciągu miał prowadzić rozpoczęte roboty.

Zrozumiawszy w ten sposób niemą demonstracyę wysokiego dygnitarza synagogi, młody człowiek kazał trzeciego dnia oświadczyć Annaszowi, za pośrednictwem głównego ochmistrza domu, iż prosi, aby mu pozwolono wrócić do swego namiotu.

W odpowiedzi na posłannictwo, zawarte w słowach pełnych godności, Annasz ukazał się osobiście. Zachowanie jego wzorowo było grzeczne, spojrzenie jednak zimne przeczyło wypowiedzanym słowom. Pomimo to, prosił Łazarza o przyjęcie dalszej gościny, zdobiąc mowę swą kwiatami patosu wschodniego i przesadnej uprzejmości, bo takiego zachowania ze strony gospodarza w stosunku do gościa wymagała przyjęta podówczas etykieta.

Łazarz, odpowiadając w stylu również wyszukany, prosił jednak o pozwolenie opuszczenia willi.

— Sądzę,—mówił—iż będzie to odpowiedniejsze z wielu przyczyn, i dlatego ośmielam się nalegać, aby mi wolno było powrócić do siebie. I tak już za względy, doznane tu, zaciągnąłem zbyt wielkie zobowiązania.

— Dług wdzięczności po mojej tylko leży stronie, a jest on niemały — poprawił Annasz ceremonialnie. — Co zaś do przyjemności, jaką mi sprawia podejmowanie takiego gościa, pozwolisz, panie budowniczy, iż ja sam najlepiej ocenić ją mogę.

— Mówilem już, — objaśnił Łazarz szczerze — że nie poczuwam się do żadnej zasługi. Wdzięczność twa, Annaszu, należy się komu innemu, jak to miałem ci zaszczyt wytłumaczyć.

— Sądząc, iż zgodzę się na narzucone mi zobowiązania, zbyt wiele oczekujesz i zbyt wiele żądasz ode mnie — odparł arcykapłan z ostro ściągniętymi brwiami. — Nie mam zamiaru uznać ich w tamtym kierunku i dlatego wolę uważać ciebie za przedstawiciela długu, zaciągniętego przeze mnie.

— Niestety, — przerwał Łazarz głosem zniżonym — muszę odmówić. Nie wolno mi podszywać się pod równie wysokie zasługi, nie wolno przypiszczać sobie praw i potęgi, która przerasta mię o tyle, o ile szczyt góry Oliwnej przewyższa dno Genezaretu. Nie wolno być przedstawicielem Tego, z którym niegodny jestem równać się w dalekiem nawet wspomnieniu.

— Dziwi mię, — brzmiała znużonym tonem dana odpowiedź Annasza — iż człowiek twej inteligencji zdoła ulegać podobnemu złudzeniu. Rozruch, wywoływany wśród mas, zaczyna przybierać poważne rozmiary. Nadchodzi też czas, w którym dalsze popieranie tego politycznego wichryciela może dla ludzi podobnych tobie zamienić się z częściej igraszki w zadanie niewdzięczne i niebezpieczne.

— Ależ ja nie dopuszczam się bynajmniej żadnej częściej igraszki wyrazów. Przeciwnie, wymagam tylko z czcią imię Tego, którego stawiam wyżej nad wszystkich ludzi na ziemi.

— Ach, tak, — podsunął arcykapłan słodko — sprawdza się więc, co słyszałem, że niektórzy uważają owego samozwańca za coś wyższego nad zwykłą istotę ludzką. Dochodzą mię nawet wieści, iż rości on pretensye do praw potężnych, nadzwyczajnych. Czy tak jest w rzeczy samej?

— Nie wiem o niczem podobnem — zapewnił Łazarz stanowczo.

Spojrzeni sobie wzajem w oczy głęboko, badawczo. Łazarz, pomimo opieszałości, okazywanej tylokrotnie, nie był przecież zdrajcą. Nieułękniiony też, ciągnął dalej śmiało:

— Jeżeli chodzi o politykę, nie słyszałem, aby się nią zajmował. Co więcej, nie przyszłoby mi nigdy na myśl uważać Jezusa z Nazaretu za działacza politycznego.

— Zi cóż więc bierzesz go w takim razie? — dorzucił arcykapłan pytanie.

— Za najlepszego człowieka, najrozumniejszego z dobroczyńców ogółu, najtkliwszego z pocieszycieli, najwierniejszego z przyjaciół, jakiego kiedykolwiek spotkałem — mówił Łazarz gorąco. — Nie mam zresztą prawa mówić o nim, nie mam zresztą prawa twierdzić nic ponad słowa powyższe. Jak to już bowiem wspominałem, byłem w ostatnich czasach zbyt zapracowany i zajęty, aby się zapoznać dokładnie ze wszystkim, co jego dotyczy.

— Tem lepiej dla ciebie, mości budowniczu — zawyrokował Annasz ostro. — Staraj się uwolnić od tej znajomości: oto wszystko, co mogę powiedzieć człowiekowi, który uratował moją córkę. Przyjdzie jednak czas, w którym za drobne to słowo przestrogi wdzięcznym mi pewno będziesz.

— Dziękuję ci, Annaszu, — wyrzekł Łazarz po chwili wahania — dziękuję za dobrą wolę, którą umiem ocenić. Pomimo jednak wdzięczności za nią, proszę, abys mi pozwolił powrócić do mych namiotów.

— Pozostań do jutra przynajmniej — nalegał arcykapłan, jakkolwiek wyraz fizyognomii jego wskazywał jasno, iż postanowienie gościa i jego odjazd przynosi mu prawdziwą ulgę.

— Do jutra więc przyjmuję gościnę pod dachem tym — odparł Łazarz grzecznie.

Gdy tegoż popołudnia budowniczu kierował pracą swych ludzi przy zakładaniu nowego, wzniesić

się mającego, muru, niewolnica Zahary, Rebeka, przechodząc tą stroną, przysunęła się tak blisko, iż szaty jej, przez wiatr poruszane, musnęły nieledwie Łazarza. Jednocześnie dziewczyna poruszyła się śnać nieczęcznie, gdyż srebrny kubek, dzierżony w jej dłoni, zadrżał i zawartość jego wylana została.

Mała podniosła lament głośny.

— Boże!—wołała—wszak to lekarstwo dla mojej pani! Cóż teraz pocznę, nieszczęsna?

Była tak zasmuconą, iż stała bezradnie nad upuszczonym kubkiem. Łazarz więc pochylił się, podnosząc go szybko z ziemi. Z kutego, ładnie wyrabianego srebra, złotem wewnątrz powleczonego, puchar ów napełniony był widać jakimś płynem chłodnym, którego parę kropel zostało tylko. W zamian jednak spostrzegł Łazarz u zawiasek misternie wyrabianej pokrywki kawałek białego wosku, pokryty drobnem pismem. Instynktem wiedziony, ukrył go szybko w dłoni.

Rebeka, narzekając wciąż na wylanie napoju, udawała, że nic nie widzi. Tabliczka wosku, zręcznie odczepiona, zniknęła tymczasem w fałdach szaty łazarzowej. Odsunawszy się od oczu ciekawych, budowniczy przeczytał pismo z gorączkowym pośpiechem i niepokojem. Słowa, zawarte w mowie aramejskiej, brzmiały jak następuje:

„Zerwij kontrakt. Opuść Kafarnaum. O zmroku, podczas następnego sabatu, czekaj w miejscu wiadomem ci, na wybrzeżu jeziora.

Zahara“.

Łazarz spełnił rozkaz bez chwili wahania, bez chwili wątpliwości nawet. Udawszy się nazajutrz do Annasza, przedstawił mu, że, ponieważ stosunki ich wskutek ostatnich wypadków uległy pewnemu przykreemu naprężeniu, może więc milej byłoby dla stron obu, gdyby roboty około willi na inną porę odłożone zostały. Arcykapłan przyjął projekt ten z wynurzeniami żalu, lecz zarazem z widocznym zadowoleniem. Oświadczył nawet, iż gotów jest wynagrodzić budowniczemu straty, jakie by z zerwania kontraktu wyniknąć dla niego mogły.

— Racz w takim razie zapłacić ludziom moim za robotę, dotychczas wykonaną. Wszelkie inne wydatki sam pokryję. Niewiele one wreszcie stanowią, gdyż w zamian za przerwane roboty mam inne zamówienia; wróć też natychmiast do Betanii.

Arcykapłan i budowniczy rozstali się w najuprzejmiejszy sposób. Grzeczność ze strony właściciela willi posuniętą została do tego stopnia, iż słudzy i oficerowie wielkiego kapłana odprowadzili nawet część drogi zarówno Łazarza, jak jego pracowników. Jednocześnie opowiedziano domownikom, że roboty około rozszerzenia pałacyku zostają odłożone, dopóki rodzina Annasza nie opuści Kafarnaum. Budowa bowiem zakłócała spokój i narażała domowników na nieprzewidziane przedtem niewygody.

Łazarz żadnem słowem nie pożegnał Zahary. Nie dowierzał posłom; milczenie też zdawało mu

się rozsądniejszem. Wtedy zresztą, jak i dzisiaj, kobieta zęcznie i z mniejszem niebezpieczeństwem przeprowadzała takie rzeczy. Powrócił też do Betanii milejący, roztargniony, licząc skrycie godziny, dzielące go od spotkania, wyznaczonego przez Zaharę.

Upragniona ta chwila nadeszła wreszcie. Łazarz puścił się w drogę samotnie, w towarzystwie jednego tylko służącego, wiernego Abrahama, który umiał milczeć jak sfinks.

Jakiemi wybiegami potrafiła Zahara wy dostać się z domu, na to ona jedna tylko odpowiedzieć mogła. Przybyła jednak sama, bez żadnej służebnej, bez nikogo zupełnie.

Noc była chmurna i ciemna, tak ciemna, iż Łazarz drżał na myśl, że nawet równie słaba pociecha, jak chwilowe spotkanie z ukochaną, odebrana mu zostanie. Pomylił się jednakże. Na opuszczonem, samotnem wybrzeżu, w miejscu, gdzie Nazarejczyk złożył napół nieżywe dziewczę u stóp jego, dziewczę to, mocą uczucia w kobietę zamienione, stało drżące, lecz duchem dzielne i odważne, czekając na pana swego i władcę.

Spotkali się ze łzami i uśmiechem, z nadzieją i rozpaczą, z całą wreszcie burzą miłości, która przed światem ukrywać się musi. Na razie słów im nawet brakło. Zahara, przestraszona śmiałością własnego czynu, drżała teraz, tuląc się do ramion Łazarza. Każda chwila spotkania tego była zarówno im drogą, jak niebezpieczną.

— Co za szkaradny czas! — wyszeptała wreszcie — Nie przypuszczałam, że będzie ślota. Z drugiej jednak strony, może to lepiej, nikt bowiem nie posądzi mię, abym wyszła podczas takiej niepogody. Ktoby mógł przypuścić nawet, że podczas burzy podobnej opuściła willę? Rebeka strzeże moich komnat, stojąc przy wejściu, aby mię wpuścić, gdy nadejdę. Przybiegłam też na chwilę jedynie i odfruwam zaraz, jak gołąbka, wracająca do klatki. Kocham cię, Łazarzu! Kocham cię i przestrzegam: miej się na baczności przed arcykapłanem, moim ojcem, gdyż on ci zaczyna niedowierzować! A przytem, Łazarzu!... och, Łazarzu! panie mój i władco! Nie gniewaj się na twoją Zaharę, lecz przybiegła ona tutaj, aby cię o jedną jeszcze rzecz prosić...

— Wszystko, co każesz! — wołał w uniesieniu, tuląc do piersi jej drżącą kibić. — Uczynię, najdroższa, wszystko, co każesz. Możesz mną rozporządzać, w imię naszej miłości, w imię szczęścia, jakie mi niesiesz!

— A więc... opuść Nazarejczyka! — wyszeptała Zahara.

Ramiona mężczyzny opadły. Cofnął się o krok w tył, pozostawiając ją samą wśród wzmagającej się nawałnicy.

Pod strumieniem ulewy jednak wyglądała tak wątko, tak delikatnie, iż zdawało się okrucieństwem traktować ją w ten sposób wobec burzy i wszelkich innych następstw, na jakie się wycieczką tą dla

niego naraziła. Dusza też Łazarza rwała się na strzępy w walce wewnętrznej.

— Opuść Nazarejczyka — powtórzyła Zahara żałośnie. — Wyrzeknij Go się, w imię miłości, w imię moje, w imię własnego swego szczęcia...

— Wszystko, byle nie to, Zaharo—jęknął Łazarz. — Uczynię, co każesz, lecz tego nie mogę, jedyna. Nie wystawiaj na próbę duszy człowieka, który kocha cię więcej, niż jakakolwiek kobieta kochaną była na ziemi; nie żądaj od niego tej właśnie rzeczy, gdyż nie ma on mocy spełnić jej, nawet dla ciebie, Zaharo.

— Muszę wracać — rzuciła ponuro. — Wycieczka moja była bezowocną. Naraziłam się na burzę i ciemności nocne, na niebezpieczeństwo samotnej drogi i gniew ojca mego, naraziłam się dla ciebie, Łazarzu; a ty cofasz się w zamian przed drobnem ustępstwem, o które każda niewolnica w Judei, każda najuboższa dziewczyna mogłaby prosić swego ukochanego, pewna, że nie spotka jej odmowa. Żegnaj mi, panie mój; dłuższe bowiem przebywanie z tobą mogłabym zbyt drogo okupić w domu.

Podniosła piękne swe, deszczem zwilżone, ramiona, a Łazarz, pochwyciwszy je, przygarnął ją do serca. Gdyby Zahara okazała była w tej chwili gniew, niezadowolone lub rozkazujące naleganie, mężczyzna zdołałby się oprzeć jej stanowczo; ale ta tklivość niewieścia a smutna była straszną bronią.

— Zaharo! — wołał — Zaharo! Nie mogę ci być posłusznym, a jednak jakżeż mam ci odmówić? Pocałuj mię i naucz zarazem, co mam uczynić. Zabij mnie lub błogosław. Nie mogę bowiem rozdrzeć własnego serca, a nie chcę zasmucać twego! Powiedz, jak mam postąpić.

— To już sam musisz rozstrzygnąć — odparła.

I, rozplótłszy ramiona ruchem tak szybkim, jakim ptak rozwija skrzydła do lotu, Zahara uwolniła się z objęć Łazarza. Za chwilę zaś wysmukła jej postać zniknęła w ciemnościach, biegnąc wśród burzy tą samą drogą, którą tu przyszła.

XVII.

— Panie! — wyszeptał Baruch — Panie! Jam Cię o nic nie prosił, a Ty wszystko dałeś mi w zamian!

Wymówił słowa te tonem pełnym bojaźni i podziwu, lecz tak cichym, jak gdyby zwracał się do istoty, będącej tuż obok niego. Klęczał wciąż przytem z rękoma złożonemi i obliczem ku górze wzniesionem.

Ariella stała przed nim, słodka i jaśniejąca. Usta jej podczas krótkiej modlitwy Barucha roz-

chylał uśmiech rozkoszny; Rachela zaś, ukrywszy twarz w dłoniach, płakała z radości.

Człowiek ślepy od urodzenia mówił tymczasem:

— Matko, ja widzę ciebie! Widzę drogie two rysy. O, pozwól mi patrzeć na nie, dopóki mogę!

W kilka godzin później cud trwał jeszcze w swej mocy. Ciemność, trapiąca przez życie całe oczy biednego kaleki, nie wracała na szczęście. Przeciwnie, z każdą chwilą, odsuwającą go od nocy wieczystej, dawny ślepiec spostrzegał z radością, iż wzrok jego coraz jaśniejszym, coraz silniejszym się staje. Z mglistych obłoków, z plam krwawych, migających mu przed oczyma, z fantastycznych zarysów światła i cieni, zaczęły się wyłaniać coraz wyraźniejsze, stalsze linie. Perspektywiczne pojęcie odległości ustalało się we wrażeniach wzrokowych, a prawa optyczne zaznaczały się w zwykłych swych objawach.

Po pierwszym odurzeniu radości na widok Arielli, po naturalnym wybuchu tklivości wobec matki, głębokie wzruszenie religijne wstrząsnęło pobożną duszą ślepeca. Znaczną też część nocy tej spędził na modlitwie, której obie kobiety nie śmiały przerywać.

— Nie przeszkadzajmy mu — szeptała Rachela ze łzami szczęścia. — Niech czyni według swojej woli. Jest mu ona tak drogą, jak wszystkim mężczyznom, ślepym czy widzącym. Zresztą mo-

dlitwa zaszkodzić mu nie może; przeciwnie, wzrok jego, słaby jeszcze, wzmocni się tymczasem, o ile Bóg pozwoli mu zatrzymać skarb ten na dłużej. Później za to wołałabym, aby spoczął trochę; nie bowiem nie nadweręża tak oczu, jak czuwanie.

— Och, gdybyż Ten, który cudu dokonał, był tu w tej chwili! — szeptała gorąco Ariella. — On jeden powiedziałby nam, co czynić wypada; nie bowiem nie jest Mu obcem.

Gdy niewiasty gawędziły zeicha, Baruch modlił się wciąż gorąco.

Nad ranem dopiero Ariella, osunawszy się na posłanie, zasnęła. Dla chorej, zamkniętej przez długie lata w jednym pokoju i skazanej na ciasny zakres wydarzeń, wypadki dni ostatnich nabierały wstrząsającego znaczenia. Dla wydelikaczonej tej natury posiadały one taką znamionną doniosłość, jak wielkie wojny w historii narodów. Uzdrowienie ślepeca, wieńcząc cud poprzedni, osłupiło nieledwie dwiewieczynę. Wskutek też głębokiego wstrząśnienia i wyczerpania sił spała ciężko a długo.

Matka i syn pozostali razem w dobrze znanej im komnacie. Rachela zdawała się spoglądać na chłopca z uczuciem tygrysicy, strzegącej swego dziecka; Baruch, zatopiony w ekstazie duchowej, nie widział jej wcale.

Patrząc na niego, można było mniemać, iż niezwykle ten człowiek, uleczony z najcięższego na ziemi kalectwa, mniej dba o dar wzroku, nagle odzyskany, niż o stosunek duszy swej do owego

źródła niewyczerpanego miłosierdzia, którego łaski doznał przed chwilą. Był on zbyt przejęty podziwem i wdzięcznością, zarówno dla Boga, jak dla cudownego Uzdrowiciela, aby podziw dla dojrzanych nagle szczegółów świata zewnętrznego mógł oderwać umysł jego od zachwyty religijnego.

— Gdybyś tak przerwał modlitwę i spróbował zdrzemnąć się trochę — podszeptała matka wreszcie. — Odpocząwszy, mógłbyś później tem lepiej modlić się na nowo.

— Rozmowa z Bogiem wzmacnia mnie tylko — odparł Baruch łagodnie. — Słabość oczu ustępuje i czuję w całej istocie mojej taką potęgę, jak gdyby oświeciła mnie siła nieznana. Tę siłę daje mi modlitwa; lecz ponieważ ty jesteś matką mą, zaprzestanę się modlić, aby ci być posłusznym.

I ze słowami temi, dziecięcemi w swej prostocie, Baruch odwrócił się, a złożony głowę na kolanach rodzicielki, zasnął spokojnie. Rachela przesunęła szczupłą swą, spracowaną rękę po kędzierzawych jego włosach i, nie śmiąc poruszyć się, zapatrzona w skarb swój jedyny, siedziała tak do rana. Po licach jej łzy spływały, na usta wybiegał szept, błogosławiący syna. Ta tylko z matek, której Bóg dał dziecię, upośledzone od urodzenia ciężkiem kalectwem, mogłaby zrozumieć uczucia, wstrząsające sercem Racheli.

W domu Malachiasza panował wielki zamęt. Poranek, wzięwszy do pomocy lekki podmuch zefi-

ru, rozwijał właśnie jasny swój sztandar nad światem. Dzień chłodny nadaje większą ruchliwość mieszkańcom Wschodu. Dzięki też orzeźwiającemu powietrzu tłum wcześniej jeszcze niż dni poprzednich zebrał się przed drzwiami faryzejszka. Głuche a nieujęte pogłoski krążyły dokoła. Opowiadano o niezwykłych wypadkach, jakie zająć tu miały w nocy; ponieważ jednak wypadków tych nikt bliżej określić nie umiał, powtarzano więc najsprzeczniejsze domysły.

Zdarzeniem owem nadzwyczajnem stała się, rzecz prosta, ucieczka Arielli. Hahar, jak się okazało, była tu Bogu ducha winna i, najprostoduszniejsza z kobiet pod słońcem, nie o niczem nie wiedziała. Przerażona też, zbudziła Malachiasza o dość późnej godzinie, przerywając mu sen głęboki złowrogą wiadomością, że łóżko Arielli puste, a dziewczyny w całym domu odszukać nie można.

Faryzejszyk zerwał się, klnąc przeraźliwie. Hagar, pobladłszy, łkała tylko. On krzyczał i rozkazywał, ona wdychała, szukając córki w milczeniu. On oskarżał ją o spółudział w wypłatanym sobie figlu, ona przeczyła, przysięgając na Abrahama, Izaaka i Jakóba, klnąc się na dusze proroków i wieżę Dawidową.

Malachiasz wpadł wreszcie w wściekłość, żona zaś rzuciła się przed nim kornie na kolana. Wtedy to zwrócił się ku drzwiom, jak gdyby miał zamiar biedzić na poszukiwanie córki; widok wszakże tł-

mu, zebranego przed domem, powstrzymał go na miejscu.

Napróżno też Hagar błagała przebiegle:

— Idź, panie mój, idź! Bieź w pośpiechu szukać naszego dziecka, gdyż może ją spotkać krzywda jaka. Idź, a niech uszy twe posłyszają, co się stało z Ariellą; inaczej serce, bijące w piersi mej, rozpęknie się z żalu!

— Otóż, kiedy o to prosisz, to właśnie nie pójdę—zaprzeczył cny małżonek z wściekłością. — Dziewczyna może się powiesić nawet, a nie ruszę się stąd i nie zakrzywię dla niej palca.

Wśród tłumu podniósł się tymczasem głośny okrzyk:

— Ariella! Gdzie Ariella? Chcemy wiedzieć, co się dzieje z tą, dla której cud został spełniony. Niech Malachiasz wyjdzie tu zaraz! Niech się pokaże ten dwulicowy faryzeusz, niech zda sprawę z każdego szczegółu!

Zniecierpliwiony, wściekły z gniewu, Malachiasz szarpnął drzwiami i stanął na progu. Rysy jego wzburzone i strój w nieładzie wywołały szederce okrzyki wśród tłumu.

— Biedny człowiek! — zawołał głos ostry. — Przyszliśmy właśnie okazać społeczenie nad nieszczęściem, jakie dom jego dotknęło! Mieć córkę—kalekę, cóż to za klęska!

— I to nieuleczalną, o, moi sąsiedzi, nieuleczalną! — jęczał Malachiasz. — Arielli jest gorzej. Kalectwo jej powiększyło się do tego stopnia, iż

leży biedactwo bezsilne, zgnębione, najsłabsze może ze wszystkich kobiet na świecie. Nie mogę jej nawet czynić wyrzutów, gdyż boję się pogorszyć jej cierpienie. Jest ono tej natury, iż przybiera niekiedy bardzo gwałtowne cechy. Lękam się, że chorobę tę śmierć tylko zdoła zakończyć. Pocieszcie mnie, o, sąsiedzi, litujcie się nade mną, lecz oszczędźcie mi zbyt hałaśliwych oznak waszego społeczenia. Idźcie każdy swą drogą, błagam o to, a pozostawcie dom mój, okryty żalobą, własnemu jego losowi!

W tejże jednak chwili tłum rozstał się, jakby pod uderzeniem iskry elektrycznej. Najgwałtowniejsze głosy ucichły; w powietrzu nie zabrzmiało ani jedno słowo. Lud rozsunał się na prawo i lewo, tworząc wśród ciszy i osłupienia wolne przejście między sobą.

Szpalerem tym, nagle utworzonym, wyprostowana, silna, piękna i uśmiechnięta, szła... Ariella. Za nią postępował Baruch, ślepiec od urodzenia, zwracając ku sąsiadom rozpromienione oblicze i jasne, przytomne a bystre oczy. Rachela, drżąca z radości, towarzyszyła im opodal.

— Patrzenie!—wołała głosem przejmującym. — Patrzenie na syna mego! Urodził się niegdyś tak ciemny, jak mumia, spoczywająca w głębi grobowców egipskich. A jednak niema człowieka w Betanii, któryby lepiej dziś widział od mego Barucha! To Nazarejczyk dokonał tego cudu! Nazarejczyk go uzdrowił! Patrzenie na uleczoną dziewczynę! Patrzenie na mego syna! Wszak przywrócił chłopcu oczy, jakich odmówiła mu natura. Lu-

dzie! Przyjrzyjcie się Baruchowi i Arielli! Ślepiec i kaleka wracają uzdrowieni do życia. Chwała więc Nazarejczykowi! Niech będzie błogosławiony Nazarejczyk!

— *Nazarejczyk! Nazarejczyk!*

Tłum podjął imię to, powtarzając je z okrzykiem, który, rozbrzmiewszy daleko, płynął coraz głośniej wraz z rosą poranną.

— Dokonał on cudu pośród nas, cudu, o jakim nie słyszeliśmy dotąd. Gdzie jest Nazarejczyk? Chwała Mu! Niech będzie błogosławiony! Uwieńczyć Go! Uwieńczyć! Przywołać tutaj! Nazwisko Jezusa z Nazaretu stanie się odtąd czczonem w Betanii całej.

Na pierwszy dźwięk imienia tego, rozbrzmiewającego radośnie, Baruch i Ariella upadli na kolana, by za ocalenie swe zanieść dzięki Jehowie. Zapomnieli o tłumie, zapomnieli o gorących okrzykach, zapomnieli o wszystkim, prócz własnej, zaznanej przez tyle lat niedoli i miłosierdzia, które ich ze szponów nieszczęścia wyrwało tak cudownie.

Lud jednak, kierowany innemi pobudkami, niezdolnym był do równie uroczystego nastroju. Imię też nowego proroka zastąpiono innym okrzykiem:

— Malachiasz! Gdzie Malachiasz, faryzejczyk? Dawajcie go tutaj! Dawajcie wyrodnego ojca, który, przecząc cudowi, dokonanemu na własnej cór-

ce, chce oszukać lud Betanii i Jerozolimy! Melachiasz! Melachiasza chcemy!

I, zanim spokojniejsi zdołali wpłynąć na zapalonych, już wyłamano drzwi mieszkania; odz szukawszy zaś Malachiasza, ukrytego ze strachu za firanką, wywleczono go przed sąd doraźny tłumu.

A zaiste nie był to sąd łagodny.

Lud ciemny, rozbestwiony, szarpał go i pchał na wsze strony; nie mając zaś pod ręką sadzawki, w której mógłby go zanurzyć i spławić, posłał śmielszych po wodę, zalewając nią Malachiasza do utopienia nieledwie. Zmaczany, wyczerpany z sił, niepodobny do boskiego stworzenia, faryzejczyk nie znalazł jeszcze łaski w oczach zbiogowiska. Pochwycono go i zrzucono ze wzgórza, po którym toczył się dopóty, aż, okryty kurzawą, w błoto zamienioną, omal się nie udusił.

Ułagodzeni srogim stanem, w jaki wskutek podobnego traktowania popadł nieszczęśliwy człowiek, postanowili inną dlań karę: Oto, zaniósłszy Malachiasza do domu, ułożyli go w tym okropnym stanie na łóżku i, przywiązawszy tak, że ręką, ani nogą poruszyć nie mógł, naigrawali się jeszcze:

— Leż tu! — wołali. — Leż, dopóki się nie nauczysz, co to znaczy być przykutym do łoża. Leż, dopóki nie oswobodzi cię ta, którą tak strasznie skrzywdziłeś. Jeżeli zaś dziewczyna ma rozum i posłucha naszej rady, to pozostawi cię tu dni kilka, abyś dobrze zapamiętał otrzymaną dziś naukę.

I, nasyciwszy gniew swój, lud rozproszył się, rzucając faryzejczyka na łaskę lub niełaskę kobiet domowych.

Używając po raz pierwszy władzy wzroku, Baruch doznawał wielu ciekawych objawów. Najpospolitsze przedmioty nabierały dla niego rozmia-
rów fenomenalnych.

— Co to za nowy rodzaj człowieka? — pytał, ujrawszy po raz pierwszy jedno z drzew oliwnych, zdobiących obficie Betanię. Widok górskiego szczytu równem go przejął zdumieniem. Była to rzecz, którą wyobrażał sobie w zupełnie odmiennych kształtach. Wobec rozmiarów pustyni judejskiej Baruch oniemiał. Gdy zaś towarzysze, zdumieni długiem jego milczeniem, przybliżyli się wreszcie, znaleźli oblicze dawnego ślepeca zalane łzami.

— To obraz mojego życia — mówił. — To istnienie wszystkich chorych i ociemniałych, to wizerunek niedoli ich i martwoty.

Ujrawszy po raz pierwszy zachód słońca, upadł w zachwycie na kolana:

— Patrzcie! — wołał. — Oto skraj szaty Boga żywego.

Gdy srebrzysty blask pełni księżyca oświecił wzgórze Judei, Baruch poszedł na szczyt góry Oliwnej i przebywał tam sam jeden, przez noc całą, aż do brzasku dnia następnego. Matka, bojąc się pozostawić go własnym siłom, postępowała z początku za nim. Ujrawszy jednak wyraz rozanielenia i zachwytu na jego twarzy, postanowiła nie zakłócać mu godzin samotnej, niebiańskiej ekstazy.

Powróciwszy o świcie do domu, rzekł do Racheli:

— Księżyc to wielka dama wysokiego urodzenia; ziemia też, jak kochanek, czci ją i wielbi zdala. Byłem właśnie świadkiem miłosnych zalotów między nimi.

— Matko, — dodał po chwili namysłu — dlaczego Ariella nie chciała mi towarzyszyć na szczyt góry, choć ją o to prosiłem? Ariella byłaby dla mnie drugim księżycem. Brak mi jej ciągle, ona zaś unika mnie widocznie. Czemu usuwa się od nas?

— Bo z chłopca ociemniałego stałeś się mężczyzną — wyjaśniła Rachel. — Należy ci więc postępować z nią tak, jak to czynią inni młodzieńcy.

— Alboż zrobiłem co złego? — podjął. — Wszak jestem względem niej tem tylko, czem księżyc względem ziemi: czcuję ją i wielbię zdala.

— Nikt jednak nie może traktować w ten sposób żyjącej dziewczyny — oburzyła się Rachel. —

Ariella nie jest niepochwytnym blaskiem księżyca. Ma ona tyle zdrowego rozsądku, ile go niewieście mieć przystoi; wie przeto, że, jeżeli nie może cię posłubić, winna się trzymać zdala od ciebie. Nie jesteście już dzisiaj dwojgiem kalek nieszczęsnych, wyłączonych z pod praw Bożych i ludzkich: ani więc świat wam, ani wy sami sobie nie powinniście ufać, jak dawniej. Cała Betania, nie, cała Jerozolima nawet, bo sława cudu rozeszła się dalej, niż możesz mniemać, wzięłaby was na języki i przez plotki ohydne nauczyła rozumu.

— Dlaczego Ariella nie powiedziała mi tego od razu? — przerwał Baruch naiwnie. — Zamiast być szczerą, objaśniła tylko, że nie ma ochoty wspinać się na górę.

— Tak? Może jeszcze dziewczyna ma pierwsza oświadczać się chłopcu? — śmiała się Rachela dobrodusznie. — Doprawdy, mój synu, pomimo całego cudu, znać często, że byłeś ślepym od urodzenia.

Baruch, oblany ciemnym rumieńcem, zamilkł. Po chwili jednak, nie odstępując od głównego przedmiotu, lecz zmieniając tok rozmowy, dodał nie dbale:

— Nie rozumiem, co to znaczy, że, gdy patrzę na Ariellę, widzę, zamiast jednej, dwie jej postacie. Lewe oko przedstawia mi naszą dawną chorą, biedną, wycieńczoną, szczupłą, leżącą wiecznie na samotnem swem posłaniu. Prawe pokazuje mi nową jej odmianę. Ta druga Ariella, żywa niby iskra, porusza się ciągle, chodzi, skacze, dąży na

przód, jak wodospad, a olśniewa, jak wschód słońca. Gdzie się obróczę, te dwie Arielle stoją ciągle przede mną.

Gdyby Rachela była społeczną, uczoną sawantką, podszeptnęłaby zapewne synowi: „astygmatyzm“, jako wytłumaczenie jego złudzeń wzrokowych. W ówczesnej jednak prostocie ducha umiała go zapewnić tylko, że to podwójne widzenie musi być zapewne częścią cudu.

Nie można było powiedzieć, aby przywiązanie Barucha do Arielli ucierpiało cokolwiek wskutek niezwykłych doświadczeń, przez jakie przechodził. Nie ulega jednak wątpliwości, iż, przez czas pewien przynajmniej, innej natury wzruszenia i dążenia pochłaniały jego uwagę, uszlachetniając wrażliwy charakter chłopca.

Chęć ujrzenia tego, który cudem swym darował mu nowe życie, opanowała w gorączkowy sposób serce Barucha. Po raz też drugi przedsięwziął tę samą podróż, w celu odszukania Chrystusa. Tym razem jednak usiłowania jego nie zostały uwiecznione pomyslnym skutkiem.

Mówiono, że Nazarejczyk udał się do kraju pogańskiego, zwanego Pereą, którego stan oplakany pod względem moralnym stanowił doskonałe pole do szczepienia zasad nowej religii. Czy jednak Rabbi tam się znajdował w danej chwili, czy gdzieindziej, trudno było dociec; dość, że wycieczka Barucha była bezskuteczną.

Zasmucony tem, zaczął nawiedzać stale te miejscowości w Betanii i Jerozolimie, w których

najłatwiej spotkać można było Chrystusa. Stąd to góra Oliwna nabrała dlań takiego uroku. Spędzał też na szczycie jej noc niejedną, tak samotny, jak samotnym był Ten, którego tu szukał. Gdy wszakże jesień nastała i powietrze ochłodziło się znacznie, Rachela zaczęła sprzeciwiać się stanowczo tym niebezpiecznym wycieczkom.

Wola chłopca jednak była niezachwiana.

— O, moja matko! — błagał — nie zatrzymuj mnie! Niech oczy me ujrzą nareszcie Tego, który błogosławieństwem swem uczynił mnie szczęśliwszym od wszystkich ludzi na ziemi.

Jedna Ariella tylko nie nie mówiła. Doświadcziała ona z kolei takiego samego bólu, jaki wstrząsał sercem Barucha nazajutrz po jej uzdrowieniu. Zdawało jej się, iż Baruch ślepy, Baruch ociemniały, więcej dbał o nią, głębiej był do niej przywiązany, że ów wzrok odzyskany nagle odmienił jej dawnego towarzysza niedoli i zabaw dziecięcych. Czy było tak w rzeczy samej? A może tylko kto inny zabrał wybitne miejsce w jego sercu i stał mu się droższym nad nią?

W każdym razie Baruch nie porzucał znanej mu dobrze ścieżki na górę Oliwną, a krocząc nią wytrwale, przez długie tygodnie strzegł miejsca tego czujnie.

Usiłowania jego uwieńczył wreszcie skutek pomysłny.

Pewnej nocy, gdy księżyc już zachodził, a rosa opadała mroźnym nieledwie szronem, Baruch,

stojący na szczycie góry Oliwnej ze wzrokiem wytężonym, ujrzał postać samotną na ścieżce, wiodącej ku wierchołkowi.

Pora była spóźnioną, a stoki wzgórz puste zupełnie. Nikt zresztą nie przerywał nigdy samotnych rozmyślań Barucha w ustronnym tym zakątku; żaden wędrowiec próżniaczy nie zajrzał tu dotychczas. Rozpoznawszy też postać wyniosłą człowieka, który zbliżał się zwolna ku niemu, Baruch doznał gwałtownego wzruszenia, a serce przyspieszonym tętnem nieledwie tamowało mu oddech.

Postać ta, wysmukła i nakazująca, pochylała się w tej chwili ze znużenia, jak gdyby wspinać się pod górę było dla niej ciężkiem zadaniem. Baruch, patrząc na trud jej i mozolne posuwanie się naprzód, czuł gorącą chęć poskoczenia i doprowadzenia jej wyżej. Pragnął pomódz idącemu, okazać mu całą tkliwość, do jakiej serce nasze zdolne jest względem innej, ludzkiej istoty. Stłumił wszakże popęd ten, gdyż nie śmiał okazać jawnie swych uczuć. Pozostał więc na miejscu, dopóki przybyły nie stanął na samym szczycie góry.

Ciemny obłok zakrył jednocześnie tarczę księżyca. Gdy więc spotkali się obaj, gdy Jezus zbliżył się do klęczącego Barucha, oblicze Jego, pochylone nad oczekującym chłopcem, niewidzialne było wśród panującej pomroki.

— Panie, — wyszeptał Baruch — oto wiele już nocy czekałem tutaj, aby Ci nieść dzięki i błogo-

sławić Cię! Dusza też moja raduje się, że przyszedłeś nareszcie.

Nazarejczyk wyciągnął rękę i przesunął ją łagodnie po licach klęczącego człowieka. Ruch ten pełnym był słodyczy i tkiwości.

— Panie!—zawołał Baruch—błagam miłosierdzia Twego o jedną rzecz jeszcze, a będę się czuł najszcześliwszym z ludzi na ziemi.

— Powiedz, czego żadasz — odparł głosem znużonym i równocześnie cofnął się nieco, jakby rozczarowany, że w wyjątkowej tej chwili znów mu przychodzi spotkać się z samolubnym intersem.

— Mistrzu! Pozwól mi raz jeszcze ujrzeć Twe oblicze, abym je wyrył w swem sercu—prosił Baruch kornie.

Promienie księżycy przedarły w tej chwili ciemną zasłonę z chmur, a światło ich oblało jasno rysy, ku którym klęczący podniósł z czcią i ubóstwieniem oczy swe, tak niedawno jeszcze pokryte wieczną nocą.

XVIII.

Zima coraz smutniej roztaczała panowanie swe nad ziemią żydowską. Jesień słotna, bardziej

wilgotna niż zwykle, ustępowała przed wczesnemi przymrozkami. Ubogie chaty ludu, źle przygotowane na zimę, jak to bywa zwykle w krajach gorących, przejęte deszczem, zwracały szare, drżące od chłodu, ściany ku również szaremu krajobrazowi; nagie zaś skały, wzgórze, pozbawione zieleni, i ponury obszar wielkiej pustyni, zdawały się patrzeć smutnie na blade promienie zachodu.

Marta, wdowa po Szymonie Trędowatym, była dziś w złym humorze. Być może, iż niepogoda przyczyniała się do jej niezadowolenia. Nikt bowiem nie zdołał się czuć rzeczywiście wesołym, gdy niebo roztoczy nad nim chmury ołowiane, a wilgoć przejmuje nawskroś. Marta jednak nie przypisywała bynajmniej swego usposobienia wpływom atmosferycznym.

Bo i po cóż tu składać wszystko na powietrze, z którym i tak każdy zgodzić się musi, gdy przyczyną ludzkich trosk i niezadowoleń są najczęściej ludzie? Po co to puste gadanie? Każdy przecież wiedział, że, mając takiego brata, trudno być w dobrym humorze. A przytem ta Marya... Chodzi z miną pogrzebową, jak niemowa po domu, zamiast wziąć się lepiej do trzepania zakurzonych kilimków.

— Trzeba wiedzieć jeszcze, — ciągnęła Marta gwałtownie — że ty nie widzisz nigdy żadnej wady w Łazarzu! Nic też dziwnego, iż, wobec twych wiecznych uwielbiań, jegomość ten ma się za człowieka, który nie zasługuje na żadną naganę. Wszak w domu jest siostra, gotowa zawsze leżeć

u nóg jego. Całe szczęście, że ma dwie siostry...

— Cieszę się, że ja jestem jedną tylko — odparła Marya, z tak lekkim odcieniem sarkazmu, na jaki się zdołała zdobyć jej gołębia natura. — Pozwala mi to bowiem nie kontrolować go, ile razy wychodzi lub wraca. Łazarz jest mężczyzną i ma własne a liczne sprawy, a choć nie dzieli ich ze mną, wierzę, że są dobre i uczciwe. Czyż ta odrobina zaufania względem brata może dziwić kogo?

— Włóczenie się w godzinach nocnych — ciągnęła Marta gniewnie — wstyd tylko przynosi domowi mego męża, nieboszczyka Szymona, który nigdy po wieczery nie opuszczał już żony i progów rodzinnych. Szesnastą noc z rzędu Łazarz wraca o tak niemożliwej porze, że, pomimo wszelkich usiłowań, nie mogę dotrwać na czuwaniu, aby raz rozmówić się z nim porządnie.

— Być może, — przerwała Marta słodko — iż czyni to umyślnie, aby ci oszczędzić trudu rozprawy, równie niemiłej dla siebie.

— Oho, nie jest on taki czuły — odparła Marta pogardliwie, nie odgadując delikatnego przyczynka w słowach siostry. — Zresztą ostatniej nocy słyszałam dobrze, kiedy wracał. Potknął się przecież o garnek z marynowanemi figami i rozbił go, że aż owoc, starannie przeze mnie dobrany, rozleciał się na wszystkie strony. Hałas podobny mógł, jak grzmot niebieski, obudzić nawet umarłego...

Ze meteorologiczna ta przenośnia nie zdawała się Marcie przesadną, znać to było po wyrazie pełnej i pospolitej, lecz ładnej, jej twarzy. Głęboko przeknana o słuszności swoich wywodów, ciągnęła dalej, ze zwykłą pewnością siebie:

— Mówię ci, że była już wtedy pierwsza godzina po północy. Słyszałam przecież sygnał na wieży warowni rzymskiej i zwykły okrzyk strażnika „Wszystko dobrze!“ a potem dopiero Łazarz raczył ukazać godne swe oblicze pod dachem, który dotychczas wszyscy szanować zwykli. Chciałam się właśnie zerwać i roztrząsnąć mu nareszcie sumienie z powodu takiego postępowania, lecz musiał się domyślić, o co chodzi, bo, nie czekając na mnie, zamknął się szybko w swoich komnatach. A dziś, dziś, patrz: znów go niema!

— Nie wiem, co mu ciąży na duszy, lecz pomyśl, Marto, że widocznie ma jakieś zmartwienie — przekładała Marya, westchnawszy smutnie. — Błady jest i mizerny, a tak zeszczupłał, iż doprawdy dawno już nie widziałam brata naszego w podobnym stanie. Czy ze smutkiem zatrzymują się na nim, zmiana ta zaś boli mnie szczerze. Od jakiegoś czasu nic prawie nie jada, a lękam się mocno, że i sen ulatuje w nocy z jego powiek.

— Pewno, że trudno spać, skoro ktoś nie leży w łóżku, lecz włóczy się po mieście — ofuknęła Marta. — Możesz się wreszcie litować nad nim, jeżeli ci się tak podoba! Wiadoma rzecz, że ty na wszystko masz usprawiedliwienie i że wszyst-

kiem społeczujesz. Co do mnie jednak, przyznaję, że postępowanie Łazarza gniewa mnie głęboko.

Po części miała rację: Łazarza w rzeczy samej nie było znów w domu.

Powróciwszy z Kafarnaum, Łazarz czynił przez kilka tygodni wszelkie możliwe wysiłki w celu zapomnienia Zahary. Życ bez niej była to rzecz dla niego niepojęta, a jednak konieczna. Na pogodzenie się też z losem swym zużywał na razie wszystkie siły, w zwykłych warunkach zwracane do pracy. Stąd więc zaniedbał zajęcia swe i obowiązki, które toczyły się już tylko własnym rozmachem, jak kula, rzucona na równy, a pochyły grunt.

Rozstanie się z ukochaną wywarło na Łazarzu wpływ głęboki. Większość mężczyzn w okolicy podobnej marudzi i tęskni nieco; uczucia jednak i namiętna natura Łazarza dochodziła do rozpacz. Śród wybuchów jej zdołałby umrzeć z miłości. Uspokojenia takie zawsze istniały i dziś jeszcze spotykać się dają. Sprawa zresztą wylała się żądaniem, jakie postawiła mu Zahara podczas tajemnego ich spotkania na wybrzeżu jeziora.

— Opuść Nazarejczyka!—mówiła.

Rozkaz ten ciągle brzmiał mu w uszach, powtarzał się tysiąc razy dziennie. Przyjaźń jednakże dla Jezusa odpowiadała zawsze:

— Nie mogę!

— Nie mogę! Niepodobna! — wołały szlachetniejsze uczucia.

Miłość jednak dla Zahary tysiąc razy również próbowała zachwiać niemi.

— Jak jej to powiesz? Jak powiesz, że się jej wyrzekasz? — podszeptowała i, opanowując jego umysłem, dzień i noc prowadziła w nim zaciętą walkę.

— On jest panem mej duszy! — broniła się przyjaźń.

— Ona zaś koroną mego serca! — podszeptowało uczucie.

— Obowiązek nakazuje pozostać Mu wiernym.

— Prawda, lecz przysiągłem miłować ją nad wszystko.

— Nie zaprę Go się nigdy!

— Nie mam siły wyrzec się jej miłości!

— On jest mym Mistrzem!

— A ona panią i królową.

— Muszę być uczciwym względem Niego!

— Musisz być przedewszystkiem wiernym Jej!

W tej walce cichej, lecz zaciętej, siły Łazarza wyczerpywały się coraz bardziej, męska zaś energia, której posiadał wielki zapas, zmniejszała się z dniem każdym. Wraz zaś z mocą ciała dusza, srodze udręczona i na pokuszenie wystawiona, traciła energię i sprężystość woli, niepokonaną przedtem.

Pewnego dnia wreszcie spotkał Zaharę nagle, bez żadnej przestrogi, w jednym z bazarów Jero-

zolimy. Służebne, otaczające ją, stały zdala, ona zaś wraz z Rebeką kupowały materję jedwabną i złotą frędzlę do niej. Lektyka czekała — jak zwykle — u drzwi. Łazarz, który układał się właśnie z właścicielem sklepu o jakieś drobne ozdoby, potrzebne do prac ornamentacyjnych w pałacu Machabeuszów, ujrawszy córę arcykapłana, zbladł gwałtownie. Jak potok wezbrany, którego prądowi nie się oprzeć nie zdoła, tak cała jego miłość, na widok ukochanej, wybuchnęła niepohamowaną potęgą. Z rękoma pełnemi nabywanej tkaniny, pochylony pozornie nad sprawunkiem, zdołał on jednak przybliżyć się do niej, mówiąc szeptem zaledwie dosłyszalnym, lecz niemniej przejmującym i namiętnym:

— Zaharo!

— Wróciliśmy już tutaj, do pałacu—przyniosło mu w zamian technienie lekkie, jak zefir niepochwytne, gdy córka Annaszowa przerzucała niedbale jedwabie błyszczące purpurą.

— Czy zapomniałeś o mnie, Łazarzu? — zabrzmiało jeszcze.

— Nie widząc cię, umieram zwolna—dobiegła ją gorąca odpowiedź.

Śliczne brwi Zahary, tak niepokojąco wyraźne przez welon nawet, podniosły się figlarnie ponad srebrzystą jego tkaninę.

— Każ Rebecę, aby zobaczyła się ze służącym mym Abrahamem — ciągnął Łazarz dalej. — Mam pewien projekt, który w ten sposób muszę przeprowadzić.

Zahara wyprostowała się dumnie. Trwało to jednak bardzo krótko. Ton rozkazujący, przybrany na chwilę przez Łazarza, zaimponował jej, jako wyraz siły męskiej. Głowa też dziewczęcia pochyliła się z pewnym szacunkiem, a usta zostały zamknięte.

Milczenie przerwał głos przekupnia, zwracającego się do córki arcykapłana:

— Może wasza cześć zechce spojrzeć na tę purpurę?—pytał.—Barwa jej przedstawia odcień nowy zupełnie.

Łazarz, drżący cały, pochylił się w milczeniu nad obieraną przez siebie tkaniną. Gdy podniósł oczy, Zahary już nie było. Siadała właśnie do lektyki, nie rzuciwszy mu jednego spojrzenia, nie odwróciwszy się nawet.

Ten odjazd jej szybki, zbyt szybki, podniecił tylko plany Łazarza. Chwila wystarczyła mu na powzięcie śmiałego projektu, który zarówno on, jak Zahara, wykonali później z odwagą i niezwykłym ryzykiem.

Gdy Łazarz pracował przed rokiem w wielkiej świątyni Salomonowej, odwołano go raz zdala od zwykłych robotników, by zasięgnąć rady jego tam, gdzie szczegóły wymagały wielkiej znajomości fachu i mistrzowskiego oka.

Łazarz nie był przecież zwykłym cieślą lub budowniczym. Prace jego wskazywały wybitną inteligencyę, oraz zdolności artystyczne, równe co najmniej architektom, jakich sprowadzał Herod

z Grecyi lub Rzymu. Żądano też, by podjął się konserwacyi świątyni, strzegąc ją od fundamentów aż do wieży marmurowej, od najłżejszych w niej uszkodzeń.

Bystre też jego oko dojrzało natychmiast, iż jedna z kolumn wewnętrznych wychyla się po za linię pionową. Rzeźbiona podstawa jej uległa widocznemu skrzywieniu. Uznawszy słuszność uwagi tej, zarząd świątyni postanowił dopuścić go do podziemi, dla zbadania przyczyny wypadku i natychmiastowego zaradzenia złemu.

Poprowadzono go więc do ciężkich makat i kobierców, zdobiących alkowę, w której arcykapłan przywdziewał zazwyczaj swe szaty duchowne. Jedna z makat tych kryła w zagłębieniu drzwi tajemne, które odsłonięto, i starszy z wyższych stopniem kapłanów świątyni poprowadził Łazarza przez ciemne korytarze, do podziemi, rozciągających się pod głównym korpusem gmachu.

Tu tkwił kamień węgielny, założony niegdyś przez Salomona. Obok znajdował się skarbiec dostępny dla niewielu tylko dygnitarzy kościoła, w jednej zaś ze ścian jego czas wytworzył szczerbę, która, spowodowawszy pochylenie się kolumny, wymagała natychmiastowej naprawy.

Łazarz potrzebował nie tylko rozejrzeć się w robocie, lecz poczynić stosowne wymiary i obliczenia. Kapłan też odszedł, pozostawiając go samego. Wszak można mu było zaufać, gdyż posiadał on przywileje wyższe nad zwykłych budowniczych. Był

przecież Żydem nad Żydami, słynnym faryzejszym zarazem. Polecono mu więc, by, ukończywszy wymiary, powrócił do świętego przybytku drogą wskazaną przedtem.

Zadanie powierzone mu święcie spełnione zostało. Kierując się jednak ku wyjściu przez sklepienie korytarze, Łazarz nie mógł przeszkodzić temu, iż oko jego, z wprawą fachową, ślizgało się przy blasku pochodni cedrowej wzdłuż symetrycznie układanych bloków piaskowca.

W jednym z nich, większym od innych, umieszczonych tuż przy wejściu do zakrystyi, zauważył głęboką osadzoną sztabę bronzową. Łazarz zatrzymał się, a myśląc, co by to znaczyć mogło, próbował zakręcić i popchnąć sztabę.

W tejże chwili wielka płyta kamienna poruszyła się na ukrytych widocznie zawiasach i, cofnąwszy się wewnątrz, odkryła otwór nowy, silny prąd zaś powietrzaomal nie zagasił pochodni Łazarza. Zdumiony, cofnął się najpierw, później jednak ciekawość, właściwa młodości, zwyciężyła; korzystając też z tego, że nikt nie był obecnym, zbliżył się i zajrzał wewnątrz.

Próżnia wszakże nic go nie pouczała. Nie namysławiając się więc długo, zgiał postać wysmukłą i, wszedłszy pod nieznane sklepienie, zwołał zamknął drzwi za sobą.

Tajny korytarz zaczynał się niskim i wąskim przejściem. Po chwili wszakże Łazarz mógł już iść swobodnie wyprostowany. Podziemie nie-

tylko doskonale było utrzymane, lecz wskazywało wyraźnie ślady częstego użycia, biegnąc przytem niżej, niżej, coraz niżej. Awanturniczy młodzian zatrzymał się i namyslał. Dokąd mogło wieść to przejście? Słyszał często szum wody; sklepienia jednak suche były zupełnie. Po wielu wreszcie zakrętach nachylenie nie tylko ustało, lecz korytarz cały zaczął się stopniowo podnosić ku górze, a fala świeżego i chłodnego powietrza uderzyła Łazarza.

Co to znaczyło? dokąd wiodło owo tajne przejście? Czyżby do grobu Dawida? Tysiące przypuszczeń krzyżowały się w głowie Łazarza, gdy z uporem podrażnionej ciekawości piał się coraz mozolniej pod górę. Schody w kamieniu wykute dopomogły mu wreszcie, lecz u szczytu ich nowa płyta piaskowca zagrodziła mu drogę. Był to więc koniec owej starannie strzeżonej tajemnicy. Łazarz zatrzymał się i, odetchnąwszy głęboko, popchnął z całych sił zapórę.

Gojące promienie słońca olśniły go na progu. Był to jednak wynik dłuższego przebywania w ciemności, wejście bowiem do podziemi otaczał cień głęboki. Zieleni i winne grona uśmiechały się zewsząd do Łazarza. Rozsunąwszy je starannie i ostrożnie, znalazł się po kilku krokach wśród tarasu kosztownie utrzymanego. Opodal błyszczała kopuła wspinałej świątyni; naprzeciw wznosił się groźnie pałac arcykapłana Annasza. W jego więc ogrodzie znajdował się śmiałek, przenikający tajniki przejść nieznanych nikomu.

Łazarz zbadał ciekawie drzwi podziemia, starannie ukryte wśród zieleni. Zanotowawszy wprowadzeniem okiem szczegóły położenia ich, cofnął się spokojnie i, zasunawszy płytę, zaczął iść szybko z powrotem, o ile nierówność gruntu na to pozwalała, raz tylko zatrzymawszy się w miejscu, w którym szum pędzącej wody rozlegał się wyraźnie nad jego głową.

Oszołomiony, nie mógł zrozumieć, skąd ta woda wychodzi i dokąd dąży, a jednak, gdyby był podniósł rękę do góry, natrafiłby odrazu na rurę metalową, która ścianką, na palec zaledwie grubą, od niego ją oddzielała. Jeszcze sto sążni mozolnego pięcia się pod górę i tajemny korytarz skończył się nareszcie.

Nieobecności jego nie spostrzeżono, a odkrycie, przypadkiem uczynione, pozostało dla wszystkich tajemnicą. Łazarz zastosował się do tego, zachowując zaś ściśle milczenie, nie wspominał ani słówkiem o przejściu, którego cel tajemny mało go nawet obchodził na razie. Zarówno burzliwy charakter owych czasów, jak autokratyczna władza Sanhedrynu, nie pozwalały się dziwić ni czemu, żadnym środkiem tajnym lub jawnym, przedsiębranym przez książąt Kościoła w celu utrzymania władzy. Czy więc przejście to zbudowaniem zostało w zamiarach modlitwy lub zbrodni, dla ułatwienia ofiar całopalnych, postów ascetycznych i czuwania, lub miłostek występnych, kto mógł powiedzieć? kto odgadnąć?

Łazarz nie znał prawdy i nie myślał dociekać jej nawet. W chwili dopiero spotkania z Zaharą, w owym sklepie bławatnym, tajemnica, przypadkiem zdobyta, przyszła mu nagle na myśl, rozświecając błyskiem, zbliżonym do iskry piorunnej. I gdy Zahara, oblana zorzą rumieńca, pochylała się nad purpurą jedwabiów, gdy mówił jej szeptem namiętnym: „Nie widząc cię, umieram zwolna“, projekt cały zajaśniał mu nagle w umyśle.

Powierzył myśl całą słudze swemu, Abrahamowi, Zahara zaś przypuściła do tajemnicy Rebece. Wysłañcy spotkali się i porozumieli. Abraham odkrył całe położenie Rebecy, ta zaś zaniósła opowieść swej pani. Siódmego wieczora po owem spotkaniu w bazarze kochankowie zeszli się w podziemiach, łączących świątynię z pałacem arcykapłana.

Aby ułatwić dokonanie śmiałego tego czynu, Łazarz musiał napowrót rozpocząć roboty w przybytku Salomonowym. Ponieważ usługi jego były tu zawsze pożądane, powrót więc do przerwanego zajęcia nie przedstawiał zbyt trudności. Nie tak już łatwo było dostać się, wobec całej starszyny, do strzeżonych tajemnic świątyni. Pozornem jednak poszanowaniem dla nich zdołał Łazarz i tutaj przełamać wszelkie zapory.

Przedstawiwszy bowiem, iż samotna praca w podziemiach, do której nie chciano, aby dopuszczał swych ludzi, lepiej pod nieobecność ich zostanie dokonana, uzyskał wstęp pod sklepienia przejść

podziemnych jeszcze przed zapadnięciem cieni wieczornych.

Znalazłszy się raz na dole korytarza, do którego drzwi kapłani sami mu otworzyli, pozostawiając porę odwrotu do jego woli, Łazarz odsunął przedko płytę kamienną i, dostawszy się w przejście tajemne, zamknął ją szybko za sobą. Teraz dopiero, z sercem bijącym z gwałtownego pośpiechu, biegł naprzód, wciąż naprzód, aż zdołał osiągnąć owych schodów z piaskowca i drzwi u drugiego końca korytarza.

Gdy zapora ta odsunięta została, młodzian rozgarnął ostrożnie zwoje winogrodu—co było znakiem z góry umówionym—i wysunął rękę, którą ujęły delikatne paluszki Zahary.

Łazarz i Zahara byli nareszcie sami.

On podniósł lampkę kościelną, by popatrzeć na rysy jej, by upoić się cudną jej pięknnością, jak człowiek oszalały z miłości. Zahara, choć blada trochę, wśród ponurego otoczenia, jaśniała podwójnym blaskiem.

— Zaharo! Świetlana! Jasna! — wołał Łazarz w zachwycie. — Czy wiesz, że dla słodczy ust twoich stawiam dziś życie na kartę?

— A ja dla spotkania cię daję wolność w zakład!—odparła z dumą słodką.

I, złączeni uściskiem, zamilkli.

Spotkali się z uniesieniem, z zachwytem, a zostali szybko i szczęśliwie. Zahara i Rebecka wróciły bezpiecznie do pałacu, Łazarz i Abraham każdy

inną drogą, dostali się również do domu. Wszystko poszło tak łatwo, jak bieg czołna na rwącym potoku. Nic nie przeszkadzało zakochanym, nic nie zaniepokoiło ich nawet. Wycieczka też, tak szczegółliwie pomyślana, powtórzoną została i — powtarzaną była następnie niejednego jeszcze wieczora.

Spotkania takie musiały być z konieczności krótkie i dorywcze. Gdy jednak słodyczy ich nie nie przyszło zamącić, zaczęły się one przedłużać w sposób nierozsądny i niebezpieczny. Łazarz czuł się ciągle zawieszony między niebem a piekłem. Niebem była mu jej obecność, piekłem przymusowa utrata.

Zahara w zamian upajała się czarem spotkań, których nie zakłócały żadne obawy. Dziewczyna stworzona była do szerszego życia, niż ramy więzienne nieledwie, w jakich wschodnie prawa i obyczaje kazały jej się zamykać. Ani zaś charakter jej, ani zdolności nie mogły ujawnić się.

Zamknięta zawsze i pozbawiona zarówno wolnej woli, jak prawa do wszelkiej inicjatywy, Zahara przyjęła z zachwytem projekt schadzek.

Niebezpieczeństwo ich podniecało ją tylko.

Gdy jednak, po kilku spotkaniach, oswoili się wreszcie z rozkoszą wzajemnej obecności, zaczęli prowadzić ciche rozmowy.

Zaiste, dziwna to była scena i dziwne otoczenie do gawędki takiej.

Ponure i wilgotne podziemia otaczały ich ciemnią, w której wątle światło latarki, przyniesio-

nej przez młodziana, rzucało dzikie, fantastyczne błyski na oblicza ich blade, nacechowane zachwytem i trwogą: trwogą, bo, bądź-co-bądź, słuch ich, wydelikacony niebezpieczeństwem, w ciągłym był natężeniu, by pochwycić każdy szmer po za odgłosem gorącego bicia ich sere. Niezwykłym, więc przerażającym nieledwie, zdawało się miejsce, w którym Łazarz i Zahara mogli po raz pierwszy w życiu rozmawiać swobodnie.

Nasyciwszy się czarem czysto osobistych szczegółów, Zahara przeszła szybko do kwestyi, która zawładnęła przez czas ten umysłami tysięcy, nabierając ogólnego a doniosłego znaczenia. Życie bowiem i nauki Nazarejczyka były dziś źródłem powszechnego podniecenia, podstawą licznych przyjaźni i nieprzyjaźni, sprawą, gorączkującą mieszkańców całej Judei.

Wstręt Zahary, zarówno do nowego Proroka, jak do zasad przez Niego głoszonych, zdawał się niezłomnym; ruch zaś, przez niego wywołany, zwiększał jeszcze to uczucie. Przedstawicielka książęcej krwi kapłanów, podlegała instynktownej wzdargdzie, jaką żywią zawsze wysoko urodzeni dla plebsu, wydelikaceni przez cywilizację dla nieokrzesanych prostaków, konserwatywni dla postępowców; wzdargdzie, odczuwanej przez Sanhedryn dla Reformatora, przez kler dla swobody religijnej, wzdargdzie kobiety pięknej i wyniosłej dla rzeczy, którą ją umyślnie nauczono lekceważyć.

Wobec więc uczuć tych nic dziwnego, iż żądała od Łazarza jednej tylko rzeczy: oto stanow-

czego odstąpienia owego ruchu religijnego, oraz zaparcia się niebezpiecznego jego Przewodnika.

— Czyż przez miłość dla ciebie nie dość się okazałem niewiernym względem Niego? — pytał Łazarz smutnie. — W imię twego rozkazu, nie widziałem się z Nim dawniej, niżbym to mógł wyznać nawet. Niewdzięczność moja w tym razie jest tak wielka, iż człowiek, którego ty kochasz, powinien wstydzić się. Zaharo, podobnej nizkości uczuć. Codzień też przyrzekam sobie, że pójdę zobaczyć i przebłagać Jezusa. Dzień ten jednak upływa bezcelowo na oczekiwaniu wieczora, w którym, całując ciebie, zapominam o Nim i o świecie całym, najdroższa moja!

Uznanie władzy takiej schlebiało niewieściej dumie Zahary. Pomimo to jednak nie straciła z oczu raz postawionego żądania.

— Wszystko to bardzo dobre,—mówiła z przymleniem—dopóki ja tu jestem. Nie chcę wszakże, abyś później nawet stał się ofiarą i pośmiewiskiem. Ty nie należysz, nie możesz należeć do ciemnego, pospolitego motłochu, byś, jak dziecko lub zabobonna białogłowa, dał się uwodzić sztuczkom.

Napróżno przemawiał Łazarz do jej rozsądku, napróżno tłumaczył Zaharze rzeczywistą istotę nauk swego wielkiego Przyjaciela. Gdy mówił o Jego skromności i prostocie, o szczerości i tkliwości uczuć, gdy wynosił spólcucie dla nędzy i niedoli, lub nadludzki nieledwie brak samolubstwa, Zahara, w braku argumentów, zamykała jego usta gorącym

pocałunkiem. Gdy opowiadał o cudach, dokonanych przez potężnego Rabbi, Zahara podnosiła śliczny łuk brwi czarnych z wymownem niedowierzaniem. Gdy zdawał jej sprawę z uleceń, dokonanych w wiosce, z uleczenia sparaliżowanej dziewczyny i chłopca ślepego od urodzenia, ona, zamiast widzieć w tem pierwiastek mocy Bożej, utrzymywała z lekceważeniem, iż takie zdumiewające kuracyste nieraz się spotykają.

Widząc, że żadne dowodzenie nie trafia do jej serca, Łazarz spróbował przypomnieć własny jej dług wdzięczności, zaciągnięty względem Tego, który wśród burzy uratował życie jej, na jeziorze Genezaret. Zahara wszakże uśmiechnęła się tylko chłodno, w sposób wytworny i dystyngowany, a żywo przypominający jej ojca. Uśmiech ten zaś, pomimo całego jego uroku, zmroził dalsze słowa na ustach Łazarza.

— Więc czegoż chcesz? — zawołał pewnego wieczora w rozpaczem uniesieniu.— Czego żądasz? Jakiż mam złożyć dowód na stwierdzenie wiarygodności słów mych, czem przekonać cię o prawdziwości faktów, o cudownej sile i potędze Tego, którego ja wielbię, a ty potępiasz, którego chciałbym naśladować, gdy ty odrzucasz Go z lekceważeniem? Zaharo, serca nasze zgodnem biją tętnem; dlaczegoż więc umysły mają się rozdwajać? Czemu zasmucasz miłość mą tym uporem wzgardliwym? Powiedz, jakiej wymagasz próby dla uwierzenia w Niego i we mnie? Jakich dowodów, dla ocenie-

nia świętej i poświęcającej się natury tego Człowieka?

— Próby? Dowodów? — zaśmiała się szyderczo. — Ha, jeżeli w oczach mych wskrzesi umarłego, jeżeli przywróci mu życie, wtedy — kto wie — może uwierzę!

— Zaharo! — jęknął Łazarz. — Żądasz rzeczy niemożliwych, rzeczy niebywałych w naturze. Jakżeż Nazarejczyk zdziałać je może?

Latarnia zagasła w tej chwili, a Zahara uczepiła się ramion jego z czarownym ruchem przymilenia i przestachu.

Wtem głos stłumiony dobiegł ich w umówiony sposób od tarasu. Był to Abraham, który jednocześnie zbliżył się do otworu.

— Rebeka przestrzega, — mówił szybko — iż w pałacu szukają księżniczki. Sam arcykapłan każe przywołać córkę do siebie.

Kochankowie, drżąc z przestachu, odsunęli drzwi i wyszli śmiało na świeże powietrze. Zwoje winogradu kryły ich na szczęście zupełnie. Przerażeni, z wstrzymanym oddechem, nasłuchiwali czas pewien, chcąc odgadnąć, jakiej natury niebezpieczeństwo może im grozić na razie.



XIX.

Dom Malachiasza, faryzejczyka, rozbrzmiewał wesołą zabawą. Ludność Betanii śpieszyła ponownie w jego progi, gotowa przebaczyć chętnie skandal dla uczty, złą zaś kreskę na opinii dla tańca i wesołej biesiady.

Niemalą uroczystość była do tego powodem; Malachiasz obchodził zaślubiny jedynej swej córki, Arielli.

Jak się odbyły kroki przedwstępne w celu skutecznego małżeństwa między Ariellą a Baruchem, tego nikt dokładnie nie wiedział, chociaż rzecz cała żywo interesowała kumoszki miejscowe. Mały świątek Betanii dowiedział się dopiero o projektach młodej pary w dniu jej zaręczyn, które, według przyjętego zwyczaju, odbyły się nader uroczysto w terminie sześciu tygodni przed dniem przeznaczonym na zaślubiny.

Malachiasz był przebiegłym człowiekiem, spostrzegłszy też, iż grozi mu głęboka niepopularność ze strony ludności miejscowej, postanowił nie tylko poddać się stopniowo nowym warunkom, lecz nawet poddaniu temu nadał cechy wyjątkowej szczerości. Wszak musiał coś zrobić, aby się zrehabilitować w oczach znajomych i sąsiadów; inaczej powaga jego przepadłaby na zawsze. Dziś już czynsz dzierżawny, jak pobrał, malał coraz bardziej.

Plotkarze oczerniali go, że jest twardym, surowym, uboga więc ludność bała się mieszkać u niego.

Stan taki dalej trwać nie powinien i nie może.

Aby mu zaradzić, Malachiasz uczynił rachunek sumienia, a raczej, nie zwierając się nikomu, zsumował wszystkie okoliczności, rozważył szczegóły i—o dziwo!—nie sprzeciwiał się odtąd zupełnie, ku wielkiemu zdumieniu Hagary, poufałej przyjaciźni, jaka utrzymywała się coraz więcej między Ariellą a Baruchem.

Nie sprzeciwiał się, lecz w zamian udawał, że nie wie o wzajemnych ich uczuciach, że nie widzi nawet, do czego one dążą. Traktował przytem sercowej sprawy swej jedynaczki z tak zimną obojętnością, iż każda inna córka na miejscu Arielli czułaby się tem dotkniętą do żywego. Na szczęście jednak, długie lata kalectwa kazały jej się oswoić z obojętnością ojca, mniej więc odczuwała ją w tej chwili.

Gdy Hagar oznajmiła nieśmiało pewnego wieczora mężowi, iż Baruch oświadczył się formalnie o rękę Arielli, Malachiasz odparł wzgardliwie:

— Ależ i owszem! Dziewczyna ta była wieczną zawadą w domu; odkąd zaś czarownik ów zbuntował ją przeciw własnej rodzinie, stosunek pogorszył się jeszcze. Jeżeli więc chce poślubić podobnego żebraka, krępować jej nie myślę. Przeciwnie, zadowolony będę, że się jej pozbędziemy nareszcie.

O ile jednak zezwolenie ojca łatwo otrzymało, o tyle trudno było określić, kiedy zakochani dosięgli punktu zwrotnego, w którym przyszło im na myśl, by eteryczne i idealne swe uczucia uwieńczyć małżeństwem. Dręcząc się i uszczęśliwiając nawzajem, stopniowem cofaniem lub ujawnianiem uczucia dobiegli wreszcie do granic, u których duchowy ten kaprys przybierał stalsze cechy. Dobiegli... nie, raczej doprowadzeni zostali. Los bowiem narzucił sam tym sercom idealnym zwykłe koleje miłości ziemskiej.

Małżeństwo było przez czas długi rzeczą tak niepraktykowaną, tak niedostępną wobec ich kalektwa, iż w końcu stało się przedmiotem najmniej pożądanym przez nich w życiu.

Odzyskanie najprostszych ludzkich zdolności i najwyższego skarbu zarazem, za jaki należy uważać bezcenny dar wzroku, oraz władzę poruszania się dowolnego, osiągnięcie tych nieznanych im warunków szczęścia, były już radością, wobec której nie istniały inne pragnienia dla Barucha i Arielli.

Nowe życie, otwierające się odtąd przed nimi, było samo w sobie rajem, wobec którego nie pragnęli na razie wyższych upojeń.

Poczucie zdrowia, rozkoszne obrazy świata zewnętrznego, spóźniona wreszcie świadomość, iż nie gorsi są już dzisiaj od reszty ludzi, że i dla nich, jak dla wszystkich stworzeń Bożych, zajaśniał dzień szczęścia, oto był dla nich najmilszy w tej chwili owoc na drzewie życia.

Zwolna dopiero, po upojeniach radości, przychodziła świadomość złego i dobrego, która wskazywała im, iż, złączwszy szczęście swe razem, czynią je trwalszem i bezpieczniejszem. Pojęcie to ujawniło się w ów sposób łagodny i nieokreślony, który miłość natur wytwornych zdobi we wszystkie delikatne, tęczowe blaski opalu; gdy to samo uczucie u charakterów gwałtowniejszych najeżone bywa nieraz burzliwemi starciami, niweczącemi całą jego radość i cały urok cudny.

Tak, czy inaczej, dość, że nieświadomie, bezwiednie, z uniesień poetycznych przeszli na zwykłą drogę ludzkich tradycji i zwyczajów, zamieniając miłość swą w szczęście uświęcone prawem.

Zaślubiny Arielli były ważnem zdarzeniem w wiosce betańskiej. Malachiasz, uniesiony dumą, postanowił uroczystość tę przybrać w jak najwspanialsze formy i żądał, by odbyła się z możliwą wystawnością. Hagar, znająca męża, przypuszczała, nie bez słuszności może, iż chodzi mu tu głównie o upokorzenie przyszłego zięcia; Baruch bowiem, jako zupełnie ubogi, nie mógł przedstawić równych mu bogactw. Jako kaleka przytem przez długie lata, nie mógł on, wskutek dotychczasowej ślepoty, wyrobić sobie żadnego chlebobojnego zajęcia. Dziś dopiero, dzięki odzyskanemu wzrokowi, wziął się do wyrabiania instrumentów muzycznych, co, przy wykształconym jego słuchu i delikatnych palcach, zdawało się zapowiadać dostateczne powodzenie.

Pomimo więc niezamożności pana młodego, wesele Arielli odbyło z wielką wystawnością. Diewczę zniosło narzucone sobie ceremonie ze zwykłą słodyczą i prostotą, błyszcząc wśród tłumnego zebrania przeczystym urokiem kwiatu białego. Piękność jej, podniesiona strojem ulubienicy, stała się bardziej jeszcze nieziemską, bardziej niebiańską.

Patrzac na tę bladą, wysmukłą, poważną pannę młodą, zebrani doznawali mimowolnego uczucia szacunku, a najbardziej prostackie języki, które — niestety — na weselach ówczesnych odznaczały się często niezwykłą swobodą, wobec niej nakładały hamulec na koncepty swe i żarty podejrzaney natury.

— Doprawdy,—mówiła Marta, wdowa po Szymonie trędownatym—małżeństwo tych dwojga bliźniąt w niedoli wydaje mi się zaślubinami duchów nieledwie. Wesele wygląda tu na wskrzeszenie umarłych.

— Zdaje się być radosnem zmartwychwstaniem—to zapewne chciałaś powiedzieć?—poprawiła Marya ze słodkim uśmiechem.

Baruch tymczasem doznawał dziwnego wrażenia. Tłum gwarny, radosny, śmiechy i żarty, śpiewy, muzyka i taniec, cały ruch uczt weselnej, wprowadzały go w świat przedtem nieznanym a czarodziejski. Strojne kobiety wydawały mu się uroczemi rusałkami, uprzejmi, zabawą rozochoceń, mężczyźni przedstawicielami innej rasy, niż ta, którą znał dotychczas.

Mieszało go i zawstydzalo, iż, będąc główną przyczyną całej uroczystości, nie umiał się dostroić do niej, że ton zabawy i wesela obcym mu był zupełnie. Zamiast też czynnego udziału, jaki mu brać należało, siedział cichy i milczący, niby widz, który nie śmie przewodzić zabawie.

A jednak ten gwar radosny czynił na nim miłe wrażenie. Wszak Święci nawet odczuwają pewną przyjemność, patrząc na uśmiechnięte oblicza i rozradowanie ludzkie. Rysy też Barucha opromieniło ciche zadowolenie. Słyszał przytem obok siebie delikatny oddech Arielli, mógł ująć jawnie jej rękę, mógł patrzeć wobec wszystkich na śliczną twarzyczkę, upajając się duchową, poetyczną jej pięknoscia; żadne oczy, przyuczone do światła, oswojone z widokiem cudów natury, nie zdolne były ocenić tak, jak on, czaru tej bladej, poważnej oblubienicy.

I w śnie uroczym, w wizyi nadziemskiej nieledwie, Baruch poprowadził ją z domu ojców pod dach swój własny. Orszak, towarzyszący państwu młodym, wił się wśród drożyny wiejskiej, jak łańcuch malowniczy, spleciony z ogniów barwnych. Gałązki mirtu zdobiły głowy zebranych, w zieleń przystrojony był dom matki, która czekała na nowożeńców.

Kwiaty więc i wszędzie kwiaty witały ich u progu życia. Kwiaty, na jakie tylko zdobyć się mogła Betania, sypano im pod nogi, kwiaty balsamiczną wonią przejmowały dokoła powietrze. Dzwon-

ki brzmiały przytem radośnie, a śpiewacy zawodzili słodkie pieśni miłosne.

Strojni chłopcy niesli, zamiast pochodni, na wysokich laskach umocowane, ozdobnie rzeźbione, lampy, w których palił się olej, zaprawny wonnościami wschodnimi. Płomień lamp tych, ruchliwy, nierówny, rzucał fantastyczne blaski na śmiejące się oblicza, na szaty bogate i wężowe, szybkie ruchy wirujących postaci.

— Ta oblubienica to chyba kto inny; niepodobna, abym ja nią była—myślała Ariella.

Zdawało jej się, iż wśród tryumfalnego pochodu potknie się lada chwila i padnie na dawne swe łożo boleści, że sen ten rozkoszny skończyć się musi, by pograżyć ją w poprzedniej niedoli. I widziała już przed sobą twarde, wązkie tapczan, będący dziewięcioletnim grobem jej młodości, i słyszała jęki bólu, łkanie, rozrywające serce, z jakim bezsilna, złamana, budziła się z marzeń rozkosznych do dawnego istnienia, które było nieledwie śmiercią.

— Ten człowiek rozradowany, szczęśliwy, to nie ja, lecz kto inny — mówił Baruch jednocześnie.

I, chcąc sprawdzić rzecz, która mu się wydawała nadzwyczajną, zwracał się do Arielli, jako do słowa zagadki, do głównego źródła upojen dzisiejszych.

Długie, jasne jej włosy, wznosząc się aureolą nad czołem, spływały złotemi promieniami na ramiona. Welon z przejrzystej, biało-srebrnej tkani-

ny, jak obłok delikatny, otaczał jej rysy, odsłaniając szyję białą, na której lśnił łańcuch cenny. Klejnot ten poruszał się z każdym oddechem, podnoszącym jej pierś, a białe ręce i ramiona drżały od tłumionego wzruszenia.

Baruch, oczarowany, lecz niepewny zarazem, powtarzał w duchu:

— Gdy tylko głowę odwrócę, ciemność zakryje wszystko przed memi oczyma, a jasny obraz ten rozwieje się na zawsze. Próżno będę wyteżał bezwładne źrenice; ból palący stanie się jedynym dobrem, jakie potrafię pozyskać. Wszak takim był skutek wszelkich wysiłków, czynionych przez długie lata w celu przeniknięcia nocy wiecznej, jaka mnie otaczała. Noc ta ujmie mię napowrót w swe okowy, a chłopię bezrozumne będzie mię znów oprowadzało po drogach smutnych i piaszczystych.

Gdy jednak chłopię to, Enoch, który go niegdyś doprowadził do Mistrza, wysunawszy się na czoło orszaku, stanęło na głowie, podnosząc stopą gałąź mirtową, Baruch, porwany mimowoli komizmem figla, zapomniał o czarnych swych przecuciach, wierząc już w rzeczywistość odzyskanego wzroku. Pochwycił rękę Arielli, tuląc ją z uczuciem zwykłych kochanków, od których różnił się tylko głęboką wiarą w Boga i Jego wszechpotęgę, oraz wdzięcznością za radość ziemską, zesłaną im przez niebo.

Śród szczęścia Arielli i Barucha tkwił jeden cierń tylko. Była nim nieobecność wielkiego Dobroczyńcy, który niedolę ich życia błogosławieństwem Swem zamienił w hymn szczęścia. Zajmował On tak wybitne miejsce wśród marzeń ich i uczuć, iż obecność Jego byłaby, uświetniając uroczystość weselną, nadała jej charakter namaszczonej świętości, byłaby uwieczniła ją w sercach ich i pamięci.

Ariella sądziła nawet, że właśnie ów Rabbi cudotwórca powinien połączyć ich wiecznymi słubami. Gdy jednak nie można Go było odnaleźć, musiała się pogodzić z myślą, iż kto inny pobłogosławi związek jej z Baruchem.

Nazarejczyk przebiegał tymczasem wioski odległe, a w ślad za Nim szły klątwy i błogosławieństwo, podejrzenia i wiara, zawiść i uwielbienie. Obok szczupłej garstki przyjaciół, towarzyszył Mu tłum ciekawy a zmienny, towarzyszyła wżgarda wpływowych przewodników społeczeństwa, nienawiść i szpiegostwo kapłanów żydowskich, prześladowania możliwych i kupeczących wszystkim na ziemi. Na tle zaś uczuć tych szły również za Nim łyzy radości i wdzięczne uśmiechy chorych i ubogich, kalek i nieszczęśliwych, wzgardzonych, prześladowanych i opuszczonych.

Rabbi pracował w tej chwili dla chwały swego Ojca, jak zwykł się wyrażać. Być może, iż większość idących za Nim tłumów nie pojmowała nawet tych słów dziwnych, dotyczących się mistyczne-

go życia przyszłości, które dla nich, przywiązanych do chwili obecnej, zdawało się czemś niezrozumiałem. Najlepiej przygotowaną do odczucia ich była właśnie ta para kalek, o umyśle wydelikacowanym przez długotrwałe cierpienie i wyobraźni dość bujnej a szlachetnej, by wytworzyć pojęcie rzeczy oderwanych.

Zrozumienie jednak wielkiego posłannictwa Tego Człowieka było i z ich strony nader ograniczone a ciasne. Rzeczą najbardziej wzruszającą, najbardziej rozrywającą serce była ta właśnie straszna, gnębiąca samotność Tego, którego najbliższy przyjaciel nawet nie umiał ocenić, ani pojąć.

Gdy orszak weselny zbliżał się do domu obłubieńca, od strony Jerozolimy ukazała się postać samotnego wędrowca, który, na widok strojnej drużyny, zatrzymał się nagle i przystanął w miejscu. Stary zwyczaj żydowski nakazywał każdemu, kto spotka na drodze swej pochód weselny lub pogrzebowy, by, zawróciwszy, przyłączył się do idących. Etykieta ówczesna wymagała, aby, zarówno przyjaciel, jak człowiek obcy zupełnie, posłuszny był tej pięknej tradycji, odziedziczonej po pradziadach.

Stanął więc ów wędrowiec samotny i patrzył na zbliżających się ku niemu. Rysy jego wskazywały zarówno znużenie, wywołane długą podróżą, jak gwałtowną potrzebę spoczynku. W porównaniu ze strojną, rozbawioną drużyną, zdawał się być podwójnie samotny i opuszczony. Poważne oblicze przyćmiewał wyraz zmęczenia, ruch zaś, z jakim

zwrócił głowę, by objąć weselącą się gromadkę serdecznem spojrzeniem życzliwości, dziwnie był smutny i wzruszający.

Spostrzegłszy, iż nie dojrzano Go dotąd, cofnął się w cień drzew figowych, a ukryty za pniami ich, zaczekał, dopóki orszak cały nie minął Go z wolna.

Teraz dopiero wyszedł z ukrycia i, nieśmiało, przez nikogo niespostrzeżony, samotny wśród tłumu nawet, szedł za drużyną na samym jej końcu, nie zdradzając żadnym ruchem, żadnem słowem obecności Swej, tak gorąco tu pożądanej.

Był to—Nazarejczyk.

Gdy Ariella dotknęła nogą progu męzowskiego domu, wtedy ręka Tego, który szczęście jej zgotał, podniosła się z cichem, milczącym błogosławieństwem.

Gdy Łazarz i Zahara, zaalarmowani głosem niewolnika, opuścili szybko podziemne przejście świątyni, w pobliżu, oprócz Abrahama, nie było widać nikogo. Uspokojony tem, mężczyzna zasunął płytę i, ręką wprawną już, naciągnął na nią bujne zwoje winogrodu.

Noc była bardzo ciemna.

Deszcz gruby, ziarnisty, bił o liście winne, a spadając z jednego na drugi, uderzał w delikat-

na twarzyczkę Zahary, która, cofnąwszy się, stała pod przezroczą tą osłoną i, drżąc zarówno z zimna, jak ze wzruszeń przed chwilą doznanych, nie śmiała posunąć się dalej, z obawy, czy jej tam co złego nie spotka.

Łazarz tymczasem, zamieniwszy szeptem słów kilka z Abrahamem, zwrócił się szybko ku ukończonej:

— Zaharo droga moja,—mówił — niema wątpliwości, musimy się rozstać natychmiast. Wracaj jaknajszybciej do pałacu swego ojca. Rebeka czeka cię na górnym tarasie. Idź, ja pójdę za tobą zdala, by, nie narażając cię, zobaczyć jednak, czy dojdiesz bezpiecznie do miejsca, w którym stoi służebna.

Rozstali się wreszcie. Każde z nich czuło, choć lękało się wypowiedzieć, że spotkanie stać się może ostatniem. Odwracając też lica, rozdzielili się szybko, idąc każde w swoją drogę.

Łazarz i Abraham pobiegli wzdłuż tarasu, kryjąc się starannie w cieniu drzew, dopóki tylko obawa odkrycia grozić im mogła. Gdy wszelkie niebezpieczeństwo minęło wreszcie, budowniczy odprawił służbę i kazał mu wracać do domu drogą zwykłą, sam zaś schował się w klombach ogrodowych, śledząc z natężoną uwagą pałac i wspaniałe jego otoczenie.

Z początku nie mógł dojrzeć, ciemność bowiem zalegała wszystko, a deszcz nawalny bił w oczy prosto. Nagle światło zajaśniało u przed-

sionka i zwróciło się w stronę ogrodu. Był to błysk jednej tylko pochodni, szybko na rozkaz czyjś zgaszonej, lecz błysk ten pozwolił Łazarzowi dojrzeć wyniosłą postać arcykapłana, któremu towarzyszyła straż zbrojna.

Annasz osobiście przeszukał ogród.

Łazarz, odróżniając z ukrycia swego głosu, nie mógł pochwycić słów. Imię jednak Zahary nie zostało wymówione, a postaci jej nie zdołał dojrzeć nigdzie. Niepokój też trawiący sprawiał mu istne męczarnie.

Wtem, na wilgotnym tarasie pałacu, rozległo się echo lekkich a szybkich kroków, wśród ciemności zaś dały się rozróżnić jasne fałdy, niewieściej widocznie, szaty. Piskliwy głos Rebeki zatrzymał równocześnie kapłana:

— O, panie! — wołała — niosę wieści! Znalazłam panią, znalazłam Zaharę! Sen zmorzył ją widać niespodzianie, gdyż śpi głęboko na kanapce przyległej do zwykłych jej pokoiów. Nie zapalono tam światła i dlatego nie spostrzegłam odrazu, że panienka spoczywa, ukryta za franką. Niech wasza cześć przebaczy mą nieuwagę i raczy wracać do pałacu, gdzie obudzona Zahara czeka już na twe rozkazy.

Pochodnia zabłysła napowrót. Arcykapłan, rozgniewany widocznie, zamiast udać się wprost do domu, raz jeszcze obszedł ogród dokoła. Zdawało się nawet Łazarzowi, iż zatrzymał się, dłużej niż gdziekolwiek, u wejścia do podziemi tajemnych,

oglądając zwoje winogradu, rozpięte na płycie kamiennej. Czy tak było w rzeczy samej, nie chciał i nie śmiał przesądzać.

Korzystając tylko z ciemności, która mu ułatwiała ucieczkę, wydostał się na gościniec, biegnący około ogrodu. Niepostrzeżony zaś szczęśliwie przez nikogo, krążąc po ścieżkach mniej znanych, minął wzgórze i dolinę, by, znużony, przemoknięty, wyczerpany z sił, odetchnąć wreszcie swobodniej na progu własnego domu.

Niebezpieczeństwo minęło na razie. Skutki jednak dzisiejszego alarmu i zauważona zbyt długa nieobecność Zahary mogły wywoływać na przyszłość poważne obawy. Łazarz też, przez wzgląd na Zaharę, nie chciał narażać jej na nową schadzke, dopóki podejrzenia, jeżeli arcykapłan zdołał je powziąć, nie będą w umyśle jego przez czas zatarte.

Zakochani więc żyli zupełnie rozdzieleni, jedynie słów kilka, przesłanych niekiedy za pośrednictwem niewolników, stanowiło łącznik między nimi.

Zima roztoczyła tymczasem panowanie swe nad światem. Zahara, zatrzymana dobrowolnie czy też rozkazem ojca w pałacu, nie pokazywała się wcale poza jego murami. Stan ten wydawał się Łazarzowi gorszym od śmierci. Pobladł i wychudł, stając się podobnym więcej do widma, niż do młodzieńca. Zrozpaczony, posłał jej wreszcie tabliczkę, na której było wyryte:

— *Umrę, nie widząc ciebie!*

W odpowiedzi otrzymał skrawek papyrusu, a na nim te tylko słowa:

— *Żyj dla Zahary!*

XX.

Zima zbliżała się ku końcowi. W czasie tym który według dzisiejszego kalendarza odpowiadał pierwszym dniom lutego, przejście podziemne, łączące świątynię Salomona z pałacem Annasza, stało się świadkiem wstrząsającej sceny.

Wobec tęsknoty zakochanej pary, wobec zniecierpliwienia, z jakim znosiła rozdział przymusu, uciekły ostrożność i rozważa, wywołane poprzednią nauką. Ułożywszy też wszystko za pośrednictwem Abrahama i Rebeki, którzy w całej tej sprawie byli tylko ślepem a posłusznym narzędziem swych chlebobawców, Łazarz i Zahara postanowili zejść się ponownie w miejscu, obranem dawniej na schadzki.

Dzień wyznaczony i godzina upragniona przez nich nadeszły wreszcie. Dostać się dziś do tajnego wejścia świątyni było rzeczą łatwiejszą i trudniejszą zarazem, niż to Łazarz przypuszczał. Mnóstwo kapłanów zapełniało święty przybytek, bystre zaś oczy ich miały baczyć nad każdym ru-

chem zebranych. Budowniczy więc musiał, upatrując długo stosownej sposobności, w lot ją pochwyć.

Przez czas jakiś zdawało mu się nawet, iż jeden z kapłanów śledzi go wyłącznie, że, wskutek otrzymanego z góry rozkazu, poświęca mu całą uwagę i na chwilę nie spuszcza go z oka. Wrażenie to jednak rozwiane zostało, gdy lewita, rozmawiający właśnie z Łazarzem, przerwał nagle gawędkę i, przepraszając, że musi odejść, gdyż przywołują go na chwilę do ołtarza, przyrzekł, iż, po oddaniu żądanej przysługi, wróci natychmiast.

Nie trzeba chyba dodawać, że Łazarz przez czas ten zdążył zniknąć niepostrzeżenie.

Czy jednak kapłan, wracając, nie rzucił okiem na makatę, kryjącą drzwi tajemne, i czy nie dojrzał, iż drżała ona jeszcze lekko, jak rzecz niedawno wprawiona w ruch, tego Łazarz, zagłębiający się w podziemia, nie mógł wiedzieć, ani odgadnąć.

Zniecierpliwiony zwłoka, śpieszył on przejsciem tajemnym, czując, iż godzina wyznaczona na spotkanie minąć już musiała. Spóźnił się nieco, pomimo to zaś, gdy dosięgnął drugiego krańca korytarza, nikogo tu jeszcze nie zastał. Ciemność i cisza panowały dokoła. Noc była ponura i mroźna nieledwie, lecz, na szczęście, pogodna. Liście winogradu, zwarzone szronem, nie okrywały już tak szczelnie, jak latem, kamiennej płyty wchodowej.

Łazarz nie śmiał zawołać. Szarpany niepokojem, drżący, nasłuchiwał tylko, wstrzymując nieledwie oddech. Gorączka ta zamieniła się w radość upajającą, gdy uszu jego dobiegło delikatne, niepochwytne prawie stapanie. Równocześnie dwa szepoty skrzyżowały się w powietrzu:

— Zaharo!

— Łazarzu!

W tejże chwili pochwycił ją w ramiona.

O czem mówią zakochani po trzymiesięcznem niewidzeniu, wobec groźby wykrycia, hańby i śmierci? O czem? Kto na to odpowie? Słowa zresztą wydawały się w tej chwili Łazarzowi dźwiękiem tak czczym i niepotrzebnym, jak niepotrzebną była rosa, spadająca ze szczytu sklepienia na ich głowy, zbliżone ku sobie.

Rosa? Skąd podobna obfitość jej w noc mroźną, zimową? Zestawienie to ciekawem by być mogło, gdyby mu Łazarz poświęcił chwilę uwagi. Czyż miał jednak, przy tak dawno upragnionem spotkaniu z ukochaną kobietą, roztrząsać rzeczy podobne, zastanawiać się nad kroplami, sączonemi przez sklepienie? Nie; myśl ta, ani żadna inna, nie mogłaby zaprzętać mu głowy. Ciemność zresztą panowała dokoła.

Ostrożność nakazała mu nie przynosić tym razem lampki; kochankowie więc, chcąc rozpoznać rysy własne, musieli, na wzór ociemniałych, dotykać ich palcami.

Dreszcz nagły wstrząsnął Łazarzem.

— Spotykamy się, jak umarli, w grobie niedwie—wyszeptał z trwogą zabobonna.

— Lica twe zapadły; zeszczuplałeś, panie mój drogi — ubolewała Zahara żałośnie. — Czuję to pod dłonią. Mój Boże, ty bledniesz, mizerniejesz, umierasz zwolna, a ja nie poradzić ci nie mogę!

— Stokroć lepsza śmierć nad życie bez ciebie, Zaharo!—wołał zwątpiały.

— Nie, ukochany. Nie trzeba tak mówić, nie trzeba tracić odwagi; tyś mężczyzna przecież. Nabierz otuchy.

— Przysięgam na pamięć raju, przysięgam w imię pierwszych naszych rodziców, że nie chcę ani umrzeć dla ciebie, ani żyć bez ciebie, że chcę i muszę zdobyć cię za żonę, że potrafię przełamać wszelkie, dzielące nas zapory.

— Przełamać? Ale w jaki sposób? — pytała nieśmiało.

Zahara nie wierzyła w cud podobny, lecz nie mniej męska śmiałość Łazarza więcej jej się podobała, niż poprzednie słowa. Kochająca kobieta zastąpiła dumną księżniczkę; nie przecząc też, drżąca i spłoszona, tuliła się w milczeniu do jego piersi.

— W jaki sposób? — powtórzył z uniesieniem. — Pozostaje nam jedna tylko droga, Zaharo; droga, na którą musisz się zgodzić, jeżeli mnie kochasz tak, jak winna kochać kobieta tego, któremu chce ślubować wiarę i jako prawa małżonka być

uległą całe życie. Musisz porzucić dom ojca swego, a pójść za mną!

— Ale dokąd? Dokąd pójść? — pytała z charakterystycznym poczuciem warunków rzeczywistych.

Że była głęboko zakochaną, temu nikt nie mógł zaprzeczyć. Miłość jednak godziła się u niej z usposobieniem praktycznym, z góry obliczającym wszelkie możliwości.

Największa nawet radość, najrozkoszniejsze upojenie nie odbierały jej pamięci. Krew księżca, krew ludzi rządzących wszystkim na zimno, upominała się o swe prawa. Tuląc się więc w uniesieniu do ukochanego, obliczała jeszcze, a rozumując, wskazywała przeszkody.

— Zerwij ze wszystkim: — błagał Łazarz — z pałacem, z ojcem, z przeszłością, ze światem całym! Porzuć przywileje, w imię miłości. Zaharo przyjmij mój dom i moje progi ubogie, przyjmij życie, jakie ofiarować ci może twój mąż i niewolnik zarazem.

— Powiedz mi, co przez życie to rozumiesz, jak je urządzisz? Powiedz, czego chcesz właściwie ode mnie? — broniło się dziewczę jeszcze.

— Porzuć przekłętą a niedorzeczne wierzenia, które nas dzielą — nalegał coraz silniej. — Przyjdź śmiało, jawnie, do mnie i wyznaj wobec świata całego: „Chcę odtąd wyznawać wiarę swego męża, czcić, co on czci, a potępiać, co on potępia!“ Odezwij się od tego dwulicowego tłumy, od świątyni

kapłanów i ciemnego, posłusznego im ludu. Wzmocnieni potęgą lepszych zasad, zaczniemy nowe, skromniejsze życie. Przyłączymy się do najlepszego, najszlachetniejszego człowieka w Judei i, jako Jego wyznawcy, szanowani a wolni, opuścimy te miejsca, by udać się do innego kraju.

— Nie rozumiem cię—przerwała Zahara, usuwając się nagle z objąć Łazarza.

— O, ukochana, błagam gorąco—nie igraj ze mną! Wszak mówię jasno i wyraźnie... Niema innej drogi szczęścia dla ciebie i dla mnie, niema sposobu połączenia naszych przyszłości. Jeżeli pozostaniesz w świecie swego ojca, arcykapłana, jeżeli pozostaniesz wierną świątyni naszej, Sanhedrynowi, stanowisku i wierze, w której się urodziłaś wtedy staniesz się dla mnie niedostępną na równi ze słońcem wznoszącą się na niebie. Wszak wiesz o tem sama, Zaharo! Jak dziś spotykamy się pod powierzchnią ziemi tylko, spotykamy z niebezpieczeństwa dla twojej dobrej sławy, a mego życia, tak i miłość nasza może w dotychczasowych warunkach pełzać tajemnymi drogami jedynie, kryć się z ujmą dla czci i duszy, ze wstydem, którego tchnienie serca obezwładni i zabije!

— Zaharo, — ciągnął po chwili — zerwijmy z temi hańbiącymi pozorami! Bądź odważniejsza, bądź dzielna, jak przystało niewieście, i zejdź jawnie na drogę, po której mąż twój będzie miał prawo iść uczciwie, z dumnie podniesioną głową. Jestem zamożnym człowiekiem, nie lękaj się więc, abyś, przyuczona do zbytku i bogactw, miała za-

znać braku kiedykolwiek. Pójdź ze mną, Zaharo! Chodź tam, gdzie ludzie, szanując mnie, uszanują ciebie i miłość naszą zarazem. Chodź ze mną do nowego życia, nowych nadziei, nowej wiary, nowych czynów i nowego, a nieznanego ci szczęścia!...

— Które każe zapewne, abym Nazarejczykowi miano Mistrza dawała?—przerwał mu głos ostry, szydery.

Ręce jej, oplatające szyję ukochanego, opadły, główka odwróciła się zimno, a postać cała, zeszywniawszy, wyprostowała się wyniosło.

Trwało to chwilę tylko. Nagle bowiem za drżała, naprężone mięśnie jej zwolniały, z piersi wyrwało się głuche łkanie.

Jednocześnie szmer, straszny dla obojga, doszedł nareszcie uszu zakochanej, a głębokiem wzruszeniem wstrząsanej, pary.

Nie był to już odgłos kropli, sączących się wolno ze sklepienia, nie echo łapek szczurzych, lub szelest jakiegokolwiek innego stworzenia, które, zamieszkując w podziemiu, dzieliło ich los obecnie. Nie, szmer ten wskazywał wyraźnie posuwającą się zwolna rękę ludzką. Płyta kamienna, kryjąca wejścia do podziemi poruszoną została z zewnątrz.

— Ukryj się, ukryj, Zaharo! — rozkazał Łazarz syczącym szeptem trwogi śmiertelnej.—Śpiesz w dół korytarza i wciśnij się w kątek najciemniejszy, aby cię oko ludzkie dojrzeć nie mogło. Gdyby

weszli ze światłem, nie spuść ze mnie wzroku, uważaj na znak każdy; sama jednak nie pokazuj się, nie poruszaj nawet. A teraz, bądź zdrowa i—niech cię Bóg strzeże!

Znając samowolny charakter Zahary, nie był pewny, czy posłucha jego słów. Tymczasem, ku zdumieniu Łazarza, dziewczę odwróciło się i co tchu zniknęło w głębi ciemnego przejścia.

Łazarz stał w miejscu, patrząc z pozornym spokojem na odsuwającą się zwolna płytę wchodową. Był bezbronny.

— Muszę czekać wyroku, jak bezradna niewiasta, lub jak tchórz bezduszny — myślał z gorącością.

Blade światło gwiazd zabłysło u wejścia. Działano tak cicho, z taką ostrożnością, iż rozsuwane gałązki zdawały się nie szeleścić nawet. Prąd tylko świeżego, nocnego powietrza wskazywał, że otwór zupełnie odsłonił się.

Na tle jego widać było ciemną postać strażnika, który ostrożnie zaglądał wewnątrz. Po za nim odcinała się inna jeszcze sylwetka, podobna w zarysach do owego lewity, odwołanego tak w porę, podczas dzisiejszej rozmowy z Łazarzem w świątyni.

Budowniczy ani drgnął nawet. U wejścia słychać było szepty. Naradzano się widocznie, poczem lewita i strażnik cofnęli się, w otworze zaś, zajaśniało jaskrawe światło pochodni. Suchy szelest gałęzi rozległ się równocześnie pod śmiałymi, silnymi

krokami, a wyniosła i groźna postać arcykapłana zarysowała się u wejścia.

Łazarz, stojący tuż przy stopniach wchodowych, ani o krok się nie cofnął. Chciał on stawić sam czoło niebezpieczeństwu, odwracając w ten sposób uwagę od Zahary.

Wielki dostojnik synagogi i młodzieniec, złąpany w samotrzask, stanęli oko w oko, patrząc na siebie przez chwilę w milczeniu.

Obaj byli trupio bladzi: jeden z wściekłości, jaka nim wstrząsała, drugi z poczucia śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Pomimo to, żaden nie stracił panowania nad sobą.

Arcykapłan przemówił pierwszy:

— Racz przebaczyć, panie budowniczy, śmiałość, z jaką pozwolę sobie zapytać, co cię upoważniło do przestąpienia progów, złączonych z wielkim przybytkiem Jehowy, a świętych nawet dla nas, Jego sług i kapłanów? Powód musiał być bardzo ważny, skoro skłonił człowieka, uczciwego i honorowego na pozór, do zgwałcenia tajemnicy, którą dziki syn pustyni umiałby uszanować zapewne.

— Przyczyna, jaka mnie tu przywiodła, nie przynosi ujmy honorowi memu — objaśnił Łazarz spokojnie.—Tłumaczyć jej nie będę; w danych bowiem okolicznościach słowa moje nie znalazłyby wiary w oczach waszych.

— Słuszna uwaga—szydził Annasz zjadliwie.— Czy jednak ponad nią nic nie masz do powiedzenia na swoją obronę?

— Proszę tylko,—odparł Łazarz tonem mniej dumnym, a pełnym usilnego nalegania — proszę i błagam, w imię przyczyn najświętszych, które, Annaszu, umiałbyś sam uszanować, gdybym je mógł wyjawić, proszę i błagam, aby mi pozwolono oddalić się w spokoju i wyjść z podziemia od strony świątyni. Daję słowo uczciwego człowieka, iż stawię się sam w pałacu i poddam się wszelkiemu sądowi, jeżeli tylko wolno mi będzie opuścić to miejsce swobodnie i bez zwracania niczyjej uwagi.

— Słowo człowieka, zakradającego się w sposób szpiegowski, słabą jest rękojmią — zabrzmiał lodowaty głos arcykapłana.—Trudno też żądać nawet, abym przystał na podobną propozycję.

— Jestem w twojej mocy — przyznał Łazarz, pochylając się nisko.

Dalsze wyrazy zamarły mu na ustach, gdyż zdawało się, iż posłyszał lekki szelest, którym Zahara mogła była zdradzić swą obecność. Wstrzymał więc oddech z trwogą śmiertelną w duszy. Na szczęście jednak, nie dała znaku życia nawet.

Poza promienną linią światła, rzucanego przez pochodnię, czarna przestrzeń korytarza odcinała się, jak paszcza niezgłębiona a ponura.

— Jestem w twojej mocy — powtórzył Łazarz.

— A ja nie waham się jej użyć—brzmiała zimna i groźna odpowiedź arcykapłana.

— Strażnicy, do mnie! — rozkazał, a zwracając się do uwięzionego, dodał: — Jakikolwiek jest powód, sprowadzający cię tutaj, mój panie ex-budowniczy, zasłużył on zawsze na karę, która cię nie minie. Czy myślisz, — wybuchnął Annasz, odrzucając nagle przybrany ton lodowatego spokoju i panowania nad sobą — czy myślisz, że nie znam prawdziwej przyczyny wstrętnego twego czynu? Sądziłeś może, że jestem zdziecinniałym, dobrodusznym starcem, ślepym na honor własnego domu i niedbałym o dobrą sławę jedynej córki? Przypuszczałeś, że nie odgadłem nیکezemnych, skandalicznych twych zamiarów?, że nie miałem dość bystrości, aby odkryć, iż święte a tajemne przejścia świątyni zamieniono na miejsce schadzek bezwstydných? Mniemałeś, że nie poznaję w tobie, ty, psie faryzejski, uwodziciela córki wielkiego kapłana Syonu?!

— Przysięgam na imię Jehowy, czczone zarówno przez świeckich, jak kapłanów, przez saduceusza i faryzejczyka, — wołał Łazarz namiętnie— przysięgam, iż nieskazitelnej czci tej najczystszej, najlepszej z kobiet tego kraju, kosztem życia własnego bronić będę! Biorę was za świadków, was, strażnicy wielkiego kapłana, iż, chociaż bezbronny, wyzywam jednak na śmiertelną walkę tego, który wyrzekł równie nیکezemne słowa przeciw dobrej sławie Zahary.

I, doprowadzony do szaleństwa własną bezsilnością, zaslepiiony gniewem, Łazarz, ulegając roz-

pacznemu popędowi krwi młodej, rzucił się na swego dręczyciela.

Ruch jego nieobliczony, dziki a beznadziejny zarazem, spotkał się z szyderskim śmiechem Annasza. Cichy rozkaz, szybkie poruszenie i zgrzyt zapadającej płyty zmieszały się razem, a nastąpiły tak chyżo, iż Łazarz, poskoczywszy, oparł się tylko pięściami o zaporę kamienną, którą mu tuż przed nosem zatrzaśnięto.

Kilka jeszcze wściekłych uderzeń, którym odpowiadał głuchy łoskot, i Łazarz przekonał się z gryzącą rozpaczą, iż, zatarasowawszy wejście na zewnątrz, zamknięto go wraz z Zaharą, nie zostawiając im żadnej drogi ratunku, żadnego sposobu wydostania się na wolność.

Napróżno wycęgał wszystkie swe siły, by wstrząsnąć olbrzymim kamieniem, napróżno próbował wyważyć go mocą swych ramion i szarpał umieszczony w pośrodku pierścień brązowy. Szyderczy, zjadliwy śmiech był jedyną odpowiedzią; poczem kroki oddalały się, aż echo ich zamarło w przestrzeni, a Łazarz pozostał sam jeden. Nie, nie sam przecież.

— Zaharo!—wołał w rozpacz. —Zaharo!

Nie było żadnej odpowiedzi.

— O, Boże ojców mych, co się stało? Gdzie jesteś, ukochana?

I, ze śmiercią w duszy, zaczął jej szukać, dotykając wśród ciemności rękoma i stopami każdego zakątka w podziemiu. Schodząc dopiero ku dołu-

wi, potknął się nagle o coś, a dłoń jego pochwyciła równocześnie skraj jej szaty. Pochylił się i z czcią najwyższą przesunął palce przez jej lica.

— Zaharo, ukochana! To ja, ja, twój Łazarz! Wszak ty żyjesz, nie umarłaś przecie? O, czemuż Bóg postawił mnie na twojej drodze?! Gdyby nie ja, byłabyś teraz pod dachem swego ojca!

Nigdy jeszcze Łazarz nie wyrzucał tak sobie uczucia, jakim zdołał natchnąć dzielne to dziewczę. Zahara, wciśnięta w najciaśniejszy kącik, stała pogrążona w jakimś stanie osłupienia, a wsparta tylko na dłoniach, które trzymały się nerwowo wilgotnych kamieni.

Łazarz, otoczywszy ją ramieniem, jedną z rącek tych odciągnął i, po serdecznem ucałowaniu, spróbował rozgrzać na własnych piersiach. Dziewczę, zbudzone tym ruchem, westchnęło i zaczęło mówić coś niezrozumiale. Splątane jej słowa tyczyły się widocznie łączy u Heroda i szat, jakie jej Rebeka miała przygotować. Wołała też nawet, aby służebna przyszła ją ubrać.

— Jehowo! Wskaż, co mam czynić! — jęknął Łazarz. — Ona widać straciła rozum!

Żadna kobieta, w złocie i purpurze wychowana, nie zniosłaby bez głębszego wstrząśnienia sceny podobnej. Ponura ciemność otoczenia, wilgotna przejmująca, mogilna, niebezpieczeństwo życia, żące ukochanemu, okrutne wreszcie słowa ojca — wszystko to, jak trucizna śmiertelna a odurzająca, uderzyło jej do głowy.

Wzruszony stanem podobnym, Łazarz czuł jednak, iż nie może tracić czasu na oznaki tliwości lub niepokoju. Jedyłą jego nadzieją w tej chwili było zdobyć przejście przez świątynię. Czy mu je przyjdzie wywalczyć, czy przekupi kapłanów lub zmusi do puszczenia ich,—z tego nie zdawał sobie sprawy; wiedział tylko, iż ostatnia to droga ratunku, ostatnia, którą Zahara na świat zewnętrzny dostać się może.

Nie zatrzymując się też dla ocucenia, a raczej dla doprowadzenia do przytomności, dziewczyny, pochwycił ją w ramiona, a śpiesząc, o ile ciężar drogi i wątle siły jego pozwalały, biegł wązkiem podziemiem w kierunku potężnej świątyni.

Brutalny ten mimowoli, szalony i rozpaczny pochód przywrócił zmysły Zaharze. Zsuwanie się ku dołowi zaczynało być niebezpieczne; czuła to instynktownie, a jednak nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje.

— Gdzie my jesteśmy, Łazarzu?—pytała głosem niepewnym.—Czyżby w grobie?

— Nie, jedyna, nie; ale chodź za mną. Oprzyj się na mem ramieniu bo tu ślizko, ot tak, blisko siebie, o ile przestrzeń na to pozwala. Ostrożnie tylko! Biegniemy do świątyni. Może w pobliżu ołtarza nie ośmiela się nas zatrzymać.

— Ale ja słyszę szum wody. Co to znaczy? Może to śmierć się zbliża?

— Niema żadnego szumu — zapewniał Łazarz.— Przestrach ogłuszył cię i przeraził.

Zejsście tymczasem stawało się coraz bardziej strome, wilgotne kamienie coraz bardziej ślizkie. Bez towarzystwa [kobiety nawet przejście było tu zawsze trudne i ciężkie dla Łazarza. Nieraz potykał się i upadał w tem miejscu, a ręce jego i nogi nosiły dotychczas blizny i ślady potłuczeń. W miejscu właśnie, gdzie podziemie zagłębiało się najniżej, by, przeszedłszy pod doliną, zakończyć się wyjściem po drugiej stronie świątyni, Zahara zatrzymała się nagle, a chwytając ramię Łazarza, zawołała z trwogą:

— Czy i teraz jeszcze nie słyszysz szumu wody? Ależ my zbliżamy się widocznie do rzeki.

Łazarz jednak, który, przechodząc tędy, słyszał zawsze szmer pędzącego strumienia, próbował ją uspokoić.

— To nie, najdroższa. Woda jest ponad nami. Suchą nogą przejdiesz do samej świątyni. Zbierz siły tylko i nie trać ducha, nie trać odwagi.

Nie pocieszał jej tak, jakby serce jego pragnęło, gdyż nie miał na to czasu. Szarpała nim głucha obawa, aby nie zamknięto drzwi drugich. Przyspieszał więc kroku, pociągając Zaharę, która usiłowała zdążyć za nim.

W tejże chwili jednak noga jego zapadła w wodę [powyżej sandała. Zatrzymał się przerażony. Stali, nasłuchując; on, dla dodania otuchy, otoczył jej kibić opiekuńczem ramieniem, ona, znużona, oparła główkę na jego piersi. Uszy dzie-

wzęcia nie zostały w błąd wprowadzone. Szum wody dawał się słyszeć w rzeczy samej, stawał się coraz wyraźniejszy, coraz bliższy.

Byli wprawdzie pod powierzchnią doliny, lecz Łazarzowi zdawało się, iż dwadzieścia stóp za ledwo dzieli ich od wyjścia, od drzwi świątyni. Wyobrażał sobie, że dochodzi ich spokojny oddech śpiącej stolicy—trudno mu więc było uwierzyć, że szelest ten to zdradliwy plusk wody. Pochylił się i cofnął natychmiast, po chwili rozwagi zaś zaczerpnął dłonią i spróbował kropel kilku.

— Zimna, jak śniegi Libanu— wyszeptał sam do siebie.

— Co się stało? — pytała Zahara. — Czemu nie idziemy naprzód? Łazarzu, tak mi chłodno! Taka jestem znużona! Czy daleko jeszcze do świątyni?

Plusk, silniejszy niż dotąd, zaczął się zamieniać w szum i łoskot fali, spadającej z góry. Z ust Zahary wybiegł okrzyk przerażenia.

— Powódź! — zawołała. — Powódź! Fala się podnosi i nas dosięga! Już jest blisko, już ją czuję!

Łazarz milczał.

Zgnębiony, niezdolny był dać żadnej odpowiedzi. Potworność tego położenia bez wyjścia odebrała mu na razie całą siłę, całą stanowczość męską i bystrość umysłu. Należało iść na dół, a tymczasem tam woda piętrzyła się coraz wyżej. Po-

chylił się i, naśladując Zaharę, wyciągnął rękę przed siebie; czubki palców, a następnie dłoń cała oblaną została przez prąd wody zimnej, rwącej, która równocześnie, zanim zstąpili ze stopni, dosięgła nóg ich, podnosząc się wyżej, coraz wyżej...

Łazarz stracił głowę zupełnie; polecivszy też Zaharze, aby się nie ruszała z miejsca, sam poskoczył niżej i śmiało rzucił się w fale. Noga osunęła mu się na pierwszym już schodzie i nagle znalazł się w wodzie po pas... po ramiona. Prąd lodowaty, przejmując go do kości, ciągnął na dół coraz bardziej, porywał i unosił, a ciemność podnosiła grozę położenia.

Teraz dopiero przyszło mu na myśl, iż zalew ten był wynikiem piekielnego planu, uknutego przez arcykapłana, był wyrokiem śmierci dla nich obojga. Chciano ich zabić, zabić tajemnie w ten sposób okrutny.

— Zaharo, tonę!—zawołał, dobywając sił ostatnich.—Ratuj mię, Zaharo!

Kobieta, jak to zwykle bywa w takich razach, prędszej, niż on, odzyskała przytomność. Cofnąwszy się jeszcze o parę stopni, odwiązała szybko pyszny, na ośm stóp długi, szal swój, sprowadzony ze słynnej fabryki w Damaszku, i, stojąc po kostki w wodzie, zawołała donośnie:

— Łazarzu ukochany, baczność! Rzucam ci koniec szala! Jeżeli go pochwycisz, jesteś uratowany!

Lekki plusk wskazał jednocześnie miejsce, w którym cieniutka, lecz mocna, tkanina uderzyła

o wodę. Tonący ostatnim wysiłkiem sił i woli dopłynął do szala, czepiając się brzegu jego sztywniejącymi już palcami.

Zahara, wsparta o ścianę, ciągnęła ten zaimprovizowany pas ratunkowy z siłą, jakiej miłość i rozpacz tylko mogły użyć jej muskułom. Wkrótce też Łazarz znalazł się u jej stóp, tak, iż zdołała go pochwycić za ramię i podnieść.

Z dwojga nieszczęsnych skazańców ona jedna posiadała teraz bystrość sądu i siłę fizyczną, wzmożoną poczuciem niebezpieczeństwa. Łazarz był wyczerpany i zgnębiony.

— Musimy uciekać, cofać się i to jaknajszybciej—mówiła.—Inaczej fala nas zaleje.

Woda gotowała się za nimi z piekielnem jakimś wrzieniem. Prąd gnał ich coraz wyżej, a wznosząc się, lizał wciąż uciekające ich stopy. Czyniło to zarówno schody, jak i grunt gliniasty, z każdą chwilą bardziej ślizkami, bardziej zdradliwymi. Pędząc tak, jak się pędzi dla uratowania życia, jak się ucieka ze szponów śmierci, potknęli się i upadli oboje. Ogłuszeni, nie mogli podnieść się odrazu; na rękach więc i nogach, na czworakach, biegli dalej, zmoczeni, bezsilni, umierający z trwogi i wycieńczenia.

Zatrzymawszy się dla pochwycenia oddechu, usłyszeli wzmagający się łoskot wody. Szum jej złowieszczy był już tuż — tuż, już ich dosięgał. Świadomość tej śmierci niechybnej dodała siły obojgu, rozpatrz otrzeźwiła ich. Podnieśli się

i z trwogą konania w duszy zaczęli znów biedz na przód.

Wodospad jednak, który z góry staczał się widocznie i wszystko obejmował swym pędem, wznosił się za nimi, okrutny, nieubłagany, z wściekłością żywiołu niosącego zagładę! Tulili się do siebie. Żadne nie zdołało przemówić słowa. Łazarz wreszeie, wskutek lodowatej kąpieli zapewne, zaczął pierwszy tracić siły.

Podniecona tem Zahara, ująwszy go za rękę, ciągnęła przemocą za sobą. Z kolei chwyciła obie jego dłonie i, przysiadając na stopniach, w skale wykutych, dla nabrania tchu, unosiła omdlałe ciało ukochanego, ratując go od fali, ogarniającej ich zewsząd, pędzącej za nimi z wściekłą, nieubłaganą zaciętością.

I jej moc wreszeie wyczerpaną została. Szumiąc, wirując z sykiem głuchym, woda otoczyła ich i dognała. Echo dzikiego łoskotu obwieściło równocześnie, iż całe dolne podziemie zalaniem zostało.

Teraz Zaharze zabrakło tchu i sił zarazem. Odwaga ją opuściła. A tymczasem poza szeregami schodów, przebytych z mozołem, wznosiło się strome, gładkie już przejście, po którym należało pisać się pod górę.

Ta nowa trudność raz jeszcze oprzytomniła Łazarza. Pojawszy położenie, próbował, pomimo potykania się, biedz z nią, jeżeli to chwiejne, nierówne posuwanie się naprzód biegiem nazwać było

można. Woda tymczasem podnosiła się coraz bardziej, zalewając posadzkę ostatniego korytarza. Każda nowa fala obejmowała ich coraz wyżej, nie było zaś tu schodów, na które schronić by się można.

Napróżno usiłowali iść naprzód. Droga stała się tak śliską, tak trudną, iż woda zmywała ich co chwila napowrót. Zatrzymali się więc, a wobec utraty ostatniego promyka nadziei, siły Łazarza wypowiedziały posłuszeństwo. Zemdlął.

Tracącego przytomność podtrzymała w ramionach swych Zahara. Ciężar jednak bezwładnego ciała za wielkim okazał się na jej siły. Upuściła go też na ziemię, a rzuciwszy się sama obok, głowę tylko nieszczęsnego o piersi swe wsparła. Sądziła, że już nie żyje, i ze spokojem czekała własnej śmierci.

Słuchała obojętnie wzrastającego szumu wody, patrzyła z martwością na wznoszący się poziom. Nie pytała, ile jeszcze czasu trzeba, aby i ją fala pochłonęła, aby i jej przyniosła zgon męczeński. Bo i po co? Nie dbała ona o to nawet. Umrze z godnością i spokojem królowej, u stóp tego, który był królem jej przecieź.

Powódź, wzrastając z chwilą każdą, dosięgała do jej ramion. Wtedy to, podniósłszy głowę ukochanego do wysokości własnego oblicza, czekała, by z ostatnim pocałunkiem zamknąć powieki na zawsze.

XXI.

Postawiony oko w oko ze śmiercią ohydną, umysł Zahary zwrócił się nagle w kierunku obcym jej dotychczas zupełnie.

— Ha, — myślała — ów człowiek z Nazaretu miałby teraz sposobność do okazania swej mocy. Jeżeli jest tem, za co go Łazarz miał zawsze, to, mógłby dowieść swej potęgi, wyrывая nas z tego straszego położenia.

Usta Łazarza poruszyły się w tej chwili, wymawiając słowa jakieś niepochwytne, niezrozumiałe, jak zwykle dźwięki, wydawane przez umierających wraz z ostatniem ich tchnieniem. Zahara pochyliła się, usiłując rozpacznie pojąć te ostatnie wyrazy, ostatnie może życzenie ukochanego. A że fala dosięgła mu już do szyi, nadludzkim więc wysiłkiem podniosła głowę jego wyżej, gdy własna jej postać walczyła równocześnie z unoszącym ją prądem. W tej chwili jednak woda zapełniła jej usta, a zimno śmiertelne wstrząsnęło wszystkimi członkami.

Głowa Łazarza, którą podtrzymała jeszcze siłą, drgnęła, oczy zaś otworzyły się na sekundę.

— Mistrzu! — jęknął tonący. — Mistrzu i Pani, przebac, bom ja Cię miłował w głębi mej duszy!

Z piersi Zahary wybiegł w tejże chwili okrzyk rozziewający:

— Łazarzu! — zawołała. — Łazarzu! Podnieś się
Woda ustępuje!

Wraz z temi słowami prąd cofnął się nagle. Zjawisku towarzyszył ryk potężny, dziwny, jak gdyby siłę opierającego się żywiołu zmusiła do posłuszeństwa moc wyższa. Woda przytem z głuchym łoskotem zdawała się zapadać w zbiornik niewidzialny, cofając się tak szybko, jak szybko przedtem zalała podziemie.

W chwilę później żółte światło pochodni rozjaśniło mogilne sklepienia, zamknięte nad Zaharą, a gdy, drżąca i olśniona, podniosła ku niemu trupio blade oblicze, w gromnicznym blasku tym ujrzała stojącą przed sobą, boleń złamaną postać arcykapłana.

Chcąc zrozumieć szczegóły położenia, musimy cofnąć się nieco wstecz.

Niewolnica Rebeka, wtajemniczona w schadzki młodej pary, widząc, iż schronisko jej odkrytem zostało przez Annasza, straciła na razie przytomność. Pożerana niepokojem, a jednak wahająca się między bojaźnią o życie pani i obawą o własną przyszłość, milczała ona zbyt długo niestety. Czy można jej to wszakże mieć za złe? Wszak w ponurych owych czasach śmierć na nieposłuszne sługi była dość pospolitą karą... potęga zaś Annasza równała się nieledwie królewskiej. Jedno skinięcie jego palca stanowiło o życiu biednej dzie-

wczyny, której zgon nikogo by nie zaniepokoił nawet. Rebeka też bała się wyznać prawdę.

Dopiero gdy jeden ze straży przyniósł wieść, że arcykapłan, karząc Łazarza za śmiałość, z jaką poważył się podnieść oczy ku księżniczce, zamknął go w podziemiach i rozkazał równocześnie, by otworzono krany wodociągu, do zatopienia tajnego przejścia świątyni, — dopiero wtedy pobiegła do Annasza, wołając rozpacznie:

— O, panie! Córnka twa ginie wraz z Łazarzem w podziemiu!

Rzucając na głowę dziewczyny wszystkie klątwy, na jakie trwoga śmiertelna i umysł duchownego zdobyć się mogły, pośpieszył ojciec nieszczęsnego ratować jedyne, a własną ręką zamordowane, dziecię.

Wysłano więc natychmiast, na skrzydłach wiatru nieledwie, młodego lewitę, by za pomocą maszyneryi, znanej tylko kapłanom i służbie świątyni, odwrócił coperędzej wody z pod sklepienia tajnego podziemia.

Niestety jednak, na dokonanie tego, na zamknięcie wodozbioru i otworzenie upustu, trzeba było czasu, a tu nie miano ani minuty do stracenia. Annasz też pobiegł równocześnie do wejścia od strony ogrodu, by, otworzywszy płytę, ukrytą pod winogradem, nieść ratunek z innej strony. Szedł jednak ze śmiercią w duszy, z przekonaniem, że znajdzie Zaharę, księżniczkę najpotężniejszego kapłańskiego domu owych czasów, zamordowaną podstępnie, ręką własnego ojca.

Spostrzegłszy, iż prąd wody wstrzymanym już został, że fala jej wezbrana opadła do połowy tunelu, Annasz osłupiał ze zdziwienia. Pytanie: *Kto zdołał to uczynić?* wstrząsnęło z taką mocą jego umysłem, iż wobec zagadki owej zmniejszyło się wzruszenie, doznane na widok bladego oblicza córki, wyrwanej cudem ze szponów śmierci.

Na razie też nie przemówił nawet do nieszczęsnej, która, dźwigając w ramionach omdlałe ciało Łazarza, kornie się przyczółgała do stóp jego. Czyżby podstępny faryzejczyk, dostawszy się raz do tajemnych przejść świętego przybytku, zdołał zbadać kryjóWKi, zatraski i maszyny, tak pilnie przed okiem profanów strzeżone?

Na samą myśl tę arcykapłan skierował na leżącego bezwładnie spojrzenie zabójczej nienawiści. Jeden wszakże rzut oka wykazał mu całą bezpodstawność podobnego podejrzenia. Ta postać złamana, bezsilna, twarz trupio, przejrzysto blada i ręce zeszywniałe, nie mogły dokonać równie niebezpiecznego dzieła, równie delikatnej i subtelnej pracy. Człowiek, leżący u stóp jego, był już prawdopodobnie ziemskimi szczątkami tylko, trupem topielca, którego niegdyś zwano Łazarzem.

Rysy Annasza pokrył wyraz najwyższego zdumienia i zmieszania. Kto bowiem mógł to uczynić, *kto wodę powstrzymał w jej pędzie?*

— Ojcie! — jęknęła Zahara. — Ojcie! Giniemy! Umieramy! Ratuj nas, jeżeli kochałeś mnie kiedykolwiek!

Wielki kapłan Syonu nie dał żadnej odpowiedzi. Cofnął się tylko z pod arkad sklepienia i wzgardliwie odwrócił się od córki.

— Ojcie! — zawołała Zahara. — Ojcie mój drogi!

I, ponizając się, jak nigdy w życiu, twarzą nieledwie przed nim na ślizki muł upadła, a chwytając skraj sukni rodzica, kornie podniosła ją do ust.

Arcykapłan, odwróciwszy oblicze, przemówił wreszcie:

— Ciebie ocalę, boś dzieckiem mego domu i kością mej kości. Hańbą, jaką ściągasz na imię Annasza, sto razy na śmierć zasłużyłaś; ocalę cię jednak. Możesz więc opuścić to gniazdo wstydu i iść za mną. Tego wszakże, który wstyd ów na siwą mą sprowadził głowę, który stał się przyczyną całego skandalu, uratować nie pozwolę! Pozostaw go więc jego losowi i chodź stąd.

— Nie! — zaprzeczyła Zahara dumnie. — Jeżeli skazujesz na śmierć człowieka, przeze mnie ukochanego, i mnie skazujesz! Bez niego nie ruszę się, nie porzucę tego grobu, w którym pochowano mnie żywcem.

Przytuliła sztywną postać Łazarza silniej do swej piersi i usiadła na stopniach podziemia z takim wyrazem stanowczości, jak gdyby na zawsze pozostać tu chciała.

Zemdlony zaczął tymczasem zwolna odzyskiwać świadomość, jakkolwiek nie pojmował jeszcze, ani gdzie jest, ani co mu grozi i co go otacza.

Ociężała jego głowa poruszyła się tylko na piersi dziewczęcia, ręka ruchem instynktownym szukała jej dłoni; Łazarz, ujawszy ją, podniósł z czcią do zimnych ust swych i delikatnie odłożył napowrót.

— Zaharo! — wyszeptał. — Zaharo! Wszak umieramy razem? Tyś święta i niezrównana, módl się więc za duszę moją!

W bezwiednej czci, z jaką wymówił te słowa, w delikatnem dotknięciu jej dłoni i pocałunku, na niej złożonym, tkwił taki pierwiastek rycerskiej godności i tyle bezwzględного poszanowania dla ukochanej kobiety, iż arcypłan uczuł się mimowoli wzruszonym.

W oczach owych, mniej wyrafinowanych, miłość między ludźmi wysoko nawet położonymi, przybierała zazwyczaj cechy brutalnego prostactwa; obrażony więc ojciec miał prawo przypuszczać najgorsze rzeczy. Tymczasem ta cześć, bezwiednie okazywana jego córce przez człowieka, przychodzącego zaledwie do przytomności, rozchwieła po części obrazę jego i podejrzenia.

Zaskoczony znienacka świadectwem tem, zawahał się ze słowami, które zawisły mu już na ustach. Korzystając z chwili owej przelotnej, Zahara rzuciła się do kolan rodzicielskich, a obejmując je gorącym uściskiem, błagała z pokorą, mogącą wzruszyć sroższego nawet ojca, niż był nim arcypłan.

— Uwolnij nas z tej ciemnicy mogilnej! — prosiła. — Jesteś przecie człowiekiem, ojcem i kapłanem; w imię więc godności tych, nie broń nam powietrza, które Bóg jednako zesłał dla wszystkich. Patrz, wszak nie dasz mu umrzeć w moich ramionach, nie dasz mu skonać w tym grobie wilgotnym! O, uwolnij nas, ojczy, uwolnij oboje, bez niego bowiem nie ruszy się stąd dziecko twe jedyne, choćby mu zginąć przyszło!

— Pójdiesz, bo ja tak każę — odparł arcypłan zimno. — Strażnicy, — rozkazał tonem lodo-watym — zabierzcie stąd waszą panią. Dotykajcie jej łagodnie; jeżeli jednak nie zechce iść sama, zanieście ją przemocą. Choćby przyszło użyć siły, Zahara ma wrócić w progi pałacowe.

Po raz pierwszy dopiero od zaczęcia okrutnej tej sceny z piersi Zahary wybiegł okrzyk ostry, przenikliwy, iście kobiecy. Wyprostowała się i, owinawszy białe swe, obnażone ramiona dokoła postaci ukochanego, przyciągnęła go bliżej ku sobie i, jak sfinks z kamienia wykuty, siedziała nieporuszenie, wydając co chwila okrzyk bólu i zgrozy.

Usłyszawszy krzyk ten świdrujący, bolesny, a powtarzający się z coraz większą siłą, Rebeka rzuciła się wśród dworzan i służbę, wołając, iż panią ich mordują. W jednej chwili wszystko, co żyło, rzuciło się w stronę podziemia. Oficerowie, służba, niewolnicy, kobiety i mężczyźni, spiesząc całym pędem, zwartym szeregiem otoczyli wejście do sklepienia.

Skandal, o którym tylko kilka osób wiedziało, stawał się publicznym, nabierał rozgłosu i groził plamą niezatartą godności arcykapłana. Spostrzegłszy to, Annasz zaklął ze złością i, odwracając się, rozkazał:

— Wydostańcie więc tego psa faryzejskiego! Wyrzucić go za ogrodzenie pałacowe, precz, na gościniec, i zostawić tam własnemu losowi! Zaharę zaprowadzić natychmiast do jej komnat i milczeć o całej sprawie.. bo, kto pierwszy pisnie słowo o tem, co tu zaszło, temu z ust podłych każę wyrwać język!

Polecenie wykonano szybko i dokładnie. Oderwano przemocą Zaharę od Łazarza, by jego, wciąż nieprzytomnego, wyrzucić bez litości na gościniec, ją zaś, zanoszącą się od płaczu i wzywającą litości, zamknąć w niewieścich komnatach pałacu. Nie wolnicy, przerażeni, rozpierzchli się na wsze strony, straż poszła w orszaku nieszczęśliwej księżniczki, arcykapłan i ów młody lewita sami nareszcie pozostali.

— Jak się to stało? — pytał Annasz. — Skąd się tu wzięłeś? Czyżbyś zdążył, poszedłszy do świątyni, wypełnić me rozkazy i wrócić tutaj?

— Polecenie twe, Annaszu, było już przedtem wykonane — objaśnił lewita — Gdy dobiegłem do miejsca wskazanego, woda, zawrócona z tunelu, spływała całym pędem do głównego zbiornika. Jakaś ręka silna a niewidzialna otworzyła widocznie główny odpływ; fala bowiem opadła w wirze sza-

lonym i z niezwykłą chyżością uciekała z podziemnia. Blask pochodni pozwalał mi widzieć prąd potężny, z jakim wracała napowrót.

— Dziwna tajemnica! — wyszeptał arcykapłan. — Nie rozumiem tego wcale. Nikt z pośród służby świątyni nie zna przecież ukrytych przejść i maszyneryi. Kto więc mógł dostać się do nich?

— Śród kapłanów krąży nieprawdopodobna pogłoska — wtrącił lewita nieśmiało. — Nie wiem jednak, czy mogę ośmielić się powtórzyć ją tutaj? Cała synagoga poruszona jest tą wieścią...

— Chcę wiedzieć wszystko — rozkazał Annasz ostro. — Mów natychmiast, nie tając żadnego szczegółu.

Lewita wahał się jeszcze.

— Szepcą tam, — wyrzekł wreszcie nieśmiało — że... że... — świadczę się Bogiem mych ojców, iż mówię prawdę!... — szepcą śród kapłanów i duchowieństwa, że cofnięcie się wód jest nowym cudem tego awanturnika nazarejskiego. Rzecz to jednak niepodobna! — dodał lewita, przestraszony milczeniem Annasza — wszyscy bowiem wiedzą, że Go tu niema. Udał się, jak mówią, na tamtą stronę Jordanu, w celu dalszego głoszenia swych nauk.

Arcykapłan nie dał żadnej odpowiedzi.

Gdy Łazarz nie wracał długo dnia tego, Marya, zaniepokojona o los brata, wysłała około północy Abrahama w poszukiwaniu zaginionego. Wierny sługa, znający zwyczaje swego pana, skierował się wprost ku pałacowi arcykapłana, i tu, krążąc niepostrzeżenie zdala, potknął się przypadkiem o bezwładną postać Łazarza.

Wyrzucony poza mur, upadł on w cieniu bażty narożnej, i niespostrzeżony przez nikogo, przeleżał kilka godzin. Oprzytomniawszy z długiego omdlenia, był jednak zbyt słaby, aby się poruszyć, przyczem umysł jego zapadał co chwilę w majaczenia gorączkowe.

Wyszukawszy nosze, co o tak spóźnionej godzinie nie było bynajmniej rzeczą łatwą, Abraham po cichu i bez zwracania niczyjej uwagi, o ile to w danych okolicznościach okazało się możebnem, zdołał przenieść pana swego do domu. Potrzebując pomocy i rady, sługa pobiegł po nią do najbliższego sąsiada swych chlebobawców, Barucha.

Dawny ślepiec pośpieszył z nim natychmiast, a uczyniwszy, co było w jego mocy, odprowadził nawet niewolników, dźwigających chorego Łazarza, do domu Szymona Trędowatego. Marta spała od dawna; słodka jednak twarzyczka Maryi, niepokojem napiętnowana, wychyliła się na pierwszy szelst nadchodzących. Wysunawszy się szybko naprzód, Baruch wytłumaczył jej, kogo niosą i gdzie go odnaleziono.

— Nikt nie zna przyczyny wypadku, ja zaś mniej wiem od innych — przedstawiał łagodnie.—

Zdaje mi się jednak, iż Łazarz padł tu ofiarą jakiejś przemocy. Zamilecz w każdym razie i nie wspominaj o tem, co zaszło, nikomu. Brat twój jest człowiekiem dość znanym i wybitnym, ludzkie więc języki tem łatwiej szarpałyby jego imię. Powiedz najlepiej, że chory, i zamknij drzwi przed wszystkimi, dopóki zupełnie nie ozdrowieje.

Ostrożność była tu rzeczą najbardziej chwalebna — iść jednak za radą jej okazało się istnem niepodobieństwem. Jakkolwiek bowiem rano zastał Łazarza ciężko chorego, we własnem jego łóżku, niemniej o przyczynach nagłej tej niemocy krążyły już najdziksze pogłoski.

Nietylko Betania, lecz i Jerozolima została niemi poruszona. Gadatliwi sąsiedzi zbierali się dokoła domu, dalsi zaś znajomi, chcąc pod pozorem współczucia zadowolić podrażnioną swą ciekawość, nadbiegli, lub przysyłali dowiadywać się o zdrowie chorego.

Siostry Łazarza zachowywały się w tym razie z niezwykłym taktem i godnością. Uprzejmie ich bowiem odpowiedzi dawały wyraźnie do zrozumienia, iż sąsiedzi mogą się powstrzymać z natrętnem narzucaniem swych usług, dopóki nie zostaną o nie poproszeni, oraz, że zdrowie brata nie budzi w umyśle ich żadnych obaw poważnych. A jednak nazajutrz już zrana stan Łazarza okazał się tak groźnym, iż Marya, jako wrażliwsza, a więc mniej skłonna do bezpodstawnych nadziei, doznawała najstraszniejszego, gnębiącego niepokoju.

Oddana zupełnie pielęgnowaniu chorego, nie opuszczała go ani na chwilę, wyrzekając się spoczynku i pożywienia, nadszarpując własne siły czuwaniem przy jego łożu.

Marta za to objęła ster całego domu, przyjmując przytem natrętnych sąsiadów. Najpierwsi lekarze Jeruzolimy zmieniali się ciągle, przychodzili i odchodzili; służba, milcząca, cicha, przesuwała się, jak cienie, na palcach; Łazarz zaś niknął widocznie z chwilą każdą, napróżno mocując się ze śmiercią.

Piątego dnia wreszcie, zwróciwszy głowę ku światłu, Łazarz po raz pierwszy otworzył oczy. W zamierającym blasku wieczora ujrzał pochyłoną nad sobą twarz anielskiej słodyczy, okoloną jasnymi włosami. Było to blade i smutne, miłością nacechowane, oblicze jego siostry. Potęga uczucia tego i niepokoju nadała taką siłę jej spojrzeniu, iż łagodne źrenice Maryi zdawały się jaśnieć wewnętrznem światłem, że pałały nieledwie, jak pochodnie, wyrazem bólu i troski.

Łazarz podniósł z wolna głowę, a objawszy spojrzeniem inne osoby, znajdujące się w komnacie, wskazał ruchem wymownym, iż pragnie, aby je usunięto.

Żądanie jego, drgnieniem powiek zaledwo objawione, jak każde życzenie umierającego, zostało uszanowaniem. Stosownie więc do woli, czy kaprysu, pozostawiono go z Maryą sam-na-sam przez chwil kilka.

Przekonawszy się o tem, chory pochwycił rękę siostry ruchem rozpacznym, błagalnym, usiłując powierzyć jej jakiś ciężar, przygniatający splątane, zgorączkowane jego myśli. Przychodziło mu to jednak z taką trudnością, iż zwątpił wreszcie, aby mógł wypowiedzieć swą myśl; rozpacz zaś nad własną niemocą powiększała jeszcze jego cierpienie.

Widząc to, Marta natężyła uwagę, by odgadnąć życzenie brata; chociaż zaś nie znała ona świata, a niewiele słyszała o miłości, nietrudno jej było pojąć, iż na dnie wszystkich nieszczęść, spadłych na Łazarza, musiało kryć się imię kobiety.

— Drogi bracie, — wyszeptła — pojmuję, iż pragniesz dać mi jakieś polecenie. Mów więc; czegokolwiek zażadasz, spełnię najchętniej, spełnię dla ciebie i... dla niej. Mów więc, powiedz mi jej imię.

Łazarz natężył całą siłę woli; usta zaś jego poruszyły się, wymawiając jeden wyraz:

— Zahara.

— Zahara?... Czyżbyś mówił o córce Annasza?...

— Tak, to ona.

— I cóż chcesz, mój bracie, abym ja mogła uczynić dla takiej Zahary?

— Pamiętaj o niej... Strzeż Zahary! Przygarbij ją, daj schronienie...

— Majaczy znów — pomyślała Marya. — Po cóż jabym miała dać schronienie Zaharze?

Głośno zaś dodała ze spokojem:

— Co więcej, Łazarzu? Powiedz, mój drogi, czego sobie życzysz jeszcze?

Chory przysunął zimne swe usta do ucha siostry i wyszeptał jeden tylko wyraz, jeden, jedno imię.

— Och! — jęknęła Marya — posyłałiśmy już po Niego! Posyłałi... napróżno! Słudzy nasi szukali we wszystkich kierunkach, biegali na wsze strony, lecz napróżno. Podróżuje podobno w odległych okolicach i nieprędka ma wrócić tutaj. Ach, gdyby przyszedł, tybys żył, tybys nie umarł, bo On cię kocha, Łazarzu!

Szaro-blade oblicze chorego wyrażało rozpacz, równą nieledwie bolowi konania. Głowa jego poruszała się niespokojnie na poduszce, z jakimś zwątpieniem beznadziejnem, okropnem.

— Opuściłem Go, zaniedbałem! — jęknął. — Nie przyjdzie więc, nie przyjdzie, choć umieram. Powiedz Mu jednak...

— Co mam Mu powiedzieć? — wyłkała Marya, a łzy jej, jak grad ciepły, spadły na lica chorego. Otarłszy je, starała się zapanować nad sobą.

Łazarz nie odpowiedział jednak; wyczerpany okazanym wysiłkiem, zapadł na nowo w rodzaj omdlenia. Rysy jego powlekła zielonawa, śmiertelna bladłość. Przerazona Marya chciała się podnieść, aby zawołać o pomoc; ręka jednakże chorego trzymała dłoń jej w tak silnym, nerwowym uścisku, iż napróżno usiłowała ją oswobodzić. Ła-

zarz chciał ją zatrzymać widocznie, jednocześnie zaś usta jego poruszyły się i wyszeptały:

— *Miłość... Przebaczenie!...*

I z temi dwoma słowami, najszlachetniejszemi, jakie język ludzki posiada, Łazarz utracił władzę mowy na zawsze. Zapadł w rodzaj osłupienia, w którym przeleżał noc całą, nie poznając nikogo i nie dając oznak świadomości. Lekarze kręcili się i uwijali, uwydabiając wielką nieumiejętność ówczesnej sztuki medycznej; Marta płakała, zawodząc głośno; Marya tylko siedziała cicho, jakby zamieniona w niemy posąg.

O brzasku Łazarz, nie odzyskawszy już mowy, nie dawszy żadnego znaku przytomności, przestał oddychać. Puls uciekł, serce zamarło, a Marya usłyszała wyrok straszny:

— Skonał! Nie żyje!

Marta przysunęła się i, z niezwykłą u niej łagodnością, spróbowała oswobodzić rękę Maryi. Palce trupa jednak wpiły się w nią z dziwną siłą i zeszytniały w tem zgięciu. Lekarze dopiero musieli rozdzielić uścisk, łączący żywą z umarłym.

Ze śmiercią tą tajemniczą, niespodziewaną, łączył się fakt smutny, który Marta i Marya ukrywały najpierw przed wiedzą sąsiadów, a później opłakiwały szczerze. Gorycz jego była tak silną, iż, pomimo całego panowania nad sobą, Marya w ostatniej rozmowie z umierającym odsłoniła przed nim część tej troski gnębiącej.

Oto rodzina Łazarza, zużywając wpływy swe, zamożność i energię, czyniła wszelkie starania, zrobiła wszystko, co jej nakazywała miłość do brata, by porozumieć się z cudownym Uzdrowicielem, którego moc mogła—jak sądzili—odwrócić straszne, grożące im sieroctwo. Co więcej zaś, wysłańcy od szukali Go i powtórzyli prośby ich gorące.

Najboleśniejszym jednak szczegółem był fakt, iż Jezus Nazarejski odmówił stanowczo przybycia do Betanii.

XXII.

Bez względu na przyczynę śmierci, bez względu na to, czy nieszczęście mogło lub nie mogło być odwróconem, Łazarz nie żył. Młode jego, pełne radości istnienie zgasło, jak świeca, zdmuchnięta podczas biesiady. Zgon nagły wywołuje zawsze pewne przerażenie, zgon zaś młodego i silnego człowieka z podwójną mocą wstrząsa pozostałymi. Świat zdaje się wymagać, aby ludzie wybitni, a ogólnie lubiani, żyli dłużej; śmierć też Łazarza zainteresowała żywo szerokie koła publiczności.

Nie jeden, mniej nawet znany rodzinie zmarłego, biegł do Betanii, by spędzić z Martą i Maryą dni obowiązkowej żałoby, przepisane przez rytuał na oplakiwanie nieboszczyka.

Publiczna ta demonstracya żalu pochlebiała Marcie — widziała w niej bowiem zarówno dowód uznania, jak stwierdzenie wybitnego stanowiska, jakie rodzina jej zajmowała w mieście. Przyjmowała też napływających wynurzeniami osobistego żalu nad stratą, tak niespodzianie poniesioną. Marta kochała rzeczywiście Łazarza i szczerze odczuła jego śmierć; ból jednak, jak każde uczucie głębsze, uwydatnia tylko wrodzone usposobienie, a Marta zbyt lubiła słuchać i mówić, by w chwili sieroctwa mogła się wyrzec pociechy, jaką gadatliwa rozprawa z kumoszkami przynosiła jej zawsze.

Marya natomiast nie przyjmowała sąsiadów, przechodziło to bowiem jej siły. Poszedłszy za ciałem brata, stała z głową pochyloną, a grubym welonem przysłonioną, nad smutną mogiłą, która miała pochłonąć ziemskie jego szczątki na zawsze.

Zwyczaj krajowe nie dopuszczały żadnej zwłoki—pochowano też Łazarza w dzień śmierci zaraz, a nagłość następujących po sobie wypadków i cios spadającego na nią sieroctwa, nieledwie ogłuszyły Maryę. Zdawało jej się, iż zgon okrutny przeciw niej tylko wymierzył karzącą prawicę, że śmierć wyrwała kawał własnego jej serca. Niezdolna do płaczu, z okiem suchem, Marya nieledwie skamieniała z żalu.

Miłość siostry do brata, przeszedłszy zwykłą, banalną miarę, zamienia się w jedno z najczystszych i najświętszych uczuć na świecie. Przywiązanie zaś Maryi do Łazarza było tem silniejsze, iż,

pozbawiona cienia samolubstwa nawet, nie znała ona pragnień egoistycznych, lecz żyła przez brata i dla brata tylko. Od chwili, gdy dziećmi małemi igrali razem na dziedzińcu domu rodzicielskiego, Marya cały swój cel życia widziała w nim jednym. Nie było też dzisiaj na ziemi judzkiej smutniejszej nad nią kobiety; chociaż zaś istniała inna, bardziej jeszcze nieszczęśliwa, — kto o niej wiedział, kto pamiętał? Kto miał prawo nieść jej jawnie słowa pociechy? Okrzyk bólu, zwracany w godzinach takich do nieba, przez miłość kryjącą się, tajemną i światu nieznana, jest może wyrazem najsroźszej niedoli ludzkiej.

W pałacu Annasza panowała martwa cisza. Gdy wieść o niespodzianej śmierci Łazarza wstrząsnęła do głębi Jerozolimę całą, jeden dwór arcykapłana nie poruszył się i nie dał znaku życia nawet. Okna były szczelnie pozamykane, drzwi przysłonięte ciężkimi kotarami. Służba, jakby dotknięta niemotą, krążyła w milczeniu; arcykapłan nie pokazywał się wcale.

Po kątach szeptano tylko, że jednego z niewolników spotkała surowa kara, że brano go nawet na tortury. Pogłoska zmieniła się później: niewolnik ów zniknął zupełnie. Uciekł, czy go stracono? Któż mógł dociec tego i kto wogóle chciałby się zajmować dochodzeniem rzeczy podobnej? Dość, iż wśród ogólnego poruszenia i wrzawy, jeden pałac arcykapłana pograżył się w głębokiem milczeniu.

W Betanii tymczasem gotowało się od plotek, od ostrych sądów i krytyk, do których mściwy Malachiasz podniecał ludność w najokrutniejszy sposób.

— Macie teraz swojego Jezusa! — wołał. — Prawdziwy jego charakter wyszedł nareszcie na wierzch. Pamiętajcie bowiem, iż znakomity nasz sąsiad, Łazarz, był jego najlepszym przyjacielem i obrońcą. A on, ów sławny Cudotwórca i Uzdrowiciel, czemu mu odpłacił? Oto, wezwany w ostatniej potrzebie, nie przyszedł nawet! Czy rozumiecie sąsiedzi?... nie przybył na prośbę umierającego! Przyjaciół, a jednak nie widzieliśmy go przy śmiertelnem łożu Łazarza. I dlaczegoż to nie użył owej cudownej potęgi, o której tak wiele opowiadają? Czemu nie powstrzymał śmierci, choć ona całą okolicę niemal okryła kirem żałoby? Dlaczego ukrywał się i trzymał na uboczu? Gdzie był Jezus Nazarejczyk, gdy Łazarz Betański wydał ostatnie technienie? Gdzież on był? Gdzie się podziwiał?

Niejeden Malachiasz tylko rzucał znaczące te pytania na wzburzone morze plotek, pogłosek i rozpraw, jakie wstrząsały umysłami mieszkańców miejscowych.

Zima ta była ważnym przełomem w życiu Nazarejczyka; uczucia i przekonania ogółu, w sprawie nauk Jego, spotęgowały się, nabierając siły skoncentrowanej. Ludność zaczęła dzielić się na obozy, tak, iż dziś był On człowiekiem najgoręcej wielbionym i najstraszniej nienawidzonym w całej Judei. Ten

rozłam w opinii publicznej, ta walka wrogów i adeptów, utrudniając niezmiernie zadanie, narażała Go na liczne niebezpieczeństwa. Ci więc, którzy, wielbiąc Go, pojmowali położenie, a zarazem dzielili groźne następstwa, na jakie narażić ich mogło święte posłannictwo Chrystusa, ci właśnie postanowili powstrzymać Go wszelkimi siłami od powrotu do Jerozolimy.

Pełne bowiem miłości i miłosierdzia owo święte postanowienie Jezusa przestało być dla wielu misją filantropijną, zamieniając się w zamian w groźne w następstwach swych zamieszki polityczne. Sfery wyższe, rządzące krajem, nie uważały Go już za nieszkodliwego fanatyka i marzyciela, za doskonałego misjonarza i sztukmistrza, zręcznego w leczeniu chorób.

Zaniepokojeni popularnością Jego, przedstawiciele tronu i Sanhedrynu, książęta i kapłani zaczęli śledzić każdy czyn oskarżonego, przywiązując coraz częściej do Jego imienia niebezpieczne miano wichrzyciela i rewolucjonisty.

— Oho! Przebiegła to sztuka! — wołał Malachiasz faryzejczyk, wyzyskujący pomyślną okoliczność dla powetowania dawnej swej urazy. — Chytra sztuka! — powtarzał — pewny, iż wśród wzburzonego motłochu znajdzie zawsze chętne uszy do słuchania obmowy i nagany. — Wie on, co uczynić może, i dlatego właśnie nie chciał się narażać na niepowodzenie wobec całej ludności tutejszej. Bo gdyby Jezus ów był tem, za co go bierzecie, to czyżby On nie mógł ocalić najserdeczniejszego swe-

go przyjaciela od śmierci przedwczesnej? Mogąc zaś, czy sądzicie, że nie uczyniłby tego? Mieszkańcy Betanii, mieszkańcy Jerozolimy i jej okolic, odwołują się do was! Osądźcie sami.

Obok grupy, do której przemawiał Malachiasz, przeszło w tej chwili dwoje ludzi, zwróconych twarzami ku domowi Szymona Trędowatego. Byli to mężczyzna i kobieta, Baruch i Ariella, którzy, jako szczęśliwi już małżonkowie, szli podzielić boleść nagle osieroconych sąsiadów. Oblicza ich przyćmiewał wyraz łagodnego smutku i współczucia, po za tym wszakże konwencyonalnym odcieniem, przybranym przez życzliwość dla przyjaciół, kwitnęły one zdrowiem i młodością, swobodą i szczęściem dobranego, na miłości opartego, związku. Radość wewnętrzna przebijała przez smutek okolicznościowy, jak słońce przez mgłę poranną. Patrząc też na nich, odczuwało się błysk szczęścia, który im ziemię zamieniał w raj.

— Patrz! — zawołał Amos z Getsemane, przezywając wzgardliwe słowa Malachiasza. — Patrz! Oto masz odpowiedź na poprzednie twoje słowa. Przyrzyj im się bacznie!

— Zgoda! — rzucił faryzejczyk z równą pogardą — Skoro Go jednak bronisiz, może zechcesz nas objaśnić, dlaczego ów Mistrz wasz pozwolił najserdeczniejszemu swemu przyjacielowi umrzeć bez pomocy, dlaczego opuścił go i pozostawił własnemu losowi?

— Nie znam Jego woli i zamysłów — odparł Amos uroczyście. — Wiem jednak, iż wola to mądre-

go i świętego człowieka, a przekonanie podobne wystarczy mi zupełnie.

— W takim razie trzeba przyznać, iż łatwo cię zadowolić — zaśmiał się wśród tłumu głos złośliwy.

Dasze słowa przerwane zostały ukazaniem się Enocha, wyrostka, który niegdyś służył ślepemu Baruchowi za przewodnika w dalszych jego wycieczkach. Chłopię nadbiegło ze zdumiewającą wieścią, iż widziano dziś zrana Nazarejczyka, dążącego w stronę Betanii.

Był to dzień czwarty od chwili śmierci, a trzeci od pogrzebu Łazarza. W domu Szymona Trędowatego gwałtowny i niepohamowany wybuch boleści ustąpił miejsca wyczerpaniu i cichemu, gnębiącemu żalowi. Błada, smutna twarz Marty, której rysy, uszlachetnione troską, nabrały łagodniejszego wdzięku, pochylała się nad obmyśleniem południowego posiłku, pochylała z bolesną świadomością, iż raz oderwać się trzeba od wspomnień żałobnych. Doznawała przytem mimowoli wrażenia, że, gdyby niezdarni słudzy umieli stosownie przyjąć gości żałobnych, przyniosłoby to pewną ulgę jej boleści.

Marya nie ukazywała się wcale, spędzając długie godziny w ciemnym pokoju, w którym ukochany jej zmarły wydał ostatnie tchnienie. Ukrywszy twarz w dłoniach, oparła głowę o łóżko, z którego zabrano go tak niedawno, by zanieść do zimnej mogiły.

I, w żalu głębokim pogrążona, siedziała na ziemi, a piękne, złote jej włosy spływały bujnym płaszczem na podłogę.

Przez zamknięte okiennice światło wpadało tylko wązkiemi szczelinami, uwydatniając w jasnych swych promieniach drobne pyłki, które zdawały się dążyć ku słońcu. Marya przestała wreszcie płakać i, podniósłszy oczy, wpatrywała się w świetlane te smugi. Postacią jej całą zimno wstrząsało; zimno to czuła również w sercu, które nie biło wcale.

Teraz dopiero zrozumiała, co znaczy określić, iż „serce z żalu zamiera w człowieku“. I jej serce zamierało, — gdy usta powtarzały bezwiednie:

— Łazarz nie żyje! Łazarz nie żyje!

Wtem w domu martwo cichym dało się słyszeć nagłe poruszenie. Głosy podnosiły się i, stłumione, milkły natychmiast. Echo przyśpieszonych kroków dobiegało aż tutaj, do komnaty pośmiertnej. Coś się tam stało widocznie; że jednak nie było wypadku, który by w tej chwili mógł zmienić stan rzeczy, lub promień pociechy przynieść, Marya więc nie podniosła głowy, nie próbowała nawet nasłuchiwać.

Wtem drzwi się uchyliły i Marta stanęła na progu. Zbliżywszy się krokiem przyśpieszonym, choć cichym, położyła rękę na głowie Maryi tym ruchem tkliwości macierzyńskiej, jaki starsze siostry przybierają tak często.

— Maryo, powstań! — wymówiła łagodnie.— Abraham przywiózł nam wielką nowinę: oto Mistrz ukazał się na drzewie do Jerycho i skierował kroki Swe prosto ku Betanii. Powstań i chodź ze mną, abyśmy, wyszedłszy naprzeciw, mogły Go powitać.

Za całą odpowiedź strumień łez potoczył się z oczu Maryi, a łkanie ciężkie wstrząsnęło delikatną jej postacią. Ręka ruchem odmowy odsunęła równocześnie siostrę.

Charakter ich różnił się z gruntu: Marta mogła wraz z tłumem witać Go na środku gościńca; dla Maryi zaś taka wystawa uczuć najserdeczniejszych była niepodobieństwem. Pozostała więc w domu. Zresztą któż odgadnie głębie serca? Być może, iż w chwili tej—po raz pierwszy w życiu—odcien powątpiewania zagościł w jej duszy, że, na wzór innych, zapytywała:

— Czemuż przychodzi zbyt późno?

Gdy Marya pozostała sama, kotara, rozdzielająca pokój, rozchyliła się, a krok lekki, jak technienie ludzkie, zaszeleścił w pobliżu. Tylko istota, uszlachetniona własnem, długotrwałem cierpieniem, mogła posiadać głos tak delikatny i cichy, jak ten, który mówił w tej chwili:

— Nie lękaj się, Maryo, to ja, Ariella. Nie myślę zakłócać samotności twej, pragnęłabym jednak zamienić z tobą słów parę.

Marya wyciągnęła rękę, ujmując silnie dłoń Arielli. Nie podnosiła głowy nawet, nie patrzyła

na nią—sam ten uścisk szczery a delikatny, w którego przyjaźń wierzyła, niósł jej już ulgę i pociechę.

— Przyszedł tu w ważnym interesie — zaczęła Ariella głosem spokojnym, jak gdyby nie w dniach ostatnich nie było zaszło. I, nie wymawiając imienia Łazarza, nie siadając nawet, na dowód, że nie przybyła z wizytą kondolencyjną, że nie myśli dłużej pozostać, ciągnęła dalej:—Zaszedł wypadek, w którym chciałabym zasięgnąć rady twojej lub Marty.

— Marta wyszła przez chwilę—odpowiedziało dziewczę wymijająco, nie podnosząc wciąż jeszcze oczu ku gościowi.

— Poszła płakać na grób brata — objaśniła Ariella.—Tak mi przynajmniej mówili sąsiedzi, których minęłam właśnie.

Marya milczała. Nie chciała omawiać wycieczki siostry, ani powodów, jakie ją do wyjścia z domu skłoniły. Zauważywszy chłodną tę powściągliwość, Ariella pośpieszyła dodać:

— Słuchaj, Maryo. Nocy dzisiejszej do domu matki mej i męża, Barucha, przybyła istota nie-szczęсна, uciekająca przed pogonią. Drżąca i zmęczona, jak zwierzę, szczute przez naganiaczy, nie miała siły iść dalej. Przyjęliśmy ją więc, przygarnęli i ukryli chwilowo, nie wiedząc, co z nią czynić. Dziewczyzna... uciekła z pałacu.

— Z pałacu? — Marya nagle podniosła głowę.— Z pałacu Annasza?

— Tak; jest bowiem niewolnicą wielkiego kapłana — objaśniła Ariella, przyglądając się bacznie towarzyszce.

— Och! niewolnicą!...

Na obliczu Maryi odbiło się wyraźnie rozczarowanie.

— Opowiada ona dziwną historję — ciągnęła Ariella głosem stłumionym. — Męczono ją strasznie, zamęczono nieledwie na śmierć... Powiedz, Maryo, czy nie mogłabyś nam poradzić, co mamy uczynić ze zbiegłą? Czy sądzisz, że należy jej dać schronienie?

— Czy dać jej schronienie? — powtórzyła Marya z nagle m zainteresowaniem. — Ależ tak, Ariello Ukryj kobietę każdą, uciekającą do ciebie z pałacu, ukryj ją, w imię litości i miłosierdzia!

— Czy tylko w imię tych uczuć? — podjęła Ariella cichutko. — Zaufaj mi, Maryo... Widzisz, zdarzyło się tak, że, gdy Baruch ratował owej nieszczęsnej nocy twego brata, do uszu jego doszły dziwne rzeczy. To też, gdy dziewczyna ta przybiegła do nas, powiedział mi: „*Ukryj ją, Ariello, w imię zmarłego Łazarza!*...”

— A więc uczyn to i niech Bóg błogosławi cię w zamian! — wyszeptała Marya.

Uścisnęły się za ręce i rozstały bez słów dalszych. Ariella wysunęła się cicho, Marya zaś na powrót wsparła głowę o łożo.

Historja uciekającej niewolnicy nie wzruszyła jej bynajmniej; cóż znaczyły męczarnie tej obcej

jej dziewczyny wobec śmierci Łazarza? Tak! Łazarz już nie żył!

Inna myśl wszakże zastanowiła ją w tej chwili. Być może, iż zbiegła miała co wspólnego ze zmarłym, że Łazarz uczułby się wzruszony jej losem. Wszak, bez względu na wartość owej Zahary i jej zdradzieckich, spiskujących służebnic, bez względu na to, iż ofiarą ich padło życie sto razy więcej warte od mieszkańców całego pałacu, Łazarz prosił siostrę, by kochała Zaharę: „Przygarnij ją i daj schronienie” — mówił.

Godziny mijały wśród tych rozmyślań. Marya, obdarzona usposobieniem, dla którego czyn i działanie nie zabija troski, siedziała wciąż w ciemnym pokoju, starając się odzyskać siłę mocą rozmyślań i wiary głębokiej. Nie w pracy więc, lecz w rozumowaniu i modlitwie, szukała spokoju. Charaktery czynny i marzycielski nigdy się nie pojmą dokładnie — Marta też i Marya nielepiej się rozumiały, niż faryzejeżyk saduceusza, niż żywy umarłego.

Marya, pogrążona wciąż jeszcze w zadumie, siedziała w tem samem miejscu i w tej pozie, w jakiej ją Ariella pozostawiła, gdy siostra jej wróciła niespodzianie. Wpadła ona żywo do pokoju, wołając zdala:

— Mistrz się pyta o ciebie. Śpiesz, Maryo, śpiesz, nie siedź tu dłużej na żalach próżnych. Doprawdy, wstyd mi za ciebie!

Marya powstała z wolna. Podniecony głos siostry raził ją, ale — cóż zrobić? — powinna już by-

ła przywyknąć do niego. Zapuściwszy zasłonę na blade swe oblicze, pośpieszyła w milczeniu za przewodniczką.

Wszystkie szczegóły smutnej tej wycieczki — pierwszej, jaką czyniła, odkąd złożono brata jej do grobu, zostały zupełnie obce Maryi. Nic nie widziała, nie podnosiła nawet oczów od ziemi. Drobne więc tylko kamyczki zwiru, żdzbla trawy, przebijającej się przez piasek, i skraj szaty siostrzanej migały przed jej wzrokiem. Nie wiedziała też, jak daleko zaszła, ani gdzie jest, gdy nagle tuż koło niej wyszeptano:

— Maryo!

Och, nie był to głos zwyczajnego żałobnika, niosącego zdawkowe, puste słowa współczucia! Żaden bowiem z sąsiadów, żaden z przyjaciół lub krewnych, nie potrafiłby rzucić na duszę jej takiej świętej, ożywczej rosy, jaką stanowiło proste to słowo.

Jak kwiat zamierający przechyla się do życiodajnego słońca, tak cała natura Maryi zwróciła się tej w chwili ku Niemu; ujrzawszy zaś żal głębok i ból, wyryty na zmienionem obliczu Chrystusa, rzuciła się do stóp Jego z gwałtownym okrzykiem:

— O, Panie! Gdybyś Ty był tutaj, brat mój nie byłby umarł! Nie byłby umarł!

Słowa te wstrząsające zwróciły mimowoli oczy wszystkich ku grobowcowi Łazarza. Wykuty w skałę piaskowej, wznosił się właśnie w pobliżu drogi

głównej; osłonięty zaś drzewami i zwrócony frontem ku górze Oliwnej, zdawał się zapraszać gości żałobnych, pociągając ku sobie smutne ich spojrzenia.

Wspaniałe to miejsce spoczynku, nowe prawie, bo zbudowane, przez Łazarza samego, przed dwoma zaledwie laty, na własnym jego gruncie, zdobne było w cały przepych, na jaki ówczesna architektura zdobyć się mogła. Zmarły budowniczy pragnął, by grobowiec ten rodzinny, stanowiąc jeden z pięknych pomników sztuki, odpowiadał zarazem godności jego rodziny i stanowisku, jakie zajmowała w mieście. Wznosząc go, nie przypuszczał zapewne, iż martwe wrota tego miejsca ostatniego spoczynku otworzą się po raz pierwszy przed jego własnym ciałem, że piękny ów grobowiec jako pierwszego gościa w ponurych sklepieniach powita swego twórcę.

Dzień był pogodny, słoneczny i ciepły. W powietrzu dawało się czuć technienie nadchodzącej wiosny, rozkoszna, ożywcza jej zapowiedź. W delikatnym powiewie unosił się zapach pączków liściowych, rozpękających na drzewach, niebo zaś jaśniało ową głębią szafiru, tak zwykłą w chwilach, gdy twórcza siła życia rozwija się z najwyższym napięciem i bogactwem. Umrzeć w dniu takim zdaje się rzeczą niemożliwą — martwota śmierci bowiem razi niepodobieństwem, wygląda na szyderstwo z potęgi natury, budzącej się właśnie do nowego istnienia.

Obok grobowca Łazarza zebrał się tłum liczny i zwarty—napróżno bowiem uczniowie Nazarejczyka starali się ukryć wieść o Jego powrocie. Rozniesiona, niewiadomo przez kogo, biegła ona naprzód, gromadząc słuchaczy i ciekawych na Jego drodze. Przyczyniła się do tego w znacznej części nagła i tajemnicza, a zagadkowa, śmierć Łazarza.

Licznemu orszakowi gości żałobnych, niosących mu ostatnią posługę, a dziś zgromadzonych u grobowca, nietylko może chodziło o zgon młodzieńca, ile o wieści bezładne, splątane, nieprawdopodobne nieledwie, jakie poprzedziły ten zgon. Podniecona ciekawość tłumu czekała tylko sposobności, by się ujawnić głośną manifestacją.

Powrót Nazarejczyka, którego — jak to wiadano ogólnie—łączyła ze zmarłym przyjaźń wierna a trwała, dał właśnie pożądaną okazję do ponownego zebrania się. Ciekawi też podążali zewsząd ku grobowcowi Łazarza.

Wpółśród tłumu znaleźli się również nasi znajomi. Malachiasz, faryzejczyk, stanął w miejscu, gdzie wszyscy widzieć go mogli, a wyprostowawszy się dumnie, wysunął grubą swą dolną wargę z wyrazem wewnętrznego zadowolenia. Malachiasz nie posiadał instynktów morderczych, niemniej jednak śmierć Łazarza sprawiła mu szczere zadowolenie. Nic bowiem nie mogło się zdarzyć lepszego dla wyświeślenia stosunku jego do Nazarejczyka, nic nie zdołałoby stwierdzić tak jawnie wobec świata słów jego i poduszczać. Faryzejczyk też patrzył

w tej chwili z miną człowieka, który chce powiedzieć: „A co, nie mówiłem, że tak będzie?”

Hagar, odsunawszy się nieco od męża, stała na uboczu; a zapuściwszy na twarz zasłonę, gęstszą niż tego wymagały okoliczności, zdawała się wstydić poniekąd za swego pana i władcę. Język jej, tak głośny zazwyczaj, milczał upornie; oczy, biegające zwykle dokoła, kryły się pod spuszczone powiekami. Gdyby też nie obawa przed zarzutem niemoralności, Hagar byłaby chciała uchodzić dziś chętnie za małżonkę czyjąkolwiek, byle nie Malachiaszową.

Wśród tłumu jednak były i obce typy.

Oto na przykład człowiek młody, o łagodnym zarysie ust i prawym wyrazie żrenic. Zwa go Janem, a jest on najulubieńszym uczniem Jezusa, jednym z tych, którzy nie opuszczają Go ani na chwilę. Czy czyni to z miłości ku Niemu, czy z obawy i chęci zasłonięcia Go przed niebezpieczeństwem—któż to odgadnąć może? Że wszakże kocha on głęboko swego Mistrza, o tem wiedzą wszyscy. Miłość ta nie pozostawia w sercu Jana miejsca dla żadnego innego uczucia, lecz pochłania go tak, jak ogień rzucone węgi paliwo. Napróżno też Piotr—rybak, szepce mu coś niespokojnie—Jan, zajęty jedną myślą, nie słyszy go nawet.

Rachela, najbliższa sąsiadka Łazarza, znajduje się również wśród zebranych. Obok niej zaś, ręka w rękę, stoją: Baruch i Ariella; Amos z Getsemane, milczący, jak zwykle, trzyma się w ich pobli-

zu. Dalej cisną się pracownicy i pomocnicy Łazarza, na czele ich zaś towarzyszy zmarłego, przybrany w grubą żałobę, a myślący bezustannie o Maryi.

Stary kaznodzieja z synagogi jerozolimskiej przyglądał się z zadumą scenie całej, niewolnik zaś, Abraham, płakał i zawodził głośno. Maryi i Marty tylko brakło u grobu brata; wśród zebranych jednak obiegała wieść właśnie, iż pozostały obie z Nazarejczykiem, który niósł im słowa współczucia i pociechy.

— Pocięcha!... *tutaj* szczególnie wiele pomoże! — szedł Malachiasz, wskazując grób zmarłego.

Zaledwo jednak wymówił te słowa, gdy wśród zebranych rozległ się szmer znamieny. To siostry osierocone zbliżyły się wraz z Nazarejczykiem do mogiły Łazarza. Tłum rozstał się ruchem, pełnym bezwiednego szacunku. Najlekkomyślniejsze usta przerwały gawędę plotkarską, najbardziej zepsute serce poczuło drgnienie czci mimowolnej.

— Pochyla z żalem głowę — szeptała Rachel. — Wygląda jak blizki krewny, dotknięty głęboką żałością.

— Krewny duchem, blizki sercem — poddała Ariella myśl swą mężowi.

— Szkoda, że nie mogę dojrzeć Jego oblicza — skarżył się jeden z obecnych. — Ten wysoki człowiek zasłania mi Go zupełnie.

Śród tłumu powstało w tej chwili nagle poruszenie, wskazujące, iż zaciekawienie wszystkich skierowane zostało w inną stronę. Przyczyną zmiany tej był Enoch, ów chłopiec, przewodniczący niegdyś Baruchowi. Kręcąc się dokoła grobowca, deptając krzewy i zaglądając we wszystkie szczeliny z ruchliwością, właściwą wyrostkom w jego wieku, starał on się dopóty dojrzeć duszę czy ciało zmarłego, aż wreszcie, dopiawszy celu, odskoczył przeżony. Biegąc zaś pod wrażeniem przestachu ku dawnemu swemu chlebodawcy, Baruchowi, wołał głośno, iż obok grobu Łazarza duch jakiś ukazał mu się wyraźnie.

Nie był to duch Łazarza, gdyż przybrał na się postać kobiety, o czem zresztą mógł każdy przekonać się natychmiast.

Bezładne słowa dziecka poruszyły żywo Barucha. Nakazawszy też chłopcu milczenie, pociągnął żonę i, starając się jaknajmniej zwracać na siebie uwagi, podążyli oboje w stronę gęstego klombu drzew i krzewów, z którego Enoch wybiegł przed chwilą. Tu, wyciągnięta na ziemi, w bogatych, porozrywanych o gałęzie, szatach, z rozpuszczonymi włosami i obliczem ukrytem w dłoniach, leżała młoda, z żalu widocznie napół nieżywa, kobieta. Piękne jej zęby do krwi przygryzały delikatne wargi, całą zaś postać wstrząsało gwałtowne, suche łkanie.

Jedna z rąk jej, zarzucona w górę, spoczywała na ogrodzeniu grobowca, zaciskając się z nerwową siłą około zimnego głazu, lub też głaz ten

tuliła i pieściła z rozpaczą, która, wstrząsając sercem do głębi, kazała się lękać o zmysły nieszczęsną.

— Och, to ta kobieta!—wyszeptała Ariella ze zdumieniem.—Pozwól, Baruchu, abym pierwsza podeszła ku niej.

Na dźwięk słów tych, postać leżąca porwała się, jak lwica, i jednym ruchem stanęła, wyprostowana dumnie. Zasłona jej spadła, ukazując w jasnym świetle dnia piękne, śmiertelnem cierpieniem nacechowane, oblicze.

Była to Zahara, jedyna córka Annasza, księżniczka wielkiego domu arcykapłanów Syonu.

XXIII.

Tłum, zebrany u mogiły Łazarza, rozsunał się w milczeniu. Ku stopniom grobowca zbliżał się Nazarejczyk z głową smutnie pochyloną i obliczem nacechowanym głęboką żalością. Za Jego postacią wyniosłą postępowały z płaczem kobiety, należące do rodziny zmarłego. Zatrzymali się wreszcie o kilka kroków od drzwi mogilnych, a cisza martwa padła na zebranych, cisza, niemniejsza od spokoju, panującego pod śmiertelnem sklepieniem grobowca.

Śród tego uroczystego milczenia ptaszę małe, zawieszona na gałązce oliwnej ponad grobem Łazarza, zaczęło śpiewać głośno. Cisza była tak wielka, tak martwa, iż świągotania tego nie nie przerywało przez chwilę; gość też skrzydlaty, strojny w piórka jaskrawe, nucił dalej wesołą swą piosenkę, jak gdyby go tutaj zaproszono na uroczyste gody.

Dotknięty tą niewczesną wesołością ptaszyny, Abraham, któremu żal za panem zalewał łzami oczy, pochylił się i, chwytając kamyk, chciał go już rzucić w stronę śpiewaka, gdy wtem żywsze poruszenie gałęzi ponad grobem i nagłe rozchylenie ich powstrzymało ruch jego.

Kobieta o postaci wytwornej a nieznanej stanęła na stopniach grobowca i, prowadzona przez Barucha i Ariellę, zaczęła schodzić ku tłumowi, chcąc się połączyć widocznie z zastępem żałobników. Ariella wspierała ją troskliwie, lękając się snąć, by noga przybyłej nie osunęła się po żłobionym kamieniu. Znalazłszy się na dole, stanęli wszyscy troje w milczeniu na czele zebranych.

Zahara była teraz punktem głównym, zwracającym oczy wszystkich na siebie. Nieświadoma tego, obojętna na czynione uwagi, stała nieruchomo, jak posąg, wykuty z marmuru. Bogate jej szaty otaczały szczelnie wysmukłą postać o przepysznych konturach niewieścich.

Zasłona tylko, rozdarta zupełnie, opadła, odsłaniając głowę i ramiona, odkrywając prześliczne,

blade oblicze, na którem ból i rozpacz wyźłobiły gnębiące piętno. Usta jej silnie były zaciśnięte; suche, błyszczące źrenice patrzyły przed siebie nieruchomo, gdy ręce, skrzyżowane na piersiach, wydawały oddech ciężki i drzenie całej postaci, wywołane ostatecznem znużeniem i wyczerpaniem sił, na które duch nie chciał zwracać uwagi.

Stała i, jak chwiejna roślina, chcąc zapuścić korzenie w miejsce przez siebie obrane, odsunęła pomoc Arielli. Zdawało się, iż pragnie wrosnąć tutaj. Dokoła grobu Łazarza zebranych było osób kilkaset, ona jednak nie widziała nikogo, nikogo... Oczy jej, wlepione w jedną postać, do niej przykute, niezdolne były ani oderwać się, ani nie więcej rozróżnić. Bo oto Zahara ujrzała po raz pierwszy Nazarejczyka.

Jezus, zatrzymawszy się, stał może o dziesięć kroków od grobu. W chwili, gdy Zahara wzrok swój utkwiła w tej wyniosłej postaci, głowa Jego, pochylona dotychczas smutnie na piersi, opadła niżej jeszcze, kryjąc w rękach oblicze.

I nagle, gdy stała tak wpatrzona w Niego, Jezus podniósł głowę, a potężne spojrzenie Jego źrenic zatrzymało się wprost na Zaharze.

Teraz dopiero spostrzegła, iż postać człowieka tego wyniosłą była i nakazującą, — że, przybrany w skromną szatę ludową, uderzał, pomimo ubożego ubrania, królewską powagą i majestatem. Sandały jego zakurzone były i zniszczone drogą daleką; ręka spracowana zdawała się należeć do

prostego wyrobnika; głowa jednak, osadzona na silnych ramionach, nosiła zamię potężnej myśli i powagi monarszej. Przepyszne, jasne, wijące się włosy spadały na szyję, długa broda kryła nieco usta o delikatnym i słodkim, a nie dającym się opisać wyrazie. Wargi te zadrżały lekko, gdy Zahara, siłą wzroku Jego przykuta, podniosła śliczne swe oblicze, zwracając ku Niemu źrenice, w których budził się pierwszy promień bezwiednej czci i ubóstwienia.

Nie dający się wysłowić majestat i piękność oblicza Chrystusa, przejęły ją takim poczuciem własnej nicości, iż, zadrżawszy, osunęła się na kolana przed nieznana jej mocą.

— Panie! — zawołała — Panie! On Cię kochał i wielbił, a jam go trzymała zdala od Ciebie! O, nie gań tego, który martwy leży już w grobie. Umarli nie mogą powstać, by dać świadectwo prawdzie. Jezu Nazareński, przysięgam, iż ucieczka Łazarza moją była winą. Kochałam go, a miłość zaślepiła mnie, bom Ciebie nie znała, o, Panie!

Mistrz z Nazaretu nie dał żadnej odpowiedzi na to korne błaganie. Cofnąwszy się tylko o krok jeden, całą potęgę spojrzenia Swego ku grobowcowi zwrócił. Poczem, podnosząc oczy ku rozpalonemu, jasnemu niebu, wyciągnął ręce w niemem błaganu i, jakby oderwany od ziemi, a cały zmieniony w modlitwę, stał wśród tłumu, tak cichego iż słychać było nieledwie oddechy.

Zapatrzone, rozplynięty w prośbie, słanej ku niebu, poruszył się wreszcie, a usta Jego wyszeptaly zwolna i uroczyście słowa, zrozumiały tylko dla najbliższych stojących.

— Jan jest Zmartwychwstanie—mówił.—Jan jest Życie Wieczne. Ten, który we mnie wierzy, nie zazna ościenia śmierci, i, choć umarły, żyw jeszcze będzie.

— Panie!—zawołał głos kobiecy.—*On wierzył w Ciebie!*

To Zahara płakała u stóp Jego, korzyła się, jak każda z niewiast tych prostych. Pomimo łez zaś gorzkich, pomimo całego wstrząśnienia uczuć, widziała, iż dzieje się tu rzecz nadzwyczajna, niebywała.

Oto Nazarejczyk rozkazał odsunąć kamień, kryjący wejście grobowe. Wstrząśnięte do głębi zmysły Zahary pojęły tylko, iż rodzina próbowała protestować, że szmer głuchy zdumienia i buntu przebiegł wśród zebranych. Napróżno chciała przemówić — siły wypowiedziały jej posłuszeństwo.

Jednocześnie Jan, uczeń Chrystusa, poskoczył z chyżością, przez miłość i wiarę podyktowaną, by wykonać coprędzej polecenie Mistrza. Amos z Getsemane i Baruch z Betanii pośpieszyli z pomocą; spełniwszy zaś we trzech rozkaz, cofnęli się w milczeniu.

Jezus tymczasem, stojąc wciąż pogrążony w modlitwie, zdawał się zapominać o wszystkich, którzy go otaczali. Z oczyma w niebo wzniesionymi nie widział nikogo, pogrążony w ekstazie głębokiej. Nie spostrzegł też Maryi, która, osunawszy się obok Zahary na kolana, skraj Jego szaty w palce ujęła i ze czcią podniosła do ust.

Lęk jakiś niewytłumaczony, gnębiący, padł w tej chwili na serca zebranego tłumu. Dokoła panowała cisza głęboka, grobowa; nawet ptaszę owo przestało ją zakłócać swem świągotaniem.

Nagle głos przejmujący, donośny, rozległ się w powietrzu:

— Łazarzu! Łazarzu!

Któż to zwracał się do zmarłego tak, jak zwykło się wołać na przyjaciela, którego odpowiedzi oczekujemy? Zebrani, spojrzawszy na siebie, zaдрżeli.

Δεῦρο εἶπεν. Łazarzu! Ja ci mówię, powstań!
POWSTAŃ!

Rozkaz był zdumiewający, potężny. Wstrząsnął on duszą obecnych, jak piorun wstrząsa ziemią.

Boże Wielki! Boże ludu izraelskiego! Patrzcie tam! Patrzcie, co się dzieje! Któż jest tu, między nami? Co znaczy ten widok oślepiający?

Kamienne wargi grobowca poruszyły się; czarne gardło rozwarło, jakby dla pochłonięcia nowej ofiary. Wewnątrz słychać szelest, słychać odgłos kroków... Światło drży jednocześnie, a cień wyraźny rysuje się na tle otworu. Cień ten wreszcie za-

mienia się w postać wyraźną, która staje przed nami. Wielkie nieba! Jest-że to duch, czy człowiek? Żywy, czy umarły?

Okryty całunem, jak go do grobu zaniesiono, Łazarz, po czterech dniach martwoty i śmierci, podnosi się z mogiły, staje wyprostowany i, schodząc krokiem pewnym ze stopni grobowca, oblany pełnem światłem słońca, zbliża się ku pierzchającym tłumom żałobników, patrząc na nich poważnie, uroczyście...

CÓRKA WYGNAŃCA.

CÓRKA WYGNAŃCA

POWIEŚĆ

Mary Ottesen.



Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

WARSZAWA.

Nakładem „Biesiady Literackiej”.

—
1904.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 16 Августа 1904 года.

ROZDZIAŁ I.

W przedpokoju odezwał się dzwonek i list wpadł do skrzynki. Zanim ucichły kroki zbiegającego ze schodów listonosza, już, zdjęta ciekawością, trzymała list w ręku. W jednostajnem naszym życiu każda korespondencya była ważnem zdarzeniem, ten list zaś był zarazem osobliwym, bo był w wielkiej staroświeckiej kopercie z herbową pieczęcią Herlofów. Na kopercie znajdował się adres, wypisany wyraźnym charakterem:

„Jaśnie Wielmożna Ludwika Helmer, ulica Wałowa 14. Chrystiania“.

Któryż to z członków mojej, zupełnie mi nieznaney rodziny, odzywał się do ciotki Ludwiki? Charakter pisma nie musiał ciotce być obcy, bo z pośpiechem pochwyciła list, zauważyłam nawet, że nagle pobladła; z listem zamknęła się w swoim pokoju i pozostała w nim długo, bardzo długo.

Domowa wyrocznia, stara Krystyna, służąca w naszej rodzinie od lat trzydziestu, nie mogła mi udzielić żadnego objaśnienia. Potrząsnęła tylko głową tak silnie, że aż z pod szerokiej krezy czepca wymknęły się siwe kosmyki, popatrzała na mnie litośnie pocziwemi oczyma i rzekła uroczyście:

— Panienska mówi, że to tylko list, a ja powiadam panience, że to pismo wielkiego znaczenia. Niedarmo śniły mi się tej nocy pożar i kwiaty. Dowie się panienska czegoś niezadługo. Proszę zapamiętać moje słowa i nie mówić, że sen mara!

Nie omyliła się staruszka, list bowiem zawierał zaproszenie na nadechodzące święta Bożego Narodzenia do Herlofsburga, posiadłości mego stryja, który był jedynym bratem nieboszczyka ojca.

Herlofsburg leżał o kilkanaście mil od miasta, sama więc tak długa podróż była wypadkiem nadzwyczajnym.

Wiadomości tej udzieliła mi ciotka, przedstawiając zarazem powody, które po głębszym namyśle, skłoniły ją do przyjęcia zaprosin.

— Ależ, ja nie znam tych krewnych, którzy dotychczas nie troszczyli się o mnie wcale — zauważyłam cichutko. — Cóż ja pocznę bez ciebie, cioteczko, wśród obcych mi zupełnie ludzi?

— Jesteś młoda, a w młodości łatwo się zawierają znajomości, tylko w późniejszym wieku trudno przyzwyczaić się do nowych stosunków. Byłabym egoistką, trzymając cię zdala od towarzysztwa rówieśników; raz tylko w życiu jest się

młoda — dodała ciotka, westchnawszy i spojrzała w wielkie zwierciadło, które trafnie odbijało jej wysmukłą postać, o delikatnej twarzy i ciemnych, smętnych oczach.

Jakże piękną musiała być niegdyś, przed laty, w rozkwicie młodości! Krystyna nieraz mi opowiadała, że cioteczce nie brakowało konkurentów, że mnóstwo serc zraniła. O i ja chciałabym odbierać hołdy, zadawać rany sercom, chociażby jedno serce zranić. Ale nie, nie! nie chcę być tak okrutną.

Lubiłam wyobrażać sobie, że pewnego pięknego poranku zjawi się niespodzianie wspaniały rycerz na koniu, zaciekawi ogromnie naszą cichą ulicę, że wszystkich okien patrzeć będą na niego, a gdy zatrzyma się przed naszym domem, cugle rzuci giermkowi, potem pewnym krokiem wejście do pokoju, przedstawi się cioteczce i powie...

— Gdzie bujasz myślami, droga Gero? — zapytała mnie nagle ciotka. — Nie słyszysz nawet, co mówię; jestem przekonana, że wyobrażenia stwarza ci wspaniałe obrazy, którym rzeczywistość zaprzeczy. Pamiętaj, kochanie, że i róże mają kolce, a im delikatniejsza dłoń je chwyci, tem boleśniej ukołce.

— Nie zamęczajmy sobie jednak dzisiejszej radości, poważne sprawy zostawmy na później — dodała weselszym tonem, zauważywszy moje pytające spojrzenie. — A jakże będzie z tańcem i ukłonem? bo od ostatnich lekcji w domu naszego pocziwego doktora, dużo czasu upłynęło. Zoba-

czymy, co umiesz. Wstań, złóż mi ukłon głęboki, pełen szacunku, jakim młoda panienka starszej osobie cześć swą wyrazić powinna... Nie, nie, tak nie uchodzi, w ten sposób kłaniać się nie można.

I, ujawszy z lekka fałdy swej sukni, ciotka cofnęła się w tył i, z wdziękiem wytwornej damy starszego pokolenia, złożyła ukłon pełen dystynkcyi.

Z podziwem patrzyłam i następnie starałam się naśladować jej ruchy, lecz daremne były moje usiłowania. Inaczej nas uczono, zupełnie inaczej, przekonałam się, jak niczadarnem byłam stworzeniem.

— Cioteczko, — odezwałam się nieśmiało — ja i walcować zapomniałam pewnie. Czy nie mogłabyś?...

Lekki rumieniec zabarwił na chwilę blade oblicze ciotki.

— Nie, nie, — odparła żywo, niemal trwożnie — tego nie wymagaj ode mnie dziecko.

— Od lat dwudziestu nie byłam na żadnym balu... ach! jak się wesoło tańczyło w wielkim herlofsburskim salonie... Próżne wspomnienie! dawne dzieje zostawmy w spokoju! — przerwała nagle i objęła mnie pełnym troskliwości wzrokiem. — Może byłoby lepiej, żebyś nie jechała, taniec zaszkodzić ci może, poradzę się jeszcze doktora?

— Jestem na rozkazy. O wilku mowa, szanowne panie—i jowialna twarz naszego kochanego doktora ukazała się we drzwiach.

— Czy mowa o balu, który pani wydać zamierzasz? Zdaje mi się, że była mowa o tańcu.

— Co za przypuszczenie, kochany przyjacielu — zaśmiała się ciotka. — To Geda otrzymała zaproszenie do swego stryja, sędziego Herlofa, lecz obawiam się, żeby...

— Od sędziego? — przerwał doktor tonem pełnym zdziwienia.

— Czas przecie, żeby opieknn zatroszczył się o swoją pupilkę! Czy pani pojedziesz także?

Ciotka spuściła wzrok ku ziemi. Po chwili opanowała wzruszenie i, patrząc w oczy staremu przyjacielowi, mówiła żywo:

— Geda znajdzie stosowną opiekę, gdyż sędzia donosi mi, że i radczyni Sparre wybiera się do Herlofsburga na święta. Mogę więc pozostać w domu.

— Zostać sama? — zauważył doktor ze współczuciem. Nieobecność Gedy odczujesz, pani, boleśnie.

Słowa te zbudziły w mej duszy wyrzuty sumienia. Jak mogłam pomyśleć o opuszczeniu ciotki, zwłaszcza na święta.

Z okrzykiem szczerzego żalu rzuciłam się ciotce na szyję i, całując ją, ściskając, zapewniałam, że za nie w świecie nie odjadę, nie zostawię jej samą.

Ale cóżem winna, że, pomimo szczerości zapewnień, głos mój drżał od powstrzymywanych łez, że jak pokusa przemknęły mi przed oczyma balowe toalety: różowa, błękitna i biała? Przy-

mknęłam oczy i zacisnęłam usta — precz, złudne marzenie!

Ku wielkiemu zdumieniu mojemu, ciotka wyśmiała mój heroizm i nie przyjęła ofiary, a doktor przytakiwał jej energicznie.

— Raz tylko bywa się młodym, — mówił z westchnieniem — pisklę musi nareszcie wyfrunąć z gniazda. Tańcząc, młode dziewczę spełnia swoje powołanie, powiada Heiberg. Chociaż Gera delikatnie wygląda, jednak żelazne ma siły, jak jej ojciec... Tylko proszę dobrze się zaopatrzyć w drogę; daleka podróż przy dwudziestu stopniach mrozu—to nie bagatela! Na wszelki przypadek przysług swój worek na nogi i szubę niedźwiedzią. Nieprawdaż, panno Gero, że w takim kostiumie będzie ci do twarzy?

Roześmiałam się szczerze; pięknie bym wyglądała w tem przebraniu! Ale ciotki nie rozśmieszyła bynajmniej propozycja doktora, owszem, podziękowała mu serdecznie za uprzejmość.

— Mylisz się, cioteczko, jestem wprawdzie bardzo posłuszna, ale i posłuszeństwo ma swoje granice. Porozumiawszy się z zwierzciadlanem odbiciem mojej osoby, poprzysięgłam sobie umrzeć raczej, niż stać się pośmiewiskiem całej ulicy, przywdziewając okropny kożuch niedźwiedzi.

O nadzwyczaj ważne chodziło rzeczy: różowa, błękitna, czy biała suknia? jakie kwiaty, buciki i tysiączne drobiazgi balowe? Jedno niepokoiło mnie tylko, czy ciotka pomyślała, że te

stroje dużo kosztować będą, czy byliśmy na nie dość bogate?...

— Jakaż troska zasępiała czoło mojej Gery?— zapytała ciotka, znowu przerywając moje rozmyślenia.— Bierz prędko kapelusz, musimy zaraz wybrać się do miasta, by zamówić, co potrzeba.

Mówiąc to, starała się utrzymać ton wesoły, w głosie jej jednak dzwigał smutek, a w oku błyszczały łzy.

Ciotka Ludwika była zawsze tak spokojna, jej zdania tak stanowcze, że nigdy nie śmiałabym opierać się jej rozporządzeniom. Dobrowolnie podjęte uciążliwe obowiązki spełniała z tak naturalną prostotą, jak rzeczy nazwyklesze: opiekowała się biedakami, noce spędzała przy chorych, od świtu do nocy zajęta była jedynie sprawami bliźnich.

Na podobieństwo dzieci, które mniemają, że rodzice i opiekunowie istnieją dla ich wygody jedynie, przyjmowałam również, jakby należną mi daninę, liczne dowody przywiązania, jakimi troskliwa opiekunka hojnie mnie obsypywała.

Nie przyszło mi nigdy do głowy zastanowić się nad tem, dlaczego ta, o której rękę dobijał się liczny zastęp konkurentów, została starą panną?

Opowiadania Krystyny o świetnych czasach słuchałam, jak cudownej bajki, powątpiewając czasem, czy owa dawna piękna Ludwika Helmer, była dzisiaj ukochaną ciotką Ludwiką. Dziś po raz pierwszy widziałam ją wzruszoną i, pomimo całego niedoświadczenia młodości, domyślałam się, że

spokój jej został czemś zakłócony, że potrącono jakąś głęboko ukrytą strunę jej duszy, rozbudzono dawno uśpione wspomnienia.

Cicho i jednostajnie upływało nam życie. Ciotka, oddana wyłącznie dobroczynności i mnie, wyrzekła się przyjemności życia towarzyskiego.

W oznaczone dni tygodnia przychodziły wprawdzie do nas trzy starsze panie, ale jedynym celem ich odwiedzin była spólna praca dla ubogich.

Podawano wtedy herbatę w drogocennych filiżankach chińskich, potem wydobywały się druty i szybko migały w miłosiernych rękach. Z mego kącika przy kominku, wpatrzona w suty płomień ogniska, słuchałam rozmowy tych pań, które zniżały głos do szeptu, gdy najłżejsze poruszenie przypominało im moją obecność.

Dwie z nich były niezamężne siostry - bliźniaczki, trzecia, wdowa, zarządzająca domem naszego doktora, od śmierci jego żony. Dawniej odwiedzała nas jeszcze córka doktora Aletta, o trzy lata starsza ode mnie i wskutek swego starszeństwa roztaczająca nade mną opiekę, której poddawałam się chętnie; stąd wywiązał się między nami stosunek przyjazny, ale nie odczuwało się serdeczniejszej struny.

Czasem czułam się osamotnioną, lecz nie umiałabym powiedzieć, za czem tęskniłam. Ciotka odgadywała i uprzedzała moje życzenia.

E P I L O G

Gdy śmierć i rozpacz ustępują przed słońcem szczęścia i miłości, cóż więcej jeszcze powiedzieć można? Niewiele tu już słów potrzeba. Musimy dodać tylko, iż Zahara, uciekwszy na zawsze z pałacu arcykapłana, a przygarnięta serdecznie przez Ariellę, opuściła ją dopiero, udając się na zawsze do domu Łazarza. Wpierw jednak Wielki Rabbi połączył ich węzłem ślubów dożgonnych, a akt ten, oswobadzając ją, według praw żydowskich, od władzy ojca, czynił podległą jedynie mężowi.

Zszedłszy raz na tę drogę, odrzuciła ona z całą gwałtownością i krańcowością, właściwą swemu charakterowi, warunki dawnego życia i dawnych wierzeń. W chwili już, gdy umarły powstał z grobu w jej oczach, przekonana i wstrząśnięta do głębi duszy, przyjęła wiarę przyszłego swego małżonka. Recz prosta, iż natychmiast po ślubie, zabrawszy siostrę Łazarza, Maryę, i niewolnicę, Re-

bekę, uciekli w dalsze okolice, kryjąc się w obcym kraju.

Założywszy po za granicami Judei domowe swe ognisko, wybrane te dusze postanowiły głosić w oddali wiarę Tego, który oddał życie Swe za prawdę i Boga, za wiarę w ludzkość, w czystość jej, dobroć i spokój, — za wiarę, która szanuje ubogich, pociesza nieszczęśliwych, leczy chorych, a nawraca zbłąkanych, — za wiarę, która nie odpycha samowolnych i grzesznych, lecz umarłym nawet daje życie.

02191

KONIEC.

Inchwin

